

*Początek sagi o niezwykłych losach
rodziny Sobolewskich*

WERONIKA
WIERZCHOWSKA

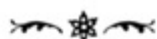


PANNY
FORTUNY

TOM I

Prószyński i S-ka

WERONIKA
WIERZCHOWSKA



PANNY
FORTUNY

TOM I

Prószyński i S-ka

Copyright © Weronika Wierzchowska, 2023

Projekt okładki

Sylwia Turlejska

www.studio-kreacji.pl

Zdjęcia na okładce

Rudolf Dührkoop: Gertrud und Ursula Falke, 1906.

Preus museum Collection

marinavorona/[adobestock](https://www.adobestock.com)

Redaktor prowadzący

Michał Nalewski

Redakcja

Maria Talar

Korekta

Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-893-5

Warszawa 2023

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Spis treści

Rozdział 1 LATO 1800 ROKU

Rozdział 2 JESIEŃ 1800 ROKU

Rozdział 3 LUTY 1801 ROKU

Rozdział 4 KWIECIEŃ 1802 ROKU

Rozdział 5 MAJ 1803 ROKU

Rozdział 6 CZERWIEC 1805 ROKU

Rozdział 7 PAŹDZIERNIK 1806 ROKU

Rozdział 8 STYCZEŃ 1807 ROKU

Rozdział 9 KWIECIEŃ 1809 ROKU

Rozdział 1

LATO 1800 ROKU

Lipcowa noc była ciepła i gwiazdzista, do tego księżyc świecił tak jasno, że woźnica Paweł nie musiał zapalać latarni na burtach karety, by oświetlać drogę sobie i koniom. Powóz toczył się niespiesznie po piaszczystych mazowieckich duktach. Dziedzic Krzysztof Sobolewski życzył sobie, by Paweł uważał na wertepy, bo dziewczynki są zmęczone i chcą spać. Podróż odbywała się zatem ospale i bez pośpiechu, a kareta kołysała się na wybojach niczym statek na morskich falach. Pasażerki szybko to uśpiło, dziewczynki skończyły śpiewy i rozmowy, zawinęły się w koce i zapadły w sen, tak samo jak ich matka Maria Sobolewska, zapanowała cisza. Tylko dziedzic wyglądał przez otwarte okno w drzwiach powozu i pykał fajeczkę, podziwiając łąkę srebrzącą się w świetle księżycy i przez to zupełnie pozbawioną kolorów. Podróżującej rodzinie towarzyszyło jeszcze dwóch konnych jadących kawałek z tyłu, Maciej, osobisty lokaj dziedzica, i jeden z parobków, obaj jednak zdawali się drzemać w siodłach, głowy mieli pochylone, a czapki niemal naciągnięte na oczy.

Rodzina wracała z miesięcznego pobytu w wiejskiej posiadłości pod miastem, gdzie tradycyjnie, jak co roku, mieli spędzić całą letnią kanikulę. Niestety mości Sobolewski został pilnie wezwany do Warszawy. Dziedzic prowadził rozliczne interesy, a także działalność polityczną, o ile w ogóle można było o takiej mówić w sytuacji, w jakiej znalazła się Polska, której już piąty rok nie było na mapach Europy. Choć, co mogło się wydawać paradoksalne, to właśnie kiedy doszło do rozbiorów, Sobolewski żywo zainteresował się polityką i zaczął brać czynny udział w spotkaniach tajnych stowarzyszeń i dysputach po karczmach oraz wizytował pałace liczących się rodów, które mimo pruskiej okupacji nie opuściły miasta. Marii niezbyt się to podobało, ale z drugiej strony cieszyła się, że mąż dzięki temu sprawia wrażenie, jakby jego życie stało się pełniejsze niż dotychczas, kiedy zajmowały go jedynie sprawy związane z funkcjonowaniem rodzinnego gospodarstwa.

Teraz, cmiąc w ciemnościach fajeczkę, świadom bliskości ukochanej żony i śpiących córek, z zadowoleniem rozmyślał o rysujących się w przyszłości

perspektywach. Niby kraj, dosłownie rozdarty na strzępy i okaleczony wojnami oraz nieudanym powstaniem kościuszkowskim, pogrążony był w rozpacz i beznadziei, ale wielu patriotów patrzyło w przyszłość optymistycznie. Istniały pewne szanse, ogromne nadzieje i desperackie plany, trzeba tylko było śmiałości i zaangażowania, by z nich skorzystać. A kto wie, może da się przywrócić Polskę do życia i jeszcze ugrać na tym coś dla siebie i rodziny?

Nagle jego spojrzenie przyciągnęły błyski po drugiej stronie łąki, na skraju lasu, a może pośród drzew? Światło księżyca odbijało się tam w wypolerowanym metalu. Dziedzic drgnął, wytrząsnął żar z cybucha, uderzając nim o budę karety. Stukanie obudziło zarówno jego żonę, jak i starszą córkę, dwunastoletnią Cecylię. Młodsza, Franciszka, nadal spała, ale ją mało co było w stanie wyrwać ze snu. Hałasem zainteresował się też woźnica.

– Macieju, widzisz te błyski? – Krzysztof zwrócił się do woźnicy. – Nie podobają mi się...

Nie dodał, by nie straszyć najbliższych, że to jakby grupa zbrojnych ukryta w ciemnościach na skraju lasu, światło księżyca zaś odbija się w ich orężu, zdobytych szablach, może lancach i muszkietach? Księżyc zdradził ich niespodziewanie, gdyby mieli zapalone ognie, widać byłoby ich z daleka. Trakt skręcał łukiem w stronę lasu i wyglądało na to, że zbójce zaczęli się tu na podróży. Maciej pomyślał to samo co dziedzic, bo ściągnął lejce. Dwaj jeźdźcy z ich eskorty też się obudzili, zaniepokojeni nagłym zatrzymaniem karety.

– Zawracaj – rozkazał Krzysztof. – I to zwawo, kierujemy się na Błonie. Tam jest stacja pocztowa i koszary, przeczekamy bezpiecznie do rana. Szybko, nie ma co mitrzyć!

Maciej zaciął lejcami po zadach, jednocześnie ściągając je w prawo.

– Panie, co się dzieje? – spytał, rozglądając się nerwowo. – Tam pod lasem? Zbójcy?

– To raczej nie zbójcy – mruknął dziedzic.

Kareta ruszyła, zawracając po łuku. Wstrząsy i podskoki obudziły także Franję, która mruknęła ze złością, mocno zaspana, i wymamrotała coś nieprzytomnie. Od strony lasu nagle rozległ się gwizd i gniewne okrzyki. To czekający w zasadzce zorientowali się, że zdobycz wymyka się im z rąk. Maciej sięgnął po dotychczas bezużyteczny bat, uniósł się na koźle i też wrzasnął, po czym siekł po zadach koni, zmuszając je do wyrwania przed siebie galopem.

Sobolewski wychylił się przez okienko w drzwiach karety, wyżejając wzrok. Nie musiał zbytnio się wysilać, bo po chwili na łące pojawili się ścigający ich konni. Zatem wcale to nie była zasadzka czekających na trakcie zbójców, którzy odarliby podróżnych ze wszystkiego co cenne i puścili żywych, ale zorganizowany oddział kawalerzystów, uzbrojonych po zęby i szykujących się do zabijania.

Krzysztof poczuł, jak w jednej chwili krew odpływa mu z twarzy. Wiele się spodziewał po swoich przeciwnikach i wrogach, ale nie przeprowadzenia zamachu. Sięgnął odruchowo do pasa, ale miał na sobie zwykłe spodnie, koszulę i kamizelkę, żadnej broni. Jeźdźców naliczył co najmniej tuzin, stopniowo nabierających pędu na łące. Dudnienie kopyt niesło się w nocnej ciszy niczym bębny lub grzmienie nadchodzącej burzy.

– Macieju, do mnie! – machnął przez okno do swego totumfackiego. – Bierz dziewczynki i wiej ile sił, nie oglądaj się za siebie.

– Tak się nie godzi, panie! – stary sługa się oburzył.

– Inaczej wszyscy tu zginiemy. Ratuj je, zaklinam cię na wszystkie świętości. Każda chwila cenna! – rozkazał Sobolewski, walcząc z dławieniem w gardle.

Nie potrafił tego przed sobą przyznać, ale zbierało mu się na płacz. Wcale nie planował i nie chciał rozstawać się z życiem, zresztą kto wie, może uda się negocjować z napastnikami, może to tylko próba porwania dla okupu lub by wymusić ustępstwa na jego współnikach? Tak czy inaczej, jeśli istniała możliwość, żeby ochronić córki przed zgubą, musiał z niej skorzystać. Maciej jechał na silnej, zdrowej kobyłce, a napastnicy sprawiali wrażenie ciężkiej jazdy, czegoś w rodzaju kirasjerów. Tylko sługa mógł przed nimi umknąć, a dwie drobne panienki zbytnio go nie obciążą. Nakazał zatem Pawłowi zatrzymać się i szybko ucałował najpierw Cysię, później Franię, przekazując je Maciejowi, który w locie usadził je przed sobą na kobyłce.

– Tato, co robisz? – spytała Cecylia. – Nie chcemy was opuszczać!

– Mamo! Ja chcę do mamy! – Frania się rozpląkała, bo wreszcie wyczuła napięcie i zrozumiała, że dzieje się coś złego.

Wyciągnęła ręce, ale Maria Sobolewska pożegnała je znakiem krzyża, po czym sama się przeżegnała.

– Spotkamy się później, w domu. Bądźcie dla siebie dobre, dziewczynki. Jeśli się nam nie uda... będziecie miały tylko siebie – powiedziała z powagą i bez śladu strachu w głosie. – Niech Bóg wam błogosławi, a teraz w drogę, uciekajcie!

Maciej spiął konia i zmusił go uderzeniami ostróg do rzucenia się w pęd. Dziewczynki skuliły się, Cecylia uczepiona końskiej grzywy, a Frania, obejmując ją w pasie i wtulając w jej plecy. Wiatr szarpał ich sukienkami i rozwiewał włosy, końskie kopyta dudniły w szalonym rytmie, gdzieś z tyłu rozległy się gniewne okrzyki, huknęły głucho pistoletowe wystrzały.

– Wszystko będzie dobrze – Frania mówiła bardziej do siebie niż do siostry. – Zobaczysz, że wszystko dobrze się skończy. Niedługo znów będziemy razem!

Kobyłka zaczęła potrząsać łbem i charczeć, dając znak, że jest zmęczona, ale Maciej nie dawał jej odetchnąć. Bez zmiłowania ponaglał ostrogami do zwiększonego wysiłku. Wiedział, że Sobolewski kazał zatrzymać karete, by paktować i przy okazji związać pogoń oraz odwrócić uwagę od uciekających. Poświęcił siebie i żonę, by córki mogły żyć. Stary sługa nie mógł zaprzepaścić takiej ofiary, skierował konia w stronę puszczy po drugiej stronie łąki, galopem i właściwie na oślep wjechał między drzewa. Po chwili pochłonęła ich nieprzenikniona ciemność, las osłonił ich mrokiem.

Marianna Lanckorońska nadal powszechnie tytułowana była kasztelanową połaniecką, choć jej mąż, który piastował tę funkcję, zmarł czterdzieści lat temu. Nobliwa dama zaraz po jego śmierci wyniosła się z Podola i obecnie rezydowała w pałacyku Sanguszków przy Nowym Świecie, gdzie posiadała na własność kilka pokojów. Był to dar od jej nieżyjącej już wielkiej przyjaciółki księżnej Barbary Sanguszkowej. Razem z Boną, też już nieżyjącą siostrą Marianny, znane były w Warszawie jako trójca świętych pań. Jako że przez wczesną śmierć męża Marianna nie doczekała się potomstwa, całą swoją miłość, a nadal przelewało się w staruszcze całe jej morze, skierowała na potrzebujących, chorych i cierpiących. Razem ze swoją ukochaną Barbarą finansowały i odwiedzały przytułki, szpitale i klasztory. Uratowały przed śmiercią głodową i nędzą całe setki, a może i tysiące nieszczęśników. Dorobiły się dzięki temu w pełni zasłużonej sławy, mimo że czyniły to z wewnętrznej potrzeby serca, a nie dla poklasku, i nigdy się ze swoją działalnością nie afiszowały.

Babcia Marianna, jak coraz częściej o sobie myślała kasztelanowa Lanckorońska, mimo wieku lubiła się otaczać ludźmi, szczególnie młodymi. Tylko czasami dopadały ją wspomnienia i sny o przeszłości. Nie sprawiało jej to przyjemności, bo nie lubiła popadać w melancholię, lecz nie sposób było jej

uniknąć, kiedy wracały echem chwile z jej Basią i siostrą Boną. Pamiętała, jak z samego rana gnały do szpitala, by zanieść chorym bułki wypieczone przez pałacowych kucharzy. Jak urządzały obiady proszone dla żebraków i same ze śmiechem mieszały zupę w wielkich garach, a później już z powagą nalewały ją do blaszanych misek, które podawały ubogim. Karmiły słodyczami dzieci uliczników, a skrawkami mięsa szwendające się bezpańskie psy. Dla zabawy biegały nad Wisłę i brodziły w wodzie z podkasanymi kieckami, słuchały niewybrednych komplementów rzucanych im przez flisaków lub przepływających rybaków i śmiały się z nich razem z nimi. Były takie szczęśliwe i wesołe... Wszystko to jednak przeminęło, rozwiało się gdzieś z wiatrem, który porwał ich młodość i cisnął ją w otchłań zapomnienia. Najpierw odeszła Basia, po niej Bona i nie wiedzieć kiedy Marianna została sama w pałacu, który zrobił się przeraźliwie pusty i zimny.

Nie mogła tego znieść. I nie życzyła sobie nawet przez chwilę być sama, nie zamierzała pozwolić, by starość pokonała ją i przygniotła smutkiem. Dlatego mimo starczych kłopotów ze zdrowiem nie przerwała działalności charytatywnej, a żeby nie siedzieć w pustym domu, co dzień urządzała wieczorki towarzyskie, na które przychodzili mniej lub bardziej ważni warszawiacy. Rzecz jasna, ze swoimi żonami lub córkami, bo Marianna lubiła młode kobiety. Szczególnie ją cieszyło, kiedy się śmiały i z nią rozmawiały, jakby była ich rówieśniczką, odzywały do niej bez przesadnego szacunku i traktowania niczym zabytek. Czuła się wówczas znacznie młodsza.

Każdego południa, nie licząc oczywiście niedziel i dni świątecznych, odwiedzali ją zatem znajomi lub zaproszeni ciekawi ludzie różnych stanów i profesji, choć najbardziej Marianna lubiła artystów i poetów, niekonieczne błękitnokrwistych. Najczęstszym zatem jej gościem był ksiądz kanonik Jan Paweł Woronicz, znany poeta jezuicki i dziekan warszawskiej kapituły katedralnej. Siadał na krześle obok głębokiego fotela, w którym staruszka zdawała się coraz bardziej kurczyć i niknąć, po czym pochylony ku gospodyni komentował jej wprost do ucha wszelkie wydarzenia na mieście, zarówno polityczne, jak i obyczajowe.

Kolejną postacią obowiązkową na popołudniowych spotkaniach była Krescencja Sanguszkówna, jedna z córek księżnej Barbary, najbardziej do matki podobna, przez co Marianna kochała ją jak własne dziecko. Krescencja nie wyszła za mąż, teraz miała już blisko pięćdziesiąt lat i pewne było, że resztę życia spędzi w tym pałacu, troszcząc się o ciocię Mariannę, jak od zawsze

nazywała staruszkę. Kolejną damą z pałacu była Anna Sanguszko z domu Pruszyńska, żona Hieronima, syna Barbary. Wżeniona w ród książęcy dużo młodsza od męża piękność, która stała się bratową Krescencji, tyle że połowę od niej młodszą. Tego wieczoru towarzyszyła im jeszcze tylko hrabina Teresa Chodkiewicz, kolejna warszawska piękność, młoda i lśniąca żona obiecującego literata i naukowca. Spotkanie było zatem dość kameralne, zapewne przez załamanie pogody, bo właśnie rozpętała się letnia burza, wściekła i gwałtowna, przez co bywalcy salonów, kręcący się co dnia po mieście, woleli pozostać w domach.

Zazwyczaj do dużego jasnego salonu, o oknach wychodzących na Nowy Świat i ścianach udekorowanych obrazami Franciszka Smuglewicza, schodzili się goście, by rozmawiać i dowiadywać się wszystkich ciekawych wydarzeń. Popyt na nowości był ogromny, od kiedy Prusacy zamknęli dwie warszawskie gazety i wiadomości mogły się roznosić jedynie pocztą pantoflową i szeptaną. Tym razem salon nie jaśniał, trzeba nawet było zapalić świeczniki, bo przez burzę zrobiło się ciemno, plotkarze z całego miasta przez ulewę się nie pojawili i zwyczajowy gwar nie wypełniał salonu. Zapowiadało się zatem, że wieczór skończy się na wyrecytowaniu przez księdza Woronicza kilku jego wierszy lub odczytaniu jakichś przyniesionych z miasta, bo poetów w Warszawie na szczęście nigdy nie brakowało.

Do salonu wśliznął się służący i gnąc się w ukłonach, podszedł do fotela staruszki, po czym wyszeptał jej coś do ucha. Ta wyraźnie się ożywiła.

– Długo już ten człowiek czeka? Proś go, niech wchodzi! – poleciła. – Słuchajcie, moi mili, przyszedł potrzebujący człek, po prośbie. Oczywiście żebraków na salony mój lokaj nie wpuszcza, tylko w wyjątkowych okolicznościach. Tym razem przyszedł sługa niejakiego Sobolewskiego. Słyszeliście o tragedii, jaka spotkała tę rodzinę?

– Ja nic nie wiem – oznajmiła Teresa Chodkiewicz. – Przez tydzień mnie nie było w mieście i już się w niczym nie orientuję. Kim jest ten Sobolewski? To jakiś poeta?

– Nie każdy w tym kraju jest poetą, jak na razie przynajmniej. – Ksiądz Woronicz pokręcił głową. – To ziemianin, który w Warszawie ma dworek, chyba na Faworach. Człowiek do niedawna zupełnie nieznan na salonach, słyszałem jednak o nim, że pojawiał się ostatnio w otoczeniu księcia Józefa.

- Czyżby kolejny nierób i utracjusz spośród złotej młodzieży? - Anna Sanguszko z pogardą wydeła usta.

Młodzież spod Blachy, jak nazywano kompanów księcia Józefa Poniatowskiego, nie cieszyła się dobrą opinią. Uważano ich powszechnie za hulaków i pyszałków mających w pogardzie własny kraj i jego zwyczaje. Ostentacyjnie ubierali się według mody francuskiej, nie rozmawiali po polsku, uważając ten język za język plebsu. Mówiło się nawet, że ksiązę Poniatowski jest rojalistą i odrzuca ideały rewolucyjne, że za nic ma Polskę i liczą się dla niego jedynie kolejne miłosne podboje i gra w karty.

- Czegóż zatem skromny ziemianin szukał wśród tej rozwrzeszczanej młodzieży w pończochach i francuskich żabotach? - Krescencja prychnęła ze wzgardą.

- A kto ich tam wie? Może to wolnomularz albo frankolub? - Ksiądz wzruszył ramionami. - Teraz to nieistotne. Sobolewskiego i jego żonę spotkała przykra przygoda. Zostali napadnięci w drodze do Warszawy przez pruskich maruderów albo rosyjskich dezertersów, nie wiadomo. Oboje zginęli, także ich woźnica i parobek.

- Wystrzelali ich, a potem ograbili. - Babcia Marianna pokiwała głową. - Co za straszne czasy. Kto to widział, mordować ludzi na gościńcu? Wpuście już tego człowieka, niech powie, czego chce.

Do salonu wkroczył posępny mężczyzna w skromnym stroju zwykłego sługi, ale nie sam. Prowadził przed sobą dwie dziewczynki w czarnych sukienkach oznaczających żałobę. Na ich widok wszyscy w pomieszczeniu się spięli, szczerze poruszeni. Oczywiście było, że to dzieci zamordowanej pary. Nikt się ich tu nie spodziewał. Marianna aż wstała ze swego fotela i podeszła, by się im lepiej przyjrzeć. Dziewczynki głowy trzymały opuszczone, a wzrok skromnie wbity w podłogę.

- Jestem Cecylia Sobolewska, a to moja siostra Franciszka - powiedziała ta wyższa i smuklejsza, zdecydowanie ładniejsza.

Obie dygnęły grzecznie, jak na rozkaz, równocześnie uniosły głowy i popatrzyły na zebranych. Cecylia spojrzała wprost na staruszkę, Frania rozejrzała się ciekawie po pomieszczeniu. Jej wzrok natrafił na sporych rozmiarów obraz Smuglewicza przedstawiający śmierć Lukrecji. W centralnej jego części siedziała owa pobladła od trucizny Lukrecja, niemal zupełnie naga, z całkowicie obnażonym biustem. Dziewczynka aż wytrzeszczyła oczy, bo nigdy nie widziała tak śmiałego przedstawienia kobiecej nagości. Co gorsza, żadna

z obecnych tu dam zdawała się nie dostrzegać tego bezwstydu. Wszystkie patrzyły na dziewczynki, jakby te były znacznie dziwniejsze i ciekawsze niż goła dama na tronie.

– Jaśnie pani raczy wybaczyć to najście, ale doprawdy nie wiem już, co mam czynić – powiedział sługa, załamując ręce. – Jestem Maciej Ryba, przez lata osobisty sługa dziedzica Sobolewskiego, świeć Panie nad jego duszą. Miesiąc temu doszło do strasznej tragedii, która zakończyła się śmiercią rodziców tych oto panien. Stało się tak, że ciężar odpowiedzialności za ich dalsze losy spadł na moje barki...

– Sobolewscy nie mają rodziny? – ksiądz Woronicz się zainteresował tą historią.

– Dziedzic miał brata, ale ten wyjechał gdzieś na poniewierkę i słuch po nim zaginął już lata temu. Zresztą od dawna byli skłóceni. Dziadkowie panien zaś już wymarli, a dalszej rodziny nie ma... – Maciej rozłożył ręce. – Losem dziewcząt zająć się miał plenipotent i rządca Sobolewskich, mości Grabowski. Ech, tyle że ten w kilka dni po tragedii znikł razem ze szkatułą pełną złota i papierów, całym majątkiem zmarłego dziedzica. Wczoraj zaś okazało się, że po ucieczce zastawił dworek Sobolewskich, wziął pod jego hipotekę kredyt u Żydów. Rzecz jasna, nic spłacać nie zamierzał i tak posiadłość przeszła w ręce mojżeszowych lichwiarzy. Panny przeto znalazły się razem ze mną dosłownie bez środków do życia i dachu nad głową. Przyszli my błagać słynną świętą panią o zmiłowanie i ratunek dla sierot, które zostały okradzione i pozbawione wszelkich perspektyw na przyszłość.

Mówiąc, sługa załamywał ręce i giął się coraz bardziej, aż skończył zgięty w pół, jakby w błagalnym pokłonie. Cecylia pociągnęła nosem, po policzku spłynęła jej bowiem łza. Ciągle nie mogła uwierzyć w to, co zaszło i co się właśnie działo. Dosłownie w ciągu kilku koszmarnych dni straciły wszystko, ukochanych rodziców, dom i majątek. Przyjdzie im zemrzeć na ulicy z głodu i zimna. I znikąd pomocy, znikąd sprawiedliwości. Świat pozostawał doskonale obojętny na ich krzywdę, a dobry Bóg nie chciał słuchać modlitw.

Franciszka była nieco innego usposobienia, z natury bardziej optymistyczna, wierzyła nadal, że wszystko jakoś się ułoży. Rodziców nikt im już nie wróci, ale dom z pewnością odzyskają. Nie może być wszak tak, że dzieją się krzywdy równie bezprawne i nikt nie reaguje. Ktoś musi to powstrzymać i przywrócić porządek. Spojrzała śmiało w twarze zebranych, szczególnie

spodobała się jej piękna i uśmiechnięta Teresa, młoda kobieta w bogato zdobionej sukni. Odpowiedziała jej uśmiechem, ufnym i niewinnym.

– Ta mniejsza mi się podoba, mogłabym wziąć ją na służkę, tyle że to nie uchodzi – piękna pani Chodkiewicz oznajmiła z żalem. – Biedactwo jest szlachcianką. Gdyby pochodziła z gminu, wzięłabym ją z miejsca.

Krescencja spojrzała z ukosa na Teresę, jej uwaga była zwyczajnie niestosowna. Niestety hrabina zachowywała się jak większość jej podobnych dam ze sfer. Brak wrażliwości łączyły z pychą i przekonaniem o własnej wyższości.

– Hm, pomyślmy – babcia Marianna mruknęła i przyjrzała się dziewczynkom z bliska.

Obie były czyste, zadbane i zdrowe. Nawet żadnych dziobów po ospie, choć to się mogło jeszcze zmienić. Z pewnością przyzwoicie je wychowano, to było widać choćby po postawie i grzeczności. Nie do pomyslenia się jej zdawało, by po prostu mogła je teraz wygnąć na ulicę, raczej oddać do klasztoru lub choć na jakiś czas przygarnąć pod własny dach.

– Zostaną u mnie – zdecydowała. – Wprowadzimy je do pokoiku na poddaszu, przyda się jak znalazł. Ty, dobry człowieku, będziesz musiał poszukać sobie nowego pana, ja cię przyjąć na służbę nie mogę. Dostaniesz dukata za fatygę i idź z Bogiem. A wy, panienki, macie jakieś rzeczy czy też przepadły razem z nieruchomością?

– Nowi właściciele naszego rodzinnego domu łaskawie pozwolili nam zabrać, co tylko chcemy – odparła Cecylia. – Wzięliśmy ubrania, pamiątki po rodzicach i kilka książek.

– I przybory do szycia – dodała Frania. – Trochę umiemy robić igłą, może w ten sposób zapracujemy na dach nad głową i stół...

– Nie przejmuj się tym teraz, panienko. – Staruszka machnęła ręką. – Ale to znamienicie, żeście chętne do pracy, to dobrze o was świadczy. Z pewnością próżnować u mnie nie będziecie, teraz moje ulubione zajęcie to haftowanie przy krosnach ornatów w darze dla kościoła. Pomożecie mi, razem nam będzie sprawniej szło. Roześlę wieści po kraju, może się uda znaleźć jakichś waszych dalszych krewnych? Nie może być, że nie macie wujostwa i kuzynostwa dalszego stopnia, każdy ma jakichś pociotków. Poszukamy i znajdziemy, spokojna głowa. Trzeba też zwrócić się do regencji Prus Południowych, napiszę list do generała-gubernatora Köhlera. Niech coś zrobi, do kroćset, z tymi

lichwiarzami i oszustem Grabowskim. Trzeba go złapać i odzyskać wasz rodzinny majątek!

– Pójdę jutro w tej sprawie do Kamery Prus Południowych, rezyduje w pałacu Krasieńskich – zadeklarował ksiądz Woronicz. – To generalny dyrektoriat kamery sprawuje władzę w zakresie sądownictwa skarbowego w tym kraju. Może da się odkręcić to złodziejstwo, którego dopuścił się plenipotent? Lub choć wysłać za nim policję?

Anna Sanguszko podeszła, by z bliska przyjrzeć się sierotom. Obejrzała je jednak beznamiętnie, nie czuła wielkiego oburzenia i gniewu na niesprawiedliwość, jaka je spotkała. Nie miała takiego zacięcia do dobroczynności jak babcia Marianna, właściwie nigdy nie czuła specjalnego współczucia wobec biedaków. Skoro Bóg ich tak doświadczał, widocznie sobie zasłużyli lub ich cierpienia były częścią jakiegoś większego boskiego planu. Tyle że jako najmłodsza z domowniczek pałacu przynajmniej miała wrażenie, że jest odpowiedzialna za zajęcie się nowym przybytkiem. Te dwie sierotki nie były bowiem pierwsze i zapewne nie ostatnie, które staruszka kazała gościć pod dachem. Na szczęście po jakimś czasie znajdowała im nowy dom, rodziny, które je przyjmowały, panny Sobolewskie nie zabawią zatem tu na wieczność.

– Zajmę się nimi, Marianno – powiedziała. – Zaprowadzę do pokoju i każę nakarmić, pokażę, jak funkcjonuje nasz dom.

Babcia się oczywiście zgodziła, panienki dygnęły grzecznie i wyszły za prowadzącą je Anną.

Frania wybuchła płaczem, dopadła Macieja, objęła go oburącz w pasie, bo niewiele wyżej sięgała, i wtuliła twarz w jego pierś. Chłonęła zapach sługi, ostatni zapach, który kojarzył się jej z domem i beztróskim dzieciństwem. Odejście ich opiekuna ostatecznie zakończy najważniejszy i najdłuższy etap w ich życiu i nigdy nie będzie do niego powrotu. Do zabaw w ogrodzie, czytania z ojcem po francusku i łacinie, śmiechów i śpiewów razem z mamą, do wspólnych posiłków, wycieczek na wieś i gonitw z tatą po łące czy nawet rodzinnych wyjść w niedzielę do kościoła. Nigdy już nikt ich nie przytuli i nie ucałuje, tak jak robili to rodzice i sługa, który je znał i bawił od dziecka. Skończyło się, zaraz zostaną całkiem same na tym świecie.

- Nie chcę was zostawiać, ale nie mam wyboru - powiedział Maciej i pogładził ją po głowie. - Jestem nikim, zwykłym nędzarzem, parobkiem z gminu. Tylko jaśniepaństwo zapewnią wam godną przyszłość, wykarmią, wyuczą czego trza i znajdą mężów. Muszę szukać nowej roboty, by mieć co do miski włożyć. Same zresztą wiecie, mądre z was dziewczynki i wkrótce zamienicie się w wielkie damy. Nie wspominajcie mnie źle...

- Macieju drogi - powiedziała z powagą Cecylia, nie rzucając mu się jednak w objęcia. - Nigdy nie zapomnimy tego, co dla nas zrobiłeś. Życie nam uratowałeś, strzegłeś, jak byśmy były twoimi dziećmi. Nadarzy się okazja, to się odwdzięczymy. Da Bóg, rychło się spotkamy...

Anna stała w drzwiach ich pokoju na poddaszu i obserwowała to pożegnanie raczej ze znużeniem niż wzruszeniem. Zgodnie z poleceniem babci Marianny wręczyła Maciejowi ciężką, srebrną monetę, choć uważała, że to zdecydowanie za dużo dla kogoś takiego. Pokojówka odprowadziła go do drzwi i przynajmniej tego interesanta z pałacu się pozbyto. Generałowa Sanguszkowa, bo Hieronim, mąż Anny, a syn Barbary, był najpierw polskim, a obecnie rosyjskim generałem i przysługiwał jej ten tytuł, spojrzała srogo na dwie sieroty, już nawet nie udając przychylności, bo i nie było przed kim, zostały bowiem w pokoju same.

- Podoba mi się wasza grzeczność i skromność, ale musicie zapamiętać, by się nie odzywać niepytane - powiedziała. - Szczególnie ty, mała, masz uważać na to, by trzymać buzię zamkniętą. Odzywacie się jedynie, kiedy kasztelanowa Lanckorońska was zapyta lub kiedy ja dam wam pozwolenie. Nie łązicie po pałacu, szczególnie po gabinetach i salonie, a już w ogóle jest to wykluczone, kiedy są goście. Dopóki nie zostaniecie wezwane, macie siedzieć tutaj i czytać Pismo Święte lub odmawiać koronki. Zgodnie z wolą kasztelanowej będziecie jej pomagały w haftowaniu ornatów, czyli od śniadania do południa. To na razie wasz jedyny obowiązek, ale później wam coś wymyślę, byście nie próżnowały całymi dniami.

- Czy do ogrodu za pałacem wolno nam chodzić? Chociaż czasami? - spytała Frania, która już dojrzała ogród przez okno i zatęskniła za łąką i kwiatami.

Anna spojrzała na nią z góry, nabrała powietrza i wypuściła je nosem, by zapanować nad sobą.

- Co przed chwilą powiedziałam o mówieniu bez pozwolenia? - spytała głosem zimnym jak lód. - Ostrzegam, nie będę okazywała żadnego pobłażania, nie jestem przemiłą staruszką, jak babcia Marianna. Jeśli nie będziecie

posłuszne, zacznę od kar takich jak klęczenie na grochu, jeśli nie pomogą, w ruch pójdą różgi moczone w wodzie. Najlepszy kurs dla młodych panien to raz na jakiś czas chłosta na goły tyłek. Mnie tak chowano i wielce sobie chwale podobne lekcje. Uczą oglądy i cierpliwości, z chęcią zastosuję je także na waszej dwójce.

– Proszę wybaczyć, najlaskawsza pani, moja siostra jest po prostu młoda, ale szybko się uczy.

– Ile masz lat? Możesz odpowiedzieć! – Anna złapała Franię za brodę i uniosła jej twarz w górę.

– Jedenaście, wasza łaskawość – dziewczynka odparła szybko.

– Po pierwsze wcale nie jesteś taka młoda, za kilka lat można by wydać cię za męża. Po drugie nie nazywaj mnie tak idiotycznie. Macie mnie tytułować per pani generałowo lub wojewodzino, takie tytuły mi bowiem przysługują. A teraz rozpakujcie swoje rzeczy. Macie je ułożyć w tym kufrze i w szafie. Polecę, by ktoś z kuchni przyniósł tu jaką wieczerzę. Rankiem pokojówka obudzi was po świcie, zejdziecie do kaplicy na poranną modlitwę, później wspólnie zjemy śniadanie. Chyba że kasztelanowa Lanckorońska nie będzie się czuła na siłach, by nam towarzyszyć. Dobrej nocy!

Odwróciła się i wyszła, szeleszcząc suknią. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Cecylia westchnęła, wypuszczając powietrze, i opuściła wyprężone ramiona, garbiąc się z ulgą. Frania padła na jedno z dwóch łóżek, rozkładając ręce. Gruchnęła na dechy przykryte lichym kocem, zabolalo, aż jęknęła i zaczęła masować się po obitej kości ogonowej.

– Nie ma siennika, żadnego materaca. Jak w jakiej klasztornej celi! – podniosła się i kopnęła ze złością w łóżko.

– Uspokój się, Franiu, bardzo cię proszę. – Cecylia złapała ją za ramię i obróciła tak, by siostra patrzyła jej prosto w oczy. – Masz robić to, co każą te niewiasty, bez dąsów i waporów! To nasza jedyna szansa, byśmy nie pomarły z głodu i zimna lub by nie spotkał nas jeszcze gorszy los. Jeśli rozzłościmy tę generałową, gotowa przekonać panią Mariannę, by oddała nas do klasztoru. Rozumiesz, co to znaczy? Nie byłoby żadnych spacerów po łące, tylko klęczenie przez resztę życia na zimnych, kościelnych posadzkach. Nie widziałabyś ludzi i świata, tylko krzyż w celi. Zamiast sukienek habit z gryzącego płótna, zimny i lichy. Żadnego cukru, powideł i słodkich owoców, jeno kasza, chleb i woda.

I tak przez resztę życia, z pewnością krótkiego, bo jakże żyć w takich warunkach?

Frania zrobiła wielkie oczy, które i tak już miała ogromne. Po chwili broda zaczęła jej się trząść, a oczy wypełniły się łzami. Przytuliła się do siostry i zaczęła płakać cicho, Cecylia objęła ją i pogładziła po plecach.

– Dlaczego nas to spotyka? Cóżeśmy uczyniły, co zawiniły? – chlipała Frania, a jej łzy leciały i wsiąkały w sukienkę siostry. – To nie tak miało być. Mama i tata... Czemu nas zostawili? Czemu odeszli tak nagle, kto nam to zrobił?

– Nie wiem, ale mogę ci obiecać, że kiedyś się dowiem. I zapłacę tym draniom, którzy nas skrzywdzili. Zapłacę wszystkim, którzy podnieśli rękę na naszą rodzinę – Cecylia odparła powoli, jakby ważyła każde słowo. – Musimy być cierpliwe, szczególnie ty musisz powściągnąć swoją energię i chęć zajrzenia wszędzie i gadania z każdym. Obiecuj, że będziesz poslušna!

Frania odsunęła się od siostry i z pokorą pokiwała głową.

– Dobrze, ale tylko będę udawała. Tak naprawdę będę słuchała tylko ciebie – obiecała i uśmiechnęła się przez łzy.

Jesienna pogoda okazała się tego roku łaskawa dla warszawiaków i we wrześniu ulice nie zmieniły się jak zwykle w rozmiękle bajora i trzęsawiska. Dzięki temu babcia Marianna chętnie wybierała się na spacer, ku uciechu panien Sobolewskich, bo nie musiały spędzać większości dnia na haftowaniu ornatów. Frania po cichu narzekała, że bolą ją już nie tylko palce, ale od wyszywania krwawiących serc Jezusowych i płaczących Madonn boli ją całe ciało i chce się płakać. Kasztelanowa na szczęście, kiedy dobrze się czuła, lubiła się przejść i popatrzeć na miasto oraz ludzi, poza tym liczyła na to, że spotka kogoś znajomego i dowie się czegoś ciekawego, czym będzie się mogła podzielić z towarzystwem na popołudniowych spotkaniach.

Zwykle starszycie towarzyszyła Krescencja, a obie dziewczynki, ciągle noszące żałobę, szły kilka kroków z tyłu, niosąc torbę z koniecznymi przyborami, czyli solami trzeźwiącymi, nalewką ziołową, portmonetką, chusteczkami, tutką landrynek miętowych, bilecikami z adresem, okularami i całą masą podobnych drobiazgow, bez których dama pozycji kasztelanowej nie mogła się poruszać. Szły zatem, ciesząc się słońcem i uludą wolności, patrzyły na ludzi oraz na miasto. To niestety, mimo słońca, nie prezentowało się

najlepiej. Przede wszystkim od upadku powstania kościuszkowskiego Warszawa dramatycznie się wyludniła. Znikli nie tylko magnaci i bogata szlachta, ale wraz z nimi sporo gminu. Toteż, idąc ulicami, mijało się opuszczone domy, dwory i pałace. O powybijanych oknach, pozarywanych dachach, niektóre osmalone pożarami lub o fasadach podziurawionych kulami muszkietowymi lub nawet armatnimi. Jeden z bywalców domu kasztelanowej, marszałek Małachowski, człek ciągle znajdujący się blisko władz, twierdził, że w mieście z niemal dwustu tysięcy mieszkańców pozostało jedynie sześćdziesiąt.

– Dzięki temu niemal jest pewne, że widząc jakiegoś człowieka na ulicy, spotka się znajomego – Krescencja przypomniała na spacerze.

– Albo pruskiego żołdaka – babcia Marianna cierpko zripostowała, kiedy akurat mijał ich patrol piechurów gadających po niemiecku.

Skręcały w Królewską, by po chwili znaleźć się na placu Saskim stanowiącym główną część tak zwanej Osi Saskiej, mającej wyznaczać serce Warszawy. Jej ukoronowaniem był wielki i rozłożysty pałac, a zamknięciem znajdujące się za nim ogrody, które faktycznie były towarzyskim centrum stolicy. Tu, przy wodotrysku, dziewczynki odzyskiwały swobodę i mogły nawet pobiegać, choć Cecylia była już na to zbyt poważna, poza tym uważała, że będąc ubraną w czarną sukienkę, nie powinna się śmiać, a tym bardziej ganiać po trawie. Frania zmuszona była naśladować siostrę i po prostu przechadzały się wokół fontanny lub po alejkach, przy których stały rzeźby przedstawiające metaforyczne postaci. Kasztelanowa w tym czasie wymieniała kilka grzeczności z mijanymi damami z towarzystwa, odpowiedziała na ukłony waszmościów w staropolskich czamarkach i dżentelmenów w angielskich frakach oraz pluszowych cylindrach. Jak spod ziemi pojawiła się też Teresa Chodkiewicz, która zdawała się bywać wszędzie i o każdej porze, widywano ją na mieście zawsze tam, gdzie coś się działo. Gadano, że robi to, byle nie siedzieć w domu, przy swoim mężu.

– Ależ dziś piękna pogoda! – oznajmiła radośnie, obracając białą parasolką z falbankami, którą miała opartą o ramię, by chronić jej alabastrową skórę przed promieniami słońca.

Kapelusz nie mógł osłonić jej twarzy, bo był wedle ostatniej paryskiej mody śmiesznie mały. Zarówno Marianna, jak i Krescencja nosiły kapelusze budki, szczerze osłaniające głowę i ukrywające twarz w tunelu. Teresa zaś, jak przystało na młodą, modną kobietę, nosiła się z nowoczesnym szykiem, nie

zakładała jakichś tam ciężkich, polskich sukien z poprzedniej epoki, ale zwiewną i lekką, w stylu starogreckim i z wysokim stanem. Włosy zaś ścięła na krótko i ufryzowano je w małe, zgrabne loczki zaczesane do przodu à la Titus. Taką fryzurę miał bowiem cesarz Tytus na swoim kamiennym popiersiu i taką obecnie nosiły modne damy w Paryżu.

Była to bardzo śmiała zmiana wizerunku, moda jeszcze bowiem dobrze się w mieście nie przyjęła i Teresa narażała się na dodatkowe plotki, ale miała to w nosie. Zarówno gadanie o tym, że zdradza męża i wystawia go na pośmiewisko, jak i uwagi o jej wyglądzie były jej równie obojętne.

– Dziewczynki, zapraszam was dziś na lody i orszadę! – Pomachała na powitanie do sierot. – Was też, moje drogie. Taka piękna pogoda, że Lessel ciągle trzyma cukiernię pod chmurką otwartą, żal byłoby nie skorzystać.

Nie czekając na odpowiedź, ujęła Mariannę pod ramię i skierowała się w kierunku słynnej cukierni, która przez lato prowadziła sprzedaż pod parasolami niedaleko pałacu Brühla. Siostry tym razem ruszyły przodem, mimo że czuły się już niemal jak dorosłe panny, wizja zjedzenia smacznych lodów śmietankowych i popicia ich obłudnie słodką orszadą zmieniła je obie w małe dziewczynki.

– Masz z nich dużo pociechy, pani Marianno – Teresa ni to stwierdziła fakt, ni zadała pytanie.

– Tak, jak to z młodych. Zawsze są chętne do pracy, śmiechu i pełne z trudem hamowanej radości. Aż mi ich czasem żal, że zmuszam je do siedzenia ze mną w mojej małej przędzalni, ale kto wie, może umiejętność radzenia sobie z robótkami przyda się im w życiu? – Kasztelanowa z przyjemnością patrzyła na dziewczynki, które zaczęły iść skocznyim krokiem, jakby zaraz miały puścić się w galop.

– Do tego obie lubią śpiewać i umilają nam haftowanie oraz dzierganie piosenkami od Sasa do Lasa – Krescencja dodała pochwałę również od siebie. – Ładne głosy, chciałabym je usłyszeć w kościele, śpiewające psalmy.

– Nic straconego! – Teresa się ożywiła. – Mam dla was propozycję, moje drogie. Otóż rozmawiałam z samą przeoryszą klasztoru wizytek. Tego na Krakowskim Przedmieściu, najśłynniejszego w Warszawie. Wyraziła zainteresowanie tymi dwiema i gotowa byłaby je przyjąć do sierocińca, który prowadzi i który pewnie dobrze znacie...

– Klasztorny sierociniec? – Marianna skrzywiła się z niechęcią.

Takie miejsca nie kojarzyły się jej zbyt dobrze. Odwiedziła ich wiele w czasach aktywnej działalności charytatywnej, jeszcze razem z Basią, i nie wspomniała tych wizyt najlepiej. Te smutne, wychudzone dzieci w habitach, ponure mury, ciemne wnętrza i chłód, dużo chłodu. Do tego okropny, koszmarny wręcz cmentarzyk na tyłach klasztoru, na którym grzebano nie tylko zakonnice, ale przede wszystkim dzieci, bo sierociniec był wylęgarnią wszelkich chorób. Wiadomo było, że jeśli w mieście pojawi się ospa, to przetrzebi sierociniec, jakby przeszedł przez niego anioł śmierci. Na nic pomoc i dotacje, w takich miejscach nic zdawało się nie zmieniać.

- Hm, ale siostry natychmiast wprowadzą je do nowicjatu i w kilka lat zamienią w zakonnice - Krescencja zauważyła rzeczowo. - Dziewczęta nie sprawiają wrażenia chętnych, by poświęcić się służbie Bogu... Tyle w nich radości, że aż żal byłoby zamykać je za murami klasztoru.

- Och, nie przesadzajmy. Chyba nie zamierzacie pytać je o zdanie! - Teresa prychnęła. - Od kiedy to panny mają cokolwiek do powiedzenia na temat swojej przyszłości? Od zawsze tak jest, że tę wybiera im rodzina. Młoda kobieta nie może decydować sama o sobie, nie ma ku temu zdolności umysłowych. Zastanówcie się same, jaka przyszłość byłaby dla tych dwóch najlepsza? Chcecie odesłać je na wieś, gdzie padną ofiarą jakichś zdeprawowanych, zaściankowych szaraczków? Zły, zepsuty świat, w dodatku ogarnięty wojną, czeka tylko, by znieść i zmielić na proch takie śliczne, niewinne gołąbeczki. Za to za murami klasztoru będą bezpieczne, nikt ich nie zgwałci i nie zamorduje, nie zmusi do nierządu, a ich dusze, pogrążone w modlitwie, z każdym dniem będą coraz bardziej piękniały...

- Miałam nieco inny pomysł, który zresztą wyszedł od Ani - babcia Marianna wyznała ugodowym tonem. - Lato się skończyło i Anna wybiera się w podróż powrotną do męża, znaczy do Hieronima, syna Barbary. Zadeklarowała, że weźmie dziewczęta ze sobą, na Wołyń.

- Na Kresy? - Teresa pokręciła głową.

- Zamieszkają razem z nimi lub w jednej z wiejskich posiadłości Hieronima. Kiedy nieco dojrzeją, mój brat wyda je za swoich oficerów. Dowodzi tam całym rosyjskim regimenterem, z pewnością znajdą się chętni na takie dwie ślicznotki - Krescencja dodała, kończąc temat.

Dziewczynki, które szły przodem, wcale nie podskakiwały wyłącznie z radości, to była tylko gra narzucona przez Cecylię, by nie padło podejrzenie, iż

podsluchują. Obie nadstawiały jednak ucha i łowiły każde słowo, które padało z ust idących za nimi dam. Mieszkały u Sanguszków, a właściwie na łasce kasztelanowej Lanckorońskiej, już czwarty tydzień i zdążyły nie tylko oswoić się z rygiem panującym w pałacu, ale także w nim się odnaleźć. Wiedziały, o czym się mówi na pokojach, i były świadome, że ich pobyt niedługo się skończy i babcia Marianna, choć osoba niezwykle łaskawa i ciepła, odeśle je w dalszą drogę, i to w przekonaniu, że czyni to dla ich dobra. Obie jednak zdębiały, kiedy usłyszały, co się dla nich szykuje – klasztorna cela lub wyjazd gdzieś hen na wschód, gdzie targowiczanie Hieronim Sanguszko wyda je za mąż za ruskich oficerów.

– Nie wiadomo, co gorsze – Frania syknęła do siostry. – Nie chcę być żoną jakiegoś dzikusa. Wiesz, że oni tam jedzą surową słoninę i popijają ją wyłącznie gorzałką? Słyszałam, jak Maciej opowiadał o tym parobkom. Zimno tam jak w lodowym piekle, wszędzie pełno niedźwiedzi i chłopów, którzy się od tych niedźwiedzi specjalnie nie różnią, tacy są dzicy i nieokrzesani. Na śniadanie wódka i słonina, potem na obiad śnieg i wódka, a na kolację słonina i kwarta gorzałki dla odmiany.

– Nie pleć bzdur. Maciej tylko żartował sobie z chłopaków i opowiadał im androny – Cecylia ją zgromiła. – Jednak i mnie nie uśmiecha się wyjazd na Wołyń i małżeństwo z jakimś Iwanem. Z drugiej strony zostaje nam klasztor, nie wiem już, co gorsze...

– Wierzę, że wydarzy się cud. – Frania spojrzała w niebo z nadzieją. – Nadjedzie nadobny rycerz na białym rumaku, by wydobyć nas z opresji, sama zobaczysz.

Cecylia się uśmiechnęła i pokręciła głową. Obawiała się, że jeśli już coś nadjedzie, to morderca, który zabił ich rodziców, by dokończyć dzieła i zgładzić resztę rodziny. Nie chciała jednak takim gadaniem niepotrzebnie straszyc siostry, więc tylko westchnęła.

Potem usiadły razem z damami przy jednym stoliku i wszystkie zjadły lody z pucharków, kręczone na miejscu w specjalnych maszynkach przez kilku cukierników. Popiły orszadą, słodkim mlecznym napojem z rozartymi migdałami. Każdej od takiej dawki słodkości zrobiło się przyjemnie, szczególnie że słońce złożyło się w pierwszych pożółkłych liściach i ogrody oraz widoczne stąd pałace Warszawy wyglądały pięknie i dostojnie. Siedziały zatem w pięć, niewiasty w różnym wieku, i uśmiechając się do siebie, rozkoszowały się

spokojem. Cecylia z trudem panowała nad smutkiem, była bowiem świadoma, że to być może jedna z ostatnich chwil, jakie spędzają w błogiej beztróscie.

Deszcz bębnił w szyby i dudnił o dach, krople spływały po szkle niczym łzy, rozmazując widok na ogród za pałacem, który tak lubiła Frania. Na poddaszu pałacu zrobiło się nieprzyjemnie chłodno, bo w pokoiku dziewcząt nie było żadnego pieca, nawet ciepły komin nie przechodził w pobliżu. Izba zrobiła się przez to miejscem, które opuszczały bez większego żalu. Cecylia włożyła do ich podróznego kufru, który zabrały z rodzinnego domu, ostatnie ubrania wyjęte z szafy, na wierzch położyła kilka chusteczek, które dostały w pożegnalnym prezencie od Teresy. Każda okolona była koronką, w rogu opatrzona herbem rodziny Chodkiewiczów, gryfem z mieczami, hrabina je poperfumowała – miały zatem zastosowanie raczej dekoracyjne niż użytkowe. Ot, pożegnalny prezent od wielkiej damy, mało praktyczny, ale ładny.

Cecylia zamknęła kufer i usiadła na nim, po czym poklepała wieko, robiąc miejsce dla siostry.

– Usiądźmy przed podróżą – powiedziała.

Za kwadrans lub dwa, w zależności od tego, jak szybko Anna będzie łaskawa się zebrać, miały razem z nią opuścić Warszawę. Wyglądało na to, że nigdy już do stolicy nie wrócą, resztę życia spędzą w najlepszym razie na Wołyniu. Chyba że wyjdą za mąż za rosyjskich oficerów, na co się zanosilo, i wylądują gdzieś jeszcze dalej, hen na wschodzie, może nawet za górami Uralu i nieskończonymi stepami, gdzie nie sięga cywilizacja, a ludzie żyją w jurtach jak przed tysiącami lat. Uznały jednak, że lepsze to niż klasztorna cela i reszta życia za zimnymi murami.

Wstały po chwili, jedna chwyciła za rączkę kufru z jednej strony, druga z drugiej i wspólnie zniosły swój majątek na dół, po schodach i dalej do tylnego wyjścia z pałacu, przeznaczonego dla służby. Znalazły się na podwórzu, na którym czekała rychtowana do drogi karetą, załadowana już kuframi Anny. Sama sroga generałowa też tu stała, ubrana w pelerynę z kapturem chroniącą przed siąpiącym deszczem. Rozmawiała właśnie z dwoma mężczyznami, roslymi i posepnymi. Jeden, o twarzy oszpeconej bliznami po ospie i szramą przecinającą policzek, ubrany był w ciężki redingot, sięgający ziemi płaszcz z kołnierzem opadającym na ramiona. Na głowie nosił trójrożny kapelusz, taki,

jakie modne były na zachodzie Europy. Drugi, stojący dwa kroki za nim, widocznie mniej ważny, wyglądał równie drapieżnie, nosił skórzany kubrak, szmacianą czapkę i szablę u pasa. Miał połamany wielokrotnie nos i jeszcze więcej szram na gębie niż pierwszy jegomość. Obaj sprawiali wrażenie srogich zabijaków, ale Anna nie była zaniepokojona ich obecnością, właściwie ostro ich przesłuchiwała.

– Oto i one – powiedziała, widząc siostry. – Podejdźcie no śmiało. Poznajecie tego człowieka? – Wskazała na draba w trikornie.

Siostry spojrzały na siebie, po czym przecząco pokręciły głowami. Drab spojrział na nie z góry i skinął im głową na powitanie, a potem uśmiechnął się krzywo i paskudnie.

– Ignacy Sobolewski jestem. Nie możecie mnie rozpoznać, bo nigdy się nie widzieliśmy. Jestem waszym stryjem – powiedział głosem nieco chropowatym. – Niezwykle, jesteście tak od siebie różne, a mimo to obie podobne do Marii... Lubiłem waszą matkę, kiedyś, dawno temu.

– Stryj Ignacy? Ojciec ciepło was wspominał – Cecylia skłamała, bo ojciec wspomniął brata zaledwie kilka razy, i to nie ukrywając niechęci, a nawet wrogości.

Obie pamiętały, że stryj został uznany za zakałą rodziny, był utracjuszem i awanturnikiem, wечно skłóconym zarówno z dziadkiem, jak i z bratem. Znikł lata temu po jakiejś upiornej kłótni, w której groził śmiercią całej rodzinie. Wyruszył w świat w poszukiwaniu bogactwa i sławy, po czym wszelki śluch o nim zaginął. Dziadek ponoć oficjalnie go wydziedziczył i zakazał po śmierci grzebać go w rodzinnym grobowcu.

– Jeśli zamierza waść je zabrać, muszę dostać jakiś dokument potwierdzający waszmościa tożsamość i prawa – Anna powiedziała kategorycznie. – Nie mogę oddać pańien w ręce nieznanego, który się pojawia znikąd i tak po prostu podaje za ich krewnego!

– Pusty, podaj mi torbę. – Ignacy skinął na służę.

Pusty sięgnął do przewieszzonej przez plecy sakwy i wydobyl z niej jakieś papiery. Siostry przyglądały się poczynaniom przybyszy ciągle mocno zdumione. Trudno było uwierzyć w to, co się działo. Stryj pojawił się jak spod ziemi i nagle ich życie znów robiło fikołka. I to miał być ten rycerz na białym rumaku, w którego przybycie wierzyła Frania? Nie sprawiał wrażenia miłego i przyjaznego, w niczym nie był podobny do ojca, może lepiej byłoby zostać

z Anną? Co prawda generałowa Sanguszkowa chyba niezbyt je lubiła i była surowa oraz apodyktyczna, ale kto wie, co za los czekał je u boku stryja, awanturnika i brutala?

Ignacy wręczył dokumenty Annie. Wynikało z nich, że jest, a właściwie był kapitanem Pierwszej Legii Polskiej we Włoszech. Dokument był zwolnieniem ze służby z potwierdzeniem stopnia wojskowego oraz nadania broni honorowej za zasługi na polu boju. Jako że o legionistach w kraju krążyły coraz bardziej zdumiewające legendy, tych, którzy już wrócili, traktowano jak bohaterów narodowych. Stryj automatycznie zatem zyskał w oczach Anny, ktoś taki musiał być człowiekiem honoru, godnym szacunku i uznania. Oddała mu dokument, po czym skinęła na dziewczęta.

– Na co czekacie? Przywitajcie się ze stryjem – powiedziała tonem chłodnym jak zwykle. – Wygląda na to, że nie pojedziecie ze mną. Macie bliskiego krewnego, który się wami zajmie. Bierzcie kufer i cóż... miło was było poznać. Do widzenia i szczęść Boże!

Zakręciła się na pięcie i wsiadła do karety, jej służący zamknął za nią drzwiczki i wskoczył na tył pojazdu. Ani się obejrzały, a kareta odjechała. Pusty chwycił ich kufer i zarzucił sobie na plecy, zginając się przy tym wpeł. Nie dane im było ani pożegnać się z Anną, ani z kasztelanową Lanckorońską, bo drzwi pałacu też się zamknęły. Nikt nie był zainteresowany tym, co dzieje się w deszczu. Ignacy machnął na nie ponaglająco, uśmiech znikł z jego twarzy, jakby nigdy go tam nie było.

– Idziemy – zakomenderował krótko. – Opowiadajcie, co zaszło. Słyszałem tylko, że mój brat i Maria zostali ubici na gościńcu, a później zabrano wam dom i okradziono. Jak w ogóle do czegoś takiego doszło? No, mówcie, mamy kawałek do przejścia, to akurat zdążycie wszystko mi eskapitować.

Opuścili teren pałacu boczną bramą i przeszli przez błotnistą uliczkę, po czym znaleźli się na Nowym Świecie. Pusty szedł za nimi, mamrocząc z niezadowolaniem i wplatając w to mamrotanie przekleństwa w kilku językach. Stryj nie zwracał na niego uwagi, słuchał opowieści dziewcząt, które mówiły na zmianę.

– Przez pięć tygodni policja nic nie zrobiła – podsumował krótko. – Nie dziwota, Prusaki ledwie trzymają miasto w garści. Połowa garnizonu to polscy rekruci, którzy dezertują przy byle okazji. Ostatnio ponoć pijana młódź rozbroiła i związała pruski patrol i nawet sprawców tej napaści nie udało się

złapać, to co tu mówić o szukaniu złodziei okradających innych Polaków? Nie uda się nikomu wytropić plenipotentą Grabowskiego, bo nikt go nie szuka. Nie ma co liczyć na to, że ktoś będzie próbował ustalić, co za zbroje zabili Krzyśka i Marię. Ech, kraj bezprawia i porubstwa... Przynajmniej została wam ziemia po ojcu, lasy, tartak, kilka wsi i dwór na wsi, co?

Cecylia pokręciła głową.

– Do czasu osiągnięcia przez nas dojrzałości i wyjścia za mąż wszystkie te nieruchomości znajdują się pod opieką naszych dwóch sąsiadów, Żółkowskiego i Magiery. To była wola ojca, bardzo im ufał, przyjaźnił się i prowadził wspólne interesy. Żyliśmy z sąsiadami w sporej zażyłości...

– Ale nie na tyle wielkiej, by przyjęli was dwie pod dach – stryj zauważył z przekąsem. – Krzyś zawsze był naiwny i tępy jak cielę. Nie wiem, co Maria w nim widziała. Tych dwóch manipulowało nim i pewnie doiło forszę, kiedy się dało. Uznali, że pozbyli się was, że skapiejecie w jakim przytułku lub klasztorze i cała ta ziemia przejdzie w ich łapy. Niedoczekanie – warknął, zaciskając pięści. – Niestety nie mogę tak po prostu przejąć majątku jako wasz prawny opiekun, zostałem wydziedziczony i w zasadzie formalnie nie jestem członkiem rodziny, nie ma mnie w testamentach ani dziadkowych, ani Krzyśkowych. Przekłętę durnie o zakutych łbach! Gdyby nie byli tak krótkowzroczni, tak zacofani, tak małostkowi, mielibyśmy się gdzie podziać. Wasz dziadek nie zdawał sobie sprawy, że mszcząc się na mnie, przy okazji skrzywdzi też własne wnuczki. Ot, przewrotność losu.

– Phi tam! – Pusty po raz pierwszy się odezwał. – Przewrotność losu to była, kiedy kapral Kowalik na nas doniósł do generała, spodziewając się nagrody i pochwały, ale nie zdążył nawet wrócić do obozu, bo się potknął, spadł z muru i roztrzaskał sobie głowę. A mówią, że Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

– W tamtym wypadku, jak i w każdym innym, sprawiedliwości należało pomóc – Ignacy stwierdził obojętnym tonem. – Pomożemy jej i tutaj. Sprawiedliwość spotka zatem zarówno plenipotentą Grabowskiego, jak i ichmościów Żółkowskiego oraz Magierę. Wszystko w stosownym czasie i przy sprzyjających okolicznościach. A teraz, panienki, opowiedzcie mi wszystko jeszcze raz dokładnie i ze szczegółami. Lubię słuchać ciekawych historii po wielekroć, bo zawsze można wydobyć z nich kolejną eksperyjencję lub nieuchwycony za pierwszym razem niuans.

Cecylia zaczęła zatem opowiadać po raz kolejny to, co pamiętała, Frania natomiast rozglądała się wokół, szli bowiem na południe, w kierunku Ujazdowa.

– Gdzie stryj właściwie mieszka? Dokąd idziemy? – przerwała siostrze i odezwała się niepytana, choć generałowa wpajała im, że to wielka niegrzeczność.

– Zatrzymałem się u jednej znajomej – odparł Ignacy. – Znajdzie się u niej miejsce i dla was, choć po prawdzie, kiedy wróciłem do kraju, nie planowałem urządzania sobie takiej kompanii. Dwa podlotki nieco mi będą zawadzały, ale coś poradzimy. Muszę jeno oszacować, do czego się właściwie nadajecie, do czego można was użyć...

– Użyć? Jakże można używać młodych niewiast? Co też stryj ma na myśli? – Frania zmarszczyła brwi.

Pusty zarechotał, ale nic nie powiedział, bo Ignacy spiorunował go wzrokiem. Skręcili w dół, w kierunku Wisły, a właściwie Powiśla, dzielnicy zamieszkałej przez rybaków, flisaków, pilarzy i piaskarzy, składającej się w większej części z chłopskich chałup i niewielkich gospodarstw. Znajdowały się tu też składy drewna, ale ostatnimi czasy opustoszałe. Zeszli w dół błotnistą uliczką, obok której płynął wartko strumień, a właściwie rynsztok wypełniony deszczówką, która spływając do Wisły, przy okazji zabierała z miasta nieczystości.

– Nie trzeba by się fatygować, by nieść trupa do rzeki – stwierdził zdyszany i coraz bardziej ugięty pod ciężarem Pusty, który omal nie zjechał po błocie wprost do wody. – Wystarczy cisnąć do rynsztoka, a woda sama go poniesie, z dała od ludzkich oczu, i nakarmi nim ryby...

– I raki! – dodała Frania, biorąc tę wypowiedź za żart. – W Warszawie bardzo lubią raki, a w rzece ich pełno. Maciej, dawny lokaj taty, opowiadał nam, że raki wyjadają z rzeki wszystkie nieczystości, głównie martwe stworzenia. Od tamtej pory ich nie tknęłam, choć u kasztelanowej podawali je dwa razy w tygodniu. Jak sobie pomyślę, czym te raki wcześniej się żywiły, odechciewa mi się w ogóle jeść.

Pusty zarechotał po raz kolejny, po czym splunął do rynsztoka.

– Taka już jest natura, panienko. Ścierwojady zjadają trupy, a my, cywilizowane ludzie chrześcijańskie, zjadamy ścierwojady. Nasze gównno zaś zjadają muchy, które są zjadane przez ptaki, które łapią koty, a je zjadają psy,

które ostatecznie zdychają, a ich trupy zjadają ścierwojady i koło się zamyka. To jest właśnie wielka tajemnica stworzenia, wszystko krąży w zamkniętym kole śmierci i życia, zjadamy się nawzajem i trzeba się z tym pogodzić...

– Już jesteśmy – Ignacy odezwał się, ignorując filozofię i życiowe prawdy swego kompana.

Weszli przez otwartą furtkę na błotniste podwórko, na którym brodziły trzy świniaki i kilka zmokniętych kur. Przed nimi wznosił się dwór z bali, w dodatku z piętrem, duży i dwuskrzydłowy. Od razu widać było, że to karczma lub zajazd, i to solidnych rozmiarów. Nad gankiem wisiał szyld przedstawiający potwora z ogonem, szponami, rozwianymi blond włosami i dużym, obnażonym biustem.

– Pod Piękną Syreną – wyjaśnił Pusty i z ulgą zsunął kufer z pleców, po czym z jęknięciem się wyprostował. – W słonecznej Italii mówiliśmy na taki przybytek bellissimo bordello! Prócz jadła i gorzałki oferowane są tu specjalne usługi dla panów.

Cecylia stanęła jak wryta. Frania jeszcze niczego nie rozumiała, nawet nie słyszała o takich miejscach, ale jej siostrze obilo się co nieco o uszy. Usłyszała o czymś takim od podkuchennych w pałacu i wcale się jej te opowieści nie podobały.

– Już chyba lepiej niech stryj odstawi nas do klasztoru – powiedziała. – Moja noga nie postanie w zamtuzie.

– W czym? – spytała Frania.

Ignacy złapał zbuntowaną bratanicę za ramię i ścisnął tak mocno, że jęknęła z bólu. Przyciągnął ją do siebie, musiała unieść się na palcach, bo szarpnął ją w górę. Patrzyła teraz w jego twarz z bardzo bliska, czuła jego oddech, kwaśny i zalatujący przetrawionym alkoholem. Najgorsze były jednak oczy Ignacego, jasne i lodowato zimne, pozbawione wszelkich emocji, współczucia lub choćby odrobiny ciepła. To były oczy mordercy. Już wiedziała, czemu ojciec nie mógł znieść brata i czemu dziadek się go wyrzekł. Stryj był potworem.

– Będziesz robiła, co ci powiem – oznajmił ochryplym głosem. – Z entuzjazmem, bez dyskusji i migiem. Tak jak żołnierz wykonuje rozkazy, nawet te, które zmuszają go do maszerowania na pewną śmierć. Jeśli powiem, że masz się rzucić w ogień, zrobisz to z ochotą. Nauczę was drygu, zobaczycie. Dam wam musztrę, której nie zapomnicie do końca życia. Lekcje zaczniemy natychmiast.

Po czym pchnął ją z taką siłą, że poleciała prosto w kałużę, plusnęła w błoto z impetem, aż przerażone świnie rozbiegły się z kwikiem.

Rozdział 2

JESIEŃ 1800 ROKU

Zofia Kabała była tylko nic nieznaczącą, niepozorną żoną właściciela karczmy, któremu, rzecz jasna, pomagała w prowadzeniu przybytku. W dodatku drugą żoną, pierwsza zmarła w pòłogu, zaraz po urodzeniu martwego synka. Kabała czuł się samotnie i podle, w przyplýwie smutku i poczucia beznadziei zaproponował óżenek jednej z posługaczek, które zatrudniał do pomocy w kuchni. Wybrał Zosię, najbrzydszą, chudą i z haczykowanym nosem, ale za to robotną i energiczną. W przeciągu kolejnych dziesięciu lat Zocha nie przytyła nawet odrobine, choć nie musiała już tak ciężko harować za psi grosz. Zrobiła się jeszcze brzydsza, ale Kabała był zadowolony, bo zdjęła z jego barków sporo odpowiedzialności i trudów przy prowadzeniu interesu. Mógł poświęcić więcej czasu na picie miodu i piwa, przez co przesypiał większość dni, od czego zrobił się gruby jak beka i leniwy jak stary niedźwiedź. Nawet nie zauważył, kiedy jego zajazd z wyszynkiem zamienił się w zamtuz, Zocha bowiem najęła kilka dziewcząt, które pracowały w pokojach na piętrze, od zmierzchu do świtu zapewniając gościom pełną obsługę. Tylko kiedy tęgo sobie popił, robił żonie wyrzuty i oskarżał ją o bezbożne praktyki i sianie zgorszenia, ale milkł, bo w odpowiedzi wskazywała na księgę rachunkową. Syrena z podupadającego zajazdu, świecącego zwykle pustkami, zmieniła się w całkiem przyzwoicie prosperujący zakład, zarabiający wystarczająco brzęczącej monety, by przetrwać, i to nawet w czasie wojennego kryzysu i powszechnej biedy.

Z prawdziwym zadowoleniem przyjęła pod dach kapitana Sobolewskiego i jego niewielką kompanię, wyludnienie miasta i pruska okupacja mimo wszystko odbijały się nieco na interesach i ruch był ostatnio znacznie mniejszy niż zazwyczaj. Zgodnie z poleceniem kapitana, podczas jego nieobecności, bo Sobolewski ciągle znikał na mieście, trzymała pieczę nad jego bratanicami.

– Jesteście w czepkach urodzone, moje panny. – Zofia stanęła nad klęczącymi siostrami Sobolewskimi.

Dziewczęta na czworaka szorowały wysypaną piaskiem drewnianą podłogę zajazdu. Kiedy ta stanie się już bielutka, będą musiały usunąć piasek co do

ziarenka, osuszyć dechy i wysypać je świeżymi trocinami, które będą wchłaniały splunięcia i płyny wylane oraz wymiotowane przez klientelę. Trwał jeszcze ranek, najlepsza pora, by posprzątać lokal i przygotować go do kolejnego owocnego wieczoru.

– Jakże to w czepkach? – spytała Frania i przerwała pracę, by spojrzeć na swoje zaróżowione, coraz bardziej zniszczone dłonie. – Jesteśmy szlachcianki, a musimy harować jak zwykle wieśniaczki.

Obie ubrane były w zgrzebne kiecki z szarego płótna, pozbawione ozdób koszule i fartuchy. Na głowach zawiązane miały chustki i rzeczywiście wyglądały jak zwykle posługaczki ze wsi. Ignacy przekazał je pod komendę Zofii już dwa tygodnie temu, w dodatku zalecił, by w razie niechęci do pracy ta nie żałowała różgi.

– Stryj się wami zajął, myśli o waszej przyszłości. A robota wam nie zaszkodzi, poza tym to cenna lekcja, która pozbawi was pychy i durnej szlacheckiej dumy. Niby dlaczego uważacie się za lepsze od moich dziewcząt? – Zocha oparła ręce o biodra. – Boście się urodziły w rodzinie herbowej? Cóż to znaczy? Jak się okazuje, niewiele, zresztą w oczach Boga i tak wszyscy jesteśmy równi. Poza tym cieszcie się, że stryj kazał, byście pracowały na kolanach, a nie leżąc na plecach.

– A jakże można pracować, leżąc na plecach? – Frania parsknęła.

– Choćby tak, jak co wieczór pracują Mariola, Krysia, Nasturcja i Józia – odparła Zocha, wymieniając imiona swoich dziwek, które o tej porze jeszcze spały.

– Szybciej bym nas obie zabiła, niż dopuściła do czegoś takiego – Cecylia oznajmiła, prostując plecy i patrząc wyzywająco na burdelmamę. – Pytasz, czemu czujemy się lepsze? Bo w przeciwieństwie do was, ludzi z gminu, wolałybyśmy śmierć od podobnego upokorzenia i życia w hańbie.

Zofia przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się bez cienia sympatii.

– Bajdurzysz. Tylko ci się tak wydaje, a to dlatego, że nigdy nie zaznałaś prawdziwego głodu, zimna, strachu. Żeby ocalić życie, napelnić żołądek i mieć kawałek miejsca do spania, ludzie gotowi są na bardzo wiele. Pokażę ci, że nie ma takiego upokorzenia, którego nie dałoby się znieść – odparła Zosia.

Uderzyła bez ostrzeżenia, na odlew, wierzchem dłoni. Trzasnęło głucho, trafiona mocno i precyzyjnie Cecylia poleciała na podłogę. Złapała się za twarz, z rozharantego policzka płynęła jej krew. Zocha na palcu nosiła pierścionek

z kamieniem i to właśnie on skaleczył dziewczynę. Frania krzyknęła i objęła siostrę, jakby chciała ją zasłonić własnym ciałem przed kolejnymi ciosami. Pani Kabała tylko parsknęła śmiechem.

– Nie rozczulajcie się za bardzo nad sobą. Tego też pora się nauczyć – powiedziała. – Pokażę wam, że świat ma za nic wasze łzy i cierpienia. To też może być cenna lekcja, za którą mi jeszcze dziękujecie. A teraz wracajcie do roboty. Nie chcę widzieć żadnych plam z krwi na podłodze, bo będziecie drapać drewno pazurami, by je usunąć. Kiedy skończycie i posypiecie podłogę trocinami, zameldujcie mi o tym, a ja dam wam nowe zadanie.

Cecylia jakimś cudem powstrzymała się przed płaczem, zacisnęła zęby, otarła rękawem policzek.

– To tylko zadrapanie – szepnęła do siostry. – Nic mi nie będzie.

– Nic dziś nie jadłyśmy – powiedziała głośno do odwracającej się Zochy.

– Zjecie, kiedy dziewczęta się obudzą – burdelmama rzuciła przez ramię. – O ile wam coś zostawią...

Odeszła, śmiejąc się cicho. Nie czuła do panienek specjalnej niechęci. Nie lubiła ich oczywiście, bo były lalami z dobrego domu, zadzierającymi nosa i rozpieszczonymi, ale nie zamierzała się nad nimi znęcać z tego powodu. Tylko odrobinę przytrze im noski, poza tym traktowała je dokładnie tak samo, jak ją traktowano, kiedy była w ich wieku.

W niedzielę kapitan Sobolewski odpoczywał i zamiast załatwiać jakieś podejrzanе interesy w mieście oraz poza nim, siedział w głównej sali karczmy i od rana raczył się piwem, pałac fajkę. Nie robił tego bynajmniej sam, towarzyszył mu Pusty, który po kilku głębszych zaczynał grać na mandolinie, instrumencie, który przywiózł z Italii, gdzie ponoć cieszył się szczególną popularnością. Dzień wcześniej do kapitana dołączyło dwóch osobników, równie paskudnych i podejrzanych jak on sam, i teraz wszyscy rozparli się wygodnie przy kominku i rozmawiali oraz popijali, ciesząc się leniwą niedzielą.

Pierwszy kazał się zwać Giovanni Girattini, nosił się po cudzoziemsku, miał cienkie wąsiki ufryzowane pomadą w ostre szpice, rapier u pasa, a na kołku powiesił kapelusz z szerokim rondem i imponującym pękiem piór. Mówił po polsku, choć z obcym akcentem, ogłosił też od razu dziwkom, że pochodzi z Mediolanu i w swoim rodzinnym mieście nigdy nie widział tak pięknych

niewiast jak one. Drugim przybyszem był łysy jak kolano otyły jegomość ubrany na czarno, którego kapitan przedstawił Zofii jako księdza Baltazara Obucha. Ksiądz uśmiechał się szeroko i pierwsze, co zrobił, kiedy się rozsiadł, była próba posadzenia sobie Frani na kolanach. Dziewczęta bowiem miały przykazane obsługiwać biesiadników, donosząc im napitki i jadło. Dziewczynka wyrwała się jednak z jego pulchnych rąk i uciekła do kuchni, nie ukrywając przerażenia.

– Kzywdy by ten grubas ci nie srobił, przeca nie ma nawet za co cię jesce ślapać – powiedziała Mariola, najmniej urodziwa z dziewcząt Zochy, w dodatku pozbawiona zębów, przez co mówiła niewyraźnie.

Uzębienia ponoć pozbawili ją za pomocą szczypiec dranie nasłani przez konkurencję, ale trudno było uwierzyć w to, że chciałoby im się wrywać zęby jakiejś ladacznicy, zamiast po prostu pociąć jej buźkę nożem lub pacnąć ją pałką w głowę i wrzucić do rzeki. Cecylia podejrzewała, że Mariola po prostu straciła uzębienie przez brak dbałości o higienę i tyle. Tak czy inaczej, przez ten ubytek nierządnicę twarz miała zapadniętą i jakby przedwcześnie postarzałą, do tego śmiesznie mówiła, ale mimo to cieszyła się gronem stałych klientów zadowolonych z jej usług. Twierdziła, że dzięki brakowi uzębienia potrafi im zrobić coś, czego inne dziwki nie potrafiły. Frania była bardzo ciekawa, co to takiego, ale kiedy usłyszała szczegóły, ze zgrozy nie mogła spać przez pół nocy.

Pozostałe trzy damy kameliowe, jak czasem pieszczotliwie mówiono w mieście na prostytutki, nie chowały się w kuchni jak Mariolka, tylko dotrzymywały towarzystwa kapitanowi i jego gościom. Zamiast Frani na kolanach księdza Obucha usadowiła się Nasturcja, dziewczucha z gminu, zawsze ubrana w kieckę z głębokim, rozchełstany dekoltem, w dodatku za krótką, bo kończącą się za kolanami. Nigdy nie zakładała butów, wszędzie latała boso, nawet teraz, a nadszedł już listopad i od podłóg w karczmie ciągnęło zimnem. Twierdziła, że skoro pracuje głównie w łóżku, nie będzie ciągle sznurowała i rozsznurowywała botków, bo przecież w łóżku w obuwiu położyć się nie sposób. Nasturcja poza tym była żywiołowa, zupełnie nieokrzesana i niemal cały czas pijana. Uwiesiła się księdzu na szyi i podsunęła mu swój biust niemal pod same oczy. Ten przyjął to z zadowoleniem i natychmiast zapomniał o młodziutkiej posługaczce Frani.

Obok brzdąkającego na mandolinie Pustego usiadła ze skromnie złączonymi kolanami Józia. Ta jawnogrzesznica od razu wyciągnęła skądś robótkę, czyli motek wełny i druty, po czym zaczęła coś dziergać, w zasadzie ignorując

pozostałych zebranych. Urody nijakiej, z nieruchomą, pozbawioną emocji twarzą, zdawała się wtapiać w cień. Nie przyciągała niczyjej uwagi, była niczym siedząca w kącie mysz. Z natury cicha i zupełnie pozbawiona entuzjazmu nie cieszyła się wielkim powodzeniem wśród klientów, niektórych bardzo drażniło, że w trakcie pracy potrafiła się rozpląkać i w zasadzie zawsze pozostawała smutna i jakby nieobecna. W kuchni mówiło się, że Zocha trzyma ją z litości, Józia bowiem straciła jakiś czas temu w zarazie całą rodzinę i została bez środków do życia. Przynajmniej w łóżku zachowywała się tak, jakby już na niczym jej nie zależało, dzięki temu klienci mogli z nią robić, co tylko chcieli, nawet bić i używać w najbardziej wyuzdany sposób, wszystko przyjmowała ze stoickim spokojem i obojętnością.

Prawdziwą gwiazdą Syreny, jaśniejącą za wszystkie koleżanki, była Krysia, autentyczna i nieudawana piękność o twarzy anioła, złotych loczkach i wielkich niebieskich oczach. Kiedy wkraczała do salonu, wszystkie spojrzenia musiały się skierować na nią, tyle roztaczała blasku. To ona odpowiadała za sukces finansowy karczmy, przyciągała bowiem grono wielbicieli, którzy przychodzili choćby po to, by sobie na nią popatrzeć. Namawiała ich na kupno wódki i piwa, nakręcała zatem swoją urodą dodatkowe obroty. Cieszyła się przez to szczególnie względami szefostwa, szczególnie pana Kabały, który lubił złapać ją za tyłek, oczywiście tylko kiedy Zochy nie było w pobliżu.

Dzień mijał ospale, w tytoniowym dymie i oparach alkoholu. Ignacy siedział ponury i milczący, ze wzrokiem wbitym w okno, po którego szybach spływał listopadowy deszcz. Kapitan miał tendencję do popadania w melancholijny nastrój po alkoholu, zamykał się wówczas w sobie, lepiej było go nie drażnić i zostawić w spokoju, bo mógł się stać agresywny, o tym wiedziało już całe towarzystwo. Pusty przygrywał jego smutkowi, wydobywając z mandoliny najbardziej rzewne nuty. Giovanni pokazywał sztuczki karciane rozbawionej, ciągle siedzącej na kolanach Obucha Nasturcji. Cecylia dostała od Zochy płonąca łożówkę i zadanie, by zapalić wszystkie świece i lampy, bo nadeszła już szarówka i w karczmie robiło się ciemno i niepotrzebnie ponuro. Frania zaś zajęła się zebraniem misek, w których goście zjedli potrawkę, oraz przetarciem stołów. Jeszcze nie pojawili się dziś inni klienci, ale bywalcy mieli zwyczaj przychodzić dopiero wieczorem.

Krysia wkroczyła do salonu jako ostatnia, kiedy towarzystwo zdążyło się już porządnie spać i jeszcze solidniej wynudzić. Weszła niczym królowa do sali tronowej, ubrana w suknię zadziwiająco skromną, ale i elegancką, która nie

pasowała ani do podłego burdelu, ani do zwykłej ladacznicy. Może właśnie przez to podkreślała walory Krystyny i czyniła ją naprawdę kuszącą, tak czy inaczej, wszystkie oczy zwróciły się na nią. Kroczyła pomiędzy stołami, uśmiechając się szeroko, w lewym ręku trzymała uniesioną okoloną koronką chusteczkę, którą unosiła do twarzy w zalotnym geście. Na szyi skrzył się jej sznur prawdziwych pereł. Na ten widok Cecylia zamarła z uniesioną świeczką, Frania z impetem odstawiła miski na stół i wymierzyła palec w ladacznicę.

– Ma na sobie sukienkę Cecylii! I sznur pereł po naszej mamie, nawet chusteczkę nam ukradła, to jedna z tych podarowanych przez generałową Sanguszkę! – wypaliła głośno. – Zdejmuj to natychmiast, złodziejko!

Zocha aż wyrzała z kuchni, a za nią jej wyrwany z drzemki mąż.

– Miarkuj się, mała – Kryśka odparła wyniośle. – Tylko sobie pożyczyłam, kufer zostawiłyście otwarty i niestrzeżony, to czegoście się spodziewały? Że nikt do niego nie zajrzy? Naiwne, głupiutkie gąski...

– Proszę natychmiast zwrócić te rzeczy. To cenne pamiątki po najbliższych, jeszcze z czasów, kiedy... Żyłyśmy normalnie, szczęśliwe i beztrudnie. – Cecylia podeszła do niej, właściwie blokując drogę do środka salonu. – Ponadto nie życzę sobie, by grzebano w naszych rzeczach i brano je bez pytania.

– Ona sobie nie życzy, słyszeliście? Znalazła się jaśniepani, co cały dzień na kolanach szoruje podłogę. – Krycha parsknęła śmiechem. – To ja tu jestem królową, a ty zwykłym smrodem, czymś, co znaczy tyle, o...

Po czym wysmarkała się w chusteczkę głośno i przeciągle, a następnie cisnęła ją w twarz panny Sobolewskiej. Cecylia przyjęła tę zniewagę ze stoickim spokojem, wręcz wyniosłą obojętnością.

– Mam jeszcze jedną – oznajmiła Krycha obserwującej jej poczynania widowni. – Zabrałam wszystkie, mnie się bardziej przydadzą.

Wyciągnęła z rękawa kolejną chusteczkę i otarła nią sobie usta. Postępowała krok za krokiem w kierunku Cecylii, piękna, silna i pewna siebie kobieta. Dziewczyna patrzyła na nią z rosnącą złością. Kryśka rzeczywiście była piękna, ale tylko z zewnątrz, w środku musiała ją wypełniać wyłącznie śmierdząca zgnilizna. Pchnęła Cecylię w pierś, omal ją przewracając.

– Wracaj do roboty, kuchto – warknęła. – I następnym razem nie odzywaj się do mnie niepytana, bo oberwiesz tak, że popamiętasz...

Zapomniała o obecności Frani, która zaszła ją od tyłu i nagle skoczyła jej na plecy. Wpiła się rękoma w złote loczki i jednocześnie objęła Krychę nogami

w pasie.

– Zabiję cię, ty wywłoko! – wrzasnęła piskliwie. – Skalałaś pamięć o naszej mamie, zakładając jej perły. Zdechniesz marnie w męczarniach, zobaczysz!

Krysia zakłęta tak szpetnie, że aż karczmarz Kabała złapał się za głowę i rozejrzał, czy nie słyszą tego inni goście, bo mogliby poczuć się zgorzzeni. Goście jednak obserwowali sytuację z fascynacją, wreszcie coś zaczęło się dziać i nudny dzień nabrał barw. Ksiądz Obuch aż się poderwał, zrzucając z kolan Nasturcję, która ciężko pacnęła na podłogę. Kapitan siedział nieruchomo z fajką uniesioną do ust i zdawałoby się, że patrzył na rozwój sytuacji bez emocji.

Zaatakowana próbowała sięgnąć za plecy do Frani, która mocno i boleśnie szarpała ją za włosy. Zaczęła się kręcić w kółko, klęta przy tym jak szewc i obiecywała małej straszliwą zemstę. Cecylia obserwowала te zmagania przez chwilę, po czym z rozmachem kopnęła Krychę w kolano. Tak się składało, że miała na nogach drewniaki, wydzielone im przez Zochę do roboty, cios był zatem niezwykle dotkliwy. Krycha zawyla i runęła na podłogę, przygniatając sobą Franię. Cecylia wymierzyła leżącej kolejnego kopniaka, tym razem w biodro, co wykorzyststała Frania, by się wywinąć, przeturlać i poderwać na równe nogi. Krysia wyła coraz głośniejsze, pluła i złorzeczyła. Nie wyglądała już tak pięknie, jej twarz zrobiła się czerwona ze złości i bólu. Siostry złapały się za ręce i stojąc ramię w ramię, czekały, aż przeciwniczka się podniesie, by wspólnie odeprzeć jej atak.

– Cisza! – Ignacy niespodziewanie huknął pięścią w stół. – Przestań się drzeć, głupia kurwo! Łeb mi pęka od twoich wrzasków. Daj mi natychmiast te perły. No, już!

Krysia umilkła w jednej chwili, wołała nie prowokować dużego draba z bliznami na gębie, bo nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć. Posłusznie wstała, zdjęła sznur klejnotów z szyi i rzuciła go kapitanowi, który złapał je w locie lewą ręką. Spojrzał spode łba na dziwkę i wskazał jej drzwi.

– Przebierz się i oddaj kieckę dziewczynkom – rozkazał. – A teraz zejdz mi z oczu. A wy podejdźcie no bliżej. To zatem perły, które należały do Marii, czy tak?

Obie pokiwały głowami. Frania zaczęła pociągać nosem, gniew ją opuścił i teraz zaczynała się trząść z nerwów, nie panowała też nad wzbierającymi łzami. Cecylia patrzyła na stryja bez strachu, była zdecydowana przyjąć każdą karę, niezależnie jak bardzo złośliwą i niesprawiedliwą by wymyślił. Poznała go

już na tyle, że wiedziała, iż ich obu nienawidzi. Być może mścił się na nich za krzywdy, jakich doznał ze strony ich nieżyjącego ojca. Zaciśnęła zatem zęby, szykując się na razy i wyzwiska. Ignacy wstał od stołu, przez chwilę górował nad sierotami, wielki i zły, po czym włożył Cecylii perły do ręki.

– Pilnuj ich, są naprawdę cenne – powiedział. – Zatem potraficie pokazać pazurki, co? Już myślałem, że jesteście rozmemłanymi kluchami, jakimi był mój brat. Glut bez kręgosłupa i jajec... Zdaje się jednak, że macie tę samą ikrę, którą miała Maria. To zmienia postać rzeczy. Chcecie zatem mi pomóc i odzyskać rodzinny dom? Czy wolicie wrócić do pokornej pracy na kolanach?

– Jesteśmy gotowe na wszelkie poświęcenia, będziemy walczyły o swoje, stryju – Cecylia powiedziała zdecydowanie.

Ignacy wykrzywił usta w paskudnym, złym uśmiechu. Sięgnął po odłożoną fajkę i wetknął ją w usta.

– Widziałeś to, Pusty? Co o tym myślisz?

– Wyborny materiał, jest w czym robić, z czego ulepić coś wspaniałego. Potrzebują tylko dobrej ręki, która ukształtuje je, jak być powinno – odparł ordynans kapitana z legionowych czasów. – Mam się nimi zająć?

– Taaa. – Ignacy pokiwał głową i usiadł na swoim miejscu. – Od jutra waszym dowodzącym będzie Pusty, zaczniecie się uczyć pod jego kierunkiem. Koniec z szorowaniem podłóg i garów. Nie będziecie żadnymi kuchtami, przynajmniej spróbujemy coś z wami zrobić, ale jaki będzie tego rezultat, jeszcze zobaczymy...

Następnego ranka obudziły się jak zwykle o świcie, choć tym razem ani Zocha, ani żadna z innych posługaczek ich nie wołała i nie goniła do roboty. Do ich pokoju, który tak samo jak ten w pałacu Sanguszków znajdował się na poddaszu, zastukał za to Pusty. Sprawiał wrażenie skacowanego i niewyspanego, zionęło od niego strawioną gorzałą, a gębę miał nieogoloną. Stawił się jednak z zawiniątkiem pod pachą, które z westchnieniem rzucił na łóżko Cecylii. Jak się okazało, były to dwie pary spodni i dwie pary sznurowanych botków.

– Tak se pomyślałem, że w kieckach nie da się porządnie musztrować ani ćwiczyć – powiedział. – Włosy zwiążcie chustkami, załóżcie wygodne kubraki, żadnych babskich szmatek ani świecidełek. I migiem, widzimy się w kuchni!

Siostry pierwszy raz w życiu zakładały spodnie, nic dziwnego zatem, że czyniły to z pewnymi oporami. Nie wiadomo, skąd je Pusty wziął, ale z pewnością były używane. Te mniejsze, dla Frani, miały nawet łąty na kolanach. Jedne i drugie wyposażono w troki i wpleciony w nie sznurek, dzięki czemu dziewczęta mogły przynajmniej zawiązać je i chodzić bez obawy, że spodnie im pospadają, jedne i drugie były bowiem nieco za duże. Podwinęły nogawki i szczerze rozbawione własnym wyglądem zbiegły po schodach na dół. W kuchni zastały Mariolkę, która lubiła tam przesiadywać, oraz siedzącego nad kubkiem kawy Pustego.

– O, młode wojacki ubrały się, jakby miały wymaserować wprost do kosar – powiedziała Mariola – albo od rasu na wojnę. Siadajcie, odgsałam dla was wcorajszą kasę ze skwarkami.

– Bóg zapłać, kochana Mariolu – Cecylia powiedziała z wdzięcznością.

Tylko ta spośród dziwek z karczmy okazywała im serce, w dodatku całkiem bezinteresownie. Frania jednak na widok miski z kaszą skrzywiła się i pokręciła głową.

– Jedz, mała – nakazał Pusty. – Kiedy dają, trzeba brać. Żołnierz pożywia się wtedy, kiedy jest okazja, i tym, co mu się nawinie. Nigdy nie wiadomo, czy przez resztę dnia będzie czym napełnić żołądek... Ech, bywało, że przez kilka dni z rzędu niczego się nie jadało. Uśmiech na twarz, łyżka w dłoń i naprzód!

– Śniadanie to najwasmniejszy posiłek dnia – Mariola dodała. – Jedz, bo opadniesz z sił i nici będą z nauk Pustego.

– Dziękuję, mości Pusty, i tobie Mariolko za troskę, ale co dzień jemy tu kaszę, i to na wszystkie posiłki. – Frania westchnęła. – Nie mogę już na nią patrzeć.

– Wojna jest, cies się, ze w ogóle coś dają – Mariola podsunęła jej miskę z parującą zawartością.

– I nie mówcie mi mości Pusty ani panie Pusty. Od dziś jestem dla was kapralem. – Pusty dopił kawę, po czym zaczął nabijać fajeczkę.

Frانيا przemogła się i by nie robić wszystkim przykrości, zjadła swoją porcję, choć wyraźnie przełknięcie każdego kęsa przychodziło jej z trudem. Mariola opowiedziała im w tym czasie, że musiały porządnie napsuć krwi Kryśce, bo ta przez resztę wczorajszego dnia była wściekła jak osa, a w nocy łąziła i spać nie mogła, aż nad ranem zaczęła wymiotować, z pewnością z nerwów i złości.

- Widać z tej nienawiści jad się jej zebrał w trzewiach – kapral Pusty stwierdził z przekonaniem. – Złościcy obu płci potrafią się okrutnie rozchorować, a nawet dostać wrzodów na żołądku od hamowanego i tłumionego gniewu. Złość najzdrowiej jest z siebie wyrzucić i nie chować jej na później, bo nigdy nic dobrego z tego nie wynika.

Pusty poczuł się po kawie lepiej i od tego zrobił się nawet gadatliwy. Tłumaczył dziewczętom, że weźmie je w dryg wojskowy i wyszkoli w tym, co sam umie, a tak się złożyło, że cała jego wiedza skupiała się właśnie na kwestiach wojskowych i niczego ponad to im do głów nie wbije, choćby nawet chciał. Kiedy wyszli przed karczmę, zaczął zatem od podstawowej, koniecznej w szkoleniu musztry, czyli pokazał pannom kroki wojskowe, osobiście je zademonstrował, jednocześnie krzycząc do siebie kolejne komendy.

- Krok zwyczajny, zgodnie z regulaminem kościuszkowskim, liczy dwadzieścia siedem cali, czyli o tyle – wyjaśnił, zamierając w rozkroku. – Żołnierze na komendę: krokiem zwyczajnym naprzód marsz, idą w ten sposób w tempie osiemdziesięciu kroków na minutę.

- Ojej, strasznie szybko trzeba przebierać nogami – zauważyła Frania, po czym wsadziła ręce do kieszeni gestem podpatrzonym u uliczników. – Nie wiem, czy dam radę.

Kapral kazał im stanąć obok siebie ramię w ramię i zakomenderował, by maszerowały razem z nim, głośno przy tym liczył im kroki, nadając rytm. Frania już w połowie podwórka pośliznęła się na błocie i nie wywróciła tylko dlatego, że siostra w porę ją złapała.

- Może jakiś inny krok, kapralu? – spytała Cecylia.

- Podwójny. – Pusty zatarł ręce. – Tak samo, ale tempo stu dwudziestu kroków na minutę. Naprzód marsz! Raz, dwa, raz, dwa!

Błoto bryzgało na boki, a panny błyskawicznie nabrały rumieńców i chłód listopadowego poranka szybko zmienił się w gorąco listopadowego poranka, szczególnie że kapral przegonił je po podwórku tam i z powrotem kilka razy.

- Ja już chyba wolę szorować podłogi – Frania oświadczyła, zginając się wpool, by złapać oddech.

Przed karczmę wyszła Nasturcja, oczywiście boso, i nic sobie nie robiąc z błota, weszła w nie aż po kostki. Wzrok miała mętny, a włosy rozczochrane, jakby dopiero co zwlokła się z barłogu, zresztą zgodnie z prawdą. Poza tym chwiała się lekko, ewidentnie jeszcze trochę pijana.

- Hej, dzierlatki! Ja myślała, że jesteście jakimi kawalierami! Pasują wam te portki.

- Może dołączy panna do naszej kolumny marszowej? - Frania spytała, wykorzystując dopiero co poznane słownictwo.

- Ni ma tematu! Jakbym założyła portki, to jakże bym rozłożyła nogi w robocie? W kiecce przynajmniej wygodnie, ciach i klient ma, za co zapłacił. - To mówiąc, schyliła się, złapała za brzegi sukienki i uniosła ją w górę, prezentując swoje walory.

Zdaje się, że zapomniała, iż nie ma majątek, lub zrobiła to celowo, i zademonstrowała całemu światu swoją obnażoną kobiecość. Pusty pokręcił głową i mruknął coś o deprawowaniu młodzieży przez głupie kurwy, obie panny zaś skromnie odwróciły wzrok, nieco zszokowane. Wiedziały już jednak, że ladacznice są zupełnie pozbawione skromności i wszelkich oporów. Nasłuchały się już z ich ust tyle bezceństw, przekleństw i prawd życiowych prosto z rynsztoka, że ta demonstracja nawet niespecjalnie nimi wstrząsnęła. Pusty uznał jednak, że trenować się na poważnie w takich warunkach nie da, nie zamierzał się też użerać z nierządnicami, zarządził zatem wymarsz.

- Skoroście się zgrzały, to pójdziemy krokiem małym. Tempo jak w kroku zwykłym, tyle że długość ma wynosić dwanaście cali.

Pusty zabrał jeszcze ze sobą wypchany worek, który zarzucił na ramię. Nadał krok, a panny szły za nim gęsiego, starając się stawiać kroki tak samo, w równym tempie.

- Kaprału, proszę o pozwolenie zadania pytania - Cecylia nagle się odezwała.

- Zezwalam.

- Na cóż nam umiejętność wojskowego maszerowania? Czy nie ma to zastosowania jedynie, kiedy jest się piechurem walczącym w kolumnie złożonej z dziesiątków takich samych chwatów? - Cecylia starała się nie wyjść na przemądrzałą, ale już mówiąc, zrozumiała, że chyba jej nie wychodziło.

- Zaiste wnikliwe pytanie, rekrutko! Fundamentalna sprawa, którą powinniście czym prędzej pojąć, to że rozkazów przełożonego się nie kwestionuje i nie podaje jego słów w wątpliwość. Żołnierz ma obowiązek bez chwili wahania i zastanowienia wykonać polecenie dowódcy. To ważna część życia wojaka. Może nawet najważniejsza - stwierdził Pusty i pokiwał głową z zadumą. - Jeśli mówię, że trzeba maszerować, to trzeba. Czyżby marsz

krokiem małym wam się znudził? No to się gotuj do biegu! Druuużyna, za mną biegiem marsz!

I wystartował przed siebie, chlupiąc buciorami w błocie. Siostrze nie pozostało nic innego, jak ruszyć jego śladem. Pusty biegł truchtem, niezbyt spieszenie, pokonali tak kilka błotnistych uliczek, ciągle kierując się w stronę rzeki. Następnie poprowadził je wzdłuż Wisły. Obie szybko zaczęły ciężko dyszeć, ale żadna nie śmiała przystanąć. Twarze im się zaczerwieniły, na czołach zaczął perlić się pot, zaś Pusty nawet przez chwilę nie okazywał zmęczenia, sadził kroki bez najmniejszego wysiłku. Cecylia zacisnęła pięści, zmuszając się do kolejnych ruchów, choć miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi, że już nie daje rady pompować krwi do nóg, które zrobiły się ciężkie, jakby były z ołowiu. W końcu Franja potknęła się i przewróciła na mokry piach. Przypadkiem mijali akurat chałupę, przed którą siedziało dwóch chłopaków latających sieć, zapewne synów wiślanego rybaka. Obaj na widok przewracającej się panny wybuchnęli śmiechem. Pusty zatrzymał się i spojrzał na nich srogo.

– Coś was bawi? – spytał ostro. – Opowiedzcie, razem się pośmiejemy!

Sama postawa i poharatana gęba kaprała z masą blizn robiła piorunujące wrażenie. Jego zaczepny ton zmroził młodzieńcom krew w żyłach, skulili się obaj i opuścili głowy, nagle pilnie zajęci siecią. Pusty złapał Franię za kubrak na karku i jednym ruchem postawił na równe nogi.

– Tuszę, że się rekrutki rozgrzały porządnie, krew zaczęła wam zwawiej krążyć w żyłach i to jest dobry moment, byśmy przeszli do kolejnej lekcji – powiedział, otrzepując dziewczynę z piachu. – Tyle że przejdziemy bliżej rzeki, bo tu chamstwo może nam zawadzać.

Siostry, ciągle ciężko dysząc, ruszyły za kapralem, na szczęście już po paru chwilach zeszi na biały wiślany piasek i się zatrzymali. Przed nimi rzeka płynęła wartko w dal, wokół otaczały ich poźółkle na jesień szuwały, na wodzie nie widać było żadnego ruchu, ani jednej łodzi. Pusty wyciągnął z wora trzy lekko zagięte kije, zakończone rękojeściami z rzemiennymi pętami, zwanymi temblakami.

– Wiecie, co to takiego? – spytał, rzucając Cecylii jeden z kijów.

Dziewczyna pozwoliła, by kij spadł na ziemię, dopiero po tym się po niego schyliła i wsunęła rękę w pętlę.

- To palcaty - powiedziała. - Chłopcy z sąsiedztwa ćwiczyli nimi na łące i strasznie się przed nami popisywali, okładając się tymi kijami po głowach.

- To staropolski zwyczaj... - kaprał przytaknął.

- Pranie się kijami po łbach? - spytała Frania z niewinną miną.

- A jużci. Ale konkretnie to ćwiczenie szermierki za pomocą drewnianych atrap szabli, zwanych właśnie palcatami. Tak ćwiczyli nasi dziadowie i ich dziadowie, to starożytna tradycja. Każdy mężczyzna w tym kraju powinien umieć robić szabłą, każdy żołnierz musi mieć opanowaną walkę tą bronią. To nasze dziedzictwo, powinność i honor. Nauczycie się szermierki, i to tak, że każda z zamkniętymi oczami przetnie w locie komara. Już ja tego dopilnuję...

- Ale po co nam, na litość boską, taka umiejętność? - Cecylia poruszyła nadgarstkiem, a kij w jej rękę ożył i świsnął w powietrzu. - Nie to, że kwestionuję waści rozkazy, kaprału... Nawet mi się to podoba.

- Stryj życzy sobie, byśmy zrobili z was naprawdę silne i samodzielne kobiety. - Pusty machnął kilka razy swoim kijem, ze świstem tnąc powietrze. - Szermierka może się wam przydać, kto wie, czy nie przyjdzie się bronić przed napaścią? Może jakby wasz świętej pamięci ojciec często ćwiczył, do dziś by żył, a ziemię gryźliby zbójcy, którzy was napadli? A jeśli ta sztuka się wam nie przyda, to i tak wiele was nauczy: doskonałego wyczucia równowagi, kocięj zręczności, zwiewności i skoczności, co poprawi kształt waszych figur, a ruchy uczyni bardziej ponętnymi. Przydać się to może zarówno w dworskim tańcu, jak i w walce. Kształcenie własnego ciała to ważna część szkolenia, szczególnie kadry oficerskiej. Wy zaś, jako szlacheckie córki, powinnyście aspirować właśnie do szarzy.

Frania zaczęła machać swoim kijem i z pasją natarła nim na szuwary, aż Pusty musiał przywołać ją do porządku. Znow zaczął naukę od zera, czyli od kroków, te bowiem w szermierce były bardzo ważne. Dziewczęta zatem dreptały po piasku, zadając w powietrzu podstawowe cięcia wyimaginowanym przeciwnikom, po czym cofały się, stosując zasłony przed ich atakami. Pusty demonstrował im kolejne cięcia, zwody, uniki i podstępne lub zwodnicze uderzenia, radośnie przełamując ich zasłony i nabijając kolejne siniaki. Trening był nie tyle wymagający, ile morderczy, bo Pusty nie dość, że nie oszczędzał panienek, to zdawał się bawić i cieszyć ich bólem i zmęczeniem. Prał je po zadkach, uderzał w uda i łydki, ale też prasnął Franię palcatem w bok głowy,

a Cecylię pchnął w żołądek, tak że usiadła na ziemi i zwymiotowała to, co zostało ze śniadania.

Nie wróciły na obiad, kapral zarządził odbój i zmianę destynacji ich drużyny bojowej dopiero po południu, kiedy zaczęło naprawdę nieprzyjemnie lać. Dziewczęta wróciły do Syreny krokiem małym, potykając się i sycząc z bólu. Nigdy w życiu nie były tak zmęczone i poturbowane, każda zarobiła po dwa tuziny siniaków i krwiaków, miały odciski na dłoniach i pięty poobcierane od maszerowania. Poza tym cała trójka była przemoczona i straszliwie głodna.

Zocha je ofukała, by nie narobiły plam z wody oraz błota, i kazała usiąść w kuchni przy piecu i się osuszyć. Miały nie zbliżać się do głównej sali, by nie przeszkadzać klienteli, bo dziś przybyło kilku jegomościów spragnionych gorzałki i wdzięków ladacznic. Pusty sam napełnił dla dziewcząt miski potrawą z gara, a była nią po raz kolejny kasza ze skwarkami. Frania tym razem nawet nie mrugnęła, zabrała się do pałaszowania, jakby nigdy wcześniej nie jadła nic lepszego.

Jadły tak w milczeniu, gdy nagle do kuchni weszła zapłakana i zasmarkana Józia. Nikogo jej stan specjalnie nie zaskoczył, bo smutna dziwka miała tendencję do płaczu, szczególnie kiedy przypomniała sobie o zmarłych bliskich. Tym razem jednak Zocha podeszła do niej i położyła obie ręce na jej ramionach.

– Co się dzieje?! – spytała ostro.

– Nie żyje – Józia powiedziała i otarła nos rękawem. – Krysia właśnie zmarła, skonała na moich rękach.

Frania upuściła łyżkę z wrażenia, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Zocha zakłęta cicho i oburącz potarła twarz. Zmarła jej najważniejsza pracownica, która przyciągała większość klienteli. Szefowa zamtuza odetchnęła głęboko i niespodziewanie spojrzała ostro na siostry.

– To przez was – wycedziła. – Wpędziłyście ją do grobu. Nie wiem, w jaki sposób, jakich czarów użyłyście, ale wiem, że to wy!

Ignacy wszedł do pokoju, gdzie leżało ciało zmarłej, i rozejrzał się, marszcząc nos. Kwaśny zapach wymiocin i śmierci unosił się w ciemnym pomieszczeniu niczym w wojskowym lazarecie po bitwie. Kapitan podszedł do okna i odsunął zasłonę, wpuszczając nieco światła. W tej samej chwili do pomieszczenia wkroczył chudy, łysy mężczyzna o pociągłej twarzy i w okularach na nosie. Na

nim zapachy i widok zmarłej nie zrobiły najmniejszego wrażenia, zdjął torbę z ramienia i wyciągnął z niej skórzane rękawiczki, które starannie założył na ręce.

Doktor Ritter był pruskim medykiem z garnizonu, poza tym szpiegiem, jak wielu Prusaków przebywających w mieście. Wiadome też było, że uczestniczył w przesłuchaniach więźniów trzymany w dawnej Prochowni i pomagał wydobywać z nich zeznania. Był zatem wyjątkową kanalią na służbie wrogiemu Polakom imperium, ale to Ignacemu w tej chwili zupełnie nie przeszkadzało. Wynajął go bowiem w celach wyłącznie naukowych, ponoć wiedza medyczna tego plugawego chirurga była ogromna i tylko to teraz się liczyło. Odsunął zatem zasłonę z kolejnego okna i podszedł do Ritтера, pochylonego nad martwą Krysią. Ten właśnie otworzył jej usta i zaglądał do środka przez szkło powiększające wyciągnięte z kieszeni. Złapał palcami za język zmarłej i obejrzał go, mamrocząc coś pod nosem. Następnie obejrzał jej dłonie, dokładnie obmacał brzuch i zajrzał chyba we wszystkie otwory ciała, aż Ignacy zaczął się niecierpliwić, bo te oględziny niepotrzebnie się przeciągały, jakby doktor napawał się obcowaniem z trupem.

– Kobieta w pełnym rozkwicie, brak poważnych ran, śladów chorób lub kalectwa – oznajmił doktor po polsku, wymawiając jedynie „r” twardo i z niemiecka. – Powiedziałbym, że w pełni zdrowa, ponadto, co zaskakujące jak na prostytutkę, żadnych zmian syfilitycznych. Jeśli waść z nią obcował cielesnie, nie musi się obawiać...

– Nie obcowałem – Ignacy odparł. – Na co zmarła?

– Skoro tu jestem, to podejrzewasz waść ingerencję człowieka w jej przedwczesne odejście, mam rację? – Doktor spojrział na niego przez szkła upiornie od nich wielkimi oczami. – I zapewne masz rację, objawy wskazują na zatrucie. Gwałtowne osłabienie, wymioty, biegunka, do tego rany w jamie ustnej i gardle. Te ostatnie najbardziej znaczące, bo wskazują po prostu na arszenik.

Kapitan pokiwał głową.

– Da radę ją otworzyć i sprawdzić, czym ją otruto? Co takiego zjadła?

– Zgodnie z zeznaniami dziwki, która się nią opiekowała, wymioty i biegunka z pewnością doskonale ją przeczyszczyły przed śmiercią. Jej żołądek i jelita są zupełnie puste, mogą nosić rany spowodowane przez truciznę, ale nie oszacuję na ich podstawie, co takiego spożyła. Poza tym trutka nie musiała być

przyjęta doustnie, proszę spojrzeć na jej dłonie, na końcówki palców. – Ujął rękę zmarłej, ale Ignacy nie pochylił się, by ją z bliska oglądać. – Zaczerniony naskórek, jak od poparzeń chemicznych. Podobnie zaczerwienione okolice ust i nosa, jak od podrażnień. Większość trucizn przenika doskonale przez skórę, nawet przy krótkim kontakcie, to dlatego do badania założyłem rękawiczki...

Ignacy odsunął się od zmarłej. Jej ciało nadal mogło być pokryte niewidocznym arsenikiem i przez to groźne dla wszystkich, którzy jej dotykają.

– Chusteczki! – syknął. – Suknia dziewcząt, może nawet biżuteria... Doktorze, czy można pokryć chustki arsenikiem, tak by stały się niebezpieczne dla używającego?

– Nasyciłbym je w stężonym roztworze arsenu, potem wysuszył. Ktoś, kto by ich używał, wszedłby w kontakt z trucizną przez skórę dłoni, a wycierając nos, wprowadzałby ją wprost przez śluzówkę do organizmu.

– Mówisz waść, że były to chusteczki? Niech spojrzę... – Ignacy pochylił się nad zmarłą, by zajrzeć jej do nosa, ale doktor chwycił go za ramię i odciągnął od zwłok.

Przeszli przez karczmę do schodów prowadzących na piętro, po drodze kapitan skinął na Zoche, ciągle pobladała z przejęcia i jakby gniewu.

– Niech dziewczęta nie obmywają zwłok i ich nie przebierają. Niech zawiną w prześcieradło, na którym umarła, i tak włóżcie je do trumny – poleciał.

– Jeszcze czego! – burdelmama warknęła wściekle. – Normalnie ją pochowamy, po wcześniejszych modlitwach nad otwartą trumną. Nie będziesz mi tu rozkazywał w takich sprawach, kapitanie. Poza tym oczekuję, że uregulujecie płatność za swój pobyt i czym prędzej się wyniesiecie. Nie zamierzam trzymać pod dachem wiedźm, które zabiły mi pracownicę. Zabieraj te dwie upioryzce, nie chcę ich tu więcej widzieć!

Ignacy złapał ją za gardło, ścisnął i podniósł w górę tak, że stała na palcach, rozpaczliwie łapiąc oddech.

– Miarkuj się, nie zapominaj, komu obrażasz rodzinę. Moje bratanice nie zabiły twojej kurwy, sama się zabiła, bo ukradła z ich rzeczy zatrute chustki. Gdyby trzymała łapy przy sobie, nic by jej nie było.

Puścił ją, a właściwie pchnął na ścianę, tak że uderzyła o nią głową, aż zadudniło. Osunęła się na podłogę, masując się po obolałej krtani i łapiąc spazmatycznie powietrze. Ignacy z doktorem, na którym ta scena nie wywarła najmniejszego wrażenia, weszli na górę i wkroczyli bez pukania do pokoju

sierot. Panny Sobolewskie właśnie się przebierały z mokrych ciuchów i obie były jedynie w halkach.

– Stryju! – Cecylia się oburzyła.

– Bez hysterii, jestem doktorem – powiedział Ritter. – Widziałem już wiele młodych kobiet bez odzienia, najczęściej martwych... To ta skrzynia? Odsuńcie się.

Otworzył kufer podróżny i zaczął kolejno wyjmować ułożone w nim ubrania. Tarł materiał palcami i patrzył na czarną skórę rękawiczki, czy nie kruszą się na nią drobinki i kryształki trucizny. Ignacy w kilku słowach wytłumaczył dziewczętom, o co chodzi i że to kontrola dla ich bezpieczeństwa. Obie, oburzone, zażądały wydania sukienek, po czym wybiegły się przebrać. Spotkali się we czwórkę po jakimś kwadransie w kuchni, okazało się, że doktor nie znalazł śladów trucizny w ich strojach, choć obejrzał, obwąchał, a nawet polizał niemal wszystko, szczególnie bieliznę.

– To przez bezpośredni kontakt, jaki ta ma z ciałem – wyjaśnił. – Jeśli ktoś próbowałby dokonać zabójstwa w ten sposób, zatrucie bielizny byłoby najbardziej skuteczne. Okazało się jednak, że wasze majtki są zupełnie bezpieczne.

– Uch! – Frania warknęła rozeźlona.

Drażnił i brzydził ją ten Prusak, był jakiś śliski i odrażający, do tego śmierdział krwią i chemikaliami. Gdyby spróbował jej dotknąć, chybaby zaczęła wrzeszczeć, kopać i gryźć. Na szczęście Ritter cofnął się pod ścianę, złożył ręce na piersiach i zastygł niczym pająk w pajęczynie.

– Gdzie są chustki, które odebrałyście Kryśce? – spytał Ignacy.

– Tu w misce z wodą. Wrzuciłam je tam jeszcze wczoraj, by się namoczyły, rankiem zmieniłam wodę, by wypłukały się paskudztwa, które Krysia wysmarkała z nosa – Cecylia sięgnęła do drewnianej miski. – Miałam je dziś uprać, ale kapral nie dał nam chwili wytchnienia.

Doktor spojrział i pokręcił głową.

– Mógłbym zbadać wodę na obecność arsenu, ale skoro panna wypłukała chustki po całej nocy, to nic już nie znajdę. Przyznać jednakowoż trzeba, że to mogły być narzędzia zbrodni. Ktoś nasączył je arsenikiem i starannie wysuszył. Pył mógł się wydawać pudrem, szczególnie jeśli chustki skropiono wonnościami. Tego już jednak nie sprawdzimy, nikomu też winy udowodnić się nie da, używając ich jako dowodu.

Ignacy spojrzął na dziewczęta pytająco.

– To był prezent pożegnalny od hrabiny Teresy Chodkiewiczowej – powiedziała Cecylia, ale dopiero po tym, gdy usiadła z westchnieniem. Nadal wszystko ją bolało, każdy mięsień.

– Żona warszawskiego naukowca, chemika, który założył pierwsze laboratorium w Warszawie – doktor Ritter powiedział znacząco. – Wizytowałem je razem z majorem gwardii w ramach kontroli lotnej. Zacny zbiór instrumentów chemicznych i substancji zgromadził ten młody ambitny człowiek. Ciekawe, czy osobiście przygotował chusteczki, czy zrobiła to jego żona?

– Ale po co? – Frania się zdziwiła. – Wszak niczym jej nie zawiniłyśmy. Podarowała nam je na pamiątkę, kiedyśmy opuszczały Warszawę. Zawsze była dla nas miła, zabierała nas na lody i orszadę...

– Może pierwotnie chusteczki nie miały być prezentem? Może sama je dostała od mężusia, o którym się gada, że jest rogaczem jak się patrzy – stwierdził Ignacy. – Wsadziła je do torebki, a kiedy was żegnała, postanowiła coś podarować i te chustki były pierwszym, co się jej nawinęło? Hrabia chciał dyskretnie otruć niewierną żonę? To by miało sens...

Doktor Ritter pokiwał głową.

– Ilu ludzi, tyle motywacji. Wszystko możliwe. Niech to nas skłoni do zadumy nad kruchością ludzkiego żywota, a przede wszystkim nad siłą przypadku i splotów okoliczności. – Doktor wyciągnął chustki z miski, wyjął je dokładnie, po czym otworzył drzwiczki kuchenne pieca i cisnął do paleniska. – Dla bezpieczeństwa lepiej to zniszczyć. A teraz wybaczenie państwo, mam jeszcze dyżur w areszcie śledczym...

Stanął przed Ignacym, a ten położył mu na dłoni kilka srebrnych monet. Doktor znikł niczym zły duch, bez zbędnych pożegnań i komentarzy. Nie interesowało go, co też kapitan zrobi ze zdobytą wiedzą, nie zamierzał też powiadamiać o sprawie policji miejskiej, która nie była w stanie zapanować nawet nad ochroną ulic w okolicach siedzib władz, ani pruskiego wojska, które miało poważne problemy z dezercjami i dopilnowaniem własnych żołnierzy. Srebro w zupełności i skutecznie wyprało pamięć doktora.

– I co teraz, stryju? – Frania spytała rozgorączkowana. – Musimy pędem gnać do pani Teresy i ostrzec ją, że mąż próbuje ją zabić!

- Trzeba powiadomić władze, padła przecież jedna niewinna ofiara - dodała Cecylia. - Niewiele brakowało, a my byśmy nimi były.

Kapitan Sobolewski podrapał się po brodzie i machnął ręką w geście zniecierpliwienia.

- Przestańcie obie gadać. Nigdzie nikt nie będzie gnał i nikogo powiadamiał. Ani mi w głowie wywoływać skandale obyczajowe i oskarżać jakiegoś hrabiego o otrucie zwykłej dziwki. Stało się, cóż, wypadek. Wywoływanie podobnych awantur to stawianie się w świetle, kierowanie na siebie uwagi i produkowanie niepotrzebnych wrogów. Musicie wiedzieć, że nie życzę sobie, by o mnie rozmawiano, w ogóle by ktoś wiedział o moim powrocie i pobycie w Warszawie. Wy też musicie zniknąć, nie zapominajcie, że wasz ojciec miał potężnych wrogów. To, co się dzieje, może nie być przypadkiem, musimy być ostrożni. Stąpamy po cienkim lodzie i głupotą byłoby podskakiwać, nawet nie wiedząc, kim jest przeciwnik.

- Ale jeśli to zostawimy, pani Teresa może umrzeć, i to w koszmarny sposób - Cecylia zauważyła z obawą.

Ignacy z zadumą pokiwał głową.

- Tak. I myślę, że mogę wziąć na siebie to ryzyko. Moje sumienie jest już tak mocno obciążone, że dodatkowy grzech mu niestraszny. A teraz usiądźcie i ochłońcie. Pomyślcie, czy chcecie odzyskać rodzinny majątek, czy w imię wydumanego miłosierdzia zaryzykować życie nas wszystkich i skończyć tak jak Krysia? Odpowiedź mnie nie interesuje, ja tu rządzę i już postanowiłem. Zostaniecie w karczmie i nikomu nic nie powiecie, jasne? - Dla podkreślenia wagi słów złapał Cecylię za ramię i przyciągnął do siebie.

Znów znalazła się twarzą w twarz ze stryjem. Jego uścisk bolał, szczególnie że dłoń zacisnęła się na posiniaczonym ramieniu. Frania uczepliła się jego ręki i zaczęła prosić, by puścił siostrę i ich nie krzywdził. Pchnął je obie, aż klapnęły na podłogę.

- Nie krzywdził? - prychnął. - Przecież się o was troszczę. I to bardziej, niż troszczył się mój głupi brat.

Odwrocił się na pięcie i wyszedł z kuchni, zostawiając je osłupiałe.

Rozdział 3

LUTY 1801 ROKU

W farze Świętego Bartłomieja w Płocku kończyła się właśnie niedzielna msza, kiedy Wojtek Grabowski szturchnął swego starszego brata Klemensa łokciem w bok. Stali obaj nieco z tyłu, przy samej ścianie świątyni, gdzie nie interesowały się nimi wścibskie oczy wiernych dam, zawsze czujnie obserwujących, czy młodzież aktywnie uczestniczy w mszy i modli się wystarczająco żarliwie. Chłopcy mogli dzięki temu spokojnie sobie ziewać, a nawet szeptem rozmawiać i jakoś znieść te cztery kwadranse przeraźliwej nudy. Żaden z nich nie był bowiem z natury religijny i chodzili na msze jedynie dlatego, że tak trzeba. Od kiedy zaś ojciec został kancelistą w magistracie płockim, na msze musiała chodzić cała rodzina. Matka była zbyt słaba, by ruszać się z mieszkania, które dostali w pięknym, gotyckim ratuszu miejskim. Biedaczkę powoli, ale nieubłaganie trawiła śmiertelna choroba i coraz częściej ich rodzicielka spędzała całe dnie w łóżku. Ojciec pozostawał w pełni sił, wchodził do kościoła jako jeden z pierwszych wiernych, po czym zasiadał w ławach przeznaczonych dla znamienitych obywateli. Modlił się zatem na samym widoku, skromnie siedząc obok ośmiu rajców miejskich stanowiących razem z burmistrzem władze Płocka. Oczywiście jeśli nie liczyć administracji Kamery Wojny i Domen, czyli lokalnego organu pruskich władz zaborczych, które stopniowo przejmowały coraz większy zasięg władztwa nad prowincją, odsuwając Polaków. Oni jednak na msze katolickie nie chodzili. Prusacy modlili się w kościele odebranych dominikanom i przekształconym w zbór ewangelicki.

– Czego się wierzisz, bęcwale? – Klemens spojrzął z góry na sporo niższego brata.

– Popatrz tylko, kto tam stoi. Widzisz te dwie? Toć to panny Sobolewskie – Wojciech odparł z przejęciem.

– Nie może być. – Klemens zmarszczył brwi. – Skąd tu one?

– Może po śmierci rodziców zamieszkały u rodziny, gdzieś w pobliżu? Chodź, ukłonimy się im!

– Pst! – syknęła z boku starsza wiekiem dama w czepcu budce tak głębokim, że nie widać było jej twarzy. – Milczeć i modlić się, łobuzy!

Młodzieńcy zamilkli, zamierając w bezruchu. Nie chcieli, by zaraz pół kościoła się na nich patrzyło, bo ojciec by się wściekł i w domu urządził im karczemną awanturę. Ostatnimi czasy zrobił się nerwowy i wybuchał z byle powodu, szczególnie od kiedy zaczął popijać. Wcześniej mu się to nie zdarzało, ale po wyjeździe z Warszawy wyraźnie coś go trapiło i kiedy już wracał z magistratu, od razu racył się szklanicą gorzałki, by opanować drżenie rąk. Alkohol jednak nie tylko go nie uspokajał, ale wprowadzał w minorowy nastrój, w którym Grabowski robił się nad wyraz drażliwy. Zdarzyło mu się już w takim stanie rzucić na synów z pięściami, woleli więcej ojca nie oglądać w podobnym szale i nie znosić jego wrzasków.

Bracia ostrożnie, krok za krokiem, przesunęli się do wyjścia z kościoła. Zerkali przy tym ciekawie na siostry Sobolewskie, stojące w środkowej części świątyni. Obie prezentowały się nadzwyczaj godnie i atrakcyjnie. Ubrane były w skromne, ale eleganckie, bo szyte z najlepszych materii suknie, w stylu polskim, z nieznacznym dekoltem i koronkowymi kołnierkami. Na głowach nosiły czarne welony jako żałobę po rodzicach. Sprawiały wrażenie smutnych i zamyślonych, przez to jeszcze piękniejszych niż zwykle. Wojciech oczywiście upodobał sobie Franię, wiele razy nieśmiało starał się o jej względy, kiedy z ojcem, w czasach, gdy ten był plenipotentem rodziny Sobolewskich, przychodzili z wizytą do dworu na warszawskich Faworach. Wojtek przynosił wesolej i żywej Franciszce owoce kandyzowane, dowiedział się bowiem, że ta szczególnie je lubi. Z kolei Klemens był bardziej powściągliwy i jak zwykle niezbyt wylewny, ale zawsze kiedy było to możliwe, próbował dotrzymywać towarzystwa Cecylii i zabawiać ją rozmową. Strasznie się przy tym męczył, próbował bowiem być jednocześnie niezwykle elokwentny, dowcipny i obojętny zarazem, ale oczywiście nic mu z tego nie wychodziło i zwykle jąkał się, gadając bzdury.

Podczas gdy ojciec składał Sobolewskiemu raporty i omawiał sprawy interesów nad księgą rachunkową, oni zabierali panny na spacer po ogrodzie za dworem, zdarzyło się też, że razem poszli do kościoła, a raz na spacer nad Wisłę. Nie dostrzegano w tym niczego niestosownego, bo byli jeszcze w wieku, kiedy nic poważnego nie mogło się wydarzyć, rodzice zatem nie zwracali uwagi na te zaloty chłopców do panien. Poza tym rodziny pochodziły z różnych stanów, bracia Grabowscy nie mieli wielkich szans u szlachetnie urodzonych

i dobrze uposażonych szlachcianek. Nie przeszkadzało to jednak obu braciom podkochiwać się w ślicznych siostrach i po cichu snuć marzenia o wielkiej z nimi miłości. Ta wszak potrafiła kruszyć najgrubsze lody i burzyć największe mury.

Kiedy msza się skończyła i ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, Grabowscy znaleźli się na zewnątrz jako jedni z pierwszych i stanęli tak, by idący nie zasłonili im przypadkiem panien. Okazało się też, że te szły bez męskiego opiekuna czy choćby starszej matrony, co znacznie ułatwiało im sprawę. Wojciech aż zaczął przestępować z nogi na nogę z niecierpliwości i podniecenia. Po chwili obaj wmieszały się w tłum idący Grodzką, jedyną brukowaną ulicą w Płocku. Ukłonili się obaj, zdjęli czapki i już ich nie założyli, uśmiechali się przy tym zadowoleni, widząc, jakie ich niespodziewane pojawienie się zrobiło wrażenie na pannach. Obie siostry Sobolewskie aż przystanąły i szeroko otworzyły oczy.

– Niech to лихо, Wojtek! – Frania ucieszyła się jak zwykle entuzjastycznie. – Gdzieście się podziewali? Wieki was nie widziałyśmy!

– Nawet na pogrzebie naszych rodziców – Cecylia zauważyła cierpko.

– Panna wybaczy, wielce ubolewam nad tym haniebnym zaniedbaniem. – Klemens ukłonił się jej w stylu polskim, czyli tak głęboko, że niemal pozamiatał zaśnięzony bruk grzywką. – Bóg mi świadkiem, że straszliwie nas dotknęła wieść o tym, co zaszło, i przeżyliśmy ją dotkliwie, jakby to naszych bliskich spotkała ta tragedia. Wiele razy modliliśmy się z bratem, daliśmy też na msze za dusze państwa Sobolewskich... Choć to oczywiście niczego nie zmieni.

Frانيا machnęła ręką, krzywiąc się przy tym.

– Przestańcie prawić o śmierci i robić zbolale miny. Stało się i tak jak powiedział Klemens, nic tego nie zmieni. Nie możemy pozwolić, by to, co zaszło, już na zawsze zamieniło nas w smutnych i pełnych żalu. – Złapała Wojtka za ramiona i ku jego zadowoleniu uścisnęła go serdecznie. – Chodźmy, przy niedzieli pewnie nie macie zajęć. Odprowadzicie nas na kwatery i opowiecie, co słyhać. Skąd się właściwie wzięliście w Płocku? Czemu w takim pośpiechu opuściliście Warszawę, bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia?

– Długo by opowiadać, ale wielkim honorem będzie dla nas odprowadzić panny do domu. – Klemens ukłonił się po raz drugi, o mało nie przewracając się na śliskim bruku, ale panny udały, że niczego nie dostrzegły. – W którą to stronę mamy się kierować?

- Na Wilhelmsplatz, do nowej dzielnicy - powiedziała Cecylia i ruszyła przodem na wschód od Starego Rynku, gdzie Prusacy wytyczyli nowy obszar do zabudowy i gdzie powstały już pierwsze, na razie wyłącznie drewniane domy.

Wojtek spojrzął przez ramię, czy ojciec przypadkiem nie wychodzi z kościoła, ale widocznie został, rozmawiając z rajcami. I całe szczęście, mieli zatem pełną swobodę i nie będą teraz musieli dzielić się z nim wieścią o spotkaniu sióstr Sobolewskich. Z pewnością nowina go poruszy i zechce się z nimi widzieć, ale lepiej powiedzieć mu później, przy okazji byłby pretekst, by spotkać się z pannami po raz kolejny.

- Musieliśmy pilnie wyjechać z Warszawy, bo ojciec dostał nową posadę w Płocku. Miejscowy burmistrz Hans Michael Hasslinger to Bawarczyk, ślepo wierny pruskiej władzy i robiący wszystko, by ją umocnić. Zamknął polskie urzędy, łącznie z sądem, i sprowadza masowo pruskich urzędników. Uznał jednak, że jedną z funkcji w magistracie powinien pełnić polski kancelista, który zostanie sekretarzem miasta, a dzięki znajomości języka i obyczajów miejscowych usprawni sprawowanie władzy nad Polakami.

- To niezwykle awans społeczny. - Cecylia pokiwała głową. - Rozumiem, że ojcu bardzo się spieszyło, bo nie chciał zaprzepaścić takiej okazji?

- Och tak, zwykły mieszczanin i rachmistrz w ziemiańskiej rodzinie nagle staje się kimś ważnym w królewskiej administracji - dodał Wojciech. - Co prawda zajmuje się rugowaniem polskości z tych ziem, ale w zamian czekają go liczne zaszczyty i bogactwo. To uchyli też dotąd nieotwarte drzwi dla jego synów. Liczymy na to, że zezwoli się nam na studiowanie w Berlinie i kiedyś będziemy pełnić liczące się funkcje w administracji lub armii. Zdobędziemy nie tylko fortunę i zaszczyty, ale może nawet dostąpimy nobilitacji? Ojciec bardzo na to liczy, patrz tylko, podarował nam złote sygnety z pustym miejscem na grawer przedstawiający herb. Niby na szczęście i wróżbę rychłego wstąpienia naszej rodziny do stanu szlacheckiego.

Chłopak błysnął dłonią z sygnetem, po czym uśmiechnął się porozumiewawczo do Frani, niemal jakby już proponował jej małżeństwo, a siebie widział jako świeżo upieczonego pruskiego junkra, burmistrza jakiegoś polskiego niegdyś miasta lub nawet regenta albo namiestnika. Dziewczyna jednak nie odpowiedziała uśmiechem, a nawet skrzywiła lekko usta. Pohamowała się w porę przed okazaniem pogardy lub niezadowolenia i zmusiła do uśmiechu, choć zupełnie jej nie wyszedł. Wojtek dostrzegł, że panna ze sobą

walczy, ale wziął to za dobrą monetę, uznał, że jest po prostu zawstydzona, a może wręcz oszołomiona awansem swojego wielbiciela.

- Ty też chcesz zrobić karierę jako pruski urzędnik? - Cecylia spytała Klemensa.

- Wolałbym zostać wojskowym - odparł. - Szkoda, że Polska upadła, ale właściwie armia Prus zapewnia szersze perspektywy. Szczególnie interesująco sprawy się rysują po podpisaniu pokoju w Lunéville, kończącego wojnę francusko-austriacką. Jestem pewien, że Wilhelm wykorzysta to do wzmocnienia armii i naszykowania jej na kolejne podboje.

- Zamierzasz zatem oprzeć karierę na służbie Prusakom i pomaganiu im w kolejnych podbojach oraz budowaniu imperium?

- Trzeba chwycić szanse, tak jak zrobił nasz ojciec - odparł z powagą.

Czym bardziej oddalali się od Grodzkiej, tym uliczki stawały się węższe i mocniej poryte koleinami, zabudowa stała się natomiast całkowicie drewniana. Mijali upchnięte obok siebie drewniane chałupy kryte strzechą. Dotarli tak szybko do resztek muru miejskiego, który właśnie był rozbierany. Prusacy zabrali się nie tylko do likwidacji archaicznych umocnień, kazali zasypać też fosę, a to, co z niej zostało, wymurować, by stworzyć w ten sposób uregulowany kanał. Ewidentnie, od kiedy zajęli ten region Polski, czuli się tu coraz pewniej i czynili inwestycje dla przyszłych pokoleń, powoli porządkując miasto na wzór niemiecki i szykując je na przyjęcie kolonizatorów.

- Od dawna mieszkacie w Płocku? - spytał Klemens po paru chwilach milczenia. - Zajęła się wami jakaś dalsza rodzina?

- Tak, zajęła się - przyznała Cecylia. - W Płocku jesteśmy raptem drugi dzień i chyba nie zabawimy tu długo.

- Mieszkacie gdzieś przy tym nowym placu? - Klemens podał jej dłoń, gdy przechodzili po drewnianej kładce nad rynsztokiem, który rozlał się i zamarzył na ulicy.

- Tutaj, właściwie jesteśmy na miejscu - Frania odparła i wskazała bramę prowadzącą do obejścia jeszcze kawałek od placu Wilhelma, nazwanego tak oczywiście na cześć króla Prus. - Wejdźcie, z łaski swojej. Och, co za szczęście, akurat przyszedł też ksiądz Baltazar. Spowiadaliście się dzisiaj, pewnie nie? No to będziecie mieli okazję.

Gruby i wielki jak niedźwiedź duchowny zaszedł chłopców od tyłu, odcinając im drogę odwrotu. Uśmiechnął się jowialnie, opierając obie ręce na

wielkim brzuszysku. Uniósł je i na powitanie oparł o ramiona zaskoczonych braci Grabowskich.

– Wejdźcie, śmiało. Nikt was tu nie zje – powiedział gromkim, dźwięcznym głosem. – Przynajmniej nie od razu. Pogadać nam trzeba, zwierzyć się musicie, jakby sam Święty Piotr was miał przepytywać u bram raj.

Wepchnął ich przez otwartą bramę na podwórko. Cecylia zamknęła ją za nimi i założyła rygiel. Z nowego, pachnącego jeszcze świeżym drewnem domu wyszedł Ignacy, a za nim kapral Pusty.

– Dobra robota, rekrutki – Pusty pochwalił siostry. – Widziałeś, kapitanie? Załatwiły to ot tak, bez wysiłku i gładko jak po maśle. Będziem mieli jeszcze z naszych panien pociechę, zobaczysz.

Ignacy nie skomentował, patrzył przenikliwie na dwóch wystraszonych chłopaków.

– Synowie zdrajcy i pruskiego sprzedawczyka, a do tego złodzieja, który okradł własnego pana – mruknął.

– Sami też już się zapredali Prusakom – Frania warknęła, odsuwając się od Wojtka jak najdalej. – Niedaleko spada jabłko od jabłoni.

Klemens rozejrzał się nerwowo, jakby w poszukiwaniu ratunku, po czym spojrzał błagalnie na Cecylię. Ta odpowiedziała śmiałym spojrzeniem, pełnym nieukrywanej już złości.

– Dlaczego, Cysiu? – spytał płacząco. – Co wy robicie, na litość boską? Co właściwie chcesz osiągnąć?

– Chcę wiedzieć, kto zabił moich rodziców – powiedziała powoli i dobitnie. – A wasz ojciec może znać odpowiedź.

Maciej Grabowski, od niedawna sekretarz miejski w służbie króla pruskiego, siedział przy biurku i oglądał podpisany przez siebie raport przeznaczony dla burmistrza Hasslingera. Tekst został sporządzony starannie, wykaligrafował go zamasztytymi, ale wyraźnymi literami i właściwie nie było do czego się przyczepić. Wcześniej Grabowski napisał go na brudno i uważnie sprawdził pisownię co trudniejszych słów w leżącej obok opasłej księdze z wytłoczonym szwabachą napisem: *Wörterbuch*. Zdawał sobie sprawę, że jego niemiecki jest jeszcze kulawy, ale starał się nadrabiać rzetelnością i fachowością. W raporcie przedstawił spis majątków należących do zamożnych mieszkańców, których na

szczyćście w liczącym ledwie dwa tysiące ludzi Płocku nie było tak wielu. Burmistrz chciał wiedzieć, na ile może podatkami wydrenować im pugilaresy, by nie poszli z torbami, tylko dalej harowali na rzecz wielkich Prus.

– Nie podoba mi się tylko to. – Popukał palcem we własny podpis.

Chyba nadeszła pora zmienić imię, a może i nazwisko, pomyślał. Grabowski... Jak są „grabie” po niemiecku? *Harke*. Lepiej by wyglądał na tym dokumencie Matthias Harke niż Maciej Grabowski.

Rozmyślenia nad własną germanizacją przerwał mu służący, Marian, który wpakował się do gabinetu bez pukania, w dodatku zdyszany i z zaczerwienioną gębą. Sekretarz pokręcił głową z przyganą, przekonany, że ten jest kompletnie pijany. Pora będzie i sługę zmienić, bo tego przywiózł ze sobą jeszcze z Warszawy, prostaka i chama, który coraz bardziej mu zawadzał swoją polskością i nieokrzesaniem. Lepiej będzie sprowadzić jakiegoś Prusaka, który przy okazji uczyłby chłopców niemieckiego. A właśnie, gdzie są chłopcy? Nie podobało mu się, gdy bez jego pozwolenstwa pałatali się po mieście.

– Jaśnie panie, jakiś jegomość cudzoziemski przyniósł ten pakunek. Kazał galopem nieść go do pana, bo sprawa gardłowa i tyczy się młodych paniczów...

– Sługa w wyciągniętych rękach trzymał zawiniętą w papier paczkę.

Grabowski poczuł ukłucie niepokoju. Sługa nie był pijany, tylko wystraszony, cudzoziemiec musiał napędzić mu stracha i zmusić do gonitwy po schodach, dlatego biedaczyna miał taką czerwoną gębę. Sekretarz wyjął mu z rąk pakunek i szybko rozerwał papier. W środku znajdował się złożony na cztery list i zawiniątko z płótna przesiąknięte krwią. Rozwinął je z rosnącym obrzydzeniem, ale nie mógł się powstrzymać. Ręce zaczęły mu się jednak trząść i na blat biurka spadła zawartość przesyłki – odcięty palec, na którym znajdował się złoty sygnet. Sekretarz przełknął ślinę i podniósł makabryczny przedmiot do oczu. Sygnet był mu znajomy, to jeden z tych pozbawionych herbu, które podarował synom na dobrą wróżbę przyszłej kariery i sukcesów. Palec też rozpoznał, choć po chwili wahania. Ktoś odrąbał go Klemensowi i przesłał ojcu, zapewne z żądaniem okupu.

– Panie, co to? – sługa jęknął.

– Nie dotykaj! – warknął Grabowski. – Muszę pójść do garnizonu i pokazać to kapitanowi... Zaraz, co tu te dranie napisali?

Rozłożył liścik i czytając, czuł, jak rosnące przerażenie odbiera mu władzę w nogach. Usiadł ciężko na krześle za biurkiem i zaczął nerwowo trzeć czoło.

Sługa już trochę ochłonął i spytał, czy ma lecieć po Prusaków, czy może raczej po doktora.

Jakby ten palec można było przyszyć, pomyślał kwaśno Grabowski, a później kazał Marianowi iść precz.

Przyjdź sam i nikomu nic nie mów. Jeśli nie posłuchasz, odbierzesz obu synów w jeszcze mniejszych kawałkach.

Dalej było podane miejsce, w którym miał się stawić. I nic więcej, żadnych żądań ani gróźb, choć tych ostatnich więcej nie było trzeba, odcięty palec w zupełności wystarczył. Sekretarz miejski, aspirujący do zostania pruskim junkrem, miał wrażenie, że powietrze całkiem z niego zeszło. Osunął się z krzesła na podłogę i ukrył twarz w dłoniach, po czym zaczął płakać.

Frania siedziała na łóżku z brodą opartą o złączone kolana i nieruchomym wzrokiem patrzyła w ogień pełgający w kominku. Cecylia chodziła po ich sypialni tam i z powrotem, niczym dzika kotka zamknięta w klatce. Nie mogła spokojnie usiedzieć, trzęsło ją ciągle z odrazy i za nic nie chciało przejść. Wiedziała, że to, co dziś zaszło, zostanie z nią do końca życia. Była tam i wszystko widziała, choćby jak stryj wypycha chłopców do komórki, grożąc im śmiercią zdrajców, bez sądu i z pochówkiem w niepoświęconej ziemi. Później słyszała, jak Ignacy dyskutuje z Obuchem i Girattinim. Mediolańczyk proponował, że swoim rapierem odrąbie głowę jednego z gówniarzy, co skłoni ich ojca do współpracy skuteczniej niż wszelkie inne groźby. Ksiądz Baltazar proponował odcięcie każdemu z nich po uchu, kapitan jednak nie mógł się zdecydować, a wtedy Frania opowiedziała mu o rodowych pierścieniach, które chłopcy dostali od ojca. Można było odesłać te świecidełka na dowód, że młodzi Grabowscy są w rękach porywaczy. Ignacy stwierdził, że to dobry pomysł, po czym kazał Pustemu rozgrzać w palenisku nóż do czerwoności.

– Skąd miałam wiedzieć, że nóż posłuży mi do odcięcia Klemensowi palca?
– Cecylia była zła na siebie, że tego nie powstrzymała. – To niepotrzebne okrucieństwo, wręcz zwykłe barbarzyństwo!

– Nie tak bardzo, bo stryj zrobił to rozpalonym ostrzem, które od razu przyżęgało ranę i obyło się niemal bez krwi – Frania zauważyła racjonalnie. – Jeszcze osobiście opatrzył mu ranę.

Cecylia spojrziała na siostrę ostro. Ta nadal siedziała na łóżku skulona i właściwie nie odrywała spojrzenia od ognia. To było do niej niepodobne, Cecylii zrobiło się przykro, usiadła obok siostry i pogłaskała ją po plecach.

– Też cię to dotknęło? Ta przemoc, brutalność i gniew. Do tego wrzaski przerażonych chłopców ciągle brzmią mi w uszach. Nie wiem, czy to powinno się wydarzyć. Nie jestem przekonana, że na to zasłużyli... Te ich opowieści o karierze u Prusaków mogły być tylko po to, by nam zaimponować.

– Zastanawiam się, co mama by na to wszystko powiedziała – Frania odezwała się tęsknie. – Jak myślisz? Widzę ją uśmiechniętą łagodnie, pamiętam, że bardzo dotykała ją krzywda, szczególnie słabszych i bezbronnych. Szczodrze wspomagała żebraków pod kościołem, nigdy na nich się nie złościła, nawet jeśli łapali ją za suknię. Pamiętasz, jak kiedyś zrobiła wody z cukrem, by napoić zmęczoną pszczołę? Albo jak sypała ziarna ptakom, biegła z samego rana karmić psy i koty? Czy pozwoliłaby dręczyć tych dwóch durni? Nie wydaje mi się. Nie wiem, czy mogłabym jej teraz spojrzeć w oczy, przecież obie przyłożyłyśmy rękę do tej zbójckiej napaści...

Cecylia pokiwała głową.

– Myślę dokładnie to samo, mama byłaby niezadowolona, może nawet nami rozczarowana. Tyle że ona żyła sobie szczęśliwie, z dala od trosk i zmartwień, jakich my doświadczamy. Pewnie, że wolałabym karmić ptaszki w naszym ogrodzie, biegając sobie boso po trawie i nie myśląc o tym, skąd wziąć jedzenie, i nie zastanawiając się, jak przetrwamy kolejny miesiąc. Nie możemy pozwolić sobie na próżną ckliwość, nie teraz. Żeby przetrwać, musimy walczyć. – Mówiąc to na głos, nagle poczuła, że opuszczają ją nerwy i wątpliwości. Już nie musiała się miotać po pokoju, wiedziała, co powinny robić. – Widzisz, Franiu, może kiedyś będziemy takie jak mama, ale teraz musimy być podobne do stryja Ignacego. Tylko z jego pomocą przetrwamy i być może odzyskamy to, co prawnie nam się należy, odbierzemy zdrajcom nasz dom i przyszłość, którą nam zabrano.

Frانيا pokiwała głową, oderwała w końcu spojrzenie od ognia i uśmiechnęła się do siostry.

– Nie ma tak naprawdę dobra i zła – powiedziała z powagą. – Wszystko zależy od okoliczności, od motywacji i konieczności. Mogę być ponura i zawzięta jak stryj, tyle że przez to na starość zmienimy się w dwie złe wiedźmy i nie będziemy już zdolne do okazywania ciepła ani ludziom, ani ptaszkom.

– Nie możemy się zatem zatracić w złości i gniewie – Cecylia przytaknęła, obejmując siostrę ramieniem i przytulając się do niej. – Musimy wzajemnie się pilnować. Jeśli dostrzeżesz, że dzieje się ze mną nie najlepiej, przywołaj mnie do porządku.

– Ty zaś pilnuj mnie – odparła Frania i odetchnęła z ulgą, choć w uszach też ciągle brzmiał jej rozpaczliwy krzyk Klemensa i błaganie o pomoc.

Kiedy zmrużyła oczy, widziała chłopaka szamoczącego się z księdzem Baltazarem, który w końcu złapał go i wepchnął sobie pod pachę. Wojciech próbował ratować brata, ale nie miał najmniejszych szans. Widziała, jak wyciągnął do niej błagalnie ręce. Potrząsnęła głową, by wyrzucić z niej echo tych wrzasków, straszne obrazy i wszelkie rozterki. Teraz obie musiały być silne i nieczułe, tak jak nieczuły wobec ich krzywdy był cały świat.

– Pójdziemy zobaczyć i posłuchać rozmowy stryja z Grabowskim? – spytała.

– To może być jeszcze gorsze niż to, jak stryjkowi kompani potraktowali chłopców – odparła Cecylia – ale z drugiej strony może ten zdrajca i rabuś powie, co trzeba zrobić, byśmy odzyskały swoje dziedzictwo? Ja pójdę.

– Pójdę z tobą. Nie zapominaj, że jesteśmy w tym razem. Nie pozwolę, byś zawsze zasłaniała mnie przed przykrościami i brała na siebie wszystkie ciosy. – Frania wstała gwałtownie z łóżka. – Obiecuj mi, że od teraz będziesz mnie traktowała jak równą sobie. Jeśli mamy się wzajemnie chronić, musimy działać ramię w ramię.

Cecylia zagryzła wargę, chwilę trawiając jej słowa, po czym pokiwała z powagą głową.

– Idziemy – zakomenderowała.

Zmrok zapadł szybko i zimowe ciemności całkiem ogarnęłyby Płock, gdyby nie zalegający wszędzie śnieg. Biel odbijała resztki światła i nawet mimo chmur, z których sypały drobne płatki, widać było przemykające uliczkami sylwetki. Siostry Sobolewskie poszły za stryjem i jego kompanami wbrew woli swojego opiekuna i śledziły ich z bezpiecznej odległości. Było to złamanie zasad wpojonych im przez kaprała Pustego, który ciągle podkreślał konieczność zachowania pełnej dyscypliny i okazania posłuchu dowódcy. Dziewczęta jednak wysłiznęły się z wynajętego domu i szybko dogoniły kluczących wśród gruzu i dolów stryjowych druhów. Na miejsce spotkania z Grabowskim Ignacy wybrał

miejsce budowy, a właściwie rozbiórki miejskich murów. Piętrzyły się tu kupy kamieni i cegiel przysypane śniegiem, przez co wyglądały jak las pagórków. Tuż obok znajdował się głęboki rów po tylko częściowo zasypanej fosie. Panny dostrzegły masywną postać księdza Baltazara, który oddalił się od reszty, by ulokować się na szczycie jednego ze stosów kamieni. Zdjął z pleców muszkiet o długiej gwintowanej lufie i zaczął urządzać sobie stanowisko strzeleckie. Stryj razem z Pustym po prostu zatrzymali się na środku placu budowy i wyciągnęli fajeczki. Giovanni gdzieś znikł, jakby się zapadł pod ziemię.

Siostry przycupnęły przy stercie desek, być może służących do budowy szalunku przy konstruowaniu kanału przez pruskich majstrów. Przynajmniej znalazły się w sferze całkowitej ciemności i nikt ich tu nie mógł dojrzeć, zaś one same miały świetny widok na całą okolicę.

– Stąd nic nie będziecie słyszały – odezwał się ktoś za ich plecami, przez co obie omal nie wrzasnęły ze strachu.

Giovanni Girattini przyklęknął obok nich, po czym wyjrzał zza osłony. Zaszedł je po cichu i na tyle niespodziewanie, że zupełnie wytrącił je z równowagi i porządnie wystraszył. Nagle przez swoje sterczące wąsiki i gibkie ruchy wydał się Frani podobny do kota, a konkretnie do złego starego kocura. Nie założył swego kapelusza z wielkim pióropuszem, tylko zawiązał na głowie czarną chustkę, ale poza tym ubrany był jak zwykle elegancko, w czarny skórzany strój i buty z cholewami. Klęcząc, opierał rękę o rękojęść rapiera i ogólnie sprawiał wrażenie nonszalanckiego, ale przystojnego w każdym calu zigołaka.

– Zawsze zabezpieczam kapitanowi tyły – oznajmił. – Spostrzegłem was już jakiś czas temu, nieumiejętnie nas śledziłyście. Kiedyś wam pokażę, jak to się robi. Nawet ktoś tak jaśniejący, wręcz błyszczący jak ja może pozostawać zupełnie niewidocznym. Szczególnie łatwe jest to na ulicy pełnej ludzi, ale można pozostawać dyskretnym nawet na pustkowiu.

– Nie wyda nas pan stryjowi? – Cecylia spytała szeptem.

– Kilka razy uratował mi życie, raz nawet właściwie ukradł katu sprzed nosa, dosłownie zdjął mi stryżek z szyi. Jestem wobec niego lojalny i nie mam przed nim tajemnic. Ale nie obawiajcie się, nie będę do niego biegł z taką błahostką. – Machnął ręką. – Ignacy nie ma wielkiego doświadczenia z kobietami i nie wie, jakie potraficie być wścibskie i że kobieta zawsze będzie starała się postawić na

swoim. I dopnie swego, choćby nie wiem co. We Francji mówi się, że czego chce kobieta, tego chce Bóg. Mówi się też, że przez kobietę i diabeł osiwieje...

– A co się mówi o niewiastach w Italii? – Frania się zaciekawiła.

– Że łatwiej upilnować worek pcheł niż kobietę.

– Ale my nie będziemy przeszkadzały. – Ze słów Frani biła szczerłość.

– Każda tak mówi. To i wiele więcej – Giovanni uśmiechnął się w ciemnościach, co bardziej wyczuły w jego głosie niż dostrzegły.

Na tym ich rozmowa się skończyła, bo Włoch syknął ostrzegawczo i wskazał nadchodzącą postać. Nietrudno było zauważyć przybysza, bo ten niósł przed sobą zapalony lampion. Szedł ostrożnie, w żółtym blasku rozedrganego płomienia, który bardziej go oślepił niż oświetlał mu drogę. Mężczyzna zbliżał się, rozglądając na wszystkie strony. Miał na głowie kapelus, a ramiona okrywała mu peleryna.

– Może mieć broń pod tą kapotą – Giovanni szepnął. – Poznajecie go? To ten drań, Grabowski?

– Musi podejść bliżej, bo nie widać jego twarzy – Cecylia odpowiedziała równie cicho.

Tylko one dwie wiedziały, jak wygląda zdradziecki plenipotent. Stryj nigdy nie odwiedzał ich rodziny i nie znał nikogo z otoczenia brata.

– Po co ci oglądać jego gębę? – Frania spytała ze spokojem. – Przecież widać, że to nie on. Jest za niski, w dodatku pociąga lewą nogą. To jego służący, Marian. Pamiętam go, bo Grabowski zawsze się na niego złościł i śmiesznie go łąjał. Od dawna też powtarzał, że wywali go na bruk, ale chyba lubił się pastwić nad tym pokornym biedakiem.

Giovanni przyłożył dłoń do ust i zahukał jak sowa. Frania spojrzała na niego ciekawie i już go miała pochwalić za tak akuratne udawanie ptaka, ale przyłożył palec do ust na znak, że ma milczeć. Marian bowiem przystanął i chyba się zastanawiał, skąd w środku Płocka sowa, ale widocznie doszedł do wniosku, że to nic niezwykłego na prowincji. Całe miasto wszak przypominało dużą wieś, a dzikie ptactwo nie było na wsi niczym nadzwyczajnym. Tymczasem Ignacy i Pusty stanęli do siebie plecami i odrzucili poły redingotów, by mieć swobodny dostęp do szabel i zatkniętych za pasem pistoletów. Nie patrzyli teraz na nadchodzącego, tylko rozglądali się wokół. Giovanni syknął z niezadowoleniem, kiedy za pobliską kupą gruzu poruszyła się zaspas śniegu, która okazała się

ubranym w biały uniform żołnierzem, doskonale zamaskowanym, w dodatku przysypanym śniegiem.

– Zasadzka – powiedział cicho. – To pruscy jegrzy, musieli tu przyjść znacznie wcześniej. Nie wiemy, ilu ich jest, ale z pewnością trzymają naszych na muszce. Baltazara pewnie też namierzili, jest wielki jak niedźwiedź i choćby nie wiadomo jak się skradał, nie sposób go nie zauważyć. Musicie się wycofać, po cichu, ale czym prędzej, tym lepiej. Za parę chwil może się tu zacząć sakramencka strzelanina.

– Trzeba ostrzec stryja – Frania szepnęła.

– Już wie, że to fortel...

Ignacy wyszarpnął pistolet zza pasa i wymierzył go w zbliżającego się Mariana.

– Mości Grabowski, to ty? – spytał głośno. – Miałeś przyjść sam. Jeśli coś knujesz, twoim synom może przydarzyć się przykra przygoda i nie ujrzysz już ich żywych!

– Gdzie oni są? Chcesz waszmość za nich pieniędzy? – odparł nadchodzący nieco drżącym głosem.

– Tylko te, które zrabowałeś Sobolewskim, ani grosza więcej. – Ignacy przesunął się w bok, zbliżając do niezasypanej fosy. – I pożyczkę, za którą zastawiłeś hipotekę ich domu. To chyba niewiele jak za życie twoich dzieci?

– Dostaniesz, co sobie życzysz, tylko powiedz, gdzie są chłopcy, gdzie ich trzymasz?

W trakcie tej wymiany pytań Giovanni jeszcze raz nakazał pannom, że mają zniknąć, po czym bezszelestnie dał susa w bok, przemknął niczym czarny cień i spadł na plecy spozstrzeżonego wcześniej jegra, jednocześnie gładko podrzynając mu gardło sztyletem wyciągniętym z cholewy. Na biały śnieg chlusnęła gorąca krew. Żołnierz zacharczał cicho, ale przyciśnięty kolanami mediolańczyka nawet nie drgnął. Panny zadrżały ze zgrozy, widząc tak brutalną przemoc, nie rzuciły się jednak do ucieczki. Frania, schylona i skulona, do tego na ugiętych kolanach, ruszyła na górkę, na której szczycie w kamieniach ulokował się ksiądz. Cecylia przez chwilę nie wiedziała, czy ma uzbroić się w cegłę, których kilka leżało w pobliżu, i ruszyć na poszukiwanie kolejnego jegra ukrytego w okolicy, czy jakoś powiadomić stryja, z kim właściwie rozmawia. W końcu podjęła decyzję i przyłożyła dłoń do ust, po czym zaczęła hukać jak sowa. A przynajmniej próbowała, wyszło jej nawet całkiem niezle,

Ignacy się zorientował, że dzieje się coś naprawdę złego, nie opuszczał bowiem ręki z uniesioną bronią.

– Gdzie jest Grabowski? Czemu nie przyszedł osobiście? – spytał skamieniałe ze zgrozy Mariana.

– Pan kazał mi paktować w jego imieniu – odparł sługa po przełknięciu śliny.
– Dostaniecie pieniądze, tyle złota, ile chcecie, macie jednak najpierw wydać chłopców.

– Grabowski chyba nie rozumiał, że to ja rozdaję karty i stawiam warunki! Idź do diabła, człowieku! Będę rozmawiał tylko z nim, czy to jasne? Czy mam przesłać mu głowę jednego z synów? – Ignacy wolną ręką skinął na Pustego, nakazując mu się wycofać.

Giovanni w tym czasie zataczał koło wokół rozmawiających, przepatrując każdą górkę i zakamarek. W tej właśnie chwili wpadł na kolejnego jegra, ale nie udało mu się go zaskoczyć. Huknął strzał, Prusak wrzasnął zwycięsko i natarł na mediolańczyka, dźgając go bagnetem. Frania zbiegła ze wzniesienia razem z Baltazarem. W tej samej chwili wokół zaroilo się od umundurowanych na biało pruskich żołnierzy. Wstawali ze śniegu, jakby wyłaniali się spod ziemi, z bronią uniesioną do strzału. Cecylia złapała za cegłę i cisnęła nią z całych sił. Trafiła jednego z jegrów w tył głowy, ten runął jak długi i wystrzelił przy tym w powietrze.

– Poddajcie się! – krzyknął Marian. – A nikomu nic się nie...

Ignacy wystrzelił i jego pistoletowa kula trafiła sługę prosto w czoło, przerywając mu w pół słowa ostatnie zdanie w życiu. Kłęby białego dymu, gryzącego i śmierdzącego siarką, kompletnie pogrążyły okolice w nieprzeniknionej mgle. Błyskały ognie z luf muszkietów, ale Prusacy w tym zamieszaniu i ciemnościach prali niecelnie. Cecylia skuliła się ze zgrozy, bo kule świstały i furkotały w powietrzu, wiedziała jednak, że powinna natychmiast wiać.

– Tu jesteście! – Frania właściwie na nią wpadła. – Chodu, pędem!

Ksiądz Baltazar nie strzepił języka, złapał Cecylię za płaszcz i postawił na równe nogi. Przebiegli kawałek i wpadli wprost na całą grupę, przynajmniej pół tuzina Prusaków, ustawiających się w tyralierę, pewnie by zamknąć porwaczy w pierścieniu i ich ująć. Cecylia z zaskoczeniem w końcu spostrzegła, że jegrzy zostali zrekrutowani spośród nad wyraz mikrych Prusaków, żaden nie przewyższał jej wzrostem, a przy Baltazarze wszyscy wyglądali niczym dzieci,

sięgali księdzu najdalej do pachy. Dziewczyna nie wiedziała, że do tej formacji celowo przyjmowano wyłącznie niskich mężczyzn, za to zwinnych i doskonale strzelających. To była lekka piechota przeznaczona do zadań specjalnych, rozpoznania terenu i kłusowania nieprzyjaciela celnym ostrzałem. Nic dziwnego, że tak świetnie się ukryli i prawie im się udało zaskoczyć polskich bandytów. W bezpośrednim starciu z księdzem Baltazarem nie mieli jednak najmniejszych szans. Wielkolud wpadł między nich niczym kula między kręgle. Kopał i walił pięścią na lewo i prawo, rozrzucając Prusaków na wszystkie strony.

Jeden zastąpił drogę Cecylii i zamierzył się, by pchnąć ją bagnetem. Nie wyszłaby z tego żywa, gdyby rzecz działa się jeszcze kilka miesięcy temu. Nagle jednak okazało się, że mordercze treningi i ćwiczenia, którymi znęcał się nad siostrami Pusty, nie poszły na marne. Zadziałała instynktownie, wykonała szermierczy piruet, z łatwością ominęła broń Prusaka i jego samego, w przelocie jeszcze zdążyła go uderzyć wierzchem dłoni w bok głowy. Gdyby w rękę miała ostrze, przeciwnik straciłby życie. W tym czasie Frania śmignęła między dwoma innymi żołnierzami, którzy omal nawzajem się nie pozabijali, próbując ją dopaść. Resztę dokończył ksiądz, rozrzucając wokół Prusaków niczym szmaciane zabawki.

– W Legionach byłem kapelanem bożym – pochwalił się dziewczętom, kiedy się już znaleźli po drugiej stronie miasta, przed samym domem. – Tyle że oficjalnie żadnych kapelanów być nie mogło, bo byliśmy oddziałami republikańskimi. Służyłem zatem oficjalnie jako grenadier boży, a spowiedzi i namaszczeń oraz innych posług udzielałem w wolnych chwilach. To mnie jednak zahartowało, uczestnictwo w bitwach i potyczkach okazało się wielce kształcące fizycznie. Jak same widziałyście, całkiem dobrze mi idzie w bijatykach bożych. Kto by się spodziewał po skromnym wikarym spod Sandomierza takich umiejętności! Ha, mój proboszcz wyrwałby sobie chyba wszystkie włosy z głowy, gdyby mnie zobaczył w akcji.

Wielkolud zarechotał, opierając obie ręce na trzęsącym się brzuchu. Dziewczęta też się trzęsły, ale z nerwów i przejęcia.

– Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do ocierania się o śmierć dosłownie o włos – Frania powiedziała do siostry. – Zawsze gdy opada napięcie, chce mi się płakać i siku jednocześnie.

– Obawiam się, że mieszkanie pod kuratelą stryja może nam zapewnić więcej podobnych wrażeń. – Cecylia westchnęła. – Nie ma się jednak co

przejmować na zapas. Najważniejsze, że nadal żyjemy.

Kiedy stryj wrócił z nieudanego wypadu, nie sprawiał wrażenia zadowolonego, ale też nie skarcił panien za nieposłuszeństwo. Wiedział już, że to one ostrzegły Giovanniego i rozpoznając mistyfikację, uratowały całą kompanię z poważnych kłopotów. Nie pochwalił ich jednak, mruknął tylko, że doprawdy Fortuna je sobie upatrzyła i chyba ma w opiece, skoro wyszły z kotła nawet niedrażnione. Dziewczęta zdążyły napalić w piecu, ogrzać się, ochłoniąć i porządnie się zmartwić, bo trochę trwało, zanim Ignacy wrócił z Pustym. Jakimś cudem wszyscy wyszli z awantury i strzelaniny bez szwanku. Trudno było uwierzyć w tak wielkie szczęście całej bandy, ale Pusty stwierdził tylko, że prócz szczęścia potrzebne są także umiejętności i eksperyencja zdobyta na polach bitew.

– Nie raz żeśmy uciekali śmierci spod ostrza kosa – powiedział z zadowoleniem. – Patrzcie jeszcze, kogośmy przy okazji przyprowadzili!

Do środka wszedł Giovanni, trzymając za kołnierz Macieja Grabowskiego. Eksplozję miał na sobie tylko koszulę i kamizelkę, w dodatku rozdarta i poplamiona krwią, która jeszcze mu kapała z rozkwaszonego nosa. Twarz, ewidentnie obita, zdążyła mu też spuchnąć.

– Ale skąd on się wziął? – Frania jęknęła.

– Trzeba kuć żelazo, póki gorące i czasem być zwyczajnie bezczelnym – odparł Pusty, cały z siebie dumny. – Kiedy wybuchło zamieszanie i strzelanina, nie uciekliśmy, tylko ominęliśmy Prusaków, po czym pobiegliśmy czym prędzej do ratusza, gdzie mieszka sekretarz. Wpadliśmy do środka i wyciągnęliśmy wprost z gabinetu, gdzie pakował kufer podróży. Zdaje się, że szykował się do ucieczki. Chciałeś waść zostawić synów na pastwę jakichś zbójców? Ładnie to tak?

Grabowski tylko pokręcił głową. Pchnięty przez Ignacego usiadł ciężko na krześle postawionym na środku pomieszczenia.

– Zanim zaczniemy rozmowę na poważnie, chyba lepiej, by panny oddaliły się na wieczorną modlitwę – zaproponował Giovanni. – Może bowiem zrobić się nieprzyjemnie i krwawo, szkoda, by nadmiar okrucieństwa zbrukał niewinne duszyczki naszych słodkich aniołków.

– Nie jesteśmy już takie niewinne – Cecylia zauważyła z niewzruszoną miną. – Trudno zachować czystą duszę, mieszkając pół roku w zamtuzie pod opieką

ladacznic i bandy zbójców.

Ignacy skinął jej głową.

– Mają prawo wszystko widzieć i wysłuchać, co ten jegomość ma do powiedzenia – oświadczył z powagą. – Ich rodzice zostali zamordowani, a ta kreatura okradła sieroty, zostawiając bez środków do życia i dachu nad głową. Podejrzewam, że te dwa wydarzenia, mord i kradzież, mogą się ze sobą łączyć. Niech zatem panny patrzą i słuchają uważnie, nawet jeśli nie będzie to miłe. Może dostrzegą w zeznaniach coś, co mnie by umknęło?

Cecylia tylko skinęła głową, Frania cofnęła się i schowała za plecami siostry, i to nie przed stryjem, tylko przed spojrzeniem Grabowskiego. Ten patrzył na nie błagalnie, załzawionymi oczami. Po policzkach spływały mu łzy, które mieszały się z krwią zaschniętą na ustach i brodzie. Wyglądał żałośnie jak skrzywdzona, bezwolna ofiara brutalnej i niczym nieuzasadnionej napaści.

– Dziewczęta, błagam was – powiedział. – Nie pozwólcie, by się coś stało chłopcom. Przecież znacie się od dziecka, są dla was jak bracia, wielbią was i zrobią wszystko, jeśli tylko...

Ignacy uderzył go wierzchem dłoni, na odlew i jakby od niechcienia. Trafił prosto w usta, które wybuchły krwią. Cecylia aż podskoczyła i zamknęła oczy, Frania jęknęła i zasłoniła dłonią swoje usta, jakby sama oberwała.

– Niech pan powie, niech pan po prostu powie, dlaczego to zrobił! – powiedziała głośno.

Trwało parę chwil, zanim Grabowski doszedł do siebie. Wyglądał upiornie, całe ubranie zabryzgane miał lepką krwią. W tym czasie Giovanni zaczął układać na stole przed nim swoje noże, a okazało się, że ma ich imponującą kolekcję. Ostrza skrywał poukrywane chyba we wszystkich elementach ubioru, dlatego prócz sztyletu, ciągle umazanego krwią pruskiego żołnierza, pozostałe narzędzia były raczej małe i poręczne. Wyglądały jednak groźnie i nieprzyjemnie, zagięte koziki, ostre szpikulce, jednostronne ostrza z zębami piły, szerokie raptem na kciuk i podłużne, mogące sięgnąć przez oko aż do mózgu, o czym mediolańczyk poinformował jeńca z prawdziwą pasją i zadowoleniem w głosie. Powiadomił go też, że chciałby zademonstrować na nim działanie każdego z tych narzędzi, pragnie przy okazji sprawdzić, czy uda mu się obedrzeć go ze skóry, przynajmniej z niektórych części ciała, nie powodując przy okazji zgonu.

Grabowski spocił się od samego patrzenia i słuchania tych okropności, zapomniał nawet o dotkliwym bólu zmiądzonych warg. Cecylia złapała się na tym, że zaczynają jej drżeć kolana, a dłonie się pocą, odsunęła się zatem i stanęła pod ścianą. Frania natomiast patrzyła na poczynania Giovanniego z fascynacją i podziwem.

– Dobrze, powiem wszystko – Grabowski odezwał się, przerywając Giovanniemu w pół słowa. – To było jakiś miesiąc przed tragedią. Wracalem wieczorem z wizytacji w tartaku Sobolewskich i kawałek przed miastem napadło mnie kilku zamaskowanych drabów. Zaciągnęli mnie do jakiegoś opuszczonego, zrujnowanego dworu, których sporo jest teraz zarówno w mieście, jak i przed rogatkami. Posadzili na stołku, jak wy teraz, i kazali czekać. Po jakimś czasie, który zdał mi się wiecznością, do środka weszły trzy osoby, dwie damy i jakiś jaśnie pan, wszyscy w maskach na twarzach. Nie takich karnawałowych, zakrywających tylko oczy, ale takich bardziej z antycznych teatrów. Białe maski, jakby z błyszczącego marmuru czy alabastru, przedstawiające całe fizjonomie. Wszystkie były twarzami aniołów, pięknymi i wyniosłymi...

– Skąd wiedziałeś, że to jaśniepaństwo? – spytał Ignacy.

– Mieli na sobie identyczne peleryny, skrywające sylwetki oraz stroje, ale wielce wielmożnych państwa da się już rozpoznać na pierwszy rzut oka. Po samych ruchach, po postawie, gestach, nawet tym, jak stoją... – Grabowski mówił szybko, bez śladu wahania i zastanowienia. Cecylia była przekonana, że nie zmyślał. – Na początku przemówił tylko jegomość. Nic z jego wywodu nie zrozumiałem, było coś o Światłości i jej walce z wiekiustym Mrokiem, o powinności i stopniach wtajemniczenia, jakichś Kęgach, Planach, Chaosie i Równowadze...

– Wolnomularze. – Ignacy pokiwał głową. – Teraz są już wszędzie, dosłownie spotyka się ich na każdym kroku. Nawet w Legionach większość kadry należała do różnych rytów, gadała podobne bzdury dziwnym językiem, używała tajnych znaków i gestów. Spotykali się po nocach, przebierając w śmieszne stroje i odgrywając całe teatra i misteria. Mistycyzm, przesadzona duchowość oraz zamiłowanie do teatralnych gestów to właściwie wspólna cecha wszystkich tych organizacji.

– Domyśliłem się, że to masoni, i zacząłem się bać – Grabowski przyznał z pokorą. – Dla takich jak oni zwykli ludzie to tylko pionki, które można

dowolnie przestawiać, wykorzystywać i zbijać w jakiejś wydumanej walce o Światłość lub o Chaos w zależności od założeń łoży.

- To moda, nic więcej - prychnął Giovanni. - Upowszechniła się w całej Europie za sprawą znudzonej życiem arystokracji. Ileż może pić, balować i cudzołożyć, marnotrawiąc swój czas na Ziemi? Zaczęli więc wymyślać tajne stowarzyszenia i udawać, że kierują wszystkim, co się dzieje w polityce. Ale to w większości jedynie snobistyczne kluby, do których garną się głównie aspirujący na wielkich panów parweniuse, którzy pragną poczuć się władcami lub choć służyć tajemnym władcom świata. Tyle że to wszystko nie jest funta kłaków warte...

- Nie lekceważyłbym aż tak masonów - odezwał się ksiądz Baltazar, który już się dosiadł do bukłaka z pitnym miodem. - To ludzie marzący o władzy, ale i ze środowisk władzy się wywodzący. Dysponują majątkami bożymi i wpływami, mogą naprawdę wiele i nie ma znaczenia, czy robią to z wydumanych powodów bożych, dla zabawy, przez podszepty jakichś cwaniaków czy też w imię wymyślonej Światłości.

- Nie wiem, w imię czego, miałem za duży mętlik w głowie, za bardzo byłem przerażony, by zrozumieć, o co im właściwie chodzi - Grabowski kontynuował swoje wyznanie. - Kazali mi dopilnować, by wszystkie aktywa Sobolewskiego znalazły się w jednym miejscu i bym miał do nich dostęp. Przygotowali też plan przejęcia nieruchomości Sobolewskich, właściwie całego majątku. Nie pytałem dlaczego, ale chyba miała być to kara za jakieś przewiny wobec rytu. Rodzina Sobolewskich miała zostać wymazana, a ślady po niej wytarte. Zrozumiałem tyle, że dziedzic im czymś okrutnie zawinił. Wiedziałem też, że nie mogę zadawać pytań ani próbować negocjacji, bo skoro ci ludzie mogą zniszczyć cały ród szlachecki, to czymże ja dla nich byłem? Tylko pchłą, robakiem, którego można rozdeptać bez najmniejszego wysiłku. Tylko jedna z dam powiedziała, że nie pożałuję i mnie nagrodzą, o ile się wykażę roztropnością i dyskrecją.

Zapadła cisza, Giovanni usiadł zrezygnowany obok Baltazara, zrozumiał bowiem, że z obdzierania ze skóry nici i chyba może zaraz schować swoje noże. Ksiądz podał mu napełniony miodem kubek.

- I zdecydowałeś, człowieku, wydać mojego brata i całą jego rodzinę na pewną śmierć, nie ostrzegłeś ich, nie pisałeś ani słowa - Ignacy podsumował. - Za to cierpliwie przez miesiąc szykowałeś dokumenty, dzięki którym udało ci

się zastawić cały majątek. Jak to właściwie zrobiłeś bez podpisów i upoważnień mojego brata?

– Ufał mi, zostawiał podpisane puste karty, które zwykle wykorzystywałem przy umowach na dostawę drewna. – Wzruszył ramionami. – Jeden z zastawów hipotecznych podpisał mi w pośpiechu, nie czytając, co mu podsuwam. Wybierał się wówczas z żoną do teatru i byli już spóźnieni, przyłapałem go w sieni, w półmroku... Musiałem się imać takich forteli, ale w miesiąc przygotowałem, co sobie zażyczyli masoni.

– Nadal jednak nie widzi waść niczego niestosownego w tym, że nie ostrzegł mego ojca choćby słowem? – Cecylia spytała z drugiego końca komnaty. – Spokojnie waść przygotowywał kradzież, jakby nic złego się nie działo.

– Bałem się, Cysiu. Straszliwie się bałem, nie spałem po nocach, nie jadłem... Myślałem, czyby nie uciec. Zabrać rodzinę, rzucić wszystko i wyjechać gdzieś na Kresy... Ale wiedziałem, że to się nie uda, że nic z tego. Dopadliby mnie, zanim przekroczyłbym roгатki, zarżnęli razem z najbliższymi i tyle bym z tego miał, zimny grób, nic więcej. Śmierć lub życie w hańbie, taki mi pozostawili wybór, i cóż... Okazałem się słabym człowiekiem, moja miłość do synów i żony zwyciężyła. Zdecydowałem się na pograżenie w grzechu śmiertelnym, byle im zapewnić bezpieczeństwo. – Zrobił płaczliwą minę, pociągnął nosem i skrzywił się z bólu.

Frania podeszła do księdza i zabrała jeden z napełnionych przez niego kubków. Ignacy milczał, ale zaciskał zęby, widać było, jak napinają mu się mięśnie. Pusty kręcił głową, ale się nie wtrącał. Młodsza panna Sobolewska podeszła do jeńca, który uśmiechnął się do niej z boleścią i wyciągnął rękę po napój. Chlusnęła mu całą zawartość naczynia prosto w twarz i z hukiem odstawiła kubek na stół.

– Życie w hańbie, tak? – wycedziła przez zęby. – Jakoś tę hańbę da się znieść, gdy przy okazji dostało się od tych złych masonów intratną posadę w innym mieście, awans społeczny, obietnicę kariery dla synów i kto wie, ile złota z tego, które nam waść ukradłeś.

Ignacy zarechotał, aż obie panny spojrzały na niego zaskoczone, bo nigdy wcześniej nie słyszały śmiejącego się stryja.

– Otóż to, Grabowski. Zdradziłeś własnego pryncypała, pozwoliłeś, by został zamordowany, i zgarnąłeś za to profity. Do tego wyparłeś się ojczyzny i wstąpiłeś na służbę u zaborcy. Nie jestem twoim sędzią, nie będę cię oceniał i karał, nie

rób zatem takiej zboląlej miny, twoje udawane cierpienie i żal nie wywierają na mnie wrażenia. – Ignacy stanął przed siedzącym i powoli się nad nim pochylił. – Chcę tylko odzyskać to, co należy się mnie i tym pannom. Gdzie się podział zagrabiony przez ciebie majątek?

– Nienaruszony spoczywa w banku w Warszawie. Nie śmiałem tknąć tych pieniędzy, ulokowałem zatem szkatułę w bezpiecznym miejscu – odparł szybko. – To głównie talary pruskie, po szesnaście i pół grama srebra w monecie. Będzie ich jakieś pięć tysięcy. Do tego ruble, złotówki i trochę papierowych banknotów, warte pewnie drugie tyle.

– Hm, dziesięć tysięcy talarów – Baltazar mruknął pod nosem. – Ładny grosz, nie powiem...

– Wszystkie nieruchomości jednak przepadły. Nie dostałem nic z ich wartości, wszystko zagarnęli ludzie w maskach – dodał szybko.

Ignacy położył dłoń na ramieniu Grabowskiego.

– Coś mi się wydaje, że mydlisz mi oczy tym gadaniem o banku. Nie wierzę, że zostawiłeś skarbczyk w Warszawie. Mówisz tak tylko, bym cię nie ubił, byś mógł mnie dalej zwodzić i ocalić swoją nędzną skórę zdrajcy i sprzedawczyka. Będę musiał jednak poprosić naszego włoskiego przyjaciela, by wypróbował na tobie swoje ostrza. – Kapitan skinął głową Giovanniemu.

– Oddam wszystko! – Grabowski podskoczył na krześle ze strachu, kiedy tylko mediolańczyk się poruszył. – Zaraz, teraz! Tylko obiecacie, że puścicie moich synów wolno!

– I nic więcej nam nie powiesz? – Ignacy upewnił się jeszcze. – Kto mógł być zleceniodawcą? Jak dokładnie przebiegał mechanizm przejęcia majątku nieruchomego i jak można go odzyskać?

– Zgodnie z dokumentami, które podpisał waści brat, on ten dom, ziemię, wsie, lasy po prostu zastawił, czyli niejako sprzedał – Grabowski odparł pośpiesznie. – Zastaw zabrali masoni, razem z papierami. Po prostu sprzedali nieruchomości Żydom, nie da się ich zatem odzyskać, nie doszło bowiem do fałszerstwa ani oszustwa. Przyłożyłem się, by sprawić te dokumenty rzetelnie i by podpis Sobolewskiego był wszędzie autentyczny.

Ignacy pokręcił głową.

– Ale mój brat był durny, wręcz niewiarygodne – westchnął. – Jak można tak zaufać takiej łajzie? Gdzie on miał oczy?

Cecylia zaczęła tłumaczyć ojca, że przecież Grabowski pracował dla niego od wielu lat, że znali się i traktowali jak najbliżsi przyjaciele, jak rodzina. Ufał mu jak nikomu innemu, bo plenipotent nigdy go nie zawiódł w najmniejszej nawet sprawie. Skąd mógł zatem przewidzieć, że ten wierny sługa i druh knuje przeciw niemu, zresztą z nożem przystawionym do gardła, więc trochę wbrew sobie. Ignacy machnął ręką, jakby chciał odgonić natrętne myśli, ale jej nie uciszył. Zamiast tego złapał Grabowskiego za kaftan i postawił na nogi, po czym pchnął do wyjścia.

– Idziemy po szkatułkę z forsa, z której się dał ograbić mój naiwny brat – zakomenderował. – Reszta spraw będzie musiała poczekać.

Do Warszawy wyruszyli jeszcze przed świtem, istniała bowiem obawa, że Prusacy z samego rana przetrząsną całe miasto w poszukiwaniu zaginionego sekretarza, czyli ważnego kancelisty, oraz jego synów. Nie mówiąc już o tym, że z pewnością byli wściekli, bo w nocnej strzelaninie zginęło trzech ludzi, a kilku jeńców zostało poturbowanych lub poranionych. W uporządkowanym i utrzymanym twardą ręką kraju króla Fryderyka Wilhelma III nie było miejsca na podobny bandytyzm. Ordnung musiał zostać zachowany, a surowa kara wymierzona. Nie na darmo w całej Europie mówiło się o pruskiej dyscyplinie. Kary cielesne i nie tylko cielesne były tu na porządku dziennym i mogły spotkać każdego, zbójcom i porywaczom groziła zatem po ujęciu dotkliwa kara, łącznie z chłostą i łamaniem kości, a dopiero później stryczek. Ignacy uznał zatem, że w interesie wszystkich będzie jak najszybciej opuścić miasto.

Eksplenipotent, na prośbę siostr Sobolewskich, został zachowany przy życiu, tak samo jak jego synowie. Noc spędzili co prawda w komórcie, gdzie omal we trzech nie zamazali, ale nad ranem kapitan kazał ich przenieść do domu, w którym zostali przywiązani do krzesel i pozostawieni, ale przynajmniej w ciepłym pomieszczeniu. Grabowski, szcękając zębami, dziękował wylewnie sierotom za ocalenie. Jego synowie tylko patrzyli na nie, dygocząc z wyziębienia, ale nic nie mówili. Klemens ewidentnie cierpiał przez ranę dłoni i wpływ krwi, ale się nie skarżył. Na koniec Ignacy kazał Baltazarowi, by ten przyjął od jeńców przysięgę na Pismo Święte, że nie zdradzą masonom, co zaszło, głównie tego, że Ignacy oraz sieroty żyją i aktywnie działają. Grabowscy posłusznie złożyli uroczystą przysięgę, zerkając na przyglądające się temu panny. Cecylia i Franciszka wyszły, zostawiając ich bez pożegnania i nie

udzielając Grabowskiemu przebaczenia za to, co zrobił. Ich pogarda została zademonstrowana tak dobitnie, że bracia zawstydzeni spuścili głowy.

Siostry podróżowały w pozbawionej wygod, topornej landarze bez resorów, a nawet okienek w drzwiach. Światło wpadało do wnętrza lufcikami z przodu i z tyłu, przez które przy okazji wiało lodowatym wiatrem. Dziewczęta opatulily się w płaszczyki i przywarły do siebie, co trochę chroniło je przed zimnem, ale nie przed podskakiwaniem na wybojach aż pod sam sufit. Jazda takim pojazdem po polskich drogach potrafiła być nad wyraz męcząca i już po kilku godzinach podróży człowiek niezaprawiony cierpiał na chorobę morską, a do tego był poobijany, jakby wpadł pod końskie kopyta. Jednak jadący z pannami ksiądz Baltazar zdawał się nie zwracać na te niedogodności najmniejszej uwagi. Najpierw poił się resztą miodu z bukłaka i nalegał, by panny też skosztowały, bo ten napitek niezwykle rozgrzewa trzewia, kości i trafia do mózgu, gdzie siedzibę ma humor i mądrość boża, na które to alkohole mają najkorzystniejszy wpływ. Obie jednak odmówiły. W pewnej chwili ksiądz zaczął walić pięścią w dach landary i wrzeszczeć, by Pusty nieco zwolnił i uważał, gdzie jedzie, bo wszystkim im sprowadzi niestrawność tym trzęsieniem. Na koźle woźnicy siedział bowiem kapral, który niespecjalnie dbał o wygodę pasażerów, po prostu próbował nadażyć za jadącymi konno kapitanem i Giovannim. Poza tym wszyscy czuli na plecach oddech ścigających ich Prusaków, nawet panny zatem nie narzekały.

Po jakimś czasie znudzony, bo pozbawiony trunku Baltazar wyciągnął z kieszeni talię kart i zaczął ją tasować. Mrugnął zaczepnie do panien, po czym zaproponował im grę w mariasza, oczywiście zupełnie niewinną. Uznały, że lepsze to niż nieciekawe odbijanie się od siebie przez kolejne godziny. Ksiądz w grze nie miał wyraźnie szczęścia, przegrywał lewą za lewą, robił przy tym ponure miny, sarkał i prychał, stwierdził w końcu, że to przez szczęście debutantek.

– Nic dziwnego, że Fortuna wam sprzyja – stwierdził w końcu, niezgrabnie tasując wielkimi paluchami dosyć małe karty. – Szczęściu bożemu trzeba dopomagać, nie pracuje ono na człowieka za darmo. Należy je karmić, zwiększając stawkę. Co powiecie na grę za niewielkie kwoty boże? Nie jesteście już wszak nędzarkami, pod moim siedzeniem stoi kufer pełen waszych srebrnych talarów. Macie z czego zaryzykować i wygrać ich jeszcze trochę. Spróbujmy zatem, stawiam czerwonego złotego bożego na każdą lewą. Kto zgarnie ich więcej, zabiera wszystkie monety...

– Boże – Frania dokończyła odruchowo.

Wetknął łapę za pazuchę i wydobył garść monet, które położył na siedzeniu. Siostry spojrzały na siebie porozumiewawczo. Matka zaszczepiła w nich raczej pogardę do pieniędzy jako celu do osiągnięcia. Może dlatego, że sama nigdy nie musiała o nie dbać, bo zawsze była na utrzymaniu najpierw ojca, a później męża i w zasadzie z pieniędzmi nie miała bezpośredniej styczności ani ich do niczego nie potrzebowała. Dziewczęta jednak już trochę poczuły, co znaczy prawdziwa bieda i konieczność pracy fizycznej, by mieć co włożyć do miski, i wizja zdobycia dodatkowego srebra obie mocno kusila. Frania zatem pokiwała twierdząco głową i entuzjastycznie oznajmiła, że stawia, i to dwie monety na lewą. Baltazar udał, że namyśla się i waha, teatralnie przy tym wzdychał i narzekał na los biednego sługi bożego, o którym Kościół zapomniał.

– Ostatnie grosze boże, które uciułałem dzięki ciężkiej służbie dla ojczyzny ratowania, i to w dalekich krajach. Ojoj – stękał. – Dobrze jednak, warto spróbować, bo może i do mnie Fortuna się w końcu uśmiechnie.

Nagle karty w jego niezgrabnych, niedźwiedzich łapach ożyły i zaczęły zgrabnie oraz równo rozkładać się na trzy kupki. Frania już miała sięgnąć po swoją, kiedy Cecylia złapała ją za przegub. Uśmiechnęła się do księdza zimno.

– Spędziłam sporo czasu w kuchni Syreny, a to szorując gary albo podłogę, a to skrobiąc marchew lub brukiew, i sporo się nasłuchiłam od dziewcząt różnych rzeczy. Szczególnie Mariola była gadatliwa i lubiła z nami przesiadywać oraz opowiadać o swoim kawalerze czy też gachu, jak go nazywała. Parał się on zawodowo szulerką karcianą, ale i nie gardził oszukiwaniem w kości.

– To doprawdy naganne – Baltazar stwierdził z dezaprobatą.

– Nie boże – dodała Frania.

– Mariola opowiadała, na czym polegało jego szachrajstwo. Kiedy z ferajną wypatrzyli frajera chętnego do gry, najpierw dawali mu wygrywać. Często inwestowali w to sporo grosza, byle ofiara poczuła się pewna i by rozpalila się w niej gorączka złota. Coraz cięższy trzosik i kolejne monety do niego się sypiące nawet z najbardziej łbskich person robiły otumanione barany – Cecylia kontynuowała, patrząc Baltazarowi w oczy. – Kiedy jegomość już się rozpalil w zachłanności i poczuł pewny siebie, proponowali mu grę na wyższe stawki. Mało który potrafil się opamiętać i odejść od stolika. Wtedy dopiero zaczynali na całego szachrować i ogrywali go do goła, czasem dosłownie, bo wychodził

z szulerni nie tylko bez wszystkiego, co przy sobie miał, ale czasem jedynie w samych gaciach.

– Okropne rzeczy panna prawi – Baltazar się oburzył. – Że też ludzie tak potrafią grzeszyć, niebывałe.

– Żle się to może skończyć. Gach Marioli trafił w końcu na jegomościa, który, kiedy się zorientował, że jest okradany, złapał za szablę i rozplatał szulerowi głowę na dwie połowy. I tak Mariola straciła miłość swego życia.

Cecylia uśmiechnęła się niewinnie i dopiero wówczas puściła rękę siostry. Ta już nie próbowała sięgać po karty, zrozumiała, co się dzieje.

– Jeśli stryj się dowie, że ojczulek próbował wygrać w karty nasz majątek, znaczy chciał obrobić niewinne sieroty ze środków do życia, może być wielce niezadowolony – powiedziała, kręcąc głową.

– Gdzie też! Co to za pomysły! – Baltazar jednym ruchem zgarnął karty, które po prostu znikły. – Chciałem panny jedynie ostrzec przed grzeszną grą diabelską. Sam na brak pieniędzy bożych nie narzekam na tyle, by okradać sieroty! Spójrzcie tylko. – Sięgnął do włosów Frani i wyciągnął z nich monetę, po czym złapał Cecylię za ucho i wy dobył z niego kolejną. – Wszędzie jest tego pełno, wystarczy sięgnąć.

Frانيا zaśmiała się i klasnęła w dłonie z zachwytem.

– Całe życie uczę swoje wielkie, niezdarne ręce – powiedział Baltazar z jowialnym uśmiechem. – Mogę i was tego i owego nauczyć. Gdybym wprowadził was w szulerskie arkana boże, nigdy nie zaznałybyście głodu. Tyle że to naprawdę wiedza tajemna, a zarazem wielki dar boży.

Karty znów pojawiły się w jego łapach, cała talia z trzaskiem pomknęła w powietrze i łukiem przeleciała karta za kartą z jednej jego dłoni do drugiej. Karty furkotały, przemieszczając się między łapskami duchownego, jakby były rojem żywych motyli. Po chwili znikły, za to na wierzchu dłoni Baltazara pojawiła się szpila do włosów, która przed chwilą spinała fryzurę Frani. Poruszył drugą ręką i wyciągnął z rękawa chustkę, którą dopiero co Cecylia miała w kieszeni płaszczyka.

– Hm, podoba mi się – Frانيا stwierdziła z błyskiem w oku. – Chciałabym to umieć. Nie powiemy stryjowi, że wasza świątobliwość boża próbowała nas orznać, a w zamian ksiądz nauczy nas tych sztuczek.

– To nie byle kuglarskie sztuczki – wielkolud prychnął urażony. – To tajemna sztuka, dostępna jedynie dla ludzi o czystych sercach i pozbawionych złości

intencjach. Dla wybrańców, szlachetnych, prawych, wypełnionych miłością bożą...

- I znalazł ksiądz takich czy planuje zabrać tę wiedzę ze sobą do grobu? - Cecylia spytała, nie kryjąc kąśliwości.

- Możemy sprawdzić, czy okażecie się wystarczająco pojętne i godne, by posiadać tę moc - odparł, oddając im zachachmęconą szpilę i chustkę. - Zaczniemy od tego, że jeśli przystąpicie do nowicjatu w sztuce szulersko-złodziejskiej, zobowiązane będziecie mi służyć i spełniać zachcianki. Nie obawiajcie się, nie zamierzam was wykorzystywać niecnie i nieczysto, ale rad byłbym otrzymywać czasem słodkie kąski i napitki, szczególnie miodek boży.

Siostry spojrzały na siebie, po czym zgodnie pokiwały głowami. W rękach Baltazara niespodziewanie pojawiły się dwie talie kart, które wręczył dziewczętom.

- Zaczniemy zatem od nauczenia waszych rąk tej specyficznej niezdarności bożej...

Rozdział 4

KWIECIEŃ 1802 ROKU

Traktiernia na Podwalu, którą prowadził monsieur Condé, cieszyła się ogromną popularnością wśród przebywających w Warszawie rodaków karczmarza. Spora liczba emigrantów z Francji, którzy ostatnimi miesiącami napłynęli do miasta, nie była przypadkiem. Wiernie podążali oni za tułającym się po całej Europie hrabią de Lille. Biedaczek został wygnany z ojczyzny przez rewolucjonistów i republikanów, umknął spod gilotyny w ostatniej chwili, po czym snuł się po świecie, szukając kąta, w którym mógłby przeczekać zły czas i być może kiedyś jeszcze wrócić do ojczyzny. Ostatecznie dotarł na koniec znanego cywilizacji świata, czyli do Warszawy, gdzie dzięki uprzejmości gubernatora pruskiego, Köhlera, dostał do dyspozycji Biały Domek w Łazienkach, letnią rezydencję Stanisława Augusta. Tam tajemniczy hrabia mieszkał razem z żoną i niewielką świtą, pilnie strzeżony przez ubierających się po cywilnemu żołnierzy francuskich, którzy jeszcze niedawno należeli do gwardii królewskiej. Nikogo to nie dziwiło, bo hrabia w rzeczywistości nazywał się Ludwik Stanisław Burbon i formalnie był królem Ludwikiem XVIII.

Wygnanemu monarsze towarzyszyli nie tylko ostatni wierni gwardziści oraz gromada dworzan i grupka arystokratów, ale też liczna czereda tak zwanych pieczeniarzy, czyli biednej szlachty czepiającej się królewskiej szaty dla chleba i w nadziei na karierę, oraz banda zwykłych nierobów, szulerów, stręczycieli, awanturników i najmitów. To właśnie przede wszystkim oni przesiadywali w karczmie na Podwalu, w której okolicach lepiej było się nie kręcić, bo pijani Francuzi szukali zaczepki, łapali dziewczęta, które gwałcili, a czasem też więzili. Z braku policji z prawdziwego zdarzenia i obojętności Prusaków nikt nie próbował ujarzmić awanturników, pozwalano im się panoszyć ku niezadowoleniu całego miasta.

Kapitan Sobolewski przyszedł do traktierni w towarzystwie Giovanniego, nic sobie nie robiąc z rozpasanych francuskich warcholów. Podeszedł do kontuaru i przywołał ponaglającym skinieniem karczmarza Condé. W lokalu pełno było zawianych żabojadów, choć nie wybiło jeszcze południe. Niektórzy musieli

tkwić tu od wczoraj lub od kilku dni, wyglądali bowiem bardzo nieświeżo. Jeden z eleganckich dworzan miał zabryzgany wymiocinami nie tylko kubrak, ale i piękny niegdyś i biały żabot, siedział z opuszczoną głową i ponuro gapił się w pusty kielich.

– Tęsknota za domem – stwierdził Giovanni. – Znam ten szalenie melancholijny stan...

– Czego waszmoście sobie życzą? – Condé spytał rzeczowo.

Kapitan pokrótce wyjaśnił mu, że szuka francuskich dam bywałych na królewskim dworze, obytych w konwenansach, niekonieczne urodziwych, ale nastawionych romansowo i szukających dobrze płatnego zajęcia.

– Ja nie jestem rajfurem, ale zaraz kilka wam wynajdę. Szukacie francuskich dziwek, jak rozumiem, to zrozumiałe. Chcecie, wielce szanowni waszmościowie, posmakować piczek z wielkiego świata? Ale czy muszą być Francuzki? Wiem, że w karczmie na dole ulicy mają dwie Szkotki i Czeszkę.

Giovanni objął go za szyję i wycedził mu wprost do ucha, gdzie może sobie wsadzić dwie Szkotki i Czeszkę. Ignacy poczuł przypływ zrezygnowania, obawiał się, że dostęp do prawdziwych dam ze sfer jest poza jego zasięgiem. Bez koneksji i znajomości nie da się niczego załatwić, a on nadal przebywał w Warszawie incognito. Oficjalnie ród Sobolewskich przestał istnieć i tak musiało pozostać jeszcze jakiś czas. Wielkiej różnicy mu to nie robiło, bo nawet za najlepszych czasów jego rodzina nic nie znaczyła i mężczyźni z niej nie należeli do salonowych lwów. Mimo wszystko nie musiałby kręcić się po takich miejscach, gdyby mógł występować jako szlachcic. Zapłacił za dzbanek wina, z którego połał sobie i Giovanniemu. Okazało się, że trunek jest całkiem niezły, żabojady wszak byle sikacza nie chciałyby pić.

– Condé twierdzi, że szukacie znajomości wśród dam ze sfer – po francusku odezwał się młodzieniec w stroju cudzoziemskim w każdym calu i w dodatku czystym. – Jestem Francis des Tournelles, syn królewskiego kamerdynera.

Ignacy drgnął, po czym napełnił kolejny kubek i wręczył go młodzieńcowi. Chłopak nie zainteresował się jednak alkoholem, stał w wyczekującej pozie, dopóki Ignacy nie położył mu na dłoni luidora. Syn królewskiego sługi, i to nie byle jakiego, bo totumfackiego samego króla, wart był takiego wydatku. Lepsza okazja na zadzierzgnięcie znajomości z kimś z dworu mogła się Ignacemu już nie przytrafić. Trochę kulawą, ale zrozumiałą francuszczyzną sprecyzował, o co mu chodzi i jakie ma oczekiwania wobec dam. Chłopak, który chyba dorabiał

jako stręczyciel, sprawiał wrażenie nieco rozczarowanego, ale po chwili zastanowienia obiecał, że załatwi, co trzeba. Potrzebował, rzecz jasna, zaliczki, którą Ignacy wręczył mu z grobową miną. Nie groził ani słowem, ale wystarczyło samo spojrzenie kapitana, by chłopak poczuł się nieswojo i nawet nie pomyślał o oszukaniu Sobolewskiego.

Następnego dnia w południe pod dworek na Faworach, który Ignacy wynajął rok temu na tymczasową siedzibę rodziny, podjechał powóz, a właściwie otwarty kocz, w którym siedziały dwie kobiety w maleńkich kapelusikach na głowach. Kiedy wysiadły, z pomocą kłaniającego się i podającego im kolejno rękę Giovanniego, który na ich widok aż zaczął zakręcać wąsa, okazało się, że to rzeczywiście prawdziwe damy, a nie byle ladacznice z Podwała. Ubrane były w atlasowe salopy z kapturami, pod którymi nosiły najmodniejsze paryskie suknie w stylu starogreckim. Obie miały fryzury ścięte na krótko i ufryzowane w dzikie loczki zdawałoby się niesformnie skierowane w stronę twarzy. Patrzyły wyniośle i bez cienia strachu, a to dlatego, że towarzyszyło im aż czterech konnych gwardzistów, mimo że bez mundurów, to uzbrojonych po zęby.

Ignacy nie uklonił się im po polsku, stanął jednak na baczność, jak przystało na oficera, i kolejno skinął damom głową, po czym przedstawił siebie oraz swego towarzysza.

– Wicehrabina Christine de Damas Crux. – Dama o oczach czarnych jak węgle i ciemnych, błyszczących od pomady włosach wyciągnęła rękę do pocałunku.

– Pułkownikowa Melissa Leclerc. – Druga dama była sporo od pierwszej niższa, a także mocno puszysta, twarz miała okrągłą i ładną, a do tego ślicznie się uśmiechała.

Giovanni kłaniał się i obsypywał je komplementami, chwilami przechodząc na włoski, wskazał też drogę do dworu, do którego weszli, zostawiając gwardzistów na dziedzińcu. W salonie posadzono damy w fotelach przed kominkiem, mediolańczyk podał im po kieliszku wina i zaczął klasyczną rozmowę towarzyską o pogodzie, urokach miasta i koneksjach na dworze. Przy tym ostatnim popisywał się wiedzą o życiu w Białym Domku. Spytał o samopoczucie księcia de Fleury, zdrowie jałmużnika królewskiego l'abbe de Firmonta czy powodzenie u dam kawalera de Grossourdis, który jako niezrównany jeździec zawsze towarzyszył Jego Wysokości w konnych przejażdżkach po Warszawie. Damy szybko przestały się zachowywać

powściągliwie, urok mediolańczyka zrobił swoje i po paru minutach opowiadały w najlepsze o smutnej królowej Marii Józefie, która ostatnio nie dogadywała się z mężem. Wicehrabina de Damas stwierdziła nawet, że to z powodu postępującej choroby i pierwszych objawów starości. Starsza od męża królowa nie mogła już go zadowolić jako mężczyzny. Madame Leclerc twierdziła zaś, że poszło im o pieniądze, królowa bowiem błyskawicznie roztrwonila wszystkie podarowane jej przez męża. Ignacy słuchał tej rozmowy, stojąc za plecami dyskutujących niczym lokaj. Obserwował jednak damy uważnie i łowił każde ich słowo. W końcu Giovanni przeszedł do rzeczy i zaproponował im zajęcie, oczywiście nie używając słowa praca, by nie urazić szlachetnie urodzonych choćby sugestią podjęcia pracy zarobkowej. Damy zaczęły się krygować i udawać, że nie wiedzą, o co chodzi, a to dość szybko zirytowało Ignacego, któremu ostatecznie skończyły się pokłady cierpliwości.

– Panie wybacza, ale mam pewne obiekcje – odezwał się, z namysłem dobierając słowa. – Obiekcje dotyczące prawdziwych tożsamości szanownych pań. Mimo tego oszałamiającego pokazu manier i znajomości dworskich realiów nie wierzę, że zwyczajnie i tak po prostu wicehrabina i pułkownikowa zdecydowałyby się przyjechać do nieznanomych parweniuszy, by świadczyć im usługi. Słyszałem rozmowy bywalców karczmy monsieur Condé i wiem, że macie Polaków za barbarzyńców, a nasz kraj za zaścianek. Nie jesteśmy jednak bandą głupców i trefnisiów, postarajcie się o tym nie zapominać...

– Sugeruje pan, że nie jesteśmy damami? – madame de Damas oburzyła się ostentacyjnie.

– Twierdzą, że nie jesteście arystokratkami, zaś damy z pewnością świetnie udajecie – Ignacy odparł spokojnie. – Jeśli mam panie zatrudnić, muszę wiedzieć, z kim właściwie mam do czynienia. Rozumiem, że podając się za wicehrabinę i pułkownikową, spodziewałyście się, że obrobicie mi trzos do samego dna. Już marzyły się wam strumienie talarów i złotych, ale prawda jest taka, że nie trafiłyście na naiwnego głupca.

Obie damy się obruszyły i wstały z foteli, gotowe natychmiast wyjść, i to do tego śmiertelnie obrażone. Giovanni poderwał się jako pierwszy i kłaniając się, zaczął błagać je o przebaczenie. Ignacy tylko pokręcił głową.

– Droga wolna, szkoda jednak byłoby tracić możliwość zarobku, jeśli znalazło się z dala od ojczyzny, gdzieś w dzikim kraju i bez szans na rychły powrót – powiedział, splatając ręce na piersi. – Wiadome jest, że król Ludwik

ma problemy finansowe, że kończą mu się fundusze. Odbijał się od kolejnych miast europejskich, bo wszędzie odmawiano mu pożyczek. Liczył na to, że w Warszawie coś mu się uda wydębic od banków lub jakiego arystokraty. Mówi się jednak, że kolejne drzwi się przed Jego Wysokością zamykają, nikt nie pokłada wiary w jego rychły powrót na tron. Dyrektoriat i konsul Napoleon mają się za to doskonale i nie zanoszą się, by stracili władzę. Ileż to może kosztować Ludwika utrzymanie sześćdziesięciu dworzan i służby w skromnej i prowincjonalnej Warszawie?

– Trzy tysiące dukatów miesięcznie – pani Melissa odparła rzeczowo. – Owszem, trafnie waszmość zgadł. Dotychczas król otrzymywał spore sumy od cara Aleksandra, ale on też przestał go wspomagać finansowo, a warszawskie banki nie chcą nawet słyszeć o kredytowaniu całego dworu. Sekretarz Jego Wysokości przestał wypłacać służbie, a nawet ograniczył żołąd gwardzistom. Wszyscy przechodzimy przez to kłopoty, żyjemy jednak nadzieją, że przejściowe.

– Nie jesteście damami dworu, nie macie nawet szlacheckiego pochodzenia – drażył Ignacy.

Żadna nie okazała zmieszania ani wahania, ale milczały i już nie próbowały zaprzeczać. W końcu pani Melissa się rozluźniła, usiadła w fotelu i sięgnęła po odstawiony kieliszek.

– Jesteśmy pokojowymi Ich Wysokości – przyznała. – Nie byle służkami, piastujemy dość ważne funkcje dworskie, mamy dostęp do najważniejszych ludzi z otoczenia króla, a zatem także do wszystkich tajemnic. Ma waszmość rację, żadna hrabina nie poniżyłaby się daniem lekcji za pieniądze, nawet jeśli miałaby umrzeć z głodu. My jednak wiemy więcej niż niejedna hrabina. Obserwujemy życie na dworze, pozostając niezauważone. Znamy sekrety, o jakich damy dworu nie mają pojęcia. Rozmawia się przy nas, jak byśmy nie istnieli, ale my wszystko obserwujemy, zapamiętujemy, analizujemy.

– Uważam, że na temat etykiety wiemy nie mniej niż damy z towarzystwa – madame Christine dodała z godnością. – Potrafimy posługiwać się francuskim takim, jakiego używają wyższe sfery, znamy relacje i zwyczaje panujące wśród arystokracji. Widziałyśmy wiele intryg, skandali, romansów i zrad.

– Co zaś się tyczy *ars amandi*... – Melissa teatralnie zawiesiła głos, po czym przesunęła językiem po pulchnych wargach w geście tak zmysłowym i wulgarnym jednocześnie, że Ignacy poczuł gorąco. – Myślę, że możemy wiele

nauczyć waszmościa podopieczne. A właśnie, może je zobaczymy, zanim przejdziemy do omawiania sprawy finansowej naszych usług?

– Dobrze, przejdźmy zatem do rzeczy, zapraszam tędy. – Ignacy wykonał gest mogący uchodzić za ukłon.

Kapral Pusty stał na szeroko rozstawionych nogach, uginając lekko kolana. Ubrany był jedynie w spodnie i koszulę, mimo że kwiecień nie rozpieszczał ciepłą pogodą i w ogrodzie za dworkiem było zwyczajnie zimno. Stary wojak nie zwracał uwagi na aurę, był rozgrzany ćwiczeniami niczym chlebowy piec. W uniesionej ręce trzymał skierowany ostrzem w dół rapier, w drugiej, opuszczonej wzdłuż ciała, dzierżył długi sztylet. Panny Sobolewskie rozdzieliły się i ostrożnie obchodziły go, jedna z jednej strony, druga z drugiej. Miały na sobie spódnice i kubraki podbite kożuszkami, każda uzbrojona była w szpadę o pozbawionej ozdób rękojeści. Pusty kręcił głową, starając się żadnej nie spuścić z oka, stał jednak nieruchomo, czekając na atak.

– Nie powinnyście długo zwlekać – powiedział. – Mając przewagę liczebną, należy ją wykorzystać, zanim nieprzyjaciel zareaguje, zbiegnie lub okopie się na pozycjach.

– Ten nieprzyjaciel nigdzie nam nie zbiegnie, okopać się też nie ma jak – Frania zauważyła bez namysłu.

– Za to możemy wykorzystać element zastraszenia, zasiał w nim strach i zwątpienie – Cecylia dodała roztropnie. – Jak się czujesz, kiedy wokół ciebie krążą dwie wilczyce z wyszczerzonymi kłami? Wyobrażasz już sobie, jak nasze szpady dziurawią twoją skórę? Zastanawiasz się, z której strony zaatakujemy, która zrobi to jako pierwsza...

Pusty nie odpowiedział, ruszył bez słowa na dziewczynę, zadając pchnięcie rapierem wprost w jej twarz. Nie sparowała ciosu, po prostu wygięła się w tył, ostrze tylko przecięło powietrze przed jej nosem. W tej samej chwili na plecy Pustego spadła Frania, kłując wściekle kolejnymi, szybkimi jak błyskawica pchnięciami. Pusty odbijał je rozpaczliwie sztyletem i rapierem, obracając się wokół własnej osi niczym kręcący się bąk. Cecylia bowiem dołączyła do ataku siostry i obie dźgały go bez zmiłowania, i to z dwóch stron.

– Niczym wściekle kotki – szepnęła madame Melissa przyglądająca się tej scenie przez otwarte drzwi werandy, przez które przeprowadził je Ignacy. –

Zaraz rozedrą tego nieszczęśnika pazurkami na strzępy.

– Ładnie zbudowane, choć prezentują nieco inne typy urody – madame Christine zauważyła chłodno. – Wyższa jest szczuplejsza, wąskie biodra, niewielkie piersi. Za to ładna buzia z dużymi oczami, to twarz powinna eksponować i uwodzić kawalerów minami, spojrzeniem, uśmiechem. Mniejsza jest bardziej zaokrąglona, biust jej z pewnością jeszcze urośnie. Kiedy w pełni rozkwitnie, stanie się nadzwyczaj zmysłowa. Ona będzie mogła bardziej pracować ciałem niż siostra.

Kapral Pusty niespodziewanie z defensywy przeszedł do ataku. Nie bawił się jednak w eleganckie piruety ani szermiercze sztuczki, po prostu kopnął Cecylię w gołe nogi. Dziewczyna jęknęła z bólu i się zachwiała, a wówczas uderzeniem w ostrze wytrącił jej broń z ręki. Obrócił się i uderzył barkiem Franię, po prostu impetem zwalając ją z nóg. Padła na plecy, wcześniej szorując tyłkiem po tłuczniu, którym wysypano ścieżkę w parku.

– Obie muszą się jeszcze wiele nauczyć – stwierdziła Melissa, po czym zaczęła klaskać i weszła do ogrodu. – Witajcie, moje miłe!

Panny akurat zajęte były własnym bólem i cierpieniem z upokorzenia, a pojawienie się dwóch dam mówiących po francusku dodatkowo je wytrąciło z równowagi. Nie odpowiedziały przez to na powitanie, Frania nadal leżała na ziemi, Cecylia zaś klęczała i masowała nogę ze zboląłą miną. Pusty stanął w nonszalanckiej pozie, uśmiechnął się z samozadowoleniem do nadchodzących i oparł rapier o ramię.

– Rozumiecie po francusku? Ponoć trochę rozumiecie – Christine zwróciła się do nich bez wstępów. – Macie mnie tytułować madame de Damas, a moją towarzyszkę madame Leclerc. Uległyśmy prośbie waszego stryja i zgodziłyśmy się uczyć was języka francuskiego, manier, dworskich konwersacji, tańca i innych sztuk przydatnych w towarzystwie. Zaczniemy czym prędzej, właściwie od razu. Po pierwsze dama, czy też, mówiąc dosadnie, kobieta na poziomie, nie pozwala się publicznie poniżyć. Jeśli już doszło do publicznego upokorzenia, należy wybrnąć z niego z elegancją. Można udać, że nic się nie stało, zbagatelizować sprawę i zupełnie zignorować osobę, która nas poniżyła. Wytrąca się jej w ten sposób atuty z ręki i po tym można przejąć inicjatywę. Można też obrócić sprawę w żart, zakpić z siebie samej, co wymaga odwagi i pewnych umiejętności komicznych...

- Zawsze można też zemdleć - Melissa dodała - ale to oczywiście zależy od okoliczności. I czy jest komu osunąć się w ramiona, bo upadek na zimną posadzkę może być bolesny. Omdlenia ciągle są modne, choć niektóre damy ich nadużywają.

- No, moje panny, zademonstrujcie, jak wypadałoby w sposób wdzięczny i naturalny pozierać się po takiej treningowej porażce. Proszę bardzo! - Teraz Christine klasnęła w dłonie, tyle że ponagląco.

Cecylia zacisnęła zęby. Po co stryj je przyprowadził? Dopiero co się pojawiły, a już ją doprowadzały do szału. Wiedziała jednak, że lepiej panować nad emocjami. Nie było powodu, by drażnić stryja, który potrafił być nieprzyjemny, szczególnie kiedy wypił i popadał w ponury nastrój. Wyprostowała się gwałtownie, otrzępała spódnicę i uśmiechnęła łagodnie, po czym dygnęła grzecznie i skromnie złożyła ręce na podolku. Frania zerknęła z ukosa na siostrę, wstała i nie przejmując się brudnym odzieniem, podniosła szpadę, zasalutowała nią Pustemu, po czym wykonała przed nim męski ukłon, choć nie miała kapelusza, którym by mogła zamiatać ziemię.

- Dziękuję, kapralu, za cenną, choć bolesną lekcję - powiedziała po polsku. - Zrozumiałam dzięki niej, że podczas walki nie ma się co spodziewać po przeciwniku uczciwości i przestrzegania zasad honorowych.

- Dobrze rozumiałaś - przyznał Pusty, po czym splunął w trawę. - Walka to nie taniec dworski, tu idzie o życie. Żeby przetrwać, trzeba wykorzystać każdą przewagę i każdą okazję. Nie ma czegoś takiego jak uczciwa walka.

Damy przyglądały się pannom przez chwilę.

- Obie ładnie się zachowały - Christine przyznała. - Wysoka jest bardziej dystyngowana i naturalnie elegancka, mała za to sprytna i bezczelna. Obie zaś z całą pewnością mają kręgosłup, myślę, że jest w czym pracować. Co ty na to, Melisso?

- Podobają mi się. Mości Sobolewski, przyjmujemy tę pracę. - Kiwnęła głową Ignacemu.

Kapitan patrzył to na Cecylię, to na Franię. Różniły się, ale obie robiły się coraz bardziej podobne do swojej matki. Poczuł dziwne drapanie w gardle i coś, co dopadało go jedynie po pijanemu, przejmującą rzewność. Skinął zatem tylko głową i czym prędzej wszedł z powrotem do domu.

Półtora roku zajęło Ignacemu stworzenie nowej, fałszywej tożsamości. Wiązało się to z mozolnym zabieganiem o to, by nawiązać znajomości, wkupić się w łaski osób dość wpływowych i mających koneksje wśród arystokracji. Kosztowało to kapitana sporo grosza i zachodu, ale nie żałował brzęczących monet, zarówno na utworzenie wizerunku odpowiednio majątnego, jak i na prezenty oraz szczodre gesty wobec nowych przyjaciół. W pierwszym pomagał mu Giovanni, który najpierw zaprowadził kapitana do krawca i sklepu bławatnego, gdzie zamówili potrzebne cudzoziemskie stroje. Ważne bowiem było zadbanie o wizerunek. Kapitan Sobolewski nazywał się teraz Andrzej Siferdus vel Barcik. Jego alter ego było podróżnikiem, wychowanym w rodzinnym zamku w Transylwanii. Ojciec Andrzeja pochodził z siedmiogrodzkiej szlachty, matka zaś była Polką z Rusi Czerwonej. To ona zaszczepiła w nim polskość i dzięki niej tak świetnie mówił w rodzimym języku matki. Mieszane pochodzenie tłumaczyło też brak znajomości i rodzinnych koneksji w Warszawie. Młodość Andrzej Siferdus spędził na dalekich podróżach po świecie, aż postanowił się usatkwować i powrócić do kraju dziadów. Wieloletnią nieobecność próbował teraz nadrobić, uparczywie bywając na salonach.

Ubrany w elegancki, ciemny frak o kroju francuskim, pasiastą kamizelkę, w pluszowym, angielskim cylindrze na głowie budził szczerze zainteresowanie, szczególnie wśród dam. Ostatecznie, po kilkumiesięcznych wysiłkach, które kosztowały go sporo cierpliwości i balansowania na granicy wybuchu z trudem tłumionej furii, udało mu się wejść do prawdziwych pałaców. Poznał samą księżną Izabelę Czartoryską, kuzynkę i kochankę króla Stanisława Augusta, jej córkę Marię Wirtemberską, księżną Ludwikę Radziwiłłową, Konstancję Tyszkiewiczową, księżną Krescencję Sanguszko oraz wiele innym dam. Szczególnie te zaawansowane wiekiem niezwykle się interesowały szalenie przystojnym, choć surowym i srogim mości Siferdusem. Od razu stał się obiektem westchnień starych panien i znudzonych mężatek, szukających nowych kochanków. Korciło go, by porwać do łóżka którąś z damulek, choćby z czystej ciekawości, co też za uniesienia oferują wielkie damy. Uznał jednak, że woli usługi dziwek z karczmy Syrena, gdzie nadal bywał, choć raczej od święta. Zofia Kabała nie żywiła już do niego i do jego bratanicy urazy, zatrudniła też kilka młodych i pełnych wigoru dziewcząt, w których ramionach kapitan z radością mógł zaspokajać chucie.

Giovanni, udający margrabiego von Girattini, nie miał takich oporów, szybko wszedł w bliższą znajomość z Anną Tyszkiewiczówną, ale Ignacy natychmiast kazał mu zakończyć romans. Nie chciał wywołać skandalu i zwrócić za bardzo na siebie uwagi osób wpływowych. Przez jakiś czas wystarczyło mu, że bywał na salonach, poznawał nowe osoby, słuchał i grzecznie ze wszystkimi rozmawiał, opowiadając z oporami i niechęcią o swoich podróżach. Jego stonowanie i brak zacięcia gawędziarza czasem brano za wystudiowaną pozę. Uznano, że mości Siferdus udaje trochę dandysa i chce uchodzić za tajemniczego. Jeszcze bardziej to rozpałiło zainteresowanie dam jego osobą. Nad wyraz kochliwa księżna Izabela Czartoryska zaprosiła go w końcu na wizytę do swego pałacu w Puławach, zwanego Polskimi Atenami. Oczywiście pod nieobecność księcia Czartoryskiego, który zresztą i tak nic nie miał przeciw miłośkom żony i usynawiał wszystkie jej dzieci, choć sam był ojcem jedynie pierworodnego. Ignacy się zawahał, bo romans z tą damą mógłby mu otworzyć wiele drzwi na kolejne arystokratyczne salony. Izabela miała co prawda pięćdziesiąt sześć lat, ale nadal była dość kobieca, a nawet ponętna. Podziękował jednak za zaproszenie, bo w czasie spaceru po Ogrodzie Saskim została mu przedstawiona hrabina Teresa Chodkiewicz. To zmieniło wiele.

Dama, o której już wszak wiele słyszał, i to nawet od własnych bratanic, okazała się prawdziwą pięknoscią, otoczoną przez kilku adoratorów i panny, które starały się jej przypodobać. Kiedy całował jej dłoń, zastanawiał się, czy właśnie tymi rączkami osobiście nasączała chusteczki arsenikiem. I co myślała, podarowując je Cecylii i Franciszce? Ktoś ją do tego namówił, może zmusił? Ignacy jednak nie starał się jej ze wszystkich sił przypodobać, nadal pozostawał zdystansowanym i chłodnym mości Siferdusem, choć zdobył się na kilka komplementów, sygnalizując, że jest nią zainteresowany. Odchodząc, wsunęła mu w dłoń bilecik z adresem. Było to jawne zaproszenie do schadzki, nie musiał nawet konsultować tego z Giovannim.

– Szybka jest, nie marnuje czasu – przyznał mediolańczyk. – Ale idąc tam, wejdiesz do źmijowiska. Musisz się mieć na baczności i nie nadepnąć na ogon żmii.

– Będę ostrożny – Ignacy odparł z powagą. – Poza tym nie odgrywam tego przedstawienia jedynie dla rozrywki.

Zgodnie z godziną zapisaną na odwrocie bilecika zjawił się o godzinie ósmej wieczorem w letnim dworku myśliwskim znajdującym się za miastem, kawałek

za Mon Coteau, wielką i imponującą rezydencją ogrodową księżnej Lubomirskiej¹. Za tą posiadłością, coraz częściej zwaną przez mieszczan Mokotowem, zaczynały się obszary wiejskie, upstrzone letnimi rezydencjami jaśniepaństwa z Warszawy, gdzie można było wygodnie spędzać upały lub odbywać schadzki z dala od wścibskich spojrzeń. Ignacy przyjechał tu wierzchem, z Giovannim jako przybocznym. Do pałacyku wszedł jednak sam, odprawiając kompana z końmi z powrotem do Warszawy.

– Oto mój szalenie przystojny Transylwańczyk, wampirzy książe o szatańskim nazwisku, mości Siferdus! – Teresa powitała go ubrana w podomkę z przezroczystego muślinu, pod którym widać było jej nagie ramiona.

Przyjęła go w salonie z kominkiem, w którym trzaskały płonące polana. Jedynym oświetleniem pomieszczenia były ognie z paleniska i dwie lub trzy świece na stoliku. Podłogę wyściełano futrami zwierząt – niedźwiedzi, jeleni i wilków, na ścianie wisiało poroże i skrzyżowane fuzje myśliwskie. Mebli nie było żadnych, ale okazało się, że te są niepotrzebne. Teresa podała mu kielich wina i usiadła na wilczym futrze. Nie pozostało mu nic innego, jak uklęknąć, a po chwili usiąść obok. Służka, która go wpuściła do środka, przyniosła półmisek ze słodkimi ciasteczkami i orzechami w miodzie, po czym znikła.

– Zaprosiła mnie pani, by karmić słodkościami? – spytał.

– Oczywiście – hrabina odparła bez mrugnięcia. – Będę panu podawała słodycze do ust, a pan opowie mi o życiu w Transylwanii, górzystej, surowej krainie, gdzie kiedyś władał książe Wład Palownik zwany Drakulą. Chcę słuchać o ponurych zamczyskach, pełnych nietoperzy i grozy, o straszliwych wydarzeniach, wrzaskach torturowanych i potępionych, niosących się nocami po oświetlonych blaskiem księżycy srebrnych dolinach. Przede wszystkim zaś o zwyczaju polegającym na picciu ludzkiej krwi. Ponoć Elżbieta Batory kąpała się w krwi dziewczic, by zachować młodość. Szlachta z Transylwanii zna jednak jeszcze bardziej przerażające i okrutne zwyczaje. Zadawanie cierpienia może sprawiać rozkosz, kąsanie i duszenie kochanki podczas uprawiania miłości to ponoć u was coś zwykłego. Czy to prawda?

Mówiąc, przysunęła się ku niemu. Siedziała bokiem, z ugiętymi nogami i podpierając się jedną ręką, bo w drugiej trzymała kielich. Jej przezroczysta podomka rozchyliła się i oczom Ignacego ukazał się nagi biust hrabiny. Pod muślinem nosiła jedynie naszyjnik z drobnych pereł, skrzących się

w płomieniach z kominka. Widział jej szeroko otwarte oczy, coraz bliżej i coraz większe. Patrzył na rozchylone usta, zabarwione na krwistą czerwień pomadką, czuł zapach drogich perfum, pudru, ale i gorącego ciała, potu, czegoś więcej, od czego zaczął drżeć w środku. Zapach kobiety. Niby nic nadzwyczajnego, ale pomiędzy hrabiną a dziwkami Zochoy z Powiśla ziała przepaść tak wielka, że nie sposób było je nawet porównywać. Ignacy nie pamiętał, kiedy po raz ostatni czuł takie podniecenie i pożądanie.

Pamiętam, pomyślał. Maria, wiele lat temu. Zaraz po wyjściu z rzeki. Kiedy razem leżeliśmy w trawie, ogrzewani słońcem i własnym pożądaniem, mokrzy i rozpaleni.

Niespodziewanie wrócił do niego obraz pięknej Marii, młodej i tak ponętnej jak żadna kobieta później. Miał ją tam wówczas i kochał z całego serca. Był przekonany, że zostaną już na zawsze razem, że się nigdy nie rozstaną. I nic z tego nie wyszło. Zepsuł wszystko, wystarczyło w kłótni powiedzieć kilka słów za dużo, w złości podnieść na nią rękę, uderzyć w twarz, by odwróciła się i odeszła. Nie spodziewał się, że własny brat wykorzysta sytuację i mu ją zagarnie.

– Wszystko w porządku, Siferdusie? Czy może po prostu Andrzej? Jak wolisz? – Usta Teresy były już o cal lub dwa od jego ust. – Zdaje mi się, że nagle coś się stało, że się odsunąłeś.

– Stara rana – powiedział, łapiąc się na tym, że głos ma chrapliwy i drżący z podniecenia. – Zadał mi ją w pojedynku jeden francuski oficer. Ostrze jego szabli zatrzymało się na moim biodrze i czasem ono doskwiera. Nic poważnego, drobiazg.

– Pozwól, umiem rozmasować podobne kontuzje – szepnęła i położyła dłoń na jego udzie. – Wiem, jak zrobić, byś zapomniał o cierpieniu. W zamian chcę, byś mi pokazał, jak się kochają wampiry z Transylwanii.

Wczepiła się w niego ustami, jakby nie mogła się doczekać, kiedy on się w końcu zdecyduje, by ją posiąść. Objął ją jedną ręką, drugą złapał za pierś, mocno i brutalnie. Po chwili jeździł językiem po jej szyi, zacisnął lekko zęby na małżowinie ucha. Westchnęła, odchyliła się w tył, dając mu dostęp do szyi. Wiedział, czego oczekuje, więc zacisnął niezbyt mocno dłoń na tym białym i delikatnym gardle, po czym pchnął hrabinę i brutalnym szarpnięciem zerwał z niej podomkę. Zaczepił ręką o sznur pereł i zerwał go niechcący, klejnociki rozsypały się po wilczej skórze. Teraz już nie wzdychała, za to miauknęła

niczym kotka, wijąc się po futrze, wśród pereł. Sięgnęła do krocza Ignacego i na oślep rozsznurowała mu rzemienie spodni, jednocześnie całując go w usta. Znów ją pchnął, a kiedy upadła na plecy, docisnął ją do podłogi, uciskając krtań, po czym wszedł w nią mocno i brutalnie.

Obudziło go gorąco bijące od wtulonego w niego ciała hrabiny. Był środek nocy, może bliżej świtu, w kominku już niemal całkiem wygasło, ale we dworku było ciepło i parno jak w łaźni. Może to ciepłe futra wilcze i niedźwiedzie, może krew gorąca miłością jeszcze krążyła w żyłach Ignacego, ale poczuł się jak rak wrzucony do gara z wrzącą wodą. Nie przywykł, by kobieta otulała go i grzała miękkim, pachnącym ciałem. Zaszło mu w gardle, odsunął zatem Teresę najdelikatniej, jak potrafił, po czym na czworaka dotarł do tacy z ciastkami, obok której stał dzban wina. Wychylił duszkiem kilka łyków, nie kłopotząc się nalewaniem do kielicha.

– Mnie też daj – Teresa zachrypiała.

Pomasowała się po obolalej szyi, podduszanie miłosne rzeczywiście było ciekawym doznaniem, ale czuła, że wygląda przez to jak niedoszły wisielec. Będzie musiała nosić jakiś czas apaszki, by ukryć zasinienie na szyi. Uśmiechnęła się jednak do kochanka, podobał się jej, był inny od wymoczków i salonowych piesków, z którymi ostatnimi czasy się zadawała. Silny, żyłasty i twardy jak wypalony na słońcu rzemień. Nie bawił się w delikatne pieszczoły, tak jak sobie wymarzyła, zerznął ją brutalnie, niemal wbił w podłogę. Czuła, że wewnątrz ud też ma posiniaczone i pościerane. W odwecie zostawiła mu na plecach czerwone pręgi po paznokciach.

– Czuję się, jakbym spędziła noc z prawdziwym diabłem, Siferdusie – powiedziała, po czym napiła się też bezpośrednio z dzbana.

Wino popłynęło jej z kącików ust po szyi i spłynęło strużkami czerwieni na piersi. Ignacy warknął niczym wilk, który złapał trop, po czym oblizał się ze smakiem. Spojrzała na jego krocze i widząc, że znów nabiera na nią ochoty, rozsunęła nogi.

– Widok krwi... Też cię podnieca?

– Chyba tak... Choć raczej nie o samą krew mi chodzi. Mogę cię tak dręczyć i torturować choćby co noc, Tereso – odparł. – Nie wiem tylko, czy długo by cię to cieszyło.

- Sprawdźmy zatem. Tylko nie bądź już tak gwałtowny. Wiem, że potrafisz okazać czułość, nie spałam, kiedy przesuwaleś mnie delikatnie, jakbym była z porcelany. Kochaj mnie, tylko powiedz, co chcesz w zamian. Mam cię bić, drapać, kąsać?

Ignacy delikatnie, czubkiem języka, zlizął strużkę wina z jej piersi.

- Wprowadź mnie do rytu - powiedział. - Wiem, że należysz do loży adopcyjnej dla dam. Chcę się przyłączyć do stowarzyszenia, jak już zapewne spostrzegłaś, z całą pewnością na to zasługuję. Możesz mnie polecić, być moim wprowadzającym. Chyba zasługuję na zaufanie? Nie uważasz, że bym się wam przydał?

Pogładziła go po twardym ramieniu, uśmiechając się i mrużąc podejrzliwie oczy. Czyżby ją uwiódł, by wykorzystać jej koneksje? Nie, przecież to ona go wybrała i po prostu wciągnęła do łóża. Miała go w garści, należał tylko do niej. Będzie robił, co mu każe, i jeszcze podziękuje. Dlaczego nie jako członek loży? Przecież i tak będzie miał niższy stopień wtajemniczenia, w niczym jej nie zagrozi, wręcz przeciwnie, tylko umocni jej pozycję.

- Zobaczymy - jęknęła. - Pomyślę o tym jutro.

Po czym złapała go za włosy i delikatnie pchnęła jego głowę między swoje nogi.

Ignacy zgodził się udostępnić francuskim guwernantkom powóz wraz z woźnicą, i to do dowolnego użytku, wedle uznania. Nie ingerował w sposób nauczania francuskiego i manier, uznał, że pozwoli damom robić, co uważają za stosowne, płacił im naprawdę godnie i liczył, że wywiążą się z umowy jak najlepiej. Zatrudnił do pomocy w gospodarstwie dwóch parobków i jeden z nich został wydelegowany do funkcji stajennego i woźnicy. Jasiak był roslym młodzieńcem, choć mocno chuderlawym i dosyć słabowitym przez choroby, które przeszedł w dzieciństwie. Nadawał się jednak do prostych prac, dobrze też sobie radził z końmi, zatem zgodnie z poleceniem pań chętnie zaprzągnął dwie kobyłki do koczka i usadowił się na zydlu. Gotów był wozić panie, gdzie sobie tylko zażyczą. Melissa, za pośrednictwem Frani, bo sama po polsku nie nauczyła się jeszcze ani słowa, kazała mu pojechać nad wodę, a konkretnie do łaźni znajdujących się nad brzegiem Wisły. Na dworze króla Ludwika mówiło się o tym przybytku, niezwykle ciekawym, i damy postanowiły go zobaczyć,

a nawet skorzystać z usług, jakie tam oferowano. Była to bowiem jedyna w Warszawie publiczna łaźnia z prawdziwego zdarzenia. Co prawda w mieście istniały mykwy, ale zbudowali je i używali wyłącznie Żydzi do rytualnego obmywania się zimną wodą i te małe łaźnie religijne pozbawione były wszelkich wygód.

– Ale po cóż mamy się myć u kogoś w domu? – Cecylia się zdziwiła. – Zdaje mi się to czymś nieobyčajnym. Nie wystarczy, że korzystamy z miski i mydła, które mamy w pokoju? Pełnej kąpieli zażywałyśmy zaś nie dalej jak kilka tygodni temu...

– To trochę jak u nas – przyznała Melissa. – Mycie w niektórych sferach nadal uchodzi za coś wstydliwego, niepotrzebnego i niezdrowego. Przynajmniej tak powszechnie uważano jeszcze do niedawna, przez co smrodu panującego w Wersalu nie sposób było opisać. I to smrodu bijącego od ludzi wytwornych, światowych, bywałych. Gdyby nie perfumy i pachnące pudry, można by paść trupem od miazmatów wydobywających się spod sukien dam i spod kubraków wielkich panów. To się jednak powoli zmienia, coraz modniejsze są wzorce pochodzące z Bliskiego Wschodu. W imperium osmańskim łaźnie są na każdym kroku, w najbiedniejszych nawet wioskach, i wszyscy powszechnie z nich korzystają. Muzułmanie przez to nie tylko nie śmierdzą, ale i nie chorują tak bardzo, szczególnie na choroby skóry, egzemy, liszaje, owrzodzenia. Doktorzy francuscy twierdzą, że może być to związane właśnie z utrzymywaniem skóry i ubrań w czystości.

– Niebывała i naciągana teoria, którą podważa wielu lekarzy – wtrąciła Christine, wydymając usta w grymasie niechęci i zwątpienia. – Wymoczenie się w wodzie jednak nie powinno okazać się szkodliwe, o ile ta woda jest gorąca i później nie dopuścimy do wychłodzenia organizmu. Mniejsza z tym, proszę mi zademonstrować, jak należy wypowiadać ćwiczebne kwestie z odpowiednią, zalotno-erotyczną intonacją. Panna Cecylia pierwsza.

Powóz kołysał się i podrygiwał na warszawskim bruku, poza tym we cztery było im dość ciasno na dwóch ławeczkach, ale Cecylia wiedziała, że się nie wymiga. Uniosła rękę z wachlarzykiem, by mieć czym gestykulować.

– A które to były kwestie? – zawahała się, bo mimo wszystko zrobiło się jej głupio.

– Z wszelkich sił... – Frania podpowiedziała jej po polsku.

– *De toutes les forces...* – Cecylia westchnęła, robiąc cielece oczy.

– Z całego twego serca... – Frania szeptała dalej.

– *De tout ton coeur...* – Cecylia wypięła zalotnie niestety dość mikrą pierś.

– Z twej duszy.

– *De ton ame.*

– Będziesz mnie kochał!

– *Tu m'aimeras!* – Cecylia obniżyła głos, by stał się jak najbardziej zmysłowy.

– Źle! Błąd za błędem. – Christine wyrwała jej złożony wachlarzyk i uderzyła nim w ramię dziewczyny. – Dobry akcent, piękne, gardłowe „r”, ale fatalna praca ciała, zbyt płytki oddech, brak uczucia, namiętności, zachęty, obietnicy. Żaden mężczyzna się na to nie nabierze.

– Nabierze, oczywiście, że wielu da się złapać. – Melissa wyjęła wachlarzyk z ręki przyjaciółki i oddała Cecylii. – Trzeba Cécilii pochwalić, bo się stara. Wszystkie potrzebujemy cierpliwości, zaangażowania. Jak mawiają mądrzejsi, praktyka czyni mistrza. Wszystko przyjdzie z czasem, same zobaczycie.

– Trochę się krępuję – przyznała dziewczyna.

– Masz niemal piętnaście lat, jesteś już kobietą. Wiele twoich rówieśniczek miało już tuziny kochanków, są mężatkami, piastują dzieci – Christine prychnęła. – Jeśli mamy z was zrobić damy z towarzystwa, musicie się przestać wstydzić, krygować, pozować na święte.

Zapadła cisza, Jasiek siedzący na koźle zaczął gwizdać jakąś melodyjkę. Musiał ściągnąć lejce, by zrobić miejsce maszerującym pruskim piechurom, którzy groźnie łypali na boki, mimo że warszawiacy ich ignorowali. Melissa skinęła Frani, by pokazała, jak przemawiać do mężczyzny, by ten rozgrzał się do czerwoności.

– Nie uważa pan, że piękną dziś mamy pogodę? Wiosna rozkwitła słońcem i barwami. Wszystko, co żyje, lgnie do siebie, ogarnięte istic zwierzęcym szalem miłości – mówiąc, Frania wygięła się, opierając niby niedbale o Christine. Zaglądała jej przy tym głęboko w oczy, nie zapomniała też o oddechu, rozchyleniu ust i przekrzywianiu głowy.

Madame Christine pokiwała głową z aprobatą.

– Podoba mi się to mrużenie oczu. Półprzymknięte powieki pozorują senność, stan błogości. Ta z kolei może mieć podłoże erotyczne – przyznała. – Dobra improwizacja głupotek o wiośnie. Wiesz już zatem, że właściwie w każdy temat można wpleść jakieś podteksty zalotne, miłosne zachęty i nawiązania zdecydowanie uwodzicielskie.

– Uch, czy cały świat kręci się wokół tego? – Frania westchnęła.

– Tak, wokół chędożenia i pieniędzy – Melissa przyznała kategorycznie. – To tak naprawdę fundamenty władzy i podwaliny cywilizacji. To właśnie te dwie rzeczy pchają świat do przodu. Pieniądze to władza, a miłość z kolei może zapewnić władzę nad władcami. Każda z nas powinna nauczyć się wykorzystywać swoje walory, by ugrać jak najwięcej, zanim młodość i uroda przeminają. Wasz stryj to rozumie, dlatego zatrudnił nas i oddał waszą dwojkę w nasze ręce.

Cecylia nie odezwała się od razu, odwróciła głowę i wówczas jej spojrzenie padło na parę dziewcząt idących po drewnianym chodniku. Obie były bose, ubrane w kiecki o dołach postrzępionych i brunatnych od zaschniętego błota. Twarze miały zapadnięte i smutne, wychudzone, zapewne od głodu i wycieńczenia ciężką robotą. Na plecach niosły wiklinowe kosze pełne brukwi, rzepy i marchwi. Być może wędrowały z tym na targ lub z niego wracały. Zapewne obie były w wieku zbliżonym do wieku Cecylii i Frani, wyglądały jednak zdecydowanie starzej, widać po nich było zmęczenie życiem, nadmierne zużycie. One raczej nie marzyły o miłości i władzy, a jedynie o tym, by napęłnić czymś brzuchy i odpocząć. Panna Sobolewska zdawała sobie sprawę, że niewiele je dzieliło, niewiele brakowało, a sama by tak harowała, za kawałek czarnego chleba i dach nad głową. Czymże przy ich cierpieniu było to, co ona z siostrą przechodziły? Musiały tylko wdzięcznie się uśmiechać i kręcić zadkiem, by nigdy nie zaznać głodu i lęku o przyszłość. Miały zatem dużo szczęścia.

– Myślę, że szybko opanujemy sztukę zalotów – powiedziała ze zdecydowaniem. – Szermierka idzie nam ponoć świetnie, to i z tym damy sobie radę.

Melissa uśmiechnęła się do niej z zadowoleniem. Czym większe panny będą robiły postępy, tym więcej uda się wyciągnąć złota od ich stryja. I wszyscy będą zadowoleni.

Jasiek zastukał pięścią, w swoim mniemaniu dyskretnie, w budę karety na znak, że dotarli na miejsce. Zjechali nad samą Wisłę, na ulicę Dobrą, gdzie w kwadracie między Bednarską i rzeką kasztelan sochaczewski, mości Jacek Jezierski, zbudował słynny przybytek – solidnych rozmiarów jednopiętrową

i rozłożystą kamienicę. Postawił ją na gruncie właściwie wydartym rzece, bo specjalnie na jego życzenie usypanym i utwardzonym. Kiedy powóz zatrzymał się przed głównym wejściem, podróżujące nim damy ujrzały fasadę udekorowaną płaskorzeźbami i ornamentami w kamieniu, co miało udawać wejście do eleganckiego pałacu. Nie był to jednak budynek klasycystyczny, a raczej niezwykle nowoczesny. Kasztelan Jezierski miał jednak ambicje, by łącznie uczynić wspaniałą, przynajmniej wedle swojego gustu.

– Co znaczy ten napis kuty w kamieniu nad wejściem? – spytała Christine.

– To rym, widocznie właściciel ma dość specyficzne poczucie humoru i smaku – wyjaśniła Cecylia, po czym przetłumaczyła na francuski: – „Sprawiedliwego króla są skutki rządu, że tam teraz są domy, gdzie nie było ładu...”.

– Mnie się podoba – Frania oświadczyła i dodała z entuzjazmem: – To co, idziemy zwiedzać?

Damy powstrzymały jej zapał, upominając, by obie siostry nie brykały jak źrebęta, tylko zawsze zachowywały się godnie. Poczekwały zatem, aż Jasiek zwlecze się z zydła i rozłoży schodki, by panie mogły wysiąść, jakby wysiadały na dziedzińcu przed Wersalem. Najpierw zeszyły po schodkach młodsze, czyli siostry Sobolewskie, później ich nauczycielki. Wówczas już czekało dwóch lokajów, którzy wyszli z łaźni, gotowi powitać jakże znamienitych gości. Klienci zazwyczaj nie zajeżdżali z pompą, często przychodzili piechotą. Pojawił się też majordomus, starszy jegomość w liberii z żabotem, który pełnił funkcję gospodarza. Kłaniał się, wymachując chusteczką i zapraszając do środka.

– Oferujemy wszelkie usługi łaźnie – oznajmił, kiedy weszli do przestronnej sieni, gdzie znajdowały się fotele przeznaczone dla oczekujących na owe usługi. – Całe piętro naszego gmachu wypełniają gabinety odnowy higienicznej. W zależności od życzenia klienta z jedną lub dwiema wannami. Mamy też jedną wannę kilkuosobową. Do tego w pomieszczeniach są szezlongi do odpoczynku po kąpieli oraz przyjmowania masażu. To ostatnie to nowość z Dalekiego Wschodu! Serdecznie namawiam, za niewielką opłatą zaznać można poruszenia wszelkich mięśni, które ma działanie leczniczo-odmładzające. Paniom zaproponowałbym usługi naszych masażystów płci męskiej...

– Obejdzcie się bez masażu, chcemy za to dużą wannę i dużo gorącej wody – Christine oznajmiła zdecydowanie.

- Cztery złote polskie od osoby kosztuje zwykły gabinet, za ten z powiększonym zbiornikiem, zatem bardziej ekskluzywny, muszę poprosić o pięć złotych. W cenie oczywiście znajduje się także stosowna bielizna, ręczniki, ponadto usługa czyszczenia odzienia. – Majordomus, gadając, nadal się zginał w ukłonach. Jako że był dość wiekowy, Cecylia zaczęła się obawiać, że lada chwila wyskoczy mu dysk i staruszek zostanie zgięty wpół.

Po paru minutach dalszych wymian grzeczności oraz zapłacie, którą zainkasowano z góry, znalazły się w swoim gabinecie. Pomieszczenie rzeczywiście było przestronne i dobrze oświetlone lampami. Wokół wielkiej owalnej wanny umieszczono wygodne leżanki, pod ścianą zaś stały parawany, mające służyć za przebieralnie. Dwie pokojówki przyniosły naręczą czystych ręczników, szlafroki, a nawet pantofelki. Ściany dekorowały malowidła przedstawiające Wisłę i wynurzające się z niej obnażone syreny, majaczące w oddali żagle łodzi rybackich i gęstwinę drzew na drugim brzegu. Największe wrażenie wywarło jednak na dziewczętach to, że w pomieszczeniu nie ma pieca, a mimo to jest w nim ciepło, a nawet parno. Okazało się, że to przez przebiegające wzdłuż ścian rury. W jednej płynęła gorąca woda, działając jak grzejnik. Madame Christine odkręciła kran z tą wodą i wielka wanna zaczęła się napełniać parującą obficie cieczą. Niezwykła nowoczesność i wygoda zrobiły wielkie wrażenie na dziewczętach. Kto to widział, by w całym domu w rurach płynęła woda?

- Teraz lekcja, patrzcie uważnie! – oświadczyła dobitnie madame Melissa i ku zaskoczeniu dziewcząt zaczęła się rozbierać.

Obróciła się do nich bokiem i puszczając zalotne spojrzenia, zrzuciła na podłogę płaszczyk, właściwie zsunął się po jej ciele, jakby spływał. To był dopiero początek, Melissa wydobyła się bowiem z sukni z gracją niczym Wenus wynurzająca się z morskiej piany. Wzdychała, oblizywała wargi i kręciła zadkiem, rozsznurowując wstążki kształciczka. Następnie odwróciła się niby wstydliwie i zrzuciła górną część bielizny, natychmiast skromnie zasłaniając piersi. Jednak tylko na chwilę, bo zaraz zaczęła zsuwać majtki, nie przerywając kolistych ruchów biodrami. Została całkiem naga, w pozie ze złączonymi nogami i dłonią opartą o pulchne biodro. Siostry patrzyły na ten popis z mieszaniną zmieszania, wstydu i zażenowania. Miałyby niby rozbierać się w ten sposób przed mężczyzną? Tak przecież nie robiły nawet ładacznice od Zochy!

- Bo nie potrafiły - odparła Melissa, kiedy Frania jej o tym powiedziała. - Sztuka uwodzenia nie polega na położeniu się na plecach i rozłożeniu nóg. Prawdziwa *ars amandi* to wykraczanie poza konwenanse i odgrywanie zwykłych zalotów. Wprawna uwodzicielka ima się różnych sztuczek, by całkowicie zawładnąć mężczyzną, nie zna przy tym pojęcia wstydu ani skromności. Po spotkaniu *tête-à-tête* z wami kochanek ma nie myśleć o niczym innym, nie pragnąć już żadnej innej kobiety. Ma się rozpaść niczym piec hutniczy i taki już pozostać, pałający wobec was żądzą i szczerze oddany. Kiedy się tego nauczycie, wówczas posiadziecie prawdziwą władzę. A teraz rozbierać się, śmiało. Możecie udawać wstyd, to wielu mężczyzn naprawdę lubi. Dopóki jesteście młode, rzecz jasna, wówczas pozowanie na niewinną i zawstydzoną daje wam dodatkową przewagę. Francis jest, zdaje się, bardziej chętna. Proszę, zdejmuj ubranie, ja już wskazuję do wody.

Frania nie paliła się jednak, by rozbierać się przy wszystkich. Nagość była czymś zakazanym, nieistniejącym, o czym się nawet nie mówiło. Dziewczyna nie pamiętała nawet, czy kiedykolwiek widziała siostrę bez ubrania, czy ją samą ktokolwiek oglądał w takim stanie. W domu kąpały się z pomocą służek, ale do balii wchodziły zawsze ubrane w lekką halkę. Właściwie rozbierająca się tak wyzywająco Melissa była czymś tak niezwykłym i rzadkim, że Frania zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle widziała kobietę tak bardzo nagą.

Stała więc bez ruchu i patrzyła na Melissę siadającą w napelniającej się wannie, aż madame Christine stanęła obok i zaczęła się rozbierać, ale już bez wulgarnego kręcenia zadem i wzdychania. Zrobiła to szybko, ale trzeba było przyznać, że rozbierała się z niewymuszonym wdziękiem, ubranie zsuwało się z niej, odsłaniając kolejne fragmenty nagiego ciała. To też było zmysłowe i wystudiowane, przy tym zupełnie inne niż w wykonaniu Melissy. De Damas weszła do wanny i usiadła na jej dnie obok Melissy, po czym lnianą ściereczką zamoczoną w wodzie zaczęła trzeć ramiona. Siostry patrzyły na nie nadal zmieszane, obie wołałyby schować się za parawanem, tam rozebrać, i to jedynie do halek. Ostatecznie Cecylia przełamała się jako pierwsza i w nerwowym pośpiechu ściągnęła kubrak, kształcziczek i suknię. Przez chwilę walczyła z wpojonym oporem przed publicznym obnażeniem, ale przemogła się i zdjęła wszystko, co na sobie miała, po czym szybko weszła do wanny i zanurzyła się po szyję. Policzki jej płonęły, ale była zadowolona, że udało się jej przynajmniej przemóc. Frania zdecydowała się ruszyć śladem siostry, ale rozbierając,

odwróciła się tyłem do towarzystwa. Ostatecznie wszystkie cztery znalazły się w wannie.

– Pora, byście oswoiły się z nagością, wszak nie ma w niej niczego złego ani grzesznego – powiedziała Christine. – Musicie poznać swoje ciała, to, jak działają i co mogą, by sprawić rozkosz sobie i kochankowi. Wiem doskonale, jak kształci się panny w dobrych domach. Wychodzą za mąż, potrafiąc świetnie haftować, tańczyć, śpiewać psalmy, prowadzić konwersację, grać na harfie i cytować Pismo, ale nie wiedzą nawet, *pardon*, co ma ich mąż w portkach i do czego to coś służy.

– I jak należy wystrzegać się, żeby nie zajść w ciążę. Kiedy właściwie do niej dochodzi i dlaczego... – dodała Melissa.

– A czemuż miałybyśmy się wystrzegać zajścia w ciążę? – Cecylia zdziwiła się prostodusznie. – Kiedy już wyjdę za mąż, chciałabym mężowi dać potomków, i to wielu.

– Ha! – Melissa plasnęła dłońmi w powierzchnię wody. – Tak was wychowano, tak wam wpojono, że to powinność i największa radość każdej kobiety. Też tak myślałam, ale tylko do urodzin pierwszego dziecka. W czasie porodu byłam pewna, że małe mnie rozedrze, i wyłam z bólu jak opętana. Zaklinałam się, że ani jednego więcej, że nie pozwolę mężowi się dotknąć. Później oczywiście maleństwo tulone w ramionach uczyniło mnie najszczęśliwszą na świecie, ale ten stan trwał raptem kilka miesięcy. Kilka miesięcy obolałych piersi, niewyspania, harówki przy dziecku przez całą dobę. I nagle małe poczuło się źle, dużo płakało, nie chciało jeść, szybko zmarniało i zmarło w moich ramionach. Myślałam, że umrę razem z nim. Niby dało mi masę szczęścia i miłości, ale po wielekroć tyle bólu, cierpień, łez. Nie chciałam więcej mieć dzieci, zresztą już i tak nie mogłam...

– Chodzi o to, by każda kobieta miała wybór. Te, które chcą być matkami i to uczyni je spełnionymi, niech rodzą choćby co roku – Christine dodała. – Ale to ma być wasz wybór, nie męża, nie króla, nie biskupa. Dlatego każda młoda kobieta powinna wiedzieć co i jak, na co się decyduje i jak może tego uniknąć. Poza tym, zanim powychodzicie za mąż, może stryj poleci wam uwieść tego czy owego. To się wiąże z rozkochaniem w sobie jegomościa i pójściem z nim do łóżka. Musicie się zatem dowiedzieć, o co w tych sprawach chodzi. Stryj płaci nam też za to, byśmy nauczyły was *ars amandi*. Zacznijmy zatem od genitaliów i ich działania.

– Od czego? – Frania zrobiła wielkie oczy.

– Od pochwy i miecza – Cecylia mruknęła. – Mariola z zamtuza co nieco mi opowiedziała. Wiem, że miłość cielesna polega na tym, że mężczyzna wkłada swój miecz do kobiecej pochwy.

– Jaki miecz, na miłość boską? – Frania przeraziła się nie na żarty. – Nie pozwolę sobie nigdzie włożyć jakiegoś żelastwa!

Madame Christine po raz pierwszy zaśmiała się w ich obecności, po czym sięgnęła po dzwoneczek i energicznie nim potrząsnęła. Po paru chwilach przez uchylone drzwi wsunęła się głowa służki.

– Powiedz jej, żeby sprowadziła naszego fiakra. I to migiem – madame Christine poleciła Cecylii.

– Jaśka? Tutaj? – dziewczyna się upewniła, po czym przetłumaczyła służącej żądanie na polski.

Kiedy po paru chwilach chłopak, wyraźnie wystraszony, zapukał i wszedł do środka, obie siostry zanurzyły się w wodzie aż po dziurki w nosach. Były przy tym tak samo przerażone jak Jaśko. Obie Francuzki zdawały się jednak całą sytuacją jedynie świetnie bawić. Kazały chłopakowi ściągnąć portki, czego początkowo panny nie chciały nawet przetłumaczyć. On z kolei nie zamierzał wykonać polecenia, cofnął się też do drzwi, ale zanim zwiął, madame Melissa wyskoczyła z wody niczym syrena i własnym ciałem odcięła mu drogę ucieczki. Zbliżyła się do niego i zaczęła ocierać niczym kotka, falując obfitym biustem. Mruczała przy tym po francusku, jej ręce dotykały go, rozpięły mu koszulę, rozsznurowały spodnie. Ani się obejrzał, a dama ponętna jak żadna, jakie przez całe życie spotkał, ściągnęła mu zarówno koszulę, jak i spodnie oraz majtki.

Frania zabulgotała zanurzona już po same oczy, ale nie mogła się oderwać od tego widowiska. Cecylia czuła, że płonie ze wstydu i zażenowania. Madame Melissa tymczasem złapała chłopaka za przyrodzenie, które błyskawicznie się powiększało i twardniało. Stała tak, by dziewczęta wszystko widziały, po czym zaczęła poruszać dłońią zaciśniętą na „mieczu” Jaśka do przodu i do tyłu, wzdychając przy tym, jakby sprawiało jej to niebywałą przyjemność. Młodzieniec zrobił się czerwony, na czole pojawiły mu się krople potu. Melissa ruszała ręką coraz szybciej, a on zaczął podrygiwać do rytmu.

– Dość! – krzyknął nagle, wyrwał się z objęć damy i ze spodniami opuszczonymi do kolan wyskoczył na korytarz.

Obie Francuzki zaśmiały się głośno, Christine nawet zaczęła klaskać.

- To było obrzydliwe, nigdy nie zrobię czegoś takiego - Frania oświadczyła kategorycznie.

- Zrobisz, zrobisz. Nie tylko to - Christine jej obiecała. - Nauczymy was także szlachetnej i starożytnej sztuki *fellatio*, czyli pieszczona ustami.

Cecylia czuła, że jej niedobrze i zaraz zwymiotuje. Zachowanie dam wydało się jej odrażające, jeszcze bardziej od tego, co mówiły. Poniżyły tego biednego chłopaka dla zwykłej zabawy, by przy okazji zakpić sobie z dziewcząt. Zanotowała sobie w pamięci, żeby nigdy nie wierzyć ślepo w ich słowa i w ogóle ich nauki traktować z dystansem. Było to bowiem nakłanianie do czynów niemoralnych i uwłaczających. Miłość nie mogła być tak obrzydliwa, była wszak czymś szlachetnym i pięknym. Nie wolno jej sprowadzać jedynie do spółkowania.

- Zapłacę mu za to poniżenie złotówkami ze szkatułki stryja - powiedziała po polsku do również oburzonej, a wręcz wstrząśniętej siostry. - Od dziś nauki tych dwóch harpii musimy traktować jak przykrą konieczność. Obawiam się jednak, że nawet ta wiedza może nam się kiedyś przydać.

1 Obecnie pozostałością tej rezydencji jest odbudowany po drugiej wojnie światowej pałac Szustra w parku Morskie Oko.

Rozdział 5

MAJ 1803 ROKU

Cecylia usiadła na łóżku, ze snu wyrwało ją łomotanie butów na schodach i wściekłe przekleństwa miotane przez Ignacego. Ostatnimi czasy, właściwie od kiedy znalazł sobie kochankę, stryj nie upijał się już na ponuro, w sposób destrukcyjny i kończący się atakami furii. Domyśliła się zatem, że pokłócił się z hrabiną Chodkiewicz lub wydarzyło się coś równie nieprzyjemnego, co wytrąciło go z równowagi i pchnęło w otchłań wściekłości. Wyskoczyła z łóżka, gotowa bronić Frani przed rozwścieczonym pijanym Ignacym. Odetchnęła głęboko, szykując się na ciosy, wrzaski i szarpaninę. To, że dawno już coś takiego się nie wydarzyło, nie znaczyło, że stare czasy nie miały powrócić. Cecylia się nie bała bólu, kapral Pusty zapewniał im go na co dzień aż nadto i siniaki już dawno nie robiły na niej wrażenia. Nie bała się również obelg i poniżenia, francuskie damy zapewniały im zestaw poniżeń i wulgarności, o jakim Ignacemu się pewnie nie śniło. Nie zamierzała jednak dopuścić do tego, by pijany stryj skrzywdził jej małą siostrzyczkę, jak ciągle myślała o Frani. Zdawała się nie zauważać, że siostra niemal dogoniła ją wzrostem, poza tym była bardziej kobieco zbudowana, z całą pewnością mocniej zaokrąglona.

Drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich Ignacy, trzymający w ręku zapaloną latarenkę ze świeczką w środku.

– Pakować się! – huknął. – Macie kwadrans, by napelnić kufer fatalaszkami i odziać się do drogi. Wyjeżdżamy, natychmiast!

– Dokąd? – Frania spytała zaspianym głosem. – Co się stało?

– Nie byliście łaskawe wysłuchać mojej prośby. Wystarczyło nie udawać się na wycieczki w najbardziej uczęszczane części miasta, jak nalegałem. Jak wiele razy nakazywałem, do kroćset! Macie za krótką pamięć i trzeba wam wszystko powtarzać co jakiś czas?! Nie usiedzą na tyłkach kilku tygodni w spokoju, nie ma mowy, no nie ma mowy. Wycieczek się zachciało, na sto tysięcy regimentów diabłów. Niepotrzebna brawura, kuszenie losu, to zawsze się kończy kłopotami – warknął, ziejąc kwaśnym zapachem wina. – Zostałyście zauważone i rozpoznane, ktoś was śledził i dotarł aż tutaj. Jeszcze chyba nie rozpoznano

naszycy powiązań, może nie jestem kompletnie spalony. Musicie na jakiś czas zniknąć z miasta, zarówno dla swego bezpieczeństwa, jak i by nie zaprzepaścić mego śledztwa.

– Stryj się nie gniewa, poszłyśmy przecież w strojach skromnych posługaczek, i to jedynie na targ, później z koszykami na krótką przechadzkę Miodową i Krakowskim Przedmieściem – Frania powiedziała, wyskakując z łóżka. – Kto niby miałby nas rozpoznać? Wyglądamy zupełnie inaczej niż trzy lata temu. Wiemy, że musimy się maskować, i zrobiłyśmy to wielce starannie.

– Poza tym nie zamierza nas chyba stryj więzić w tym dworku całymi latami? Jesteśmy tu niczym zamknięte w klatce – dodała Cecylia, choć zdawała sobie sprawę, że balansuje na krawędzi i cierpliwość Ignacego zaraz się wyczerpie.

Ignacy w nerwach złapał się za głowę.

– Jeśli powiedziałem, że macie siedzieć jak myszy pod miotłą, to tak miało być! Po kiego czorta wybrałyście się na targowisko? Czegoś wam tu brakuje?

– Ludzi, życia, swobody – Cecylia odpowiedziała śmiało. – Okładanie się kijami i żelastwem z kapralem Pustym i wysłuchiwanie francuskich opowieści o salonowym chędożeniu to nie jest prawdziwe życie.

– Tylko jakie? – Ignacy prychnął z przekąsem. – Wolicie zatem dołączyć do rodziców w ciemnej mogile? Bo do tego zmierzacie przez nieposłuszeństwo! Dość jednak tego czczego gadania, ładujcie kufer i ubierajcie się migiem. Każę Jaśkowi zaprzęgać, za kwadrans macie być na dole.

– Jest środek nocy... – zaczęła Frania, ale stryj już wyszedł i przerwał jej huknięciem drzwiami.

Nie pozostało im nic innego, jak posłuchać Ignacego i szybko wykonać jego polecenie. Na szczęście nie był za bardzo pijany i nawet specjalnie rozszoszczony. Nie ubliżał im i nie groził, żadnej też nie tknął palcem. Czyżby zaczął się miarkować? Może to wpływ romansu z hrabiną? Może co innego?

Kiedy zeszyły na dół, a właściwie stękając, zlazły po schodach, bo taszczyły we dwie skrzynie z całym ich ruchomym dobytkiem, na dole czekał już ksiądz Baltazar. Wielkolud odziany był w białą niegdyś koszulę nocną i szlafmycę na głowie, ozdobioną chwostem, który sięgał mu aż do kolan. W uniesionym ręku trzymał świecę i mamrotał coś, drapiąc się po brodzie. Ignacy wydawał mu ostatnie instrukcje. Poleciał mu zamknąć dom na cztery spusty, zabrać ze sobą służbę i wyjechać do ich cegielni, którą Ignacy zakupił pod Błoniem jako lokatę części majątku i która to cegielnia miała przynosić zyski dla rodziny. Prócz

Baltazara, parobka i kucharki nikt więcej z nimi obecnie nie mieszkał. Giovanni wyjechał wczesną wiosną do Mediolanu w sprawach rodzinnych, a kapral Pusty od jakiegoś czasu mieszkał u pewnej wdowy z Pragi i tylko co kilka dni dojeżdżał do dworu, by trenować panny w walce. Istniały spore szanse, że stary wojak ustatkuje się i ożeni z ową wdówką, ponoć niezwykle ponętą i energiczną. Tak czy inaczej, gospodarstwo zostało na głowie Baltazara, który jednak nie sprawiał wrażenia przejętego ostrzeżeniami i naleganiami Ignacego.

– Dam sobie radę, niestraszna mi banda jakichś zasmarkanych masonów – prychnął i niedbale machnął ręką. – Do Błonia się nie przeniosę, nie lubię wsi, jestem chłopakiem z miasta i tu pozostanę. Nic się nie turbuj, jedźcie z Bogiem.

Kapitan znów się zaczął wściekać, aż w końcu wydał duchownemu rozkaz służbowy, zapominając, że od lat nie służy już w wojsku i nie trzyma nad nim komendy. Z tych nerwów złapał kufer bratanic, zarzucił go na plecy i wyszedł. Grubas zwrócił się do dwóch panien i kazał im zaczekać. Wrócił po chwili z kuchni, dzierżąc okazałych rozmiarów kosz, do którego nawrzucał na szybko wiktuałów, jakie mu się nawinęły: pęta kiełbas, chleb, gomółkę sera, cebule, butelki wina i jego ukochanego miódka bożego. To, że oddał pannom swój ulubiony trunek, świadczyło o prawdziwej trosce, a nawet miłości, jakimi je darzy.

– Ten złośnik i piekielnik oczywista nie pomyślał, by zabrać prowiant na drogę. Nic się nie zmienił, zawsze leciał jak wariat do boju, nie kłopotząc się o takie sprawy – oznajmił. – Jeszcze jedno! Czekaj, panna, a co ty tu masz?

Sięgnął Cecylii za ucho i wyciągnął zza niego talię kart.

– Może ci się przydadzą, a może nie – powiedział i włożył je pannie do ręki. – A ty, mała, co tam chowasz?

Złapał Franię za włosy upięte w pośpiechu w koński ogon i wydobył z nich kółeczko z nanizanymi nań trzema wytrychami o różnych długościach.

– Nigdy nie wiadomo, jaki zamek boży trzeba będzie otworzyć. Trzeba być zawsze przygotowanym – powiedział i podarował jej ten drobiazg.

W odpowiedzi dziewczyna złapała go za nochal i wyciągnęła z niego srebrnego talara, który rzuciła duchownemu ze śmiechem, mówiąc, że to na miodek boży. Cecylia nie miała dla niego żadnego prezentu, więc po prostu uścisnęła wielkoluda i poprosiła, by na siebie uważał. Zapewne niedługo wróca, gdy tylko stryj z bezpiecznej odległości ustali, kto je wysledził i czy coś im w ogóle zagraża.

Baltazar wyszedł z nimi na zewnątrz, ale zatrzymał się na ganku. Ciągłe trzymał w ręku uniesioną świecę. Jaśko zabrał się do rozkładania schodków, by panny mogły godnie wsiąść do karety, ale Ignacy kazał mu natychmiast zabierać te rupiecie i siadać na koźle woźnicy. Dziewczęta wskoczyły więc do karety mało wytwornie, Ignacy zatrzaskał drzwiczki. Ksiądz pomachał im, zrobił też w powietrzu znak krzyża. Po chwili zniknął w ciemnościach, jeszcze tylko przez chwilę dziewczęta widziały malejący płomyk świecy, po czym on też rozpląnął się w mroku.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu, Ignacy uspokajał się, nabijając fajkę. Położył obok siebie na siedzeniu karabinek kawaleryjski i dwa pistolety, a także szablę w pochwie. W pośpiechu zdążył się zatem uzbroić nie na żarty. Zapalił fajkę, parę chwil mocując się z krzesiwem i krzemieniem. W ciemnej budzie kocza rozbłysł żar, powietrze wypełniło się zapachem tytoniowego dymu.

– Skąd stryj wie, że ktoś nas wypatrzył i śledził? – Cecylia nie wytrzymała długo w niepewności.

– Ptaszki mi wyćwierkali – mruknął Ignacy z ciemności. – Opłacam ludzi, by byli moimi uszami i oczami. Różnych ludzi, poza tym niektórzy są winni mi przysługi. Nie sądzicie chyba, że przez te trzy lata od powrotu do ojczyzny jedynie próżnuję i roztrwaniem wasze pieniądze albo wizytuję hrabinę Chodkiewiczową? Tworzę sieć zależności i powiązań, finansuję pewne przedsięwzięcia, niweczę inne. Uchroniłem żydowskich szewców szyjących buty dla wojska metodą manufakturową przed linczem ze strony zazdrosnych szewców warszawskich. Kosztowało mnie to najęcie bandy zbirów i zlecenie im sprawienia łomotu temu czy owemu, ale dzięki temu wśród mojżeszowych mam obecnie wiele wdzięcznych oczu i uszu informujących mnie o różnych przedsięwzięciach lub wydarzeniach.

– Stryj zatem czyni też dobro – Frania zauważyła. – W pewnym sensie, rzecz jasna, o ile dobrem można nazwać zlecenie bandytom pobicia tego czy owego.

– W wyższej konieczności, by chronić niewinnych lub bezbronnych? By wściekli i pijani czeladnicy szewscy, którzy wiecznie urządzają burdy w mieście, nie pobili żydowskich kobiet i dzieciaków? Nie ma zatem w tym niczego złego – Cecylia rozproszyła wątpliwości siostry. – To doprawdy forma czynienia dobra.

– Szczególnie że później można wyjść na swoje. Informacje od wdzięcznych starozakonnych mogą się okazać wielce przydatne – Frania przytaknęła. – Prawda, stryju? Przyznaj, że udało ci się już na tym zarobić?

Ignacy milczał chwilę, po czym parsknął śmiechem. Było to tak zaskakujące, że obie panny uniosły brwi ze zdumienia.

– Niebywałe, że obie jesteście tak podobne do matki, a jednak inne. Ona była ze wszech miar szlachetna, nieskalana, niemal święta. Wy stałyście się pragmatyczne, rzeczowe i konkretne. Wiem, że to wpływ sytuacji, tego, co się wydarzyło i jak zaczęły kształtować i zmieniać was okoliczności. Maria nie byłaby zadowolona, z pewnością miałaby do mnie pretensje, że nie hoduję was pod kloszem, dwie nieskalane panienki... Zauważyłyście, że coraz częściej myślicie tak jak ja i zgadzacie się ze mną, choć robię rzeczy niegodne i plugawe, a czasem zwykłe świństwa?

– Mam wrażenie, że mimo wszystko czyny stryja nie wynikają z jakiejś złośliwości, to wszystko w dobrych intencjach – Cecylia odparła z przekonaniem. – Zatem zyskał coś stryj na tej niegodnej pomocy Żydom? Założę się, że zyskał.

– Tak, masz rację, zyskałem. Szewcy powiadomili mnie, że Prusacy planują zamówić u nich pięć setek par butów jeździeckich dla kawalerii. Zakupiłem zatem wcześniej w garbarniach najprzedniejsze skóry, które ze sporym zyskiem sprzedałem wojsku, by to miało materiał dla szewców – przyznał. – Wyszliśmy na tym kilkaset czerwonych złotych do przodu... Ale to nie wszystko, nie chodzi tylko o pieniądze, o zarobek. Otóż to, że jesteście śledzone, ustaliło dwóch żebraków spod synagogi, którą mijaliście, wracając z targowiska. Żebracy nie wiedzieli, kim jesteście, ale dostrzegli, że waszym śladem idzie dwóch zabijaków. Ruszyli więc za nimi, aż wszyscy dotarli prosto do naszego dworku...

Frania syknęła i trzasnęła się dłońmi w uda.

– A niech to! Poczuliśmy się tak pewne siebie, że wcale nie uważaliśmy! Giovanni tyle razy nam pokazywał co i jak, uczulał na te sprawy. Dobrze, że wyjechał, bo teraz natarłby nam uszu.

– Popelniliśmy grzech pychy – Cecylia przyznała ze skrucą. – Wydało się nam, że nad wszystkim panujemy, zapomnieliśmy o zagrożeniu. Nic poważnego się wszak nie działo od czasów otrucia Krysi, to uspiło naszą czujność. Z drugiej strony oni chyba też poczuli się zbyt pewni siebie, skoro nie dojrżeli idących za nimi żebraków.

– Żebracy są niemal niewidzialni – mruknął Ignacy. – Przynajmniej dla zwykłych ludzi.

- A co, jeśli to przypadek? Jeśli byli to zwykli złodzieje lub nagabywacze, którzy szli za nami dla draki albo by niecznie okraść? - Frania się odezwała.

- Nie wierzę w takie przypadki. - Ignacy pyknął fajeczką. - Poza tym nie napadli was, tylko sprawdzili, dokąd idziecie, gdzie mieszkacie. Wrócili, by powiadomić o tym kogo trzeba. Wrogowie naszej rodziny nadal chcą zlikwidować cały ród. Nie wiem jeszcze dlaczego, czym im zawinił mój głupi brat. Jest jednak niemal pewne, że będą obserwowali dwór, zapewne by sprawdzić, z kim mieszkacie, a następnie uderzą, by was zgładzić. Jeśli mnie zidentyfikują, moje dochodzenie pójdzie na nic, cały wysiłek okaże się krwią przelaną w piach.

Zamilkli wszyscy na jakiś czas. Wóz zaczął się kołysać coraz mocniej, bo zamiast jechać utwardzonymi ulicami Warszawy, Jaśko skierował kocz prosto na północ, w stronę Marymontu.

- Dokąd właściwie jedziemy? - spytała Frania.

- Zaszyjemy się na jakiś czas daleko, a ja przy okazji załatwię tam sprawy swojej łoży masonskiej - odparł Ignacy, jak zwykle krótko i nie wdając się w wyjaśnienia.

Cecylia nie widziała jego twarzy, ale miała wrażenie, że w ciemnościach się uśmiecha. Ledwo, ledwo, niczym zły kocur, który układa plan polowania lub kolejnego łajdactwa.

- Stryj nam zdecydowanie zbyt mało mówi - powiedziała. - Gdybyśmy wiedziały więcej, nigdy nie naraziłybyśmy planów stryja na szwank. Może pora zauważyć, że nie jesteśmy już podlotkami, które nie wiedzą nic o świecie? Jesteśmy już właściwie dojrzałymi kobietami, i to wcale niegłupimi. Mógłby stryj znaleźć w nas wsparcie, wystarczyłoby nieco więcej dobrej woli.

Ignacy milczał. Teraz już nie wiedziała, czy w ciemnościach, na siedzeniu naprzeciw, naprawdę nie czai się zły, ponury kocur.

- Czuję się, jakbym rozmawiał z Marią. Ona też ciągle mnie rugała i próbowała założyć mi chomąto, a potem lejce i sterować mną niczym mułem zaprzężonym do woza - mruknął, kiedy już obie myślały, że się nie odezwie.

- Łączyło was coś, prawda? - Frania ni to spytała, ni to stwierdziła. - Stryj kochał naszą mamę, jestem tego pewna. Inaczej nie wspominałby jej tak często.

Prychnął ze złością, poruszył się na siedzeniu. Już myślały, że na nie wrzaśnie, ale nagle się uspokoił.

- Kochałem ją – przyznał cicho i chyba tylko dlatego, że nie widziały jego twarzy, a on nie musiał patrzeć na nie. – To ja ją znalazłem i zdobyłem, rozkochałem w sobie, zacząłem więc dla nas gniazdko, tak jak sobie życzyła. Była moją pierwszą miłością, tą najważniejszą i największą... Właściwie to jedyną. Nigdy wcześniej i później żadnej nie pokochałem. Tylko Maria się liczyła.

- Dlaczego...

- Głupia sprzeczka, wymiana zdań, coraz ostrzejszych i bardziej bolesnych. Wiecie, że jestem piekielnikiem, złoścę się łatwo i wybucham. Wasza matka zaś może i była łagodna, prawie święta, ale miała charakterek prawdziwej hetery. Pod świątobliwymi uśmiechami i gestami wzniosłej damy kryła się prawdziwa harpia, ostra, zdecydowana i dominująca. Zamiast ulec, jakoś mnie uspokoić, postawiła się i powiedziała mi kilka ostrych słów, a ja... Uderzyłem ją. W twarz, mocno, aż połała się krew.

Zamilkł, chwilę pykał nerwowo wygasłą już fajkę. Chyba znów przeżywał to wydarzenie, które musiało wstrząsnąć nim do głębi, złamało mu serce. Siostry o tym wiedziały, czuły to, więc milczały, by nie przerwać, nie zepsuć tej chwili otwartości i szczerości.

- Ta chwila, jak płomień, jak wybuch. Niczym eksplozja jakiejś pieprzonej beczki prochu! Zmiotło wszystko, zabiło mnie, zabiło tę miłość. Maria wybiegła w ciemność, zalana krwią, zapłakana... I już nie wróciła, odeszła. A ja, zamiast za nią pobiec, usiadłem i płonąłem dalej złością. Jak ostatni głupiec. Kto wie, co by było, jakbym jednak pobiegł i błagał ją o przebaczenie? Zaś ona trafiła wprost na Krzysztofa, dosłownie wpadła mu w ciemnościach w ramiona. Ech... A dalej to się pewnie domyślacie. Zaopiekował się nią, ukoił. Dał jej to, czego ja nie potrafiłem, czułość, poczucie bezpieczeństwa, spokoju. Uznałem, że brat mnie zdradził, że ona mnie zdradziła. Zrobiłem kolejną awanturę, rzuciłem się na brata z szablą, chciałem go posiekać na plasterki. Jakby to mogło coś naprawić, zwrócić mi Marię. Ona oczywiście stanęła po stronie Krzyśka. Kiedy zobaczyłem, jak go obejmuje i zasłania przede mną swoim ciałem, coś we mnie kompletnie szczezło, wypaliło się na popiół. Znienawidziłem ich jak nikogo na świecie. Zabiłbym oboje, gdyby nie wasz dziadek, który mnie obezwładnił, obił i wygnał z domu. Groziłem, że go zabiję, że wszystkich wymorduję, a dwór spalę.

Znów zamilkł, tym razem zawstydzony swoimi czynami i głupotą.

- Byłem naiwnym, opętanym bólem szczeniakiem – powiedział. – Tak się zapiekłem w złości, że nie mogło być mowy o powrocie. Wyruszyłem w świat, wyjechałem z kraju...

Postukał fajeczką w bok budy, wytrzepując z niej resztę tytoniu.

- Niedługo świta – powiedział. – Macie tu koc i dwie poduszki. Postarajcie się przespać, czeka nas długa droga.

Nie zadawały dalszych pytań. Stryj nigdy jeszcze nie rozmawiał z nimi tak długo i nie chciały nadwerężyć jego cierpliwości. Czuły jednak, że właśnie coś się w ich relacji zmieniło. Że potraktował je inaczej niż dotychczas, jak dorosłe, w dodatku bliskie sobie osoby. Jakby dopiero właśnie uznał, że odzyskał rodzinę.

Po tym, co robił w ciągu ostatnich trzech lat, Maciej nie mógłby spokojnie spojrzeć w lustro, ale na szczęście żadnego zwierciadła nie posiadał i nie potrzebował. Nie golił się od miesięcy, przez co brodę miał już pokaźnej długości, w dodatku była zupełnie siwa, a on wychudzony, wyglądał przez to na prawdziwego starucha, zaniedbanego, proszalnego dziada spod kościoła. Nie chodziło jednak tylko o wygląd, ale i o to, czym się parał po śmierci swego pana, dziedzica Sobolewskiego. Kiedy uratował dziewczynki i przekazał je pod opiekę dobrym ludziom, nie szukał długo zajęcia, bo dobry sługa zawsze szybko znajdzie nowego pryncypała. Zresztą pan sam go znalazł, a jako że ten prezentował się jak prawdziwy szlachcic i panisko, Maciej wstąpił na nową służbę bez wahania. Szybko się przekonał, że popełnił błąd, i to największy w życiu.

Julian Niewieski kazał się tytułować sędzią, był ponoć szlachcicem z Litwy, gdzie posiadał pewne dobra ziemskie i gdzie pełnił tę urzędową funkcję, ale obecnie mieszkał w Warszawie, prowadził tu interesy i politykował. Szybko okazało się, że to okrutnik i zabijaka, który wcale nie przyjechał z Litwy, tylko z imperium osmańskiego, gdzie jakiś czas służył sułtanowi. Zresztą jego politykowanie ograniczało się w zasadzie do szpiegowania i sporządzania raportów, które wysyłał zarówno do Porty, jak i do Moskwy. Jako że szpiegował Prusaków, Maciejowi ta działalność nowego pana wcale nie wadziła. Cierpiał dopiero, kiedy Niewieski kazał mu uczestniczyć w napaściach

i uprowadzeniach, zacierać ślady tortur i mordów, a nawet gwałtów, zastraszając ofiary.

Uciekłby już dawno, gdyby się tak nowego pana nie bał. Sędzia bowiem zdawał mu się diabłem wcielonym. Był postury mocarza, z szerokimi barami i wielkimi łapskami wcale nieprzystającymi do szlachcica. Jego ciało pokrywało gęste owłosienie oraz liczne blizny, ślady dawno stoczonych bitew i potyczek. Nosił też dziwne, wypalone na ramieniu znamię, niczym diabelską pieczęć. Kiedyś po pijanemu wyznał, że to piętno niewolnika, które mu wypalono, kiedy wpadł w łapy tureckich piratów i został uwięziony na galerach. Twierdził, że wiosłując na statku łapiącym niewolników, opłynął Afrykę. Na Czarnym Łądzie widział prawdziwe piekło, uciekł z galery i jakiś czas żył z dzikimi ludami. Żył się ludzkim mięsem, goszczony przez czarnoskórych wojowników, których szamani wtajemniczyli go w arкана czarnej magii.

Maciej uwierzył w to wszystko, widząc, co Niewieski wyprawia po pijanemu i jak lubi dręczyć ludzi w piwnicach wynajętej kamienicy. Odgrywał tam całe przedstawienia udające sądy, odczytywał oskarżenia, sam rozważał za i przeciw, wydawał wyrok, który chętnie osobiście wykonywał. Czasem na obrońców lub oskarżycieli powoływał kogoś ze swoich zbrojnych i dobrze się bawił całym procesem. Maciej odkrył też, że sędzia naprawdę para się czarną magią czy też może okultyzmem. W piwnicach poumieszczał dziwne figury afrykańskich bóstw wykonane z czarnego hebanu, przed którymi zapalał ogarki i lojówki. Czasem, kiedy się odurzył ziołowymi nalewkami i opium, rozbierał się do naga i tańczył wokół figurek, wybijając rytm na małym bębenu, od którego wpadał w trans. Lepiej mu było wówczas nie przeszkadzać, bo znajdował się w amoku, w którym nad sobą zupełnie nie panował. Maciej bał się go wówczas jeszcze bardziej.

Brzydził się też z całego serca pozostałymi zbrojnymi w służbie Niewieskiego. Jego totumfackim, czyli osobistym lokajem i pomagierem, był niejaki Upał. Tak naprawdę nie wiadomo, jak się nazywał, bo sędzia wymyślał swoim ludziom imiona wedle własnego widzimisię i zabronił używać prawdziwych. Maciej nazywany był Dziadkiem, najpewniej przez swoją brodę. Upał z kolei połowę twarzy pokrytą miał bliznami po rozległym oparzeniu, co mogło tłumaczyć jego przydomek. Kolejny lokaj z bezpośredniego otoczenia sędziego znany był jako Serafin, a pierwszym, co rzucało się w oczy przy kontakcie z nim, była niezwykła uroda i nieco niewieście gęsty. Młodzieniec nosił długie włosy, był dość androginiczny i gdyby nie męski strój, z pewnością

brano by go za kobietę. Prócz tych dwóch, na stałe przyklejonych do sędziego, w jego kamienicy zamieszkiwało równo tuzin drabów, rzecz jasna, o dziwnych imionach, choćby: Książę Ropuch, Pogoń, karzeł Konus, kucharz Ciołek, Miazga i Cynober. Wszyscy zepsuci, wręcz plugawi z wyglądu i usposobienia.

Maciej oddychał z ulgą, kiedy Niewieski wysłał go w miasto. Co prawda zlecał mu różne nieciekawe zadania, szpiegowanie jakiegoś nudnego jegomościa lub obserwowanie godzinami wybranego domu, ale przynajmniej miał wówczas spokój. Nie zapominał też o tym, o czym sędzia czasem mu powtarzał:

– Nająłem cię tylko z jednego powodu, Dziadek. Byś, kiedy nadarzy się okazja, rozpoznał i wskazał mi panny Sobolewskie. – Mówiąc, kładł mu wielką rękę na ramieniu. Łapa sędziego była ciężka jak jego oddech, jak spojrzenie i presja, którą wywierał na Macieja. – Pewne osoby podejrzewają, że panny mogą się ukrywać w Warszawie lub że w niej bywają. Są mi bardzo potrzebne, bardzo mi na nich zależy. Kiedy tylko je wywieszysz, chcę o tym wiedzieć natychmiast, jak najszybciej się da. Wówczas będziesz mógł odejść, mało tego, hojnie cię nagrodzę za lata wiernej służby. Tak, że do końca życia nie będziesz musiał pracować.

Po chwili jego dłoń zaciskała się na ramieniu Macieja, niby nieznacznie, ale tak, że ten miał wrażenie, iż zaraz kości mu trzasną.

– Na wypadek gdyby przyszło ci do głowy, przez sentyment lub głupotę, ostrzec te dwie dzierlatki, po raz kolejny ci radzę: nie rób tego – dodawał. – Nic na tym nie zyskasz, a wszystko możesz stracić, ich też to przed niczym nie uchroni. A teraz ruszaj, szukaj i... Pamiętaj o naszej umowie.

Mijały tygodnie, miesiące i lata, Maciej powoli stracił nadzieję, że kiedykolwiek uwolni się spod władzy Niewieskiego. Siostry Sobolewskie, jeśli jeszcze żyły, pewnie mieszkaly gdzieś u dalszej rodziny, może powychodziły już za mąż i nie sposób było uwierzyć, że nagle pojawią się na ulicy. Kiedy stojąc w bramie razem z Miazgą, ujrzał je mijające go jak gdyby nigdy nic, o mało nie wrzasnął ze strachu, radości i ulgi. Dziewczynki urosły, poza tym ubrane były jak dziewczki z gminu, ale to z całą pewnością były one. Znał je od niemowlęstwa, wynosił i wybawił razem z mamkami i nianiami. Przez jakiś czas właściwie traktował jak własne dzieci, poznałby je nawet w ciemnościach. Nie zareagował jednak od razu, przez chwilę wahał się, czy nie trzasnąć Miazgi w potylicę i ostrzec panny przed niebezpieczeństwem. Jednak strach przed Niewieskim był

silniejszy niż odruch przyzwoitości i litości. Nie uciekłby przed zemstą pryncypała, ten szybko by go odnalazł, osądził i osobiście zakatował w swojej piwnicy, pod okiem afrykańskich demonów z drewna. Dziewcząt też by nie ocalił, lepiej więc liczyć na to, że sędzia nic złego im nie zrobi. W dodatku po wszystkim Niewieski z pewnością dotrzyma słowa i go uwolni. Powiedział więc Miazdze, w czym rzecz, i razem śledzili panny aż na Fawory, gdzie te weszły do jednego z drewnianych dworców, których całe dziesiątki były rozrzucone w okolicy.

– Więc to tam cały czas się chowały! Niczym małe myszki pod miotłą. – Niewieski zatarł wielkie łapy, gdy dowiedział się o tym godzinę później.

Sędzia nagle zrobił się niecierpliwy. Nie chciał, jak to miał w zwyczaju, obserwować i ostrożnie badać ofiarę. Kazał zwołać całą bandę, wszystkich dwunastu drabów, i przeprowadzić zajazd jak najszybciej. Zgodził się jednak, by przesunąć operację na poranek, okazało się bowiem, że część jego zbójów zdążyła się wieczorem spać i nie nadawała się do działania. Niewieski zaś z jakiegoś powodu spodziewał się oporu, a nawet wymagającej walki, zdecydował się zatem poczekać, by mieć kompletną kompanię.

– Ty też pójdziesz, nie martw się. – Poklepał Macieja po plecach. – Chcę mieć pewność, że to one. Rozpoznasz je zatem na miejscu.

Maciej nic nie odrzekł, wiedział doskonale, że z sędzią się nie dyskutuje. Czekąło go jednak coś, czego wołałby uniknąć, będzie zmuszony spojrzeć Frani i Cysi w oczy, po tym, kiedy wyda je w łapy szalonego mordercy.

Pani Lucyna wstawiała o świtaniu, by dla kapitana Sobolewskiego napalić świeżej kawy, zmielić ją i zaparzyć, po czym podać mu ją, ledwie otworzy oczy, i to razem z tłustą śmietanką. Palila też w piecu i raz na kilka dni piekła chleb, robiła śniadanie dla panienek i wiecznie głodnego księdza Baltazara, który co rano zwykł zjadać solidny kawał twarogu z miodem, pół bochna chleba i popijać to garncem ciepłego mleka. To ostatnie przynosiła podkuchenna Kaśka, dziewczyna, która mieszkała u rodziców i przychodziła rano do pomocy we dworze. Dziewczyna pełniła też funkcję pokojówki, sprzątała i prała. Kiedy zatem pani Lucyna usłyszała stukanie do drzwi na tyłach prowadzących do kuchni z podwórka, czym prędzej do nich podeszła, pewna, że idzie Kaśka.

Zdjęła rygiel i nabrała powietrza, by zrugać dziewczynę za spóźnienie, gdy drzwi otworzyły się z impetem i do środka wtargnęło kilku drabów. Jeden z nich uderzył gospodynię pięścią w twarz, przewracając na podłogę, drugi kopnął w przelocie, trzeci nadepnął jej na rękę, gruchocząc palce. Kolejny wciągnął do kuchni przerażoną Kaśkę, którą zgarnęli po drodze i zmusili do zdradzenia sposobu na wejście do środka. Łatwiejsze to było niż wyłamywanie drewnianych okiennic, które na noc kucharka zarygłowała. Łomot postawiłby na nogi mieszkańców i ci mogliby przygotować się do obrony, a tak nie mieli na to szans. Dwunastu drabów Niewieskiego rozbiegło się po dworze, mieli za zadanie obezwładnić każdego, a szczególnie szukać dwóch młodych kobiet.

Sędzia wszedł do budynku jako ostatni, eskortowany przez Upała i Serafina. Maciej czuł się fatalnie, stojąc nad dwiema poturbowanymi niewiastami, które skuliły się i przywarły do siebie. Napady rozbójnicze nie były taką rzadkością i kobiety właściwie nie czuły specjalnego zaskoczenia. Wiedziały, że mają szansę ujść z życiem, byle tylko nie stawiać oporu.

– Te dwie znasz, Dziadek? – spytał Niewieski, wskazując je buławą.

Sędzia lubił się posługiwać straszną, archaiczną bronią, która w dawnej Polsce zmieniła się właściwie w broń honorową, symbol urzędu, który przysługiwał najpierw hetmanom, a później marszałkom i generałom. Krótka, żelazna maczuga z gruszkowatą głowicą zwykle była bogato zdobiona, a ta posiadana przez Niewieskiego miała osadzone w gruszcze trzy krwistoczerwone rubiny, które przyciągnęły wzrok zarówno kobiet, jak i Macieja. Ten ostatni wzdrzgnął się na widok żelastwa. Pokręcił przecząco głową, nie znał tych kobiet, nie miały nic wspólnego z rodziną Sobolewskich z czasów, kiedy do niej w pewnym sensie należał.

– Nie przydadzą się, a świadków nam nie trzeba – mruknął sędzia.

Zamachnął się i błyskawicznym ciosem roztrzaskał Kaśkę głowę. Pani Lucyna, zabryzgana krwią, z trzymanym w ramionach, trzepoczącym w agonii ciałem dziewczyny, wrzasnęła ze zgrozy. Nie zdążyła unieść rąk, by się zasłonić, kiedy Niewieski zamachnął się po raz kolejny. Maciej zamknął oczy. Trzask miażdżonej czaszki był najbrzydliwszym dźwiękiem, jaki słyszał w życiu. Starął się nie patrzeć na dwa ciała drgające jeszcze na podłodze w rosnących kałużach krwi. Zapach śmierci wypełnił kuchnię, żołądek podszedł Maciejowi do gardła, a on podziękował w duchu opatrności, że nie zjadł dziś jeszcze niczego. Gdzieś z głębi domu dobiegły ich krzyki i łomot. Sędzia mruknął z zadowoleniem

i obrócił buzdygan w łapsku, po czym skinął na Upała i Serafina, którzy do tej pory w milczeniu i bezruchu przyglądali się rzezi. Ruszyli z miejsca, wyciągając zza pasów pistolety. Niewieski skinął na Macieja, ten bez ociągania ruszył przodem, byle szybciej opuścić miejsce ohydnej zbrodni. Czuł się brudny i oblepiony zapachem krwi, nie patrzył pod nogi, by przypadkiem nie spojrzeć w twarze zamordowanych.

W salonie natknęli się na Miazgę i Księcia Ropucha, którzy przyciągnęli wielkiego grubasa, ubranego w nocną koszulę i szlafmycę. Ksiądz Baltazar miał rozkwaszony nos i koszulę aż do pępka zabryzganą krwią. Zbóje wykręcili mu ręce za plecy, zmuszając do posłuszeństwa groźbą wyłamania ich z barków. Dopadli go w łóżku, kompletnie zaspanego, ale i tak zdołał złamać rękę Pogoni i roztrzaskać na głowie Cynobra stołek, który stał obok łóżka. Poza tym osobnikiem we dworze nie było nikogo. Niewieski nie ukrywał rozczarowania, za to Maciej w duchu westchnął z ulgą.

– Gdzie się podziały siostry Sobolewskie? – Sędzia podsunął jeńcowi pod nos upapraną krwią buławę błyszczącą rubinami.

Baltazar zrobił zeza, gapiąc się na broń, następnie przeniósł spojrzenie na Niewieskiego i uśmiechnął się doń przymilnie.

– Nie wiem, o jakie siostry waszmość pyta. Tuszę, żeście zwyczajnie pomylili domy, bo żadnych sióstr tu nie ma i nigdy nie było. Mieszkam tu jeno ja i kucharka, Lucyna. Innej baby bym do domu nie wpuścił, bo to grzeszne istoty, jedynie z nimi problemy i sromota. Jestem skromnym duchownym, wikarym w kościele Karmelitanek Bosych, gdzie wygłaszam czasem kazania. Od niewiast trzymam się jak najdalej, by nie wodziły mnie na pokuszenie – oznajmił niewinnym tonem. – Znam jednak sąsiadów. Powiedzcie jeszcze raz z łaski swojej, o jakie siostry chodzi?

Sędzia obrócił buzdygan i jakby od niechcienia trzasnął nim księdza w kolano. Chrupnęło nieprzyjemnie, aż Maciej drgnął i skulił się na chwilę, Baltazar zaś zawył z bólu i runął na podłogę. Dwaj trzymający go zbóje nie dali rady z tak dużym jegomościem, który zwałił się niczym ścięty dąb. Miazga po prostu go puścił, Księżę Ropuch natomiast przewrócił się razem z nim.

– A tego grubasa znasz, Dziadku? – Niewieski zwrócił się do Macieja.

– Nie, kiedy służyłem Sobolewskim, nigdy go nie widziałem. Nie był znajomym rodziny, jestem tego pewien.

Ropuch niespodziewanie ryknął z bólu i zwałił się na bok, bryzgając krwią z rozplatanego gardła. Baltazar, mimo strzaskanego kolana, zdołał mu niepostrzeżenie wyciągnąć nóż z pochwy u pasa i go zaszlachtować. Ciągłe leżąc, podrzucił oręż i chwycił za ostrze. Niewieski wiedział, że ksiądz posługuje się bronią z wprawą zabijaki i zaraz rzuci w niego nożem, sam by tak przynajmniej zrobił na jego miejscu. Złapał zatem stojącego obok Macieja i zasłonił się nim niczym tarczą. Baltazar cisnął nożem w tej samej chwili. Ostrze weszło w plecy Macieja, przeszło gładko między żebrami i utkwilo w płucach. Sędzia odepchnął rannego i uderzył księdza Baltazara Obucha szybko trzy razy, zamieniając jego głowę w krwawą miazgę. Splunął z wściekłością na trupa, po czym zwrócił się do klęczącego na podłodze Macieja. Stary sługa twarz miał bladą, z trudem łapał powietrze, zakrztusił się i prychnął różową pianą. Niewieski pokręcił głową.

- Toniesz we własnej krwi, Dziadek - stwierdził. - Miałem cię zwolnić ze służby, i to nagradzając tak, byś nie musiał pracować. No cóż, nie wypełniłeś zadania, czuję się zatem zwolniony z obietnicy. Znaj jednak moją łaskę, oszczędzę ci bolesnego konania.

Maciej spojrział na niego błagalnie, po czym zamknął oczy, by nie widzieć spadającej buławy. Nie zdążył się nawet przeżegnać, choć uniósł już rękę. Mgnienie oka później leżał martwy w kałuży krwi. Niewieski wytarł głowicę broni o koszulę nocną Baltazara, po czym skinął na Serafina.

- Zostawcie Ropucha i Dziadka, zajmijcie się splądrowaniem dworu. Potem podłóżcie ogień, tylko porządnie! Wszystko ma się spalić do gołej ziemi, niech ogień zatrze ślady tego, co tu zaszło...

Rozdział 6

CZERWIEC 1805 ROKU

Ignacy umoczył końcówkę pióra w atramencie i cierpliwie poczekał, by nadmiar płynu spłynął z powrotem do kałamarza. Nadal powszechnym do pisania pozostawało gęsie pióro, koniecznie wyrwane z lewego skrzydła ptaka, bo z jakichś tajemniczych powodów było wówczas lepsze. Metalowych stalówek zamocowanych w drewnianej rączce używali jedynie najzamożniejsi, ich wyrób był bowiem trudny i kosztowny, a co najważniejsze, wcale nie były takie doskonałe. Kapitanowi zależało, by pismo zostało napisane ładnie, czysto, z eleganckimi zawijasami wielkich liter na początku akapitu. Na blacie biurka leżało zatem kilkanaście piór, które dopiero co poprzycinał nożykiem ostrym jak brzytwa. Słyszał dobiegające z dołu głosy, ale nawet nie drgnął, ciągle siedział nieruchomo za biurkiem. Panny poradzą sobie same z interesantami, szczególnie że coraz częściej zdarzało się, że ci przychodzili do składu prowadzonego przez Ignacego nie dlatego, że interesowali się towarem, ale flirtem z siostrzyczkami. Westchnął na samą o tym myśl z boleścią. Nawet to, że zwykle na wszystko oko miał kapral Pusty, nie odstraszało absztyfikantów. Brzydki jak stary diabeł zabijaka z pogruchotanym nosem nie wywierał odstrasżającego wrażenia na młodzieńcach rozpalonych urodą Frani i Cysi.

Właściwie nazywano je z niemiecka Francis i Cecily, bo od dwóch lat rodzina mieszkała w Stettinie², jednym z największych i najważniejszych miast Królestwa Prus, przede wszystkim zaś oddalonym od Warszawy o kilka dni drogi. Ignacy nadal występował tu pod przybranym nazwiskiem, jako Andreas Siferdus, do którego już tak bardzo się przyzwyczaił, że podpisywał się nim odruchowo na rachunkach i dokumentach, nawet o tym nie myśląc. Sobolewscy mieszkali przez cały ten czas w dużej, ponadstuletniej kamienicy przy Mühlenstraße, czyli ulicy Młyńskiej, jednej z najstarszych, historycznych ulic miasta. Nazwę swą wzięła od znajdujących się tu niegdyś młynów kieratowych, ale obecnie nie było po nich śladu. Okolica okazała się dość spokojna, a kamienica sąsiadowała z pustymi działkami porośniętymi drzewami i tworzącymi jakby małe parki. Znajdujące się tu niegdyś domy znikły

podczas bombardowania miasta przez Rosjan blisko sto lat wcześniej i do tej pory tych szczerb w tkance Stettina jeszcze nie zabudowano. Dzięki temu przez okno gabinetu Ignacy miał widok na szumiące uspokajająco drzewa. Czuł się dzięki temu niemal jak w Warszawie, która też była miastem w sporej części zadrzewionym.

Pokręcił głową, wyrzucając z niej rozpraszające myśli. Musiał się skupić na liście do hrabiny Chodkiewicz, jednocześnie bogini i kobiety fatalnej, której nadal nie mógł wyrzucić z głowy, choć nie widzieli się od dwudziestu miesięcy. Romansując z nią, zdawał sobie sprawę, że dama ta ma innych, bardziej wpływowych kochanków, zresztą od początku starał się nie angażować w ten związek uczuciowo, miał on być tylko wykorzystaniem sytuacji, by wkupić się w łaski masonów. Udało się z powodzeniem i został przyjęty do największego, obecnie zupełnie utajnionego, bo działającego w okupowanym przez zaborców kraju, rytu Wielkiego Wschodu Polski. Nadal pozostawał w nim jedynie szeregowym członkiem na siedemnastym, najniższym stopniu wtajemniczenia. Złościło go to, bo czuł się wykorzystywany. Musiał meldować się co jakiś czas hrabinie, która górowała nad nim stopniem, nie miał zaś z tego żadnych profitów. Wstąpienie do masonerii miało być kluczową częścią śledztwa poświęconego poszukiwaniom morderców brata, ale nic z tego nie wychodziło. Ignacy nadal nie miał dostępu do żadnych poufnych danych, wieści, rozmów, nawet wyżej postawionych person. Nie wiedział niemal nic o działaniu organizacji, jej celach i ośrodkach decyzyjnych.

Tylko raz wziął udział w idiotycznym, teatralnym misterium, podczas którego ludzie w togach i maskach przyjęli od niego przysięgę i namaścili go na brata w łoży. Odbędzie się to w piwnicach pod rezydencją nieżyjącego już Kazimierza Poniatowskiego, brata króla, który pod swoją posiadłością letnią na skarpie wiślanej wykopać kazał tunele i wielką pieczarę, zwaną Elizeum. Ignacy został wprowadzony przez ludzi z pochodniami do podziemnej rotundy, ozdobionej ceramicznymi mozaikami, przy dźwiękach muzyki granej przez niewidoczną orkiestrę, i tamże musiał znieść przedstawienie odgrywane przez nagie upudrowane tancerki udające żywe rzeźby, a później wysłuchiwać przemów składających się z niezrozumiałych dla niego metafor i tajnego kodu masonów. Zaczął żałować, że w ten sposób zabrał się za śledztwo. Powinien wkroczyć do tego Elizeum z bandą swoich chwatów, poturbować wielkich mistrzów w maskach, wlać im po dwadzieścia kijów na gołe zadki i wyciągnąć z nich wszystko, co wiedzą o śmierci Krzysztofa Sobolewskiego i jego żony.

Wiedział jednak, że to by nie wyszło i tylko by się zdemaskował i wystawił na nowy cel.

Może tego wcale nie zrobili masoni, może to był przypadek?, pomyślał, drapiąc się piórem po brodzie.

Za przypadek można by wziąć to, że Sobolewscy padli ofiarą zwykłego napadu rabunkowego, a ich plenipotent wykorzystał sytuację, by ich okraść. Tyle że sam przyznał, iż wszystko zrobił na polecenie tajemniczych osób. Ktoś poza tym nadal szukał dziewczynek i nie przebierał w środkach. Najlepszym tego przykładem była tajemnicza śmierć księdza Obucha. Ignacy doskonale pamiętał swojego grubego kompana z Legionów i nie zamierzał puścić jego śmierci płazem. Wszyscy, którzy przyłożyli do tego rękę, zapłacą, i to srogą karę.

Musiał się zatem skupić i kontynuować wkupowanie się w łaski Teresy. Tyle już włożył w to wysiłku, że żał byłoby zrezygnować. Poza tym liczył, że lada chwila w końcu musi zostać awansowany na wyższy stopień wtajemniczenia, a wówczas zyska dostęp do wiedzy, dokumentów i planów. I nareszcie wszystkiego się dowie, po czym dopadnie winnych tego, co zaszło.

– Jak by tu zacząć? Może oficjalnie, zgodnie ze sztuką epistolarną? – mruknął do siebie i zaczął pisać zamaszystymi literami:

Jaśnie Wielmożna Waszmość Pani Dobrodziejko, tuszę, żeście w dobrym zdrowiu i nadal opromieniacie blaskiem swojej urody i mądrości całą Warszawę. Ze zwykłym respektem odebrałem list JMĆ Mistrza, który nakazuje mi tym razem przedstawić plany fortyfikacji miejskich i listę stacjonujących w Stettinie wojsk. Pragnę zauważyć, że ta misja jest zwykłym szpiegostwem militarnym i w razie ujęcia naraża mnie nie tylko na areszt, ale na karę śmierci. Prusacy we względzie jej rychłego wykonywania nie mają najmniejszych oporów. Podkreślę jednak, że dla dobra łoży gotów jestem na wszelkie poświęcenia. Nie będzie chyba okazaniem zbytnej niecierpliwości, jeśli osmielę się spytać o termin udzielenia mi wyższego stopnia wtajemniczenia, bym mógł mieć szerszą perspektywę na plany Waszmościów, a wówczas lepiej się do nich będę mógł przygotować. Upraszam się pamięci Dobrodziejki i pragnę przypomnieć, że mijają już dwa lata mego terminowania jako nieświadomego Celów i Planów pionka łoży i służi Dobrodziejki. Zaś co do prowadzonych interesów i mojej pozycji, to z całym poświęceniem nadal pełnię funkcję rządcy składu winnego należącego do kupca Carla L. Wißmanna.

Mieszkam w pokojach nad składem, znajduje się on bowiem w kamienicy, a konkretnie w jej piwnicach i suterrenach. Przykrywka ta pozwala mi utrzymywać sieć kontaktów z dostawcami wina pochodzącymi z całej Europy. Mam korespondentów, którzy razem z winem dostarczają wieści z Francji, Hiszpanii, Italii, Wołoszczyzny, Węgier, z Triestu, Trieru² i Egeru. Do tej pory zajmowałem się jedynie sprawami gospodarczymi, interesowałem się cenami zboża, mięsa, metali, przepływowem dóbr, zagrożeniami i okazjami handlowymi związanymi z ruchami wojsk i przesuwaniem się konfliktów. Skoro obecnie będą interesowały JMC Mistrza sprawy wojskowe, musimy zmienić mój status w rycie, bym wiedział, co właściwie robię i dlaczego ryzykuję.

Odetchnął, po czym zmienił pióro na nowe. Z dołu dobiegały go śmiechy panien. Pracowały w sklepie niczym zwykle córki kupca, pomyśleć tylko, że kazał je kształcić na damy z towarzystwa. Salonowe sztuczki raczej im się nie przydadzą w składzie wina, choć kto wie?

– Teraz grzeczności. – Westchnął i zmusił się do napisania kilku fraz z pozdrowieniami i zapewnieniami o swoim oddaniu, a nawet miłości.

Przez chwilę się wahał, czy aby nie poświntuszyć odrobinę, ale jednak zrobiło mu się głupio i zrezygnował. Nie był durnym trefnisiem, Teresa zresztą między wierszami wyczyta, że za nią tęskni i co jej zrobi, gdy się w końcu spotkają. Zabrał się zatem za czułe podziękowania, choć niezbyt mu to szło. Spociał się przy tym i zdenerwował, aż w zakończeniu: *Twój na wieki, Siferdus, którego kochał Cię będzie żarem piekielnym, aż gwiazdy zgasną*, zrobił dwa kleksy. Zastanawiał się chwilę, czy nie przepisać wszystkiego jeszcze raz, ale się poddał. Trudno, będą musiały zostać plamy, które nieco odejmą elegancji temu pismu. Załączył do listu raport z tabelami cen z różnych części Europy, posypał papier piaskiem, by atrament wysechł, na koniec delikatnie skropił go swoimi perfumami, by pismo pachniało diabłem Siferdusem.

– Co za robota. – Westchnął, kręcąc głową. – Z drugiej strony lepsze to niż szukanie szczęścia na wojnie. Nie jestem już młodzikiem, który nie liczy się z niebezpieczeństwami i prze byle przed siebie na podbój świata. Stateczna praca w papierach zapewne dobrze mi zrobi.

Nie wierzył sam w to, co mówi, tak naprawdę nudził się coraz bardziej. Tęsknił za prawdziwą walką, taką śmierdzącą przerażeniem i śmiercią. Nie pomagały nawet mordercze treningi szermiercze, które urządzał razem

z Pustym. Prali się szablami do upadłego, aż zdyszani opadali z sił. Ignacy nie czuł się jednak spełniony, obawiał się, że to przez zadrę w sercu, która została po Marii i z której nigdy się nie wyleczy. Nie pomogą kolejne Teresy, zawsze będzie kochał tylko Marię. Upijanie się też nie przynosiło ulgi, a jedynie potęgowało rozdrażnienie. Potrzebował prawdziwej awantury, tęsknił za krwią. Był wilkiem, i to jeszcze wcale nie takim starym, z chęcią pozabijałby morderców brata, dawnej ukochanej i księdza Obucha, ale niestety musiał na to jeszcze poczekać.

Złożył list, nad świecą rozgrzał słupek laku, a gdy ten się roztopił, zrobił nim stempel zamykający pismo, po czym przypieczętował je sygnetem. Oczywiście nie używał herbu Sobolewskich, tylko wymyślonego herbu Siferdusów, podkowy z krzyżem kawalerskim. Teraz musiał jeszcze wysłać pismo gońcem, bo korzystanie z poczty prędzej czy później skończyłoby się przechwyceniem korespondencji przez pruski wywiad lub policję i wpadką. Za szpiegostwo gospodarcze też groziły surowe kary, łącznie ze strykiem.

Zszedł po schodach na dół i zajrzał do głównej sali sklepu. Frania stała za kontuarem, za którym znajdowały się półki z otwartymi butelkami win, przeznaczonych do degustacji dla klientów. Dziewczyna miała szesnaście lat i była już w pełni rozwiniętą kobietą, w dodatku niezwykle kusząco zbudowaną, co stryj nagle zauważył z pewnym zaskoczeniem. Opierała się łokciami o blat, zaś brodę wspierała na dłoniach. Wyginała się przez to, wypinając tyłek, na szczęście zabawiający ją czterej jegomości nie mogli podziwiać jej krągłości. Cecylia, nadal smukła jak strzała, stała kilka kroków dalej, nad otwartymi księgami rachunkowymi, gdzie miała też notatki dotyczące konkretnych win, szczepów, apelacji i roczników. Uśmiechała się do klientów z fachowością wyrobionej sprzedawczynie. Obie ubrane były w podobne sukienki w barwie burgunda, który to kolor miał nawiązywać do czerwonego wina, a poza tym wprowadzać pierwiastek tajemniczości, tak przynajmniej twierdziła Cecylia. Ignacy w takich sprawach oczywiście dawał im wolną rękę.

Stał chwilę, drapiąc się po brodzie. Siostry doskonale sobie radziły w sprzedaży win, choć po przyjeździe do Stettina musiały się nauczyć nie tylko niemieckiego, ale i wiedzy prawdziwego sommeliera. Obie były bystre i sprytne, w dodatku znały sztuczki, dzięki którym potrafiły zawrócić w głowach klientom, otumaniając ich zarówno urodą, rozmową, jak i częstując winem. Właściwie to one kręciły całym interesem i sprzedawały masę towaru. Szczytem wszystkiego było, gdy Frania wcisnęła jakiemuś jegomościowi oczarowanemu jej urodą kilka

beczek węgierskiego wina, zanim to w ogóle dotarło do składu. Dziewczęta nie tylko zarabiała na siebie, ale zapewniały całej rodzinie bardzo znaczącą intratę. Przynosiły więcej przychodu, niżby miały z rodzinnego majątku, z którego je okradziono. Tyle tylko, że musiały pracować, co było oczywiście ujmą dla szlachty i zrównywało je statusem społecznym ze zwykłym mieszczaństwem.

– Dobrze, że stryj przyszedł! – Frania się ucieszyła i wyprostowała, by stanąć w nieco skromniejszej pozie. – Mamy gości z Polski, z Warszawy!

Ignacy poczuł falę niepokoju. Tego mu tylko brakowało, węszących i wścibskich rodaków. Spojrzał ostro na jegomościów, ale na pierwszy rzut oka wszyscy wyglądali na Prusaków. Ubrani po cudzoziemsku, w surduty i kamizelki, dwóch z nich było młodzieńcami w identycznych kubrakach, barwnych i ze złotymi guzikami. Mieli do tego spodnie do kolan i pończochy, ponadto francuskie buty z klamrami. To na nich się skupił, podszedł, ignorując wyciągniętą rękę wyższego z nich. Z bliska dostrzegł to, czego się obawiał, na ich guzikach widniały wizerunki końskich łbów i napis: Jabłonna. To była młodzież spod Blachy albo po prostu złota młodzież, jak nazywano rozwydrzonych gówniarzy z otoczenia księcia Józefa. To ci, którzy nawet w prywatnych rozmowach porozumiewali się po francusku, bo pogardzali rodzimym językiem.

Kapitan nie był wielkim patriotą, ale takie ostentacyjne pogardzanie polskością go zwyczajnie irytowało. Wiecznie balujący w pałacu Pod Blachą ksiązę Poniatowski uchodził za warchoła i bawidamka niegodnego szacunku, zaś sfera jego fircyków była jeszcze gorsza, bo przekonana o własnej wielkości i wspaniałości. Bogatym gówniarzom z dobrych domów przydałoby się przytrzeć nosa, Ignacy patrzył zatem na nich bez cienia przychylności.

– Waszmościowie spragnieni wina? – spytał po polsku, patrząc wyższemu gnojnkowi prosto w oczy.

Chłopak opuścił wyciągniętą dłoń, wyraźnie speszony.

– Czyżby szykowało się jakieś wystawne przyjęcie? Może sam ksiązę Pepi przyjechał do Stettina? – kapitan drażył zaczepnym tonem.

Nazwał Poniatowskiego pogardliwym przydomkiem, jakim za jego plecami określali go nieprzychylni. Pepikami złośliwie nazywano Czechów, a matka księcia była czeską księżną. Była to zatem złośliwość i przytyk w złym stylu, ale Ignacy miał to w nosie. Dwaj młodzieńcy, słysząc tę obelgę, poruszyli się niespokojnie i spojrzeli na siebie. Ignacy zauważył, że są podobni nie tylko

z odzienia, ale i fizycznie, najpewniej byli braćmi. Uśmiechnął się pogardliwie, co miało jeszcze bardziej ich sprowokować. Z chęcią spralby ich porządnie, a później wykopał za drzwi, czekał tylko na pretekst.

Siedzący do tej pory w ciemnym kącie, niczym przyczajony pająk, kapral Pusty wstał z krzesła. Nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów, ale młodzieńcy spieszyli się jeszcze bardziej i w końcu dostrzegli zagrożenie. Towarzyszący im dwaj zdecydowanie starsi jegomości zdawali się niczego nie dostrzegać, patrzyli to na panny, to na butelki wina i rozmawiali po niemiecku, zastanawiali się nad wyborem godnego trunku.

– Nie wiem, czemu waszmość obrażasz księcia Poniatowskiego, ale nie mogę puścić tej zniewagi płazem – odezwał się jeden z młodzieńców, odsuwając drugiego. – Nie wiem też, czy masz waść zdolność honorową. Tak czy inaczej, obraziłeś naszego przyjaciela, i to zupełnie bez powodu, jestem zatem zmuszony...

– Czekaj, Lucjanie. – Wyższy brat bezceremonialnie odsunął niższego niczym zagradzający drogę mebel. – To ja rozmawiam z tym jegomościem i to na mnie ciąży odpowiedzialność, by bronić godności Józefa.

– Ale ja byłem pierwszy! – gorączkował się ten, który rzucił wyzwanie Ignacemu. – Jestem Lucjan Ussakowski, wyzywam waszmości na pojedynek. Masz pan obowiązek udzielić mi satysfakcji albo zaraz obiję cię po gębie jak zwykłego chama!

– Miarkuj się, do diaska. I nie popychaj mnie!

Bracia zaczęli się szarpać i szamotać, próbując ustalić, który ma stanąć przed Ignacym, by zmusić go do przyjęcia wyzwania. Ten patrzył na nich coraz bardziej rozbawiony. Rozmowy w winiarni ucichły, wszyscy patrzyli na dwóch spierających się złotych młodzieńców. Cecylia pomachała do stryja i zrobiła groźną minę, kręcąc głową, jakby chciała go zmusić, by odpuścił, ale ten już poczuł krew, za którą tak tęsknił.

– Niech będzie, panowie! – zagrzmiał. – Jestem Andrzej Siferdus i owszem, posiadam zdolność honorową, z chęcią zatem udzielę wam obu satysfakcji. Kolejno albo dwóm naraz, na szable lub pistolety, jak wolicie. Nadal jednak podtrzymuję opinię, że ksiązę Pepi nie zasługuje na żaden szacunek ani poważne traktowanie. W tej winiarni sprzedawałem alkohol wielu bogatym pijakom i żaden nie był takim utracjuszem i bawidamkiem jak ów ksiązę.

Obaj bracia stężeli ze złości, przestali się szarpać i patrzyli na Ignacego z jawną nienawiścią. Powszechnie wiadomo było, że przybocznicy księcia go uwielbiają i poszliby za niego w ogień.

– Jestem Rafał Ussakowski, będę się bił z waszmością jako pierwszy. Wybieram szablę, walczymy do trzeciej krwi lub śmierci – powiedział już nieco spokojniej wyższy z braci.

– Ja też wybieram szablę. Chcę walczyć na śmierć – Lucjan przelicytował brata.

– Nie ma mowy, dość tych bzdur! – Frania huknęła po polsku. – O co właściwie się pokłóciliście? Stryj oszalał? Zamierza mordować klientów, którzy przyprowadzili najbardziej znamienitych mieszkańców Stettina?

Ruchem gałek ocznych wskazała stryjowi dwóch starych Prusaków, przyglądających się awanturze.

– To pan Johan Wietzlow i kanclerz Otto von Rochefort – Cecylia syknęła, patrząc na stryja wzrokiem bazyliuszka. – Przyszli kupić najlepsze wino z okazji zbliżających się odwiedzin w mieście królowej Luizy. To wielki zaszczyt, że raczyli wybrać nasz skład, a stało się tak dzięki tym dwóm waszmościom, którzy usłyszeli o sklepie prowadzonym przez rodaka i jego bratanice.

Dziewczyna cedziła słowa, by uderzały w Ignacego niczym ciosy, po czym już znacznie łagodniej poprosiła go, by z łaski swojej przeprosił klientów za swoje zachowanie i wszystko odwołał.

– Nie da się odwołać wszystkiego, co się powiedziało, niektóre słowa są cięższe od innych. Trzeba ponieść konsekwencje ich wypowiedzenia. – Ignacy poczuł się głupio.

Zanosilo się, że koło nosa przejdzie im poważny zarobek, może nawet szansa na zabicie fortuny. Ukłonił się dwóm Prusakom i spytał, czy będą łaskawi przyjąć od niego po butelce z najlepszych roczników, jakie miał na składzie, aby mogli sobie na spokojnie posmakować i ocenić je w domowych pieleszach.

Kanclerz próbował zbagatelizować spór, mówiąc o gorącochrwistych Polakach, ale kupiec Wietzlow nie ukrywał niezadowolenia i wspominał o innych składach win w mieście, które też należałoby odwiedzić. Bracia Ussakowscy wycofali się do wyjścia, obiecując, że przyślą sekundanta, by umówił termin pojedynków. Obaj też ukłonili się dziewczętom w pas i przeprosili je za zachowanie, jakby to oni byli winni obrzucenia księcia Poniatowskiego obelgami przez Ignacego. Po chwili po klientach nie było śladu,

Ignacy tylko dosłownie w drzwiach wyciągnął od nich zgodę na przysłanie próbek wina do pałacu Pod Globusem.

- Do stu regimentów diabłów - mruknął, kiedy drzwi za klientelą się zamknęły. - Skąd te firyky znają kanclerza?

- Kupiec Wietzlow jest współnikiem ich ojca, a kanclerz z kolei przyjaźni się z Wietzlowem - Cecylia powiedziała chłodno. - Kawalerowie zatrzymali się w Stettinie podczas podróży z Berlina do Warszawy. Zachowywali się wobec nas bardzo uprzejmie i naprawdę nie było powodu urządzać awantury.

Ignacy pogroził jej palcem i już miał powiedzieć, że to on decyduje, kiedy i z kim urządza awantury, i żadna podfruwajka nie będzie mu dawała bury. Zamiast tego machnął ręką i skinął na Pustego, by ten dołączył do niego w gabinecie. Podkulił ogon i uciekł z powrotem na górę, bo zrobiło mu się zwyczajnie głupio.

Cecylia wpychała korki do butelek po degustacjach i ustawiała szkło na półce, poprawiała przy tym zawieszki na sznureczkach ze sporządzonymi własnoręcznie etykietami. Lubiła to zajęcie, w ogóle pilnowanie porządku, notowanie roczników, nazw szczepów, cen, przychodów, kosztów i zysków w licznych tabelkach, które sama robiła w księdze rachunkowej. Miała wówczas wrażenie, że nad wszystkim panuje, ma władzę i potrafi żonglować liczbami jak mało kto. Poza tym wprowadzała dodatkowy porządek do świata, układała go, zwalczała naturalny chaos. Świat pozostawiony samemu sobie dążył do bałaganu, już dawno to zauważyła. Etykietki opisywała srebrnym ołówkiem, który nosiła zawieszony u pasa na łańcuszku. Cacko dostała od stryja w Boże Narodzenie, co wstrząsnęło nią do głębi, choć Ignacy oraz częściej potrafił okazać nie tylko gest, ale nawet troskę. Frania twierdziła, że się starzeje, a na starość wszyscy ludzie dziecinnieją i stają się rzewni. Cecylia uważała jednak, że to wpływ spokojnego, statecznego życia kupca, które tu pędzili. Ignacy uznał, że muszą się przyczać i nie zwracać na siebie uwagi, i tak z awanturnika zmienił się w statecznego mieszczanina. Trochę go to uwierało, ale miało na niego kojący wpływ. Nie wiedziała jednak, czy długo jeszcze tak wytrzyma i czym się to może skończyć. Urządzenie przez niego awantury z przypadkowymi klientami jednak ją zaskoczyło, tak samo jak srebrny ołówek w prezencie.

– Kończysz już? – spytała Frania, która właśnie wróciła z podwórka, gdzie zegnała wyruszającego w drogę Pustego. – To dobrze, stryj wybrał się jak zwykle z kapralem, ma zajechać do stacji pocztowej w Stargardzie i odebrać wozy z towarem z Węgier. Z powrotem będzie pewnie jutro przed południem. Mamy wolne, zamykamy sklep i idziemy naprawić, co napsuł.

Cecylia uniosła brew.

– Jak niby to naprawimy? – spytała. – Pusty już pojechał? Nie przyszedł się ze mną pożegnać.

– Mam przekazać ci od niego uściski. Stryj wysłał go galopem do Warszawy z jakimś pilnym listem.

Kapral Pusty działał przez cały ich pobyt w Stettinie jako goniec i kontakt z Warszawą. Przewoził tajną pocztę Ignacego do jego kochanki z loży masońskiej, czasem konwojował przy okazji wozy z winem. Podróżował nader chętnie, bo zawsze zatrzymywał się u wdowy z Otwocka, pani Jarząbek. Od trzech lat miał z nią romans, a właściwie żył z nią w nieformalnym związku, bo nie mógł się zdecydować, by poprosić kochankę o rękę. Wiązałoby się to bowiem z końcem służby u kapitana Sobolewskiego, a z nim rozstać się zwyczajnie nie potrafił. Do tego obawiał się, że pani Jarząbek jako żona szybko zamieniłaby się w heterę i próbowała go zdominować, a z pewnością odebrałaby mu swobody, jakimi cieszył się jako kawaler i pracownik Ignacego. Wolął zatem pozostać w rozdarciu, trochę tu, trochę tam. Wszyscy wiedzieli, że to nie potrwa wiecznie, bo wdowa z pewnością chciałaby już wreszcie przestać być wdową i w końcu zmusi wybranka do podjęcia decyzji. Za każdym razem, kiedy Pusty wyjeżdżał, zachodziła obawa, że wróci jako człowiek żonaty, by się pożegnać, lub już nawet nie wróci, tylko prześle wiadomość o swojej decyzji.

Dziewczęta przyzwyczyły się do niego, choć nie raz dał im w kość, zdarzało się, że przez jego nauki i treningi kładły się spać zapłakane z bólu i zmęczenia. Miały jednak wrażenie, że po prostu uczył je wszystkiego, co sam umiał, poza tym naprawdę się starał i traktował je, jakby były jego rodzonymi dziećmi. Nic dziwnego, że nie wiedzieć kiedy Cecylia zaczęła się do niego odnosić jak do członka rodziny, Frania wręcz go uwielbiała i często z nim żartowała, posuwając się do naprawdę sporej poufałości. Zastąpił im wiernego sługę, Macieja, który opiekował się nimi w dzieciństwie i uratował im życie w czasie zamachu na ojca. Gdyby nadal z nimi był, z pewnością zachowywałby się wobec nich podobnie jak kapral Pusty. Jak opiekun i nauczyciel. Cecylia miała nadzieję, że

stary sługa znalazł dobrego, nowego pana i ma się dobrze. Trochę tylko żałowała, że nie dał znaku życia i nie próbował ich szukać lub choć odwiedzić.

– Zaraz, o czym ty mówisz? Jak właściwie chcesz naprawić, co nabroił stryj?

– Odstawiła na miejsce ostatnią butelkę i spojrzęła na siostrę.

– Zupełnie zwyczajnie. Pójdziemy do tych kawalerów i ostrzeżemy ich, bo chyba nie zdają sobie sprawy, z kim zadarli. Mają Ignacego za zwykłego kupca winnego, zwyczajnie mi ich szkoda. – Frania nigdy nie owijała w bawełnę, była najbardziej szczerą i bezpośrednią z całej rodziny. – Stryj ma ochotę komuś dolożyć i może ich pozabijać.

– Gdzie ich znajdziemy? Trzeba by popytać w ratuszu...

– Ich ojciec przyjaźni się z Wietzlómem, zatem z pewnością zatrzymali się u niego. – Frania wzruszyła ramionami, jakby siostra pytała o oczywistość. – Mieszkają w pałacu Pod Globusem, jest taki wielki, że głupotą byłoby, gdyby nocowali w jakiejś austerii.

Cecylia pokiwała głową, zdecydowała jednak, że obie muszą się przebrać, bo w burgundowych kieckach wyglądały zbyt wyzywająco. Ten kolor pasował do sklepu winnego, ale na ulicy mógł się kojarzyć z pstrokatym strojem zwykłej ładacznicy. Frania po zastanowieniu doszła do wniosku, że rzeczywiście lokaje z pałacu mogliby siostry po prostu wypędzić, więc gotowa jest przebrać się w niedzielny strój, w jakim chodziły do kościoła. To i zamknięcie składu, zaryglowanie okiennic oraz drzwi, pogaszenie świateł trochę im zajęło. Kiedy się przebrały w ciemne i skromne suknie, na które założyły salopy z kapturkami, był już wieczór. Na szczęście trwały najdłuższe dni w roku i mimo późnej pory na zewnątrz miało być jasno jeszcze przez jakiś czas, nie zabrały zatem ze sobą choćby latarenek. Za to nie były na tyle bez troskie, by poruszać się po mieście bez broni. Każda kobieta, która chodziła bez męskiego opiekuna, narażała się co najmniej na zaczepki, mogła też zostać zaciągnięta do zaułka, zgwałcona i okradziona, zanimby zdążyła się porządnie wystraszyć. Miasta nigdy nie były bezpiecznymi i miłymi miejscami po zapadnięciu zmroku.

Wyprawa nie była jednak specjalnie wymagająca, bo wystawny dwupiętrowy pałac wznosił się przy Rynku Końskim⁴, a ten z kolei znajdował się u wylotu ulicy Młyńskiej, musiały zatem pokonać tylko całą jej długość i już były na miejscu. Na placu handlowano końmi, ale dawno temu, w średniowieczu, obecnie było to najbardziej reprezentacyjne miejsce w Stettinie. Plac z centralnie położoną fontanną z kamiennym orłem otaczały wystawne

kamienice w stylu pałacowym, nad którymi zdecydowanie górowała rezydencja Wietzlowa, zwieńczona globusem oraz figurą alegoryczną przedstawiającą Fortunę.

– Stryj mawia, że to nasza opiekunka, że mamy u niej fory – powiedziała Cecylia, kiedy doszły do placu, przez nikogo niezaczeplane.

– Tak, wiem. Uważa, że mamy wielkie szczęście i Fortuna nam sprzyja. Głównie dlatego, że obdarzyła nas takim wspaniałym opiekunem, jakim jest on sam – Frania stwierdziła cierpko, po czym parsknęła śmiechem.

Cecylia jej zawtórowała. Oczywiście obie tęskniły straszliwie za rodzicami, łagodnym i cierpliwym ojcem, kochaną i ciepłą mamą, od których Ignacy był tak różny, jak tylko było możliwe, ale mimo wszystko przyzwyczyły się do stryja. Doszły nawet do wniosku, że owszem, jest piekielnikiem i brutalem, ale one dwie mają na niego łagodzący wpływ i gdzieś tam głęboko drzemie w nim skrętnie ukryte dobro. Naprawdę głęboko ukryte. Nie zapił się jeszcze na śmierć i kogoś nie zabił głównie dlatego, że musiał się nimi opiekować. Niby żył żądzą zemsty za śmierć brata i ukochanej Marii, ale tak naprawdę jego motywacje nie były takie jasne.

Frانيا załomotała kołatką w główne drzwi pałacu, choć na drugim końcu budynku znajdowały się drzwi gospodarcze dla służby i interesantów. One jednak uznały, że będą występować z przytupem, jako ważni goście. Lokaj pojawił się dość szybko i obrzucił je z góry do dołu i z dołu do góry nad wyraz chłodnym spojrzeniem. Na jego twarzy pojawił się grymas niechęci, kiedy usłyszał niemiecką mowę z mocnym, słowiańskim akcentem. Nikim tak w Prusach nie pogardzano jak dzikimi ludami ze Wschodu. Na szczęście nie wyglądały jak ladacznice i nie chciały jałmużny lub czegoś sprzedać, bo pogoniłby je w mgnieniu oka. Nie żądały też widzenia z panem Wietzlowem, tylko z jego najmniej znaczącymi gośćmi, jakimiś szczeniakami z Polski. Widać ciągnie swój do swego, niech więc sobie owi młodzieńcy sami rozmawiają z pannami. Wpuścił je do przedsionka, nie okazując więcej niechęci, po czym poszedł powiadomić kogo trzeba o natrętach.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – Cecylia powiedziała, powątpiewając nagle w słuszność decyzji. – Co sobie o nas pomyślą? Panny, które przychodzą do domu obcych ludzi, by spotkać się z kawalerami, to źle wygląda. Jakbyśmy były ladacznicami, utrzymankami, które się narzucają w poszukiwaniu klienta.

- Jeśli się nie przymusimy do tej ujemy na wizerunku, to ci kawalerowie za kilka dni będą gryźć ziemię - zauważyła Frania.

- Nie używaj zbyt często ulubionych powiedzonek i określń Pustego, bo kiedyś coś palniesz w towarzystwie i będzie po wizerunku.

- W jakim towarzystwie? Kupców winnych? - Frania machnęła ręką. - Ignacy twierdzi, że jeszcze tylko kilka miesięcy, może rok i wrócimy do Warszawy, ale coś mi się nie wydaje, byśmy miały kiedykolwiek wejść na salony. On nadal uważa, że ktoś chce nas zamordować, nawet po tylu latach. I będzie nas trzymał w klatce, coraz bardziej złotej, ale klatce.

Cecylia pokiwała głową.

- Trochę przesadzasz, a stryj mimo wszystko ma rację. Jeśli chodzi o te sprawy, wierzę w jego przecucia. Świętej pamięci ksiądz Baltazar je zlekceważył i zginął marnie.

Rozmowę przerwało im nadejście braci Ussakowskich, którzy obaj zbiegli po schodach, przepychając się, jakby mieli po siedem lat i się ścigali, który pierwszy powita ciekawych gości. Nie nosili już pstrokatych kubraków surdutowych, ale ich pasiaste kamizelki też wyglądały nieco ekstrawagancko. Obaj zbiegli na dół równo i obaj synchronicznie się uklonili. Panny poczuły się rozbawione i Cecylia natychmiast zapomniała o obawach. Kawalerowie nie byli ani sztywni i oddani konwenansom, ani specjalnie nie przejmowali się własną reputacją. Przy tych dwóch błaznach trudno było się martwić o swój wizerunek. Po chwili na wyścigi zasypali je pytaniami o to, czym zawdzięczają sobie ten honor i czym mogą służyć nadobnym pannom. Domagali się też, by te weszły do salonu i napiły się z nimi czegoś lub usiadły i skosztowały wspaniałego ciasta, które przygotował cukiernik gospodarza, pan Wietzlow zatrudniał bowiem prócz kucharzy także cukiernika. Frania pociągnęła wahającą się siostrę i ostatecznie obie weszły do salonu gościnnie zajmowanego przez braci.

Usadzono je w fotelach, Lucjan pognał na łeb na szyję do kuchni i już po chwili, zdyszany i nieco spocony, wparował z tacą zastawioną filiżankami z ciepłym mlekiem i owym ciastem. Obie skosztowały przysmaku z przyjemnością, ciasto sownie nasączono likierem i polano lukrem z kawałkami gorzkiej skórki pomarańczowej. Cecylia zaczęła prowadzić konwersację, jakiej uczyły się od madame Christine i madame Melissy. Starła się przy okazji przećwiczyć miny i gesty prawdziwej damy, ale tylko dla przypomnienia sobie tej sztuki, nie zamierzała uwodzić obu braci. Siedziała

sztynno, z filiżaneczką w palcach i mówiła to do jednego, to drugiego, wdzięcznie przekrzywiając główkę i trzepocząc rzęsami. Ussakowscy patrzyli na nią z rosnącym zachwytem, kiedy wzdychając, chwaliła smak ciasta i opowiadała o innych przysmakach, jakich próbowały w kawiarni po drugiej stronie placu. Frania poczuła ukłucie zazdrości, bo żaden z kawalerów na nią nie patrzył. Wiedziała, że czcza rozmowa może trwać nawet ze dwa kwadransy, zanim Cecylia uzna za stosowne, by przejść do rzeczy.

– Moi drodzy, słodycze i uroki miasta to z pewnością szalenie ciekawy tematy do rozmowy, ale przyszyliśmy nie po to, by spędzić wieczór na cedzeniu słodkich słówek – przerwała siostrze w pół słowa. – Sprawa jest gardłowa, idzie o wasze życie...

Bracia spojrzeli na siebie, uśmiechając się lekko.

– Nie boimy się mości Siferdusa, jeśli o to pannie chodzi. Obaj braliśmy lekcje szermierki u wybitnych wojowników – Rafał odpowiedział jej, uprzejmie się kłaniając. – Znana jest nam szkoła francuska robienia szpada, ale doskonale radzimy sobie także polskimi szabłami. Znamy dość biegle nawet sztukę krzyżową, popularną szczególnie w siedemnastym wieku. Niezwykle groźną i skuteczną w pojedynkach. Uspokoję jednak panny, z bratem nieco ochłonęliśmy i postanowiliśmy, że nie zrobimy wielkiej krzywdy waszemu stryjowi. Nie zabijemy go, nie ma obawy. Niestety będzie musiał zapłacić krwią za znieważenie księcia Józefa, ale postaramy się to zrobić w miarę... Hm, delikatnie.

– Ja też odstąpiłem od pomysłu wyzwania go na bój śmiertelny – dodał Lucjan, patrząc prosto w oczy Cecylii. – Powinność wobec naszego przyjaciela to rzecz święta, ale nie miałbym serca, by skrzywdzić kogoś tak dla panien bliskiego i z pewnością ważnego. Dowiedzieliśmy się dopiero co, że jesteście sierotami i stryj jest waszym jedynym opiekunem. Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, może całkiem wycofaliśmy się z pomysłu pojedynkowania, ale teraz jest zdecydowanie za późno. Dołożymy zatem wszelkich starań, by w tym pojedynku nie stracił życia.

Cecylia pokiwała głową, lekko uśmiechając się z wystudiowaną wdzięcznością.

– Byłabym niewymownie zobowiązana, gdyby mimo wszystko kawalerowie raczyli odstąpić od wymierzania sprawiedliwości i zmywania plam z książęcego honoru... – zaczęła dyplomatycznie.

– Bo inaczej zginiecie marnie – Frania weszła jej w słowo, oczywiście włąć prosto z mostu. – I byłoby nam niewymownie przykro. Tak się bowiem składa, że nasz stryj, Andrzej, to niekoniecznie ciamajdowaty kupiec winny, za jakiego go pewnie wzięliście. Dawniej parał się innymi rzeczami, także wojaczką.

– Posługuję się bronią w sposób, jakiego nie uczą szermierze z eleganckich salonów – dodała Cecylia. – Wyszkolił się na polach bitew, walcząc o życie, czasem z przeważającym liczebnie nieprzyjacielem. Nie będzie wykonywał honorowych piruetów, ukłonów i grzecznościowych gestów, tylko was skrzywdzi.

– Nie jest miłym człowiekiem, potrafi być okrutny – Frania przytaknęła siostrze. – Upokorzy was, panowie, kolejno lub obu naraz. Rozbroi, okałeczy, skrzywdzi. Jeśli wpadnie w szal, nawet pozabija. Nie macie z nim najmniejszych szans.

Bracia spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Sprawiali wrażenie zmieszanych, ale nie dali wiary w słowa sióstr, od razu to wyczuły. Może też zwyczajnie sprawy zabrnęły za daleko, by się wycofać. Jak by spojrzeli w oczy swojemu patronowi, księciu Poniatowskiemu, gdyby się wydało, że nie wymierzili słusznej kary jakiemuś kupcowi winnemu? O nie, musieli mu sprawić lanie, nawet mimo tego, że był groźnym zabijaką. Cecylia doszła do wniosku, że niestety straciły czas, za to Frania się nie poddawała.

– Nie róbcie tego, bardzo was proszę. Nie chcę mieć was na sumieniu, nie chcę waszej krzywdy. Całe życie przed wami, nie zmarnujcie go przez obronę tak zwanego urażonego honoru – poruszyła się do przodu, jakby zamierzała wstać. – Wyjedźcie z miasta, po prostu wyruszcie w dalszą drogę. Stryj Andrzej nie będzie mógł was nagabywać, a my dopilnujemy, by cała ta historia nie miała dalszego ciągu, by wszystko zostało zapomniane i co najważniejsze, by nikt i nigdy nie dowiedział się o tym, co zaszło. Zróbcie to, a będę wam wielce zobowiązana.

– Ze swojej strony również dopilnuję, by została zachowana pełna dyskrecja – obiecała Cecylia.

Lucjan ze zboląłą miną pokręcił odmownie głową.

– Wy byście wiedziały i my, co już jest wystarczającą ujmą. Stracilibyśmy twarz, a z czymś takim szlachcic nie może żyć. Proszę to łaskawie zrozumieć.

Siostrom nie pozostało zatem nic innego, jak podziękować za poczęstunek i wrócić do domu. Ussakowscy nie chcieli jednak wypuścić ich samych, na

zewnątrz zapadła już noc, nie uchodziło, by dwie niewiasty samotnie chodziły po ciemku. Nie wypadło odmówić i panny musiały wyruszyć w drogę powrotną eskortowane przez dwóch kawalerów wyposażonych w zapalone latarnie. Nie było to dla panien przykre towarzystwo, wręcz przeciwnie, obie były zadowolone z kompanii. Wielbicieli miały całkiem liczne grono, które przychodziło do winiarni, ale składało się z samych Prusaków, w dodatku zdecydowanie starszych wiekiem od panien. Młodzi rodacy diametralnie różnili się od tamtych adoratorów. Gdy zatem szły spacerem ulicą Młyńską, było im zwyczajnie przyjemnie, aż zaczęły żałować, że do domu miały tak blisko.

Samozwańczy sędzia Julian Niewieski wszedł do składu win i pociągnął nosem, by poczuć zapach tego miejsca. Zapach mówił dużo o gospodarzach, choćby o tym, czy dbają o czystość. W winiarni nie unosił się kwaśny odór wińska ani ludzkich wyziewów, pachniało drewnem, świecami łożowymi, damskimi perfumami. Upał z Miazgą wyłamali drzwi i teraz w pośpiechu sprawdzali wszystkie pomieszczenia. Okazało się, że wewnątrz nie ma nikogo, nawet służby, u której można by zaciągnąć języka. Serafin spokojnie zapalił lampę oliwną i kilka świec w świeczniku, po czym zajął się czytaniem etykiet na butelkach. Wybrał jedną i napełnił kielich, skosztował, pokiwał głową z uznaniem i kolejny kielich podał szefowi, który już zasiadł w fotelu przeznaczonym dla co znamienitszych klientów. Piękny jak anioł sługa nie odezwał się ani słowem, ale sędziego uwierało to jego krytycznie wymowne milczenie.

- Wiem, wiem, pośpiech był niepotrzebny - stwierdził cierpko, bo nawet wino nie osłodziło jego rozczarowania, choć dostał mu się słodki tokaj. - Po prostu szkoda mi było czasu na kilkudniowe podchody i obserwacje. Kimże takim mogą się okazać opiekunowie sióstr Sobolewskich, by robić z tego poważne dochodzenie?

- Ludźmi, którzy od pięciu lat skutecznie ukrywają przed tobą te dwie panienki - odparł Serafin spokojnie. - Nie pamiętasz już tego wielkiego księdza, który omal cię nie zabił, choć wyciągnęliśmy go z łóżka gołego i nieuzbrojonego? To nie są byle chłystki, nie wolno lekceważyć kogoś tak zdeterminowanego, by je chronić. Mówilem, byśmy poświęcili na to jeszcze tylko kilka dni...

- Cały tydzień zmarnowałem, wlokąc się gównianymi duktami na ten koniec świata! - warknął wściekły sędzia. - Dla dwóch zapomnianych dzieciaków, smarkul, które nie stanowią żadnego zagrożenia. Gdyby nie to, że wtedy, mordując ich rodziców, spartoliliśmy sprawę, już dawno nikt by o nich nie pamiętał. Są dla mnie niczym wrzód na dupie, którego istnienia nie mogę dłużej znieść. Chcę wyciąć go czym prędzej i wracać do Warszawy, zając się bieżącymi sprawami. To, po co tu jesteśmy, należy do przeszłości, dawno powinno zostać zakończone i pogrzebane z tamtą sprawą.

Kieliszek, który ścisnął w wielkim łapsku, trzasnął i rozpadł się na kawałki. Niewieski strzepnął wino z palców, jakby przypadkowe zmiżdżenie naczynia należało do codzienności. Rozejrzał się po składzie, z chęcią kazałby go spalić, ale obawiał się, że pożar w środku miasta tylko ściągnąłby mu na kark cały garnizon i policję. Lepiej po cichu przeprowadzić plan - wtargnąć do domu nocą, zgarnąć panny i zniknąć. Bez kręcenia się po mieście, zwracania na siebie uwagi, zbędnych pytań, śledztw i zachodu.

Miał naprawdę dosyć tej sprawy. Dwa lata zajęło mu ustalenie, dokąd uciekły panienki, kiedy po raz drugi wymknęły mu się z rąk. Musiał rozesłać wici, gdzie tylko się dało, i wyznaczyć nagrodę za wieści o dwóch siostrach pozbawionych rodziców i pochodzących ze stanu szlacheckiego. Doniesienia spływały z całego kraju, miesiąc po miesiącu, wciąż nowe, jakby sierot odpowiadających wiekiem pannom Sobolewskim były jakieś nieprzeliczone rzesze, jakby wyrastały niczym grzyby po deszczu. Musiał wysyłać swoich najlepszych ludzi, by te doniesienia weryfikowali, i zawsze się okazywało, że to inne panny, czasem w ogóle nie siostry lub nawet nie sieroty, często wcale niepodobne do poszukiwanych, a zdarzało się, że znacznie od nich starsze lub młodsze. Kiedy jeden sługa kupca winnego z Prus doniósł, że w Stettinie są dwie nadobne panny, które mogą być poszukiwanymi, Niewieskiemu nawet powieka nie drgnęła. Wysłał tam Ciołka, swego osobistego kucharza i truciciela zarazem, by podjął się roboty w pobliskim zajeździe lub kawiarni i sprawdził panny. Kiedy ten przysłał entuzjastyczną wiadomość, że to one, i to z całą pewnością, sędzia nie mógł uwierzyć. Wszystko jednak pasowało, dwie polskie sieroty mieszkają z jakimiś drabami, pod przybranym nazwiskiem i udając zwykłe mieszczyki, choć wystarczyło się im przyjrzeć i posłuchać, by rozpoznać szlacheckie wychowanie. Do tego wyglądały jak na rodzinnym portrecie Sobolewskich, który Niewieski kazał skraść z ich zajętego onegdaj dworu. Oczywiście urosły i dojrzały, ale to były one.

- Ktoś się zbliża! - Do składu wśliznął się Upał niczym zły duch. - Dwóch mężczyzn i dwie młode niewiasty. To chyba one...

Niewieskiemu zły humor minął w jednej chwili. Poderwał się na równe nogi i machnął ręką na swoich drabów, by natychmiast zgasili światła.

- Przejmujemy je i chodu, byle dalej z miasta - rozkazał. - Nie wiem, kim są ich opiekunowie, ale skoro w pobliżu jest tylko dwóch sługusów, to nie ma co ryzykować. Zabierzemy panny żywe, po drodze wycisnę z nich wszystko, co wiedzą. Głowy można odrąbać im dopiero w Warszawie. Wówczas podam je na tacy Cesarzowej i mości Mistrzowi.

Serafin tylko skinął głową i ruszył na zewnątrz, by sprowadzić powóz, który czekał dwie ulice dalej. Po drodze minął idące do domu siostry Sobolewskie i dwóch młodzieńców z latarenkami. Uchylił kapelusza, ale panny były zbyt zajęte rozmową z kawalerami, by zwrócić na niego uwagę. Widział je tylko przez chwilę, w dodatku w półmroku, ale rozpoznał je od razu. Pięć lat temu poświęcił kilka dni na obserwację tej rodziny, zanim ją zgładzili, a pamięć do twarzy miał doskonałą. Panny rzeczywiście się zmieniły, wyciągnęły się i zaokrągliły jednocześnie, ale kluczowe cechy ich urody pozostały identyczne. Serafin poszedł zatem dalej, a kiedy znikł w ciemnościach, ruszył biegiem.

Dziewczęta i ich eskorta dotarły do kamienicy, w której znajdował się skład, i na chwilę zatrzymały się przed bramą, by pożegnać się z braćmi Ussakowskimi. Ci stanęli ramię w ramię i do tego na baczność, jakby zamierzali oddać pannom salut.

- Nalegam, byście obaj przemyśleli swoją decyzję - Cecylia podjęła sprawę, z jaką poszły do młodzieńców.

- Pojedynki to najbardziej idiotyczna rzecz, jaką wymyślili mężczyźni - Franja dodała jak zwykle bez ogródek. - Zabijać się w imię czegoś tak abstrakcyjnego jak honor to doprawdy zwyczajna niedorzeczność.

- Nie zgodzę z panną, panno Franciszko - Rafał odparł grzecznie. - Pojęcie honoru to część tradycji rycerskiej, kultury chrześcijańskiej, na której opiera się cywilizacja łaćnińska. Podwaliny naszego świata budowali ludzie honorowi, to dzięki nim przyzwoitość, prawdomówność, wierność są podstawowymi wartościami, bez których nie sposób...

Nie dane mu było dokończyć, bo z ciemności za jego plecami wynurzyła się przerażająca postać, człowiek o połowie twarzy oszpeconej potwornymi bliznami po poparzeniach. Uderzył młodzieńca w tył głowy drewnianą pałką, aż

trzasnęło, a Rafał poleciał do przodu wprost w ramiona Frani, która odruchowo go złapała i razem z nim usiadła na bruku.

– Z tyłu! – Cecylia ostrzegła Lucjana i sama sięgnęła pod salopę, by wydobyć ukryty w niej we wszytej pochewce długi sztylet.

Nie zdążyła jednak dobyć broni, bo jakaś kosmata łapa objęła ją od tyłu za twarz, tłumiąc krzyk i uniemożliwiając oddychanie. Lucjan obrócił się, jednocześnie robiąc zamach, po czym trzasnął latarenką w bok głowy Upała. W jej środku miał nie świeczkę, ale lampę na olej, która roztrzaskała się z hukiem. Płyn bryznął na zbira i zapalił się na nim. Upiornie poparzony Upał ryknął ze zgrozy i bólu, zajęły się mu włosy i wełniana kurta, którą miał na sobie. Któryś kompan nakrył go peleryną i zagasił płomień. Zanim młodzieniec ruszył na zbira, który zaatakował Cecylię, nogi podciął mu krępy karzeł Konus, a chudy jak tyczka Pogoń zarzucił na niego płachtę z płótna i obaj zaczęli okładać go pałkami z zadziwiającą wprawą i bezlitośnie. Prali go, aż przestał się ruszać, co nie trwało długo.

Frani dopadł Cynober, który założył jej na głowę czarny worek, po czym zacisnął na nim sznur, ściskając nim jej szyję i pozbawiając tchu. Obie panny nie mogły wrzasnąć ani sięgnąć po broń ukrytą w ubraniach. Zbóje działali jak przystało na zawodowych morderców i porywaczy, sprawnie i bez cienia wahania lub skrupułów. Zanim się siostry zorientowały, ich ręce i nogi skrępowano sznurem, Frani zdjęli po chwili worek z głowy i obu pannom wepchnięto kneble głęboko w usta. Widziały jeszcze nadjeżdżającą czarną karetę powożoną przez pięknego mężczyznę z rozwianymi, długimi blond włosami. Wówczas podszedł do nich wielkolud, bez wątpienia herszt rozbójników. Niewieski każdą z panien złapał za twarz i przysunął do niej płonące łuczywo, by sobie obejrzyć zdobycz.

– Taaak, Cesarzowa będzie zadowolona – mruknął po polsku. – Nie ma co mitrzyć, ruszamy, bo czeka nas długa droga.

Dziewczęta bezceremonialnie wrzucono do karety, wsiadł do niej z nimi karzeł Konus i chudzielec Pogoń. Sędzia wspiął się na siodło przyprowadzonego przez jednego ze zbójów czarnego ogiera. Cała kawalkada, złożona z karety i dziewięciu jeźdźców, z łomotem ruszyła przez Stettin w kierunku dawnej bramy miejskiej. Po paru chwilach rozplynęli się w ciemnościach, przed splądrowanym składem win zostało jedynie dwóch poturbowanych do nieprzytomności młodzieńców.

Kapitan Sobolewski był naprawdę wściekły, co przejawiało się tym, że zachowywał się niezwykle wprost spokojnie. Zamieniał się w takim stanie w kawał lodu, w litą bryłę, w środku której jednak kipiał ognisty wulkan. Wystarczyło wówczas jedno pęknięcie, by eksplodował furją i zamienił się w żądneho krwi szaleńca. Będąc w takim właśnie nastroju, zastukał kołatką w drzwi pałacu Pod Globusem i stał nieruchomo na siąpiącym deszczu niczym posąg. Coś w jego postawie było niepokojącego, i to na tyle, że lokaj, gdy mu otworzył, nie śmiał spoglądać z pogardą, nawet gdy uznał, że ma do czynienia z podejrzanym typem. Nie przetrzymywał go w sieni, tylko zgodnie z życzeniem od razu zaprowadził na pokoje zajmowane przez gości z Polski. Tam dopiero kazano mu czekać, bo młodzi panice cierpieli po kontuzjach i nie wiadomo było, czy zechcą go przyjąć i wysłuchać. Nie czekał jednak ani chwili. Bez słowa ani okazywania emocji minął lokaja i wszedł do salonu braci Ussakowskich.

Spojrzał na nich z góry, a minę miał przy tym nadal niepokojąco nieruchomą. Rafał dociskał sobie do potylicy okład z lodu zawiniętego w szmatkę, poza tym wyglądał na nietkniętego. W przeciwieństwie do Lucjana, który jedno oko miał tak zapuchnięte, że niczego przez nie nie widział, poza tym kilka zadrapań i siniaków, przez co jego twarz była fioletowosina.

– Mówcie, co wiecie – zażądał kapitan. – Co się wydarzyło, jakim cudem przeżyliście atak, kto uprowadził panny, potrzebuję wszystkich szczegółów, i to szybko. One są w śmiertelnym niebezpieczeństwie, o ile w ogóle jeszcze żyją. Streszczajcie się zatem, bo każda chwila cenna.

Lucjan wstał z jęknięciem bólu i podszedł do stolika po karafkę, z której napenił koniakiem owalny kielich. Rafał w tym czasie krótko i treściwie, w tak zwanych żołnierskich słowach, opisał całą sytuację. Skończył, zanim Lucjan podszedł do kapitana, by mu wręczyć naczynie.

– Nie wiecie kto, ilu ich było, dokąd pojechali, ale jesteście przekonani, że to Polacy – podsumował.

– Wrzeszczeli i klęli po polsku, to z całą pewnością nasi rodacy. – Lucjan nie miał wątpliwości. – Powiadomiliśmy za pośrednictwem kanclerza miejscowy garnizon. Obiecali czym prędzej wysłać szwadron kirasjerów traktem w głąb kraju. Nie wiem jednak, czy już wyruszyli...

Ignacy zakręcił koniakiem w kieliszku, po czym wypił całość jednym haustem i oddał naczynie Lucjanowi.

– Nasz pojedynek ze zrozumiałych względów będzie musiał poczekać – powiedział. – Udzielę waszmościom satysfakcji w innym terminie.

– Co waść zamierzasz? – spytał Rafał. – Ruszysz za nimi?

– Oczywiście. Któż inny miałby to zrobić? Nie spodziewam się, by Prusacy przesadnie angażowali się w łapanie zbójów, którzy uprowadzili dwie Polki. Żałuję tylko, że nie mam przy sobie swoich kompanów, ale trudno, bywało już gorzej.

Rafał odłożył swój lodowy kompres i zerwał się z leżanki.

– Wyruszamy z waćpanem – powiedział z całą mocą. – Jesteśmy to pannom winni. Przyszły do nas w trosce o nasze bezpieczeństwo, by odwieść nas od wysyłania sekundanta i stawania z waćpanem na ubitej ziemi...

– Zaoferowaliśmy im odprowadzenie do domu, by czuły się bezpieczne, i fatalnie zawiedliśmy – dodał Lucjan. – To hańba na honorze większa niż obrażenie księcia Józefa. Musimy ją zmyć za wszelką cenę, nie możesz nam waćpan zabronić.

Ignacy spojrział na nich chłodno i milczał przez chwilę, poczuli się nieswojo, bo ewidentnie szacował ich przydatność.

– Dobrze radzicie sobie w siodle i umiecie się posługiwać bronią? – spytał jeszcze, bardziej dla formalności, uznał bowiem, że lepsze to niż szarżowanie na bandę morderców w pojedynkę. – Wyruszamy natychmiast, bądźcie u mnie przy składzie za kwadrans.

Odwrocił się i wyszedł, zaś młodzieńcy natychmiast rzucili się do kufra z rzeczami. Wyciągnęli z niego spodnie jeździeckie, sztylpy, pistolety i skórzane redingoty. Ubierali się w pośpiechu, na koniec przypasali sobie szable, kościskówki z podwójnie złamanym kabłąkiem, które dostali w prezencie od ojca. Musieli jeszcze osiodłać konie, które zresztą pożyczili ze stajni pana Wietzlowa, nawet nie pytając nikogo o zgodę. Konie pogalopowały, łomocząc kopytami na bruku, i to z takim kawaleryjskim tartasem⁵, że przechodnie musieli uskakiwać pod ściany.

Ignacy poprawiał jeszcze olstra z pistoletami przy siodle. Też ubrany był w skórzany płaszcz, a do tego kapelusz z szerokim rondem. U pasa wisiała mu szabla, na plecach miał karabinek kawalerii, uzbroił się zatem po zęby. Skinął chłopcom głową i po chwili we trzech pędzili w kierunku bramy miejskiej. Nie było sensu deliberować nad kierunkiem, który należy obrać, Ignacy wiedział, że napastnicy kierują się na Warszawę. Wieźli dziewczęta do tajemniczego wroga

rodziny Sobolewskich, który musiał być związany ze stolicą, tak przynajmniej podpowiadała logika. Skierował się zatem drogą do Stargardu i z miejsca narzucił mordercze tempo. Jeśli chcieli dogonić poruszających się karetą porywaczy, musieli jechać od nich szybciej, i to znacznie szybciej.

Młodzieńcy nie skarżyli się ani słowem, nie spowalniali go też, właściwie w siodłach radzili sobie, jakby się w nich urodzili. Nawet poobijany dotkliwie Lucjan, zamiast jęczeć z bólu, zdawał się z każdą pokonaną milą odzyskiwać siły. Konie trzeba było jednak oszczędzać, by nie dopuścić do zajeżdżenia ich na śmierć lub uszkodzenia im nóg na wybojach, po dwóch godzinach forsownej jazdy Ignacy zdecydował się zatem nieco zwolnić.

– Gdzieście się nauczyli tak jeździć? – spytał swoich nowych kompanów.

– Nasz dziadek założył dużą stadninę, hodowla tych zwierząt stała się tradycją rodzinną – Rafał wyjaśnił. – Teraz mamy z osiemdziesiąt koni, od dziecka zajmowaliśmy się zwierzętami. Więcej czasu spędzaliśmy w stajni i w siodle niż na nauce. Nie wynosiliśmy łąjna i nie zmienialiśmy słomy, przynajmniej nie zawsze, woleliśmy ujeżdżanie, wypadły wierzchem w teren. I tak się jakoś stało, że obaj postanowiliśmy szukać szczęścia i celu w życiu jako kawalerzyści. Udaliśmy się do Berlina, by wstąpić do szkoły kadetów, ale nas pogoniono precz. Nie potrzebują Polaków oficerów.

– Mama i tak nie była z tego zadowolona – Lucjan dodał z lekkim przekąsem. – Wołała, by jeden z nas poszedł do stanu duchownego i został biskupem, a drugi przejął gospodarstwo, wziął sobie pulchną, dorodną żonę, która urodziłaby mu przynajmniej sześciu synów, silnych i krzepkich jak dęby. Dwaj kawalerzyści w rodzinie to niezbyt ciekawa perspektywa. Obaj wszak możemy zginąć bezpotomnie i ród wymrze.

Kapitan uśmiechnął się krzywo. On w rodzinie miał dość podobną sytuację. Ojciec chciał, by jeden z nich przejął gospodarkę, a drugi zrobił karierę w świecie. I Krzys spełnił oczekiwania staruszka, niestety drugi syn okazał się zgniłym jabłkiem. Tak to już w życiu bywa.

– Kiedy staniemy, by dać koniom odpocząć, powinieś waść koniecznie poprawić popręg – Rafał odezwał się po chwili. – Jest zdecydowanie za luźny i trze konia po brzuchu. Tam, gdzie jest klamra, w końcu robi się rana i zwierzę będzie cierpiało, możesz też waszmość po prostu spaść, bo siodło się obróci.

Ignacy od razu zatrzymał konia i zrobił to, o czym mówił młodzian. Kilka godzin galopady sprawiło, że kapitan ochłonął i nie był już taki wściekły. Poza tym nigdy nie należał do głupców i zawsze słuchał mądrzejszych. Nie przeszkadzało mu to, że fachowiec, z którym rozmawia, jest jeszcze gołowąsem. Zdarzało mu się już w życiu spotykać utytułowanych i dumnych staruchów, którzy byli głupi jak but, i skromnych młodych ludzi, mających rozległą wiedzę w dziedzinie, którą się zajmowali. Nie podziękował za radę, ale się do niej przynajmniej dostosował. Po paru chwilach jechali dalej, bracia kilka kroków z tyłu, oskrzydłali go z obu stron, niczym szkolone wojsko. Zaczynał się cieszyć, że ich zabrał, ich towarzystwo było całkiem krzepiące.

– Musiało być waści ciężko zajmować się dwiema pannami po śmierci ich rodziców – Lucjan nie wytrzymał milczenia zbyt długo. – Obaj jesteśmy pełni podziwu. Gdybyśmy wiedzieli o trudnej sytuacji Cecylii i Franciszki wcześniej, pewnie nie reagowalibyśmy zbyt gwałtownie. Rozumiem, że chowa waszmość uraz do księcia Józefa...

– Mhm – odparł Ignacy.

– Czy nie będzie niedyskrecją, jeśli spytam, czy książe was osobiście, personalnie uraził, czy chodzi o powszechnie panującą o nim opinię? – dociekał Rafał.

– Hm, raczej o to drugie. Nie miałem okazji poznać mości Poniatowskiego osobiście. Ani jego, ani nikogo z jego słynnej rodziny.

Bracia pokiwali głowami. Rafał zaczął tłumaczyć Józefa, że ten nie miał nigdy niczego wspólnego z decyzjami politycznymi swojego kuzyna, króla Stanisława Augusta. Że wiele historii dotyczących jego prowadzenia się to ohydne plotki rozpuszczane przez Prusaków i niechętnych mu zawistników.

– Na własne oczy widziałem młodzież w barwnych kubrakach i pończochach, pijaną, wrzeszczącą i rozrabiającą na mieście. Francuska kochanka Poniatowskiego, pani de Vauban, i bale, jakie ten na jej cześć urządza Pod Błachą, też z pewnością nie zostały wymyślone przez zawistników – Ignacy odparł spokojnie. – Wiem, że Prusacy zależli mu za skórę, łupią go podatkami i rekwirują dzieła sztuki, które książe odziedziczył po królu. Jakoś mi go jednak nie szkoda. Może dlatego, że byłem świadkiem, jak pędził ulicami Warszawy w złotej karecie zaprzężonej w sześć ogierów czystej krwi arabskiej i powożonej przez dawnych stangretów króla Stanisława. Mówi się, że powiększył służbę w pałacu do setki lokajów i pokojówek, poza tym zatrudnił na stałe orkiestrę, by

przygrywała na każde księżące skinienie. Bale, rauty, wybryki po całym mieście. Tak hulaszczę życie musi kosztować go fortunę...

– Przeznacza duże sumy na cele dobroczynne – Lucjan bąknął niepewnie.

– Co jakoś nie poprawia jego wizerunku. – Ignacy wzruszył ramionami. – Skończmy już z tym, panowie. Prowadzenie się Józefa obecnie zupełnie mnie nie obchodzi. Jeśli nadal po wszystkim będziecie chcieli bronić jego czci, to pogadamy. Teraz pozwolicie, że skupię się na moich bratanicach, a właściwie próbie uratowania im życia.

– Wierzchowce odpoczęły – Lucjan zauważył. – Możemy dać ostrogami.

– Zgoda. W konie zatem, panowie – Ignacy pogonił wierzchowca. – *Vite!*
Vite!

– *Allez, allez!* – młodzieńcy zawtórowali mu również po francusku.

Jechały kilka godzin ze związanymi rękami i nogami rzucone bezwładnie na siedzenie karety i objające się o siebie i ściany budy na wybojach, co było prawdziwym koszmarem. Pogarszał go jeszcze fakt, że siostróm wepchnięto głęboko w gardła kneble z chustek. Na szczęście zrabowanych ze składu win, zatem czystych. Tak czy inaczej, nie mogły nie tylko wzywać pomocy, ale nawet oddychać. Pilnujący ich karzeł Konus szybko zasnął i przynajmniej z jego strony nie były narażone na nieprzyjemności. Chudzielec Pogoń nie dawał im jednak nie tylko zmrużyć oka, ale także spokoju. Ciągłe gadał, groził im i plugawie opisywał, jakie straszne cierpienia i poniżenia je spotkają, zanim sędzia urznie im głowy. Nie odpowiadały mu, bo nie miały jak, więc złościł się coraz bardziej. W końcu zaczął je szturchać i podszczypywać po udach. Po jakimś czasie ośmielił się złapać Franię za pierś, a Cecylię za udo. Bardzo go bawiło, że obie wierzgają i trzęsą się ze złości lub z przerażenia, a może z jednego i drugiego. Ostatecznie zaczął sobie wmawiać, że to z podniecenia.

– Może bym sobie z wami poużywał na całego, co? Nikt się przecież nie dowie. – Rankiem, po kilku dłużeńych się godzinach jazdy, zamiast się zmęczyć, zaczął się ożywiać. – Sędzia Niewieski i tak odpiłuje wam główki, by podać je na tacy Cesarzowej. Wielka ta pani domagała się już dawno, by w końcu was ukatrupić. Chwila ta zbliża się wreszcie wielkimi krokami.

– Zamkniesz się wreszcie, bałwanie? – huknął Konus, po czym wymierzył Pogoni cios pięścią w bok. – Spać nie można, bo gęba ci się nie zamyka! I czemu

im prawisz o sędzim i Cesarzowej? Nie wiesz, że gębę lepiej trzymać zamkniętą na kłódkę?

– A to czemu? Przecież i tak nikomu nie powiedzą. – Pogoń nie czuł urazy wobec Konusa. – Niewieski, jak będzie miał humor, urządzi im proces i osobiście zetnie im makówki. Ale zdaje się, że mu się spieszy, i myślę, że czym prędzej je zarznie, jak dwie loszki. Trochę szkoda...

Oblizał się i mlasnął. Na zewnątrz już wstał nowy dzień, widziały zatem jego sylwetkę i gębę, bo odsunął zasłonki w obu oknach drzwiowych. Pannom udało się zmienić pozycje, Frani na plecy, Cecylii na bok. Obie były wykończone i zmaltretowane trzęsieniem powozu i dręczeniem przez szalonego zbója.

– Trochę szkoda, prawda, Konus? Marnować takie świeże, jędrne ciała, które można by... Wiesz, poszczypać... – Znów się oblizał. – Nie poruchałbyś sobie takiej młodej szlachcianki, Kusy? No powiedz, miałeś ty w ogóle kiedy kobietę? Nawet żadna kurwa cię pewnie nie chciała, kurdupłu, przyznaj no się.

– Gównu wiesz, durniu – karzeł warknął. – Niewiasty wielce sobie cenią dupczenie przez niedużego chłopca, takiego jak ja. Szczególnie znudzone mężatki i jaśnie panie wiedzą, że nie ma to jak zostać wychędożoną przez karła.

– Dobra, niech ci będzie, ale przyznaj, że takie młódky zerznąć to byłby prawdziwy cymes. Sędzia się nie dowie, a pewnie i tak mu wszystko jedno, on chce tylko ich głowy. – Pogoń wyciągnął ręce i oparł obie na piersiach Frani. Odwrócił głowę w stronę Konusa i mrugnął do niego porozumiewawczo. – Ja biorę tę. Możesz ją zerznąć jako drugi, chyba że wolisz tę chudsza i dłuższą. Lubisz wysokie dzierlatki, przyznaj się!

– Ano lubię! – Konus uśmiechnął się do Cecylii, prezentując palisadę popsutych, krzywych zębów.

Pogoń zarechotał i odwrócił się do Frani, a wówczas ta machnęła ręką w kierunku jego twarzy. Poczul dziwne zimno na gardle, a po sekundzie falę gorąca i przeraźliwego bólu.

Jak to, przecież panna ma związane ręce? Skąd to ostrze w jej dłoni?, tyle zdążył pomyśleć, łapiąc się za rozplątane od ucha do ucha gardło. Krew chlusnęła mu przez ręce, przez zaciśnięte palce. Nie mógł ani krzyknąć, ani powstrzymać wypływającego z każdym uderzeniem serca życia.

Frانيا szarpnęła się do przodu. Ciągle miała skrępowane nogi w kostkach, ale nie były jej one potrzebne, by spaść na Konusa i dźgnąć go oburącz z całych sił. Mierzyła w korpus, w sam jego środek, i miała szczęście. Wepchnęła sztylet

prosto w serce, padła na karła i przygniotła ciężarem swego ciała. Odepchnęła się dopiero po chwili, wyszarpnęła sztylet, gotowa, by dźgać go dalej, tyle razy, ile będzie konieczne, by umarł. Konus jednak już nie żył, zmarł szybciej niż nadal bulgoczący krwią Pogoń.

Frania wyszarpnęła knebel z ust i odetchnęła, zacharczała, splunęła z odrazą. Wyjęła knebel siostrze i przecięła więzy na jej rękach. Ręce się jej trzęsły, jak w ciężkiej chorobie. Na drżącej dłoni pokazała Cecylii mały zestaw wytrychów, który dwa lata temu podarował jej ksiądz Obuch. Nanizane na stalowe kółko druciki wyglądały niepozornie, jeden z nich był jednak zagięty w hak i zaostroszony od środka, doskonale nadawał się do przecinania lin, nawet grubych jak kciuk. Udało się jej przetrząsnąć nim swoje więzy na nogach kilkoma ruchami. Wcześniej całą noc poświęciła wierceniu się i przewracaniu w taki sposób, by wyciągnąć wytrychy z kieszeni, po czym, po dyskretnym oswobodzeniu rąk, niepostrzeżenie sięgnąć do wewnętrznej kieszeni salopy i wyciągnąć z ukrytej pochewki sztylet. Bandyci się nie pofatygowali, by je przeszukać, to był ostatni błąd w ich życiu. Nie wyczuwali żadnego zagrożenia, bo i po co mieli przejmować się dwiema związanymi panienkami, wycacanymi i delikatnymi szlachciankami, takie jak one nawet podtrzeć się nie potrafiły bez pomocy służącej.

Frania trzęsła się coraz bardziej, patrzyła szeroko otwartymi oczami na dwóch zabitych, zalanych krwią bandytów. Cecylia szybko zasłoniła okna w drzwiach karety, wzięła siostrę w ramiona i przytuliła mocno. Głaskała ją po głowie uspokajająco.

– Już dobrze – powiedziała. – Zrobiłaś to, co było konieczne.

– Zabiłam człowieka – Frania załkała. – Dwoch ludzi...

– To nie byli ludzie, tylko potwory. – Cecylia odsunęła się i spojrzała siostrze w oczy. – Uratowałaś nas obie, jesteś bohaterką. Teraz tylko musimy tego nie zmarnować, weź się w garść, bo to dopiero początek naszych kłopotów.

Sięgnęła po swój sztylet, broń ciągle była na miejscu. Szkoda, że nie miały pistoletów, choć i tak nie wystrzelałyby przecież całej bandy. Wyjrzała ostrożnie przez jedno okienko, później drugie. Wielki drab, który dowodził zbójami, niejaki sędzia Niewieski, jak się już dowiedziały, jechał przodem, z kapeluszem opuszczonym na oczy, skulony i wyraźnie drzemiący w siodle. Pozostali bandyci też kiwali się ledwie przytomni na swoich wierzchowcach. Ewidentnie szaleńcza jazda przez całą noc i rano dała im w kość i zwyczajnie opadli z sił.

Nie wiadomo, może to była kolejna przez nich zarwana noc w siodle? Czyżby sędzia przeszarżował i zamęczył zarówno ludzi, jak i konie? Karetą bowiem wlokła się raczej wolno, niewykluczone, że woźnica na koźle też zasnął.

– To może być nasza jedyna szansa, by zwiać – Cecylia szepnęła do siostry. – Niech tylko okolica zrobi się bardziej ludna.

Jechali duktem ciągnącym się wzdłuż łąk i pól, za nimi widać było lasy, ale żadnych osad ludzkich. Szkoda, że zboże jeszcze porządnie nie urosło, bo mogłyby dać susa w wysoką pszenicę i schylone odbiec od traktu aż do lasu i przy odrobinie szczęścia nawet nikt by ich zauważył.

– Ależ tu śmierdzi, zaraz zwymiotuję – Frania jęknęła płacząco.

Cecylia przyłożyła palec do ust, by ją uciszyć. W budzie rzeczywiście śmierdziało, wypełnił ją obrzydliwy odór krwi i odchodów, umierający bowiem popuścili w spodnie, co było dość częste podczas gwałtownej agonii. Nie mogły jednak tak po prostu wyskoczyć, kilku zbójów jechało za kareta, nawet jeśli drzemali, nie przegapią dwóch panien uciekających z wozu i pędzących przez trawę. Musiały zatem uzbroić się w cierpliwość, nie panikować, nie szaleć. Frania zdawała sobie z tego sprawę, wytarła, ciągle drżącą ręką, sztylet z krwi i schowała go do pochewki. Starła się nie oddychać przez nos, ale przez to lepki zapach krwi przykleił się jej do podniebienia, wdarł do gardła. Nie zwymiotowała jeszcze tylko dlatego, że nic dawno nie jadła i nie piła. Cecylia spostrzegła jej minę i znów objęła siostrę:

– Musimy być silne. Nikt nam nie pomoże, jesteśmy zdane tylko na siebie. Jeśli nie wytrzymamy i nie okażemy mądrości, ci dranie nas zamordują, tak jak zabili naszych rodziców. Trzymaj się, oddychaj powoli, to tylko smród, nic złego nam nie zrobi w przeciwieństwie do ludzi.

Siedziały w karecie, nasłuchując i na zmianę wyglądając zza zasłonek. Starły się nie patrzeć na dwóch nieboszczyków, Frania odsunęła się od nich najdalej, jak się dało w tej ciasnej przestrzeni. Cecylia przemogła się w końcu i nie przejmując się krwią i upiornymi wyrazami twarzy zabitych, dokładnie przeszukała im kieszenie, spodnie, kubraki. Przy Pogoni znalazła miszkę ze sporą ilością monet, w tym kilkoma talarami i srebrnymi pruskimi dydkami. Z kolei karzeł nosił w kapocie blaszaną manierkę, niestety z podłą gorzałką, poza tym miał przy sobie sześć noży do rzucania, pozbawionych rękojeści i o dwustronnych ostrzach, do tego niewielką procę i ołowiane kule do niej. Frania, widząc racjonalne działania siostry, sięgnęła po broń Pogoni. Nosił on

u pasa krótki tasak pruskiej piechoty, broń toporną, ale skuteczną w zwarciu. Dotyk rękojeści nagle ją uspokoił, ciężar broni był krzepiący i dodawał pewności siebie.

– Coś się dzieje, zwalniamy – Cecylia szepnęła i wyjrzała przez szparę zasłonek.

Pola ustąpiły terenowi typowo wiejskiemu, widziała dobrze kilka chałup, płotki, szopy, łączące po podwórku świnie i kury. W oddali wznosiły się wieże kościoła, i to nie jednego, wieś zatem była duża lub dotarły na przedpola jakiegoś miasta. Serce od razu zaczęło jej bić żwawiej. Kawalkada się zatrzymała, bo naprzeciw, na środku traktu stał wóz, wielka landara załadowana ładunkiem beczek. Woźnica i jego pomagier dłubali coś przy końskich uprzężach. Widocznie mieli jakąś małą awarię, przy okazji zatarasowali przejazd. Niewieski przebudził się i zaczął basowym głosem ubliżać chłopom i grozić im pięścią. Powożący, zamiast potulnie przeprosić, nie przebierając w słowach, wrzeszczał po niemiecku, jednocześnie złapał za bat i wymierzył go w sędziego. Niewieskiego zaskoczyła furia zwykłego kmiotka, ale chyba ten był po prostu wściekły na niepowodzenia z wozem i końmi, widocznie też mu się spieszyło i ubliżający mu Polak przelał czarę goryczy. Jadący z tyłu, za karetą, zbóje szybko dołączyli do wodza, gotowi raz-dwa rozprawić się z Prusakiem.

– Teraz. – Cecylia złapała Franię za rękę.

Ostrożnie otworzyła drzwiczki karety. Woźnica, piękny Serafin, też całą uwagę poświęcił wrzeszczącemu wozakowi, przetarł zaspane oczy i wyciągał właśnie spod kozła dubeltówkę. Panny, jedna po drugiej, ostrożnie, jakby kroczyły po cienkiej linie, wysiadły z karety, by ta nie zakolysała się na resorach, po czym chyłkiem pomknęły do najbliższego płotka z wikliny. Przesadziły go niczym pędzące łanie i skryły się za chlewikiem. Niestety wprawiły w popłoch kręcące się tu kury, które rozbiegły się z oburzonym gdakaniem. Gdzieś blisko zaczął ujadać pies, lada chwila mógł je wywachać i się na nie rzucić.

– Dalej, przez rzeczkę – Frania syknęła.

Dały kilka susów między kurami, przez chaszczce i próbowały przeskoczyć jakiś kanał, ale obie wpadły po uda do wody. Nie zatrzymywały się, na czworaka wylażły na brzeg po drugiej stronie i rzuciły się przez niedawno urządzony ogród, między małymi drzewkami owocowymi. Pędziły przed siebie, w stronę coraz liczniejszych zabudowań, oglądały się, ale porywacze jeszcze nie

spostreżli ich ucieczki. Dziewczęta wreszcie wybiegły na ulicę, w dodatku wybrukowaną. Przed nimi wzdłuż drogi ciągnęły się kamienice, znaczyło to, że znalazły się w jakimś mieście. Cecylia zaczęła staruszkę niosącą kosz czereśni, zapytała ją po niemiecku, gdzie są.

– Po ichniemu to nasze miasto bydzie Blumberg – odparła staruszka po polsku, patrząc na ich przemoczone i zabłocone sukienki.

Cecylia spojrzała na siostrę.

– Jesteśmy w Bydgoszczy – powiedziała z ulgą. – Gdzieś przy rynku jest skład towarów, z którego korzysta stryj. Tam się schronimy.

Skład towarów, gdzie przechowywano i przeladowywano dobra jadące na zachód Europy, znajdował się przy wylocie ulicy Długiej, starego traktu w najważniejszej części miasta. Tyle wiedziała Cecylia o jego położeniu, a to dzięki wnikliwej lekturze dokumentów przewozowych, co zwykła czynić nad swoimi ukochanymi księgami rachunkowymi. Ta wiedza w zupełności im wystarczyła, by pytając po drodze przechodniów, szybko dotarli do celu. Nie było jeszcze południa, na placu przed otwartymi szopami i powozownią kręciło się co najmniej tuzin parobków i najmitów, zajmujących się wyładunkiem wozów, wymianą koni i porządkami. Dwie niewiasty weszły przez bramę przez nikogo nie niepokojone, drogę niechący zastąpił im człowiek, który właśnie wyszedł ze stajni, prowadząc osiodłanego wierzchowca.

– Pusty! – Frania ucieszyła się na jego widok i nagle wybuchnęła płaczem.

Rzuciła się w ramiona zupełnie zaskoczonego starego wojaka i przywarła do niego całym ciałem uwieszona mu na szyi. Ten na widok panien aż wypuścił wodze z ręki. Młodsza Sobolewska poczuła taką ulgę, że zupełnie się rozsypała i załża łzami, których za nic nie była w stanie powstrzymać. Cecylia też odetchnęła z ulgą, choć przecież jeden zbrojny nie mógł ich uchronić przed całą bandą zaprawionych w boju zbrojów.

– Co wy tu robicie, na miłość boską? – Pusty jęknął. – Stało się co? Gdzie Ignacy?

Machinalnie gładził Franię po plecach, Cecylia stała obok i szybko, dość nerwowym tonem opowiadała mu, co zaszło i jak udało się im uwolnić. Okazało się, że Pusty wczoraj wieczorem dotarł do Bydgoszczy i właśnie zbierał się do

dalszej drogi do Warszawy. Miały naprawdę sporo szczęścia, że go złapały dosłownie chwilę przed wyruszeniem w drogę.

– Doprawdy wasza patronka Fortuna nadal ma was w swojej opiece – stwierdził i wszedł z powrotem do stajni, by rozkulbaczyć konia.

Zaprowadził panny do domu właściciela składu, kupca Heinricha Rabego. Tam przekazał je żonie gospodarza i jego córkom, które natychmiast uparły się, że je nakarmią i oczyszczą oraz wysuszą im suknie. Kaprał w ciągu paru chwil skrzyknął parobków i stajennych. Miał ich łącznie dwudziestu, ale patrząc na chłopaków uzbrojonych w łopaty do przerzucania końskiego łajna i widły do słomy, doszedł do wniosku, że to pospolite ruszenie tylko będzie mu zawadzało, a kiedy poczuje proch i usłyszy huk wystrzałów, natychmiast pójdzie w rozsypkę i zamiast walczyć, rozpierzchnie się po okolicy. Kazał im zatem wracać do roboty, tylko kilku najbardziej niepozornych, odrapanych i brudnych, wysłał w miasto, by się rozejrzeli i zaciągnęli języka. Sam zamknął się w domu pana Rabego, na piętrze, gdzie ulokowano dziewczęta. Usiadł na krześle pod oknem, skąd miał widok na podwórko, wetknął faję w zęby i zaczął nabijać kolejno dwa swoje pistolety, a potem zabrał się do przesuwania osełka po ostrzu szabli. Na zewnątrz zaczął się śnić letni, ciepły deszcz, krople zadzwoniły o parapet, kapąły z dachu. Pusty czekał.

Niewieski nie lubił czekać. To zresztą było jego jedyną, przynajmniej według jego własnego mniemania, wadą. Poza tym uważał się za doskonałego, niestety niecierpliwość nieraz stała się dla niego powodem kłopotów, niepotrzebnych, których można by uniknąć, gdyby gotów był poświęcić danemu zagadnieniu więcej czasu i uwagi. On jednak wolał działać, uderzać, atakować, chwytac za gardło i brać się z bykiem za rogi. To dlatego, mordując rodzinę Sobolewskich pięć lat wcześniej, zawałił sprawę. Wystarczyło, gdyby kazał siedzieć dłużej chłopcom w lesie i cierpliwie warować, aż powóz Sobolewskich wpadnie w zasadzkę. Gdyby to zrobił, zabiłby też te małe gówniary i nie musiał teraz jeździć po całym kraju i szukać ich po okolicy.

Zwiały. I to mordując Konusa oraz Pogoń, najlepszego tropiciela w całej kompanii. Niepotrzebna strata. Nie kochał swoich podkomendnych, nikogo nigdy nie kochał, ale ze starymi zbójami żył się nieco i zwyczajnie trochę do nich przyzwyczał. Werbowanie nowych i szkolenie ich to zawsze kłopot, wściekł się zatem nie na żarty, wrzasnął nawet na Serafina. Jakim cudem

piękniś nie słyszał tego, że te podfruwajki mordują jego ludzi i jeszcze sobie zwyczajnie wysiadają z karety, na której sam siedział?

– Spałem, do diaska! – huknął Serafin dotychczas spokojny jak anioł. – Przez pośpiech, który narzuciłeś, żaden z nas od trzech nocy nie zmrużył oka. Pędzimy, jakby nas diabli gonili, zamiast odpocząć przed akcją, zebrać siły. Teraz wszyscy jesteśmy ledwie przytomni, chłopaki zasypiają w siodłach, ty sam też zresztą.

Sędzia ściągnął go z kozła i złapał za gardło. Czuł rosnącą furię, coś, nad czym zwykle panował z ogromnym trudem.

– Sugerujesz, że to moja wina? Że przeze mnie ci dwaj zginęli? – zadudnił i potrząsnął pięknisiem, któremu oczy zaczęły wychodzić z orbit.

Cisnął go precz, darując mu życie. Nie mógł sobie pozwolić na pozbywanie się zaufanych ludzi, których miał przy sobie od lat, których sobie ułożył niczym narowiste konie i wykarmił niemal własną piersią. Poza tym Serafin miał rację, co jeszcze bardziej złościło sędziego, to on sam był winny i za nic nie chciał się przed sobą przyznać do popełnionego błędu. Nie pozostało mu jednak nic innego, jak zagonić ludzi do kolejnego wysiłku, by jak najszybciej złapali panny. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że te nie powinny uciec do garnizonu Prusaków. Polki z całą pewnością nie garnęłyby się pod skrzydła zaborcy, raczej by się obawiały żołnierzy. Zatem ukryły się gdzieś w mieście, u jakichś dobrych ludzi. Trudno zakładać, że mają tu znajomych, więc powinny szukać schronienia przede wszystkim w klasztorach, kościołach, na plebaniach. Wiadomo, jak trwoga, to do Boga!

Wysłał Serafina na wycieczkę po wszystkich kościołach i klasztorach w Bydgoszczy. Miazga, który był kuzynem zabitego Pogoni, zapalił się do poszukiwań i wyruszył razem z Cynobrem na przechadzkę po targowiskach, bo od straganiarek można się dowiedzieć wszystkiego, co się działo w danym mieście. Pozostali otrzymali rozkaz, by łązić po mieście i pytać przechodniów o dwie panny. Niezbyt się do tego palili, ale wystarczyło spojrzenie sędziego, by posłusznie zabrali się do wykonania polecenia. Tylko Upał dostał dyspensę, biedaczyna cierpiał przez poparzoną gębę, dostał więc wolne i mógł spędzić je, siedząc z Niewieskim w karczmie, właściwie drzemiąc w kącie. Sędzia nie mógł jednak wytrzymać, czekając beczynn timer, i sam polazł na przechadzkę głównymi ulicami. Zabłąkał się nad niedawno wyregulowane kanały, w których stały barki ze zbożem. Na brzegu kanału wznosiły się imponujące, lśniące nowością

spichlerze ryglowe, ogromne budynki o pobielonych ścianach, górujące nad całą okolicą. Tam też zaczął pytać kupców o panny i jakaś staruszka z koszem na plecach opowiedziała o dziewczętach w mokrych kieckach, które pobiegły do składu towarów na Długiej. Wyciągnęła rękę, a Niewieski położył jej na dłoni srebrną monetę.

O dziwo, tego samego dowiedzieli się chłopcy na targowisku. Panny widziało kilka osób, które zaczęły pytać o drogę do składu. Zwracały na siebie uwagę wyraźnym zdenerwowaniem oraz wyglądem, obie były bowiem przemoczone i ubłocone niemal do pasa, jakby brodziły w jednym z bydgoskich kanałów. I to było to, miał je! Ptaszki daleko nie odleciały i wystarczyło sięgnąć do gniazda, by znów je wyłapać. Pędziłby tam galopem, ale powstrzymały go miny jego ludzi. Wszyscy wyglądali, jakby ich zdjęto z krzyża, ledwo przytomni, o podkrążonych i zaczerwienionych oczach, z nosami opuszczonymi na kwintę. Sam sędzia też nie czuł się kwitnąco, poza tym wystarczyło samo spojrzenie Serafina, by zrobiło mu się głupio. Kazał zatem ulokować się wszystkim na sianie w stodole, a sam wynajął izbę nad karczmą, w której włożył do łóżka, wcześniej pokrępiwszy się kwartą miodu.

Kiedy nadeszła noc, cała kompania była wypoczęta, najedzona i skora do bitki. Panny i każdy, kto ich bronił, mogły teraz zapłacić najwyższą karę za zabójstwo dwóch członków bandy. Niewieski nigdy nie puszczał płazem długu krwi.

Właściciel składu towarowego, Heinrich Rabe, zdecydowanie nie był zachwycony, kiedy usłyszał, że do jego posiadłości mogą się wdrzeć zbójce. Mogliby zniszczyć towar lub nawet podpalić magazyny, wszak z bandytami nigdy nie wiadomo. Oczywiście kupiec nie zamierzał wyrzucać spod dachu ani Pustego, ani jego podopiecznych, ale uparł się, że natychmiast o wszystkim powiadomi władze. Te pojawiły się jeszcze przed wieczorem w postaci jednego oficera, któremu towarzyszyło dwóch ordynansów i pisarz. Oficer zabrał się do przesłuchania i kazał gryzpiórkowi sporządzać raport. Nie spieszył się przy tym ani odrobinę, nie sprawiał wrażenia przejętego zagrożeniem ani choćby nim zaniepokojonego. Wysłuchał, co gospodarz ma do powiedzenia, obejrzał panny i zapytał, jak się czują i pod czyją opieką się znajdują. Kiedy usłyszał, że Pustego, polecił mu ich pilnie strzec i czym prędzej odwieźć do domu, szczęśliwie wrócić na łono rodziców. Informację o tym, że są sierotami, puścił

mimo uszu. Na koniec zapewnił wszystkich, że nie ma mowy, by jacyś porywacze wdarli się do miasta, to jest bowiem pilnie strzeżone przez liczne patrole wojskowe. Poza tym wszystkie bandy rozbójnicze na terenie Królestwa Prus już dawno zostały wyłapane i stracone. Prusy były państwem prawa, rządzonym silną ręką, gdzie złoczyńcy stanowili jedynie margines, a faktycznie zostali niemal zupełnie wytrzebieni. Na koniec życzył wszystkim miłego wieczoru i dobrej nocy, po czym zapewnił, że straż miejska zostanie przez niego powiadomiona i przyśle tu patrol lub nawet dwa.

– Zostawili nas samych sobie, ale jakoś nie jestem zaskoczona – Cecylia stwierdziła cierpko, splatając ręce na piersiach. – Może sędzia Niewieski nas jednak nie znajdzie? Nie kręciłyśmy się po mieście, właściwie nikt nas nie widział.

– Słyszałem o nim, a nawet go widziałem. I to w akcji, kiedy bił jednego szaraczkowego szlachciurę, który dosłownie nadepnął mu na odcisk – powiedział Pusty. – Nie był to przyjemny widok, Niewieski jest wielki, silny i okrutny. Mówi się, że to drań od mokrej roboty, powiązany układami z kilkoma rodami arystokratycznymi, które się nim wysługują, w zamian zapewniając mu opiekę. Ma się za bezkarnego, stojącego ponad prawem. Ma aż tylu patronów, że wydaje mu się, iż wszystko mu wolno. Persona ze wszech miar śliska i obrzydliwa, ale nie można mu odmówić skuteczności. Jeśli się na kogo zawezmie, ten już może kupować trumnę i miejsce na cmentarzu. Mówi się, że nie da się przed sędzią uciec ani schronić. Wyrobił sobie przynajmniej taką renomę. Zorganizował sobie do tego jeszcze bandę wyjątkowo łebskich i drańskich zbójów, tropicieli, morderców...

– Myślisz, że ci dranie od razu nas wywęszyli? – Frania nie sprawiała wrażenia przerażonej Niewieskim i jego zbójami.

– Musimy tak założyć – przytaknął. – Jeśli tak się stało, tu jesteście najbezpieczniejsze. Solidne gospodarstwo strzeżone przez tuzin parobków, z zamykaną bramą, wysokim ogrodzeniem, niemal jak warowny fort. Wszystkie zabudowania powstały, by ustrzec domowników przed włamywaczami, by chronić to, co cennego w nich umieszczono. Trafiliście najlepiej, jak się dało. Gdybyśmy teraz próbowali uciec, wrócić do Stettina, dopadliby nas na gościńcu, a tam...

– Zrobiliby to, co z mamą i tatą – Frania dokończyła. – Myślisz, kapralu, że to oni ich zamordowali? To mógł być Niewieski? Ten obrzydliwiec... którego

zabiłam, mówił coś o Cesarzowej. Kim ona jest? Zleciła zabójstwo naszych rodziców sędziemu?

- Hrabina Chodkiewicz, wiele wskazuje na nią. Podarowała nam zatrute chusteczki, raczej trudno uwierzyć, że przypadkiem. Wydaje się, że pragnie naszej śmierci – Cecylia analizowała wszystko, co wiedziała o Teresie. – Jest damą z loży masonskiej, para się jakimiś tajemniczymi sprawkami, ma wielu kochanków, prowadzi życie pełne tajemnic, spisków i knozań. Stryj śledzi ją od dwóch lat, ale mam coraz większą pewność, że uległ jej wpływowi, oczarowała go, omamiła, namieszała mu w głowie. Miesiącami go zwodzi, obiecuje mu gruszki na wierzbie, wiedzę tajemną i wielkie wpływy. Niczego się stryj nie może od niej dowiedzieć, ale chyba już nawet niespecjalnie próbuje.

Pusty bronił swego szefa i przyjaciela, Cecylia za to coraz bardziej się rozkręcała w swoich przypuszczeniach i oskarżeniach. Frania, by jej pomóc, zaczęła wymieniać damy z towarzystwa, które też mogły się ukrywać pod pseudonimem Cesarzowej. Padły wszystkie nazwiska arystokratyczne znane w kraju: Radziwiłłowie, Zamoyscy, Potoccy, Działyńscy, Czartoryscy, Poniatowscy. Damy, będące przedstawicielkami tych rodów, szły w dziesiątki i właściwie większość z nich lub ich mężów należało do wolnomularskich rytów i stowarzyszeń, wszystkie też były na tyle dumne i pyszne, by mienić się cesarzową, nawet wymyślonego imperium. Podejrzanych było zatem całe mrowie i te spekulacje nijak nie przybliżyły pańien do rozwiązania zagadki, czemu ktoś tak bardzo pragnął zgładzić całą ich rodzinę. Nie byli rodziną ani ważną, ani bogatą, ani choćby odrobinę wpływową. Obie jednak uważały, że w pierwszej kolejności trzeba wy badać hrabinę i stryj musi się do tego zabrać jak najszybciej.

- Pewnie ruszył waszym śladem – Pusty stwierdził. – Ignacy, mimo że nie sprawia takiego wrażenia, naprawdę was kocha.

Siostry parsknęły nerwowym śmiechem. Zestawienie słów: Ignacy i kocha wydało się im absurdalne i przeciwstawne, niczym jakiś oksymoron. Stryj już ich, co prawda, nie dręczył, rzadko wrzeszczał i czasem nawet potrafił się uśmiechnąć, ale mówienie, że je kocha, było sporą przesadą. Pusty jednak sprawiał wrażenie poważnego i przekonanego o tym, co mówi.

- Znam go, od wielu lat żyjemy razem niczym bracia – dodał. – Nie jest przesadnie wylewny w okazywaniu uczuć, ale naprawdę dostrzegam sporą różnicę w tym, jak traktuje was, a jak resztę świata. Przyłapałem go niedawno,

gdy się wam przyglądał, kiedy krzątałyście się w winiarni, jak wdzięcznie targowałyście się z upartym klientem. Promieniał dumą i zadowoleniem, wydawało mi się też, że patrzył na was wręcz z czułością. Myślę, że kiedy odkrył, iż was porwano, ruszył na pomoc, nie oglądając się na nic i na nikogo. Jestem pewien, że jest w drodze.

– Ciekawe, czy dwaj kawalerowie wyszli z tej potyczki cało? – Frania oparła się o parapet obok Pustego i wyjrzała na miasto pograżające się w wieczornej szarówce. – Myślę, że jeśli przeżyli, też próbują iść nam z odsieczą.

– Do tej pory ratunek ze strony dzielnych kawalerów i rozszoszczonego stryja nie był nam do niczego potrzebny. Same sobie radzimy, i to całkiem nieźle – Cecylia zauważyła. – Odsuń się od okna, widać twoją postać jak na dłoni. Co będzie, jeśli Niewieski postanowi odstrzelić ci makówkę?

Frانيا płynnym ruchem przesunęła się, chroniąc za framugą. Widziała z góry ulicę za bramą składu, jakieś ciemne postacie przemykające wzdłuż domów, w oddali powóz przypominający karete, w której je więziono. Mógł być tylko podobny, ale i tak poczuła ciarki na plecach. Gdzieś w oddali na wieży ratusza zegar wybił godzinę dziesiątą. Na szczęście trwały najdłuższe dni w roku i mimo późnej pory było jeszcze całkiem jasno.

– Nie obawiaj się tak, nie ma czego. – Pusty tylko zerknął w okno bez widocznych emocji. – Jest za wcześnie, właściwie jeszcze dzień. Niewieski musiałby być skończonym durniem, gdyby próbował się do nas dobrać właśnie teraz, kiedy wokół kręcą się jeszcze przechodnie. Każdy wprawny dowódca rozstawiłby ludzi w pobliżu, by mieć nas na oku, i cierpliwie czekał. Wie, że przerażone ofiary wraz z nadejściem nocy tkwiłyby w pogotowiu. Noc wlokłaby się im powoli, w ciszy i bezruchu, w daremnym oczekiwaniu. Wraz z upływem czasu pojawiłoby się zmęczenie i przekonanie, że nic złego już się nie wydarzy. Nad ranem senność i znużenie stałyby się już nie do opanowania. Zawsze nad ranem jest najgorzej. Niewieski zatem uderzy o czwartej, tuż przed świtem. To najrozsądniejsza, wojskowa strategia.

– Skoro każdy wojskowy strateg tak robi, to przecież zupełnie znika element zaskoczenia – Frania zauważyła. – Wiadomo, że nieprzyjaciel zaatakuje nad ranem, więc zamiast na niego czatować całą noc, lepiej pójść spać i odpocząć, po czym po prostu wstać wcześniej i powitać go salwą ze wszystkich luf.

Pusty machnął niecierpliwie ręką. Cecylia zachichotała, widząc jego niezadowoloną minę.

– Zawsze jesteście najmądrzejsze – prychnął. – Ale i tak zobaczycie, że mam rację. Przetrzył nas i zaatakuję nad ranem.

– Nie będziemy czekać do rana – rzekł Niewieski, poprawiając kubrak pruskiego sierżanta piechoty, który ledwie się opinał na jego szerokich barach.
– Nie znoszę czekania.

Uniformy nie tak trudno było zdobyć, wystarczyło zacząć się w bramie i zwać do niej patrol ze zdumieniem sunący po bydgoskiej ulicy. Następnie piechurom dowalić pałkami po łbach, rozebrać ich, związać i zamknąć w chlewiku. W ten sposób sędzia wzbogacił się o stroje i ryszstunek pilnujących porządku żołnierzy z miejscowego garnizonu. Sam wbił się w mundur podoficera, na szczęście dużego mężczyzny. I tak nogawki białych spodni okazały się za krótkie, a bluza za ciasna, ale to były drobiazgi. Przypasał sobie zdobyty tasak, wcisnął na głowę czapkę z czarnym pomponem i skinął na pozostałych. Za żołnierzy przebrali się też Miazga, Cynober i Ciołek. Upał nie nadawał się ze względu na zbyt paskudną gębę, a Serafin ze względu na zbyt urodziwą. Ci dwaj mieli pilnować wozu do transportu pańienek lub ich zwłok i w odpowiedniej chwili wtargnąć kareta na podwórko składów, zaraz po tym, jak sędzia z chłopcami otworzy od wewnątrz wrota.

– Ruszamy – zarządził Niewieski, wychodząc z bramy. – Robimy jak zawsze, szybko, z hukiem i bez cackania się.

Prócz przebierańców i dwóch zaufanych sług na wozie, sędzia miał jeszcze w odwodach czterech ludzi. Mieli polecenie skradać się z tyłu i na znak dołączyć do ataku. W takiej kompanii czuł się bardzo pewnie, jego chłopcy byli bandytami sprawdzonymi w wielu akcjach i wiedział, że może na nich polegać. Nie zabrał ze sobą żadnego młodzika i nie musiał się kłopotać tym, by uważać na podkomendnych, to byli sami weterani, których znał od lat. Nic zatem dziwnego, że jego cierpliwość już się wyczerpała i nie zamierzał czekać nawet na nadejście zmroku. Podszedł do zamkniętych już wrót składów i załomotał w nie pięścią. Na pytanie „kto tam” odpowiedział Ciołek, który był półkrewi Niemcem i od dziecka dobrze władał językiem przodków. Nie było więc obawy, że zdradzi ich jego akcent.

– Patrol jegrów pieszych z garnizonu! – wrzasnął. – Przyszliśmy sprawdzić, czy wszystko w porządku. Otwierajcie! Szybko, bo nie mamy całej nocy!

Ponaglony sługa zdjął rygle i posłusznie otworzył przed strażnikami drzwi, ci wtargnęli na podwórkę i rozejrzeli się z uwagą. Niewieski oceniał fachowo rozkład wejść do głównego budynku, odległości do pokonania pod ewentualnym ostrzałem, przede wszystkim zaś obecność i liczbę zbrojnych. Otworzył im mężczyzna w średnim wieku, dość lichej postury, ale dwa kroki za nim stał młody byczek trzymający tęgą lagę. Ciołek rozmawiał swobodnie z odźwiernym o pogodzie i przeklętych Francuzach, którzy zdobyli Wiedeń i idą na północ, wprost na Prusy. Zgodnie splunęli też na Rosjan, bo ci pod wodzą swego cara Aleksandra przesuwali się na południowy zachód, by zdradziecko zaatakować Austrię z drugiej strony. Zanosilo się na wielką wojnę, na starcie europejskich imperiów, co źle się dla wszystkich skończy, szczególnie dla zwykłych, prostych ludzi. Byczek patrzył na jęgrów z rosnącą podejrzliwością, nie podobały mu się ich zarośnięte gęby i niedopasowane mundury. Takie zaniedbanie wyglądu nie pasowało do pruskiej dyscypliny, szczególnie w miejskim garnizonie. Chłopak przechylił głowę, marszcząc czoło.

Niewieski uznał, że szkoda mu czasu i nie ma co dłużej odgrywać przedstawienia, zrobił krok do przodu, wyszarpnął z pochwy tasak i tym samym ruchem trzasnął jego rękojeścią prosto w nos byczka, aż trzasnęła gruchotana kość. Obrócił broń w wielkim łapsku i rąbnął topornym ostrzem prosto w szyję młodzieńca. Na piasek podwórka chlusnęła krew, chłopak padł na kolana, łapiąc się za rozplataną gardło. Przerażony lokaj krzyknął krótko, ale urwał w pół oddechu, bo nóż Ciołka wszedł mu w mostek aż po jelec. Miazga z Cynobrem doskoczyli do bramy i wspólnie zdjęli wielki rygiel, po czym odrzucili go na bok. Kiedy otwierali wrota, Niewieski razem z Cynobrem już pędzili do budynku. Sędzia kopniakiem otworzył drzwi i wpadł do domu kupca Rabego niczym burza.

Nie minęła chwila, gdy przez bramę z rykiem wbiegło kolejnych czterech zbójów, błyskając obnażonymi ostrzami i wyszczerzonymi zębami. Chwilę po nich z łomotem na dziedziniec wjechała czarna, ciężka karetka, z której od razu zeskoczył Upał, unosząc nad głową zakrzywioną turecką szablę. Atak trwał na razie nie dłużej niż kilka uderzeń serca, leżący na piachu słudzy zgładzeni przez sędziego i Ciołka jeszcze nie skonali, gdy bandyci już byli w domu i atakowali mieszkańców. To było działanie, które Niewieski uwielbiał i z którego słynął – szybko, gwałtownie, brutalnie i śmiertelnie skutecznie.

Wyszczerzył zęby pobudzony widokiem konających, wrzaskami, łomotem buciurów na deskach podłogi, płaczem kobiet i ich błaganiami o litość. Jego

ludzie rozbiegli się po domostwie, starli się ze stawiającą opór służbą, ale amatorzy nie mieli najmniejszych szans ze starymi zabijakami. Zbóje nawet nie sięgnęli po broń palną, rąbali czeladź szablami, tasakami, dźgali nożami i nadziakami. Zapach krwi i dymu wypełnił powietrze, w jednym z pomieszczeń ktoś stłukł lampę i ogniem zajęły się ciężkie kobierce, dymiąc niemilosiernie. Niewieski zaśmiał się radośnie. W takich warunkach nareszcie mógł oddychać pełną piersią. Czuł, że naprawdę żyje, kiedy nozdrza wypełniał mu odór pożogi i cierpienia. Złapał za kark przemykającą pod ścianą służkę i podniósł ją w górę niczym kociaka. Oczy miała wytrzeszczone ze strachu, usta otwarte, poruszała nimi, jakby bezgłośnie się modliła.

– Gdzie dwie panny? – spytał chrapliwym warknięciem.

Odpowiedziała coś po niemiecku, okazało się, że była Prusaczką. Wykrzywił usta w grymasie niezadowolenia i uderzył jej głową o ścianę. Raz, drugi, trzeci, aż chrupnęło ohydnie, a na ścianie został krwawy rozbryzg. Cisnął drgające ciało i znów się zaśmiał, takie rzeczy zawsze poprawiały mu humor i dodawały wigoru. Jego spojrzenie natrafiło na schody prowadzące na górę. Mógł właściwie wcześniej o tym pomyśleć. Gdyby tylko poświęcił odrobinę czasu na zebranie myśli, wpadłby na to, że panny ukryły się na piętrze lub nawet na poddaszu. Nie wiadomo, czemu ludziom się wydawało, że im są wyżej, tym są bezpieczniejsi. To musiał być atawizm pochodzący z praczasów, kiedy wleczenie wysoko na drzewo zapewniało ochronę przed drapieżnikami. W obecnych czasach ukrycie się na piętrze było tylko wpakowaniem się w pułapkę, trudniej stamtąd uciec. Obrócił tasak w dłoni i ruszył biegiem w stronę schodów, machnął tylko ręką na Serafina i Upała, którzy oczywiście znajdowali się w pobliżu i dyskretnie go pilnowali. Niezbyt nachalnie, by nie urazić dumy szefa choćby zasugerowaniem, że potrzebuje ochrony.

– Czego od nas chcesz? Cóżemyśmy uczyniły, na miłość boską? Kto waści płaci?! – krzyknęła panna, która pojawiła się na szczycie schodów.

Franciszka sukienkę miała już oczyszczoną, stała w lekkim rozkroku, bokiem i na ugiętych kolanach, czyli w postawie szermierczej, tyle że nie trzymała żadnej szpady lub rapieru. Uzbroiła się w noże do rzucania, które odebrała zabitemu karłowi. Ostrza w kształcie liści mieściły się w jej dłoniach i z daleka nie było ich nawet widać. Zresztą ich widok nie powstrzymałby Niewieskiego przed rzuceniem się do ataku. Widząc pannę, aż zazgrzytał zębami. Tyle lat tropienia i poszukiwań, wreszcie miał ją niemal na

wyciągnięcie ręki. Nawet przez myśl mu nie przemknęło, by kłopotać się odpowiadaniem jej na pytania. Była tylko ofiarą, która dawno już powinna nie żyć.

Ruszył z miejsca biegiem, w pędzie kręcąc młynka tasakiem. Wpadł na schody, sadząc susy po dwa stopnie. Nawet nie zauważył, gdy przy Frani pojawiła się jej starsza siostra. Cecylia chlusnęła na schody lepkiem płynem z glinianego dzbana solidnych rozmiarów. Ciecz rozlała się po stopniach, dziewczyna uniosła naczynie nad głowę i cisnęła nim z całych sił. Niewieski uniósł rękę, by odbić nadlatujący pocisk, roztrzaskał dzban potężnym uderzeniem ostrza, nawet nie zwalniając kroku ani nie robiąc uniku. Pędził niczym niepowstrzymana bestia, olbrzymi potwór z dna piekieł. Byle szybciej, zabić i zniszczyć. Był już niemal na szczycie schodów, brakowało mu dwóch susów, by dopaść panien i porąbać je na kawałki. Otworzył usta i wystawił język w plugawym grymasie.

I wtedy jego stopy trafiły w rozlany płyn, a był nim po prostu olej do lamp, gęsty i lepki. Nogi sędziego odjechały w tył i gruchnęła na schody niemal pod nogi panien. Uderzył z takim impetem, że drewno schodów aż jęknęło, a jakaś deska pękła z trzaskiem. Niewieski uderzył o szczyt schodów brodą, szczęka zatrzasnęła mu się gwałtownie i zęby niczym gilotyna odcięły język. Cecylia w tej samej chwili wymierzyła mu kopniaka i wielkolud stoczył się i częściowo zjechał w oleju po schodach. Frania zaczęła ciskać nożami, ostrza zafurkotały w powietrzu niczym stalowe wróble. Jedno wbiło się w oparcie przy schodach, kolejne weszło Upałowi w łydkę, następne zadzwoniło, trafiając niegroźnie rękojęścią w tors Serafina, ostatnie zaś trafiło mu prosto w oko i dotarło aż do mózgu. Piękny ordynans sędziego stał chwilę i mrugał zdrowym okiem, zezując na rękojęść tkwiącą w drugim oczodole. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Kapral Pusty usiadł bokiem na barierze schodów i zjechał po niej na dół niczym bawiący się sztubak. Tyle że w rękę trzymał uniesioną szablę. Na dole skoczył prosto na Upała, który zdążył akurat wyszarpnąć z nogi wbity w nią nóż i w porę zasłonić się swoją szablą. Pojedynek był niezwykle brutalny, szybki i pozbawiony jakiegokolwiek finezji czy popisów szermierczych. Dwóch zabijaków okładało się szablami z furją i brutalnością, błyskawicznie i mocno, byle tylko przełamać gardę przeciwnika i dosięgnąć go ostrzem. Pusty czuł, że ma mało czasu, bo w każdej chwili poparzonego na gębie draba mogli wesprzeć kompani, którzy na szczęście jeszcze zajęci byli plądrowaniem domu i nie widzieli kłopotów swego szefa.

Niewieski po tym, gdy sturlał się na sam dół, chwilę leżał bez ruchu, kompletnie oszołomiony. Tym razem pośpiech nie wyszedł mu na dobre. Potrzebował paru chwil, by dojść do siebie, nie mógł uwierzyć, że tak idiotycznie dał się załatwić. Nie dane mu było jednak odpocząć, szybko musiał się unieść, bo krew chlustająca mu z kikuta po języku wypełniła usta i wlewała się do gardła. Podźwignął się na klęczki, otworzył usta, a strumień juchy bryznął na podłogę. Ból po odgryzionym języku był tak potworny, że Niewieski nie mógł zebrać myśli.

Nagle Upał cofający się tyłem przed atakiem Pustego trafił na sędziego, nadepnął mu na dłoń i potknął się, po czym zachwiał, tracąc równowagę. To wystarczyło, by Pusty przebił się przez jego zasłony, zadał mu błyskawiczne cięcia na krzyż i rozplatał tors dwoma rąbnięciami. Upał przeleciał przez Niewieskiego i padł na podłogę śmiertelnie ranny. Panny, zamiast ukryć się na górze, zjechały po barierkach śladem kaprała, Cecylia uzbrojona w tasak zabrany Pogoni i swój sztylet, Frania zaś w sam sztylet. Obie patrzyły ze zgrozą na pobojuwisko, na pięknego Serafina, który usiadł ciężko na podłodze i mrugał do nich jednym okiem.

Na korytarzu zakotłowało się od zbirów rozgrzanych przemocą i łatwym podbojem. Miazga i Cynober wrzasnęli, widząc okaleczonego szefa, ale zanim ruszyli do ataku, za ich plecami rozległ się ostrzegawczy okrzyk. Ciołek wrzasnął, że na podwórku jest trzech kawalerzystów. Zbójce zamarli na chwilę.

- To pułapka - Miazga ocenił sytuację. - Zasadzili się na nas i zamknęli w kleszczach. Musimy się przebić.

W jednej chwili zapomnieli o miłości do sędziego i ślepym wobec niego posłuszeństwie. Mimo wszystko byli tylko zbójami i doskonale wiedzieli, jakie konsekwencje grożą za to, co zrobili, za napaść rozbójniczą, morderstwa, grabież. Jeśli wpadną w ręce Prusaków, zawisną na szubienicy i nie uchroni ich żaden ze szlachetnych suwerenów Niewieskiego. Zresztą przegranymi zbójami nikt się nie przejmie i nie będzie ryzykował nazwiska oraz wpływów, by ich chronić.

- Przez stajnie - Ciołek krzyknął. - Widziałem tam wrota prowadzące na łąkę.

Pozostali przy życiu rozbójnicy rzucili się do ucieczki. Jeden z nich trzymał naręcze zrabowanych dóbr, zawinięte w tłumok srebrne sztućce i naczynia. Teraz cisnął to wszystko na podłogę i dał susa przez drzwi, nie oglądając się za

siebie. Wpadł prosto pod szablę ciągle siedzącego w siodle Ignacego. Kapitan Sobolewski i bracia Ussakowscy natarli na zbójów konno, tnąc ostrzami z góry, jak przystało na ułanów. Miazga oberwał prosto w czoło od Rafała i padł z rozrzuconymi rękoma, Cynober chwilę później został przewrócony i wbity w pył podwórka kopytami konia kierowanego przez Lucjana.

Starcie skończyło się tak samo szybko i gwałtownie, jak się zaczęło. Jedno pomieszczenie w domu płonęło, wszędzie wałały się ciała, czołgali się ranni i poturbowani, płakały służki, wyły ze strachu dzieci kupca Rabego. On sam, odziany w nocną koszulę i szlafrok, trzymał się za okrwawioną głowę, w którą oberwał w zamieszaniu nie wiadomo od kogo. Dym walił otwartym oknem, wypełniał korytarze i pomieszczenia, ktoś zaczął tłuc w blachę alarmową, by wezwać pomoc w gaszeniu pożaru. Sędzia Niewieski usiadł na najniższym schodku i wepchnął sobie w usta zwiniętą chustkę, by zatamować krew płynącą z koszmarnego kikuta po języku. Nie próbował uciekać, stracił całe wiadro krwi i zwyczajnie nie miał siły. Liczył na to, że szybko wyjdzie z aresztu, wystarczy wstawiennictwo Cesarzowej lub jej kochanka.

Przez otwartą bramę posiadłości wbiegło kilku ludzi z sąsiedztwa, niektórzy mieli nawet ze sobą wiadra do gaszenia pożaru. Ruszyli do razu do studni, by ustawić się w szereg podających sobie wodę. W czasach, kiedy nadal większość zabudowy polskich miast była drewniana, takie działanie było naturalne i przewidziane, nikt nie zadawał zbędnych pytań i nie dociekał, choć widok ciał leżących na podwórku na chwilę zatrzymał spontaniczną pomoc.

Ignacy zeskoczył z konia z szablą w garści, szczerząc zęby i gotów rąbać na plasterki każdego, kto się nawinie, ruszył wprost do budynku. Panny wybiegły ze środka, ciągnąc za sobą smugi dymu. Stryj aż westchnął, po czym obie złapał w ramiona i przycisnął do piersi. Żyły! Na samą myśl, że mógłby je stracić, serce zamieniało mu się w piersi w martwy kamień. Poczul ulgę tak wielką, że zaczął dygotać. Przez wzruszenie na chwilę zupełnie się zapomniał i przestał pozować na nieczułego twardziela. Ucałował jedną i drugą siostrę w głowę, pogładził je po plecach i nagle zmieszany odsunął się bez słowa. Zaczął wycierać chustką skrwawione ostrze szabli, po czym zostawił to zajęcie i ucisnął rękę kapralowi Pustemu, kaszłacemu i krztuszącemu się dymem.

– Mamy go, ale chyba nie da się drania przesłuchać – powiedział Pusty. – Nic już nie powie, odgryzł sobie język.

Ignacy machnął ręką, liczyło się, że panny żyły, wszystkiego się dowie o ich prześladowcach w swoim czasie. Czuł się dziwnie, jakoś nie po swojemu. Wcale nie radował się walką, właściwie okazała się nieistotna. Cieszył się za to jak nigdy, chyba pierwszy raz od czasów, kiedy był jeszcze z Marią, aż nie mógł nad sobą zapanować. Najgorsze, że było mu z tego powodu głupio, na szczęście panny nie zwracały na stryja uwagi, skupiły się na dwóch kawalerach. Młodzieńcy zeskoczyli z koni i dopadli panien, by całować je po rękach i sztywno zapewniać o swojej trosce i zadowoleniu z powodu ich ocalenia.

Siostry przyjmowały te dowody uwagi, komplementy i napuszone przemowy, zerkając na siebie porozumiewawczo. Kawalerowie musieli się obejść smakiem, jeśli chodzi o możliwość tytułowania się zbawcami, przychodzącymi porwanym pannom w potrzebie. Prawda była taka, że siostry poradziły sobie właściwie same i na dobrą sprawę nie wiadomo, kto tu najlepiej nadawał się do ratowania kogo. Obie uznały jednak, że nie ma co psuć podniosłej chwili przechwałkami. Udały zatem, że są delikatne i kruche, znów też wymagają opieki ze strony dzielnych mężczyzn.

[2](#) Szczecin.

[3](#) Trewir.

[4](#) Obecnie plac Orła Białego.

[5](#) Hałas (starop.).

[6](#) Prędko! Prędko! (fr.).

[7](#) Jedźmy, jedźmy! (fr.).

Rozdział 7

PAŹDZIERNIK 1806 ROKU

Generał Georg Ludwig Köhler pełnił funkcję gubernatora Warszawy już od kilku lat i w tym czasie naprawdę polubił miasto i jego mieszkańców. Z natury był przyzwoitym człowiekiem, nie cierpiał przemocy i zła, nigdy nie podnosił głosu, nie wymierzał kar cielesnych ani żołnierzom, ani przestępcom. Na oficjalnych spotkaniach i w czasie przechadzek po mieście brał dzieci na ręce i zawsze miał dla nich w kieszeni zawinięte w papier słodkie landrynki. Karmił ptaki, głaskał koty i lubił chodzić wzdłuż Wisły na spacerze ze swoim psem. Nie czuł się wcale żelazną pięścią króla Wilhelma, nie próbował trzymać okupowanego miasta i kraju twardą ręką, nawet wyroki śmierci za dezercję lub rabunki podpisywał ze sporymi oporami, a nawet z obrzydzeniem. Warszawiacy poznali się na nim jako na porządnym człowieku i traktowali go grzecznie, nawet z wdzięcznością, gdy łagodził spory między pruskim wojskiem oraz urzędnikami a mieszkańcami. Bolało go jednak, że mimo łagodnej, wręcz przyjacielskiej postawy wobec Polaków towarzysko jest zupełnie wręcz izolowany. Arystokraci nigdy nie zapraszali go do swoich rezydencji, zaś jego zaproszenia ostentacyjnie ignorowano. Przez kilka lat nie mógł przez to uradować żony i córki skromnym nawet balem, bo nikt nie chciał się na nim pojawić.

Nie miał bladego pojęcia, czemu nagle książę Poniatowski z własnej inicjatywy oświadczył mu, że chętnie weźmie udział w balu, na którym córka generała będzie mogła mieć swój debiut i zostanie zaprezentowana kawalerom jako panna na wydaniu. Przy okazji Józef zadbał o to, by panna Köhler nie była jedyną debutantką, razem z nią w Warszawie wkroczy na salony jeszcze kilka cór szlacheckich. Generał zrozumiał, że książę zadba o to, by tym razem na zaproszenie odpowiedzieli wszyscy liczący się w towarzystwie, i jego córka będzie miała doborowe towarzystwo oraz widownię. Może to dlatego, że tak sprawnie pomógł Poniatowskiemu rozwiązać kłopoty z urzędnikami podatkowymi, którzy gnębili go przez kilka lat rekwizycjami i morderczymi opłatami za posiadłości i posiadane dzieła sztuki. Co prawda Józef musiał pojechać aż do Berlina i starać się o audiencję u króla, by wyblagać zmiłowanie

i niedoprowadzanie go do bankructwa, ale się udało. Prusacy dali mu spokój, a on w zamian postanowił być wiernym poddanym pruskiego króla. Oto i pierwsze owoce tego ruchu, zdjęcie blokady towarzyskiej. Późno, ale lepiej później niż wcale.

– Myślałam, że już tego nie doczekam – zauważyła z przekąsem Olivia, żona generała. – Na szczęście Martha nie zdążyła się zamienić w starą pannę na tym zesłaniu.

Olivia od zawsze traktowała ich pobyt w Warszawie jako formę kary, marzyło się jej, że mieszkają w Berlinie, ich córka jest damą dworu królowej, a Georg pełni jakąś wysoką funkcję dworską. Tutaj co prawda miała do dyspozycji cały Zamek Królewski, tylko co z tego, skoro zwykle jego wielkie komnaty balowe świeciły pustkami? Dziś jednak to się zmieniło, generałowa stała u boku męża w Sali Wielkiej, rzęście oświetlonej zapalonymi kandelabrami. W lśniącym złoceniami i marmurem wnętrzu wznosiły się złote kolumny ze stiuku, za plecami czekającej pary stały alegoryczne rzeźby dłuta królewskiego artysty Le Bruna, zaś nad ich głowami porażał majestatem ogromny plafon pędzla włoskiego mistrza Bacciarellego. Orkiestra przygrywająca dyskretnie znajdowała się za otwartymi drzwiami w sąsiednim pomieszczeniu. Do sali balowej prowadził szpaler lokajów w śnieżnobiałych liberiach i perukach, całe ich zastępy krążyły też wśród gości z tacami. Wszystko lśniło i jaśniało złotem, bielą i czystością. Olivia była naprawdę zadowolona, w końcu mogła się poczuć jak królowa.

Księżę Józef pojawił się w towarzystwie swojej ukochanej, hrabiny Henriette de Vauban, którą nazywano królową Warszawy, tak wielkie miała wpływy. Drobną, szczupłą, czarnooką piękność wyglądała raczej niepozornie, Olivia miała wrażenie, że jest wręcz zawstydzona blichtrzem i przepychem, kiedy się witały. Szybko jednak Francuzka pokazała zdecydowanie i władczość, przyszła gospodyni z pomocą, ujęła ją pod łokieć i niczym najwierniejsza przyjaciółka odciągnęła na bok, by omówić każdą wchodzącą personę. Opisywała więc damy i ich mężów bądź kawalerów z wielkim znanstwem koneksji czy to rodzinnych, czy towarzyskich, jakby była rodowitą warszawianką, choć Poniatowski sprowadził ją do Polski raptem osiem lat temu.

Sala szybko się wypełniała, ponad dźwięki muzyki wzbijał się szum rozmów, dystyngowane śmiechy dam i gromkie powitania waszmościów w strojach polskich. Księża Józefa otaczała jego barwna młodzież spod Blachy,

kawalerowie jak się patrzy, ale we francuskich kubrakach i kamizelkach. Pojawili się jednak też ubrani w ciemne, skromne fraki młodzieńcy z otoczenia Stanisława Małachowskiego, dawnego marszałka Sejmu Wielkiego, wokół którego skupiali się polscy patrioci. On sam oczywiście nie pojawiłby się u pruskiego gubernatora, ale jego wychowankowie przyszedli tu jak zwykle, by postawić się w opozycji do Poniatowskiego i jego złotej młodzieży. Od dawna wiadomo było, że zawiązali nielegalne stowarzyszenie zwane Towarzystwem Przyjaciół Ojczyzny. Spotykali się nie tylko, by planować odzyskanie niepodległości, ale też by wszczynać awantury z młodzieżą spod Błachy. Dochodziło nawet między tymi dwoma ugrupowaniami, proeuropejskim i konserwatywno-staropolskim, do otwartych walk na szable, na ulicach lub w parkach. Teraz też czarno odziani patrioci zbili się w gromadkę niczym stado kruków i łypali wrogo na kolorową młodzież od Poniatowskiego.

Wśród chłopców księcia Józefa wyróżniało się dwóch roślących braci Ussakowskich. Rafał i Lucjan uśmiechali się krzywo do Przyjaciół Ojczyzny i przybierali prowokacyjne pozy, jakby jawnie szukali zaczepki. Asystował im wiernie, zaperzony niczym kogut, młodzian niewielkiego wzrostu, Paweł Skórzewski. Obok stało jeszcze kilku wesołków: wiecznie zawiany mości Kicki, uśmiechnięty od ucha do ucha Prusak, melancholijny Rautenstrauch i jego wierny druh Friebes. Wszyscy oni stoczyli już kilka otwartych starć ze stojącymi pod przeciwległą ścianą patriotami o srogich minach. Prawdziwym i dumnym Polakom przewodził dwudziestotrzyletni Józef Krasiński, który zastępował swego nieobecnego kuzyna Wincentego na stanowisku prezesa Towarzystwa. Oskrzydłało go dwóch wnuków marszałka Małachowskiego i trzech, jakby odbitych z jednej sztancy, braci Łubieńskich: Piotr, Franciszek i Tomasz. Najbardziej jednak narwanym Przyjacielem Ojczyzny, który wyszczerzył zęby do Ussakowskich i pokazał im dwa palce w wulgarnym geście angielskich łuczników, był dwudziestoosmioletni Ludwik Pac. W odpowiedzi Lucjan Ussakowski udał, że smarka mu pod nogi, a mości Kicki, że zdejmuje spodnie i pokazuje zadek, choć była to oczywiście tylko pantomima.

Księżę Józef udawał, że nie widzi tych wygłupów, nie wypadało mu się angażować w idiotyczne przepychanki przy Vaubance, jak chłopcy nazywali jego kochankę. Uśmiechał się jednak kącikiem ust, sam był bowiem diabłem wcielonym i z chęcią wywołałby jakąś awanturę. Tyle że nie był już beztroskim chłopakiem, który mógłby pozwolić sobie na podobne brewerie, miał obecnie czterdzieści trzy lata i powinien zachowywać się godnie i obyczajnie.

Warszawiacy nadal pamiętali mu wybryki, jak choćby kiedy spił naczelnika Kościuszkę i razem z nim kompletnie nago jeździł powozem po mieście, wrzeszcząc na przechodniów. Ludzie mieli mu za złe, że doprowadził bohatera narodowego do takiego stanu i razem z nim prezentował warszawiankom swoje przyrodzenie, proponując im różne czynności, o których w towarzystwie nigdy się nie mówiło. Tak czy inaczej, gdzieś tam w głębi serca książkę nadal był szalonym łobuzem i kawalarzem, kątem oka zerkał zatem na swoich młodzieńców i skrycie im kibicował. Gdyby tylko nikt nie patrzył, z pewnością sam pokazałby przesadnie poważnym patriotom kilka nieprzyzwoitych gestów.

Impreza oficjalnie się rozpoczęła przemówieniem generała Köhlera, ale jako że wygłosił je po niemiecku, nie spotkało się z przesadnie entuzjastycznym przyjęciem publiczności, klaskano raczej z grzeczności. Na szczęście gubernator nie przemawiał długo, podziękował zgromadzonym przy nim pruskim oficerom, Poniatowskiemu i innym szanownym gościom, po czym zaprosił wszystkich do poczęstunku. Za parę chwil miały zostać zaprezentowane debiutantki i wówczas rozpoczną się tańce, flirty i towarzyskie zabawy oraz starcia. Lucjan Ussakowski zaczął się rozglądać ciekawie za owymi pannami, ale nie było jeszcze ich widać. W tłumie wypatrzył za to inną znajomą postać, szturchnął brata łokciem i wskazał mu dyskretnie jegomościa w angielskim surducie.

Andrzej Siferdus niby nie zmienił się przez te kilkanaście miesięcy, od kiedy go ostatnio widzieli, ale ubrany elegancko i uczesany z fryzjerską pomadą, wyglądał znacznie dostojniej. Obaj przyglądali mu się ze zdumieniem, bo to nie był zdecydowanie kupiec winny ze Stettina, tylko szlachcic, pewny siebie i lekko wyniosły. Może to przez koszulę z wysokim sztywnym kołnierzem zmuszającym do uniesienia głowy, może przez bogaty strój szyty z najlepszych materii, tak czy inaczej, wyglądał znacznie szlachetniej. Do tego towarzyszył, wraz z innymi dostojnymi jegomościami, hrabinie Chodkiewicz, damie niezwykle ważnej, przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Młodzieńcy zdecydowali się do niego podejść, obaj bowiem niezwykle ciepło wspominali jego bratanice i byli ciekawi, co u nich słychać. Lucjan napisał do Cecylii dwa listy, Rafał zaś nieśmiało korespondował z Franciszką, a każdy z nich robił to w tajemnicy przed bratem. Jeden i drugi miał opory, by się przyznać, że interesuje się poważnie córką kupca, zwykłą mieszczką. Choć z drugiej strony nie sposób było nazywać panien Siferdus zwykłymi. Miały w sobie coś takiego, jakąś tajemnicę,

urok, ale i siłę, że nie pozwalały o sobie zapomnieć, choć kawalerowie nie widzieli ich od roku z okładem.

Młodzieńcy zostawili księcia i swoich druhów, po czym bez zbędnych słów przesunęli się w pobliże mości Siferdusa. Ten jednak ich nie widział lub nie chciał zobaczyć, zajęty był rozmową z hrabiną, która zdawała się całkowicie go absorbować. Musiał sporo czasu poświęcić, by zyskać z nią kilka chwil rozmowy sam na sam, co nie było łatwe przy jej popularności.

– Cieszy mnie, że wróciłeś na stałe do Warszawy – powiedziała Teresa. – Idą nowe czasy, wiele się teraz zmieni. Znów wrócimy do życia, może nawet sięgniemy po władzę. Najwyższa pora, byś poznał mistrza i został wprowadzony w arkana wyższego stopnia wtajemniczenia. Przykro mi, że trwało to tak długo, ale wszystko przez sytuację polityczną. Sam wiesz, pruskie rządy nie ułatwiają sprawy, właściwie zmusiły ryt do zawieszenia aktywnej działalności w ostatnich latach.

– Wszyscy w tym kraju nic innego nie robią, tylko liczą na rychłą klęskę Prusaków – Ignacy stwierdził cierpko. – Nie jestem pewien, czy pokładanie wiary w świetlaną przyszłość całego kraju, a może i Europy, jedynie na podstawie sukcesów odnoszonych przez jednego francuskiego generała to dobra taktyka.

– Był generałem. Nie zapominaj, że teraz jest cesarzem – Teresa zauważyła. – Co najważniejsze jednak, jest wrogiem naszych wrogów, a zatem naszym sprzymierzeńcem. Tylko on może powalić na kolana Austrię, Prusy i Rosję. W nim zatem nasza jedyna nadzieja.

– Od kiedy to wśród masonów taka patriotyczna postawa?

– Od zawsze, mój drogi – odparła lekko. – Ale mniejsza dziś o politykę, zaraz mamy zobaczyć debutantki, a wśród nich twoje podopieczne. Nie mogłam wyjść z podziwu, kiedy się dowiedziałam, że wychowujesz dwie panny. Mój diabelski, wiecznie gorący Siferdus przyjął pod dach biedne sierotki. Aż strach pomyśleć, na co je wychowałeś, na dwie diablice?

– To tylko sieroty, niewinne i bezbronne. – Wzruszył ramionami. – Byłem w bliskiej konfidencji z ich nieżyjącą matką. Kiedy się dowiedziałem, że zmarła, poczułem się odpowiedzialny za te panienki. Nie zrobiłem jednak niczego przesadnie szlachetnego ani wspianego. Ani też chyba złego, po prostu utrzymuję je do czasu, aż powychodzą za mąż, co myślę, już niedługo się stanie.

Och! Zdaje się, że pojawił się twój mąż. Pora, by adoratorzy wycofali się w cień, nie chcemy wszak doprowadzić do skandalu.

– Do zobaczenia później. – Teresa skinęła mu głową, tak samo jak trzem innym jegomościom, którzy nawet nie zdążyli z nią poflirtować.

Hrabia Chodkiewicz był bardzo wysokim, wręcz tyczkowatym mężczyzną w wieku trzydziestu lat, a zatem jeszcze młodym. Wyglądał niezgrabnie i zabawnie, bo mimo chudości miał szerokie bary i małą główkę, chodził do tego zawsze zgarbiony i pochylony, jakby coś mu ciążyło. W czasach kościuszkowskich służył w armii jako major gwardii narodowej, ale z upodobania był fascynatem i popularyzatorem nauki, a nie wojakiem. Nie tylko urządził w pałacach laboratoria, ale i pisał prace naukowe oraz uczestniczył czynnie w działaniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Był człowiekiem światłym i szlachetnym, niestety w sprawach miłosnych naiwnym i prostolinijnym. Zdawał się nie wiedzieć o tym, że żona na całego przyprawia mu rogi, puszczał mimo uszu opowieści o jej niemoralnym prowadzeniu się i podbojach, ale wszystko to oczywiście mogło trwać do czasu, nawet spokojny człowiek miał ograniczone pokłady cierpliwości. Wszyscy wielbiciele hrabiny usunęli się zatem, zostawiając ją jedynie w towarzystwie podręcznej służki, dyskretnie stojącej kilka kroków z tyłu, z torebką zawierającą wszystko, czego może potrzebować dama podczas balu.

Ignacy rozejrzał się w poszukiwaniu znajomych twarzy, miał bowiem wśród znamienitych warszawiaków kilku współników powiązanych interesami. Zresztą to właśnie dzięki nim udało mu się dostać zaproszenie na dzisiejszy bal. Nie posiadał znajomek wśród arystokratów ani nawet znamienitszej szlachty, w ostatnich latach umocnił swoją pozycję jako kupiec winny, jego współnikami byli zatem przedstawiciele niższych stanów, głównie kupcy, ale i... literaci oraz artyści. Nie skąpił bowiem im próbek win, łącznie z zaopatrzeniem bankietów przez nich urządzanych. Z daleka zatem ukłonili mu się i serdecznie go powitali dwaj wybitni przedstawiciele tych zawodów: literat i nauczyciel w jednym Ludwik Osiński oraz dyrektor Opery Warszawskiej Józef Elsner. Zanim jednak zdążył do nich podejść, jak spod ziemi wyrosło przed nim dwóch roślących młodzieńców w barwnych, żółto-zielonych kubrakach złotej młodzieży.

– Kawalerowie Ussakowscy. – Widział ich już wcześniej przy księciu Poniatowskim, ale liczył na to, że go nie zauważą. – No tak, musieliśmy się znów spotkać, to było nieuniknione. Czyżbyście zamierzali żądać ode mnie

spełnienia powinności i chciecie, bym udzielił wam satysfakcji? Honor waszego suwerena nadal jest splamiony moimi uwagami?

– Co też waść prawi! – Lucjan się oburzył.

– Walczyliśmy wszak ramię w ramię, co czyni nas towarzyszami broni – Rafał wspomniiał wydarzenia sprzed ponad roku.

– Braćmi niemalże – Lucjan przytaknął bratu. – W pewnym sensie, rzecz jasna. I zaciera wszelkie przewiny oraz urazy!

Ignacy uśmiechnął się lekko. Właściwie młodzieńcy wydawali mu się sympatyczni. W ich wieku pewnie był do nich trochę podobny. Odważni i narwani, skorzy do łapania za szable i brania się za bary z całym światem. Nie mieli przy tym złych intencji, byli szczerzy i zupełnie pozbawieni fałszu. To spora różnica w porównaniu z knującymi i tajemniczymi wolnomularzami, o których zaufanie od lat zabiegał.

– Czymże zatem mogę służyć swoim, w pewnym sensie, braciom? – spytał Ignacy.

– Chcieliśmy się jedynie przywitać i spytać o zdrowie pańien Franciszki i Cecylii – odparł Rafał. – Ciekawiśmy okrutnie, kiedy nadarzy się okazja, by znów je zobaczyć. Może planuje je waszmość przywieźć do Warszawy? Czy nie będzie niedyskrecją, jeśli spytam, czy jest pan tu jedynie w interesach, czy może planuje przeprowadzkę z całą rodziną?

– Będzie niedyskrecją – Ignacy odparł krótko. – Czasy nie są najlepsze na przeprowadzkę, ale w zasadzie nigdy takie nie były. Zaś co do pańien... Wybaczcie, ale gubernator właśnie zaczyna prezentację debutantek.

Gospodarz w Zamku Królewskim, gubernator Köhler, ubrany był w imponujący śnieżnobiały mundur pruskiego generała, przepasany wstęgą z Orderem Orła Czerwonego oraz z paradną szpadą u pasa, o rękojeści wysadzanej szlachetnymi kamieniami. Pojawił się w otwartych drzwiach prowadzących do sąsiedniej sali, dostojny i władczy, jakby naprawdę był panem na zamku. Pod ramię trzymała go odziana w suknię z bufiastymi rękawami i z włosami ufryzowanymi w wysoką konstrukcję panna Martha, jego córka. Orkiestra zaczęła grać poloneza, dworski taniec chodzony, bez którego nie mogło się odbyć żadne przyjęcie w tym kraju. Jeden z pruskich oficerów, wąsacz o doniosłym głosie, odczytywał z uniesionej książki nazwisko debutującej panny. Pierwsza była

córka gubernatora, za nią oficerowie z garnizonu miasta Warszawy, niestety wyłącznie Prusacy, wprowadzali kolejne nadobne dziewice, by pokazać je światu, a szczególnie zgromadzonym kawalerom.

– Panna Genowefa Natorowska herbu Ślepowron. Rodem z Płocka, córka referendarza stanu Stanisława Natorowskiego oraz Leokadii z domu Rzeżańskiej! – zagrział Prusak, przy okazji straszliwie kalecząc czytane nazwiska. Szczególnie przy nazwisku matki debiutującej panny zbitka niewymawialnych polskich głosek spowodowała, że biedaczyna się opluła.

Panna Genowefa przypominała pyszny tort bezowy, była bowiem dość pulchna i rozłożysta, a suknię miała białą i ozdobioną białymi różami. Za nią weszły kolejno dwie panny, prowadzone przez starych wojskowych.

– Franciszka i Cecylia Siferdus! Przybrane córki Andr... Andreea Siferdusa! – oświadczył mistrz ceremonii.

Siostry ubrane były w podobne sukienki, zdecydowanie skromniejsze, niż nosiły poprzedzające je panny. Za to modniejsze, z wysokim stanem, związane wstążkami pod biustem i bez wcięcia w talii, z trenem ciągnącym się po podłodze. Cecylia, smukła jak strzała, brodę trzymała uniesioną i szła dostojnie, jakby była cesarzową, Frania za to, szeroko uśmiechnięta, rozglądała się ciekawie. Bracia Ussakowscy aż podskoczyli na ich widok, Ignacy wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu, widząc ich reakcję.

– Ale z waszmościa żartowniś, żeś nas przetrzymał w nieświadomości tak długo – stwierdził Lucjan. – To przecież nasze panny!

– Wasze? – Ignacy się zdziwił, ale młodzieńcy nie odpowiedzieli.

W jednej chwili opuścili go bez słowa, jak zaczarowani wyszli naprzeciw siostróm, ukłonili się im synchronicznie i dosłownie przejęli z rąk Prusaków. Starzy oficerowie, chyba nakłonieni do udziału w tym przedstawieniu przez gubernatora, z ulgą oddali swoje podopieczne i natychmiast się wycofali, by sięgnąć po kielichy z winem z tacy podsuniętej przez lokaja.

– Oho, my się chyba znamy! – Cecylia natychmiast przestała być wyniosła i uśmiechnęła się, nie kryjąc zaskoczenia, ale i zadowolenia.

– Nie może być! – odparł Lucjan, ujmując ją za dłoń. – Gdybym kiedykolwiek wcześniej spotkał taką piękność, za nic nie wypuściłbym jej dłoni z ręki!

Młodszy z braci był nieco niższy od starszej z sióstr, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Mało tego, nie obchodziło ją, że może wyglądać zabawnie z kawalerem odbiegającym wzrostem od przyjętych norm, miała takie drobiazgi

w nosie. Zresztą nie zamierzała za niego wychodzić za mąż, tylko zatańczyć poloneza. Frania też nie wstydziła się swojego kawalera, za to widząc jego rozpalone spojrzenie, którym zdawał się ją pożerać, aż zapłonęła rumieńcem. Zdarzało się, że kawalerowie obsypywali ją komplementami, poza tym przeszła gruntowne szkolenie u mesdames Melissy i Christine, wszelkie umizgi i zaloty nie robiły na niej zatem wrażenia, ale spojrzenie Rafała było tak intensywne i palące, że poczuła się, jakby nic na sobie nie miała. W dodatku bardzo się jej to podobało i nie przeszkadzało nawet, że kawaler najwyraźniej oniemiał oszołomiony jej urodą.

Ruszyli do poloneza, do którego dołączały kolejne pary obecne na balu. Szpaler kroczył najpierw środkiem, następnie wokół ścian. Chcąc nie chcąc, dołączyły do niego niemal wszystkie panie, tylko Teresa wymknęła się mężowi, prześlizgnęła między lokajami i zaszła Ignacego od tyłu. Stała obok, kiedy z nieco cierpką miną patrzył na Ussakowskich zalecających się do jego bratancików już bez skrępowania.

– A to koguciki – mruknął na głos. – Oczywiście jedno im w głowach.

– To chyba dobrze, że twoje podopieczne cieszą się takim wzięciem, prawda?
– Teresa patrzyła wprost na panny. – Skąd, u licha, je wziąłeś? Czemu się zająłeś akurat tą dwójką?

– Mówiłem ci przecież, byłem dawno temu związany przyjaźnią z ich matką – odparł. – Pochodzą z nic nieznaczącej, nawet niemożliwej rodziny, czemu cię tak zaintrygowały?

– Znam je – odparła. – Widziałam je ostatnim razem kilka ładnych lat temu. Z niewinnych pacholąt zmieniły się w dorosłe kobiety, ale to z pewnością one, siostry Sobolewskie.

Ignacy zerknął na nią z ukosa. Teresa zacisnęła usta w wąską szparkę, zawsze tak robiła, gdy była zdenerwowana.

– Jesteś znajomą ich rodziny? Kiedy skończą taniec, muszę je zawołać i cię im pokazać – powiedział.

– Nie znałam ich bliskich, tylko pamiętam dziewczynki z czasów, kiedy po śmierci rodziców zajmowała się nimi kasztelanowa Lanckorońska. Pewnie mnie nie kojarzą, dużo czasu minęło. – Machnęła ręką, w której pojawił się wachlarzyk.

Dama mogła używać go do gestykulacji lub zajęcia czymś rąk, szczególnie kiedy czuła się niepewnie lub zdenerwowana. Nie umknęło to Ignacemu,

widział jej zmieszanie, a może zakłopotanie?

Zatem jednak to ona, pomyślał. Świadomie próbowała je wówczas otruć, teraz jestem już tego pewien.

Miał ochotę wziąć ją w ramiona i potrząsnąć ze wszystkich sił, złapać za gardło i wycisnąć z niej całą prawdę, tu i teraz. Tyle że od kilku lat była jego kochanką, tyle razy trzymał ją w ramionach, brał ją i pieścił, a ona nie była mu dłużna. Robili razem takie rzeczy, że na samo wspomnienie czuł fale gorąca. Nie mógłby jej tak po prostu skrzywdzić. Niemniej ta sprawa musiała ostatecznie znaleźć swój finał. Ujawnił dziewczęta przed światem, pozwolił im wyjść z ukrycia, choć sam nadal pozostawał incognito. Nie może przecież trzymać ich przez całe życie pod przykrywką, pora zaryzykować i zobaczyć, co zrobią wrogowie rodziny. Jeśli Teresa nadal będzie stwarzała dla dziewcząt zagrożenie, nie pozostanie mu nic innego, jak ją zgładzić.

Nabrał powietrza w płuca. Powie to, tu i teraz: „Wiem o wszystkim. Chciałaś je otruć, więdźmo. Kto ci kazał je skrzywdzić? Czy to loża rozkazała zgładzić całą rodzinę Sobolewskich? Mów natychmiast, bo uduszę cię na oczach twojego mazgajowatego męża”.

Już miał wyrzucić z siebie te słowa prosto w jej twarz, gdy wtem do sali balowej wpadł łysy, starszy wiekiem jegomość w staromodnym fraku, o połach sięgających ziemi. Ściągnął na siebie uwagę wszystkich, bo z impetem wpadł na lokaja, ten runął plackiem i o podłogę brzdęknęła taca pełna kielichów, które roztrzaskały się z hukiem. Staruszek nie zważał na tę katastrofę, wymachiwał zdartą z głowy białą peruką, niemodną już od dwóch dekad. Starszy pan był postacią rozpoznawalną w mieście, słynął przede wszystkim z tego, że stanowił niestrudzone i niewyczerpane źródło wszelkich informacji światowych i był główną tubą roznoszącą wiadomości po Warszawie. Franciszek Gugenmus, z pochodzenia Niemiec, urodził się w Warszawie i słynął od wielu lat jako gorący lokalny patriota. Był dumnym przedstawicielem starej rodziny zegarmistrzów, sam zaś nosił honorowy tytuł *horloger du roi*, osobistego zegarmistrza króla Stanisława Augusta. Aktualnie oddał zakład swojemu synowi, sam zaś abonował wszystkie gazety zagraniczne, jakie się dało, utrzymywał też sieć korespondencyjnych informatorów, by wiedzieć o wszystkim jako pierwszy. Na widok jego wytrzeszczonych z podniecenia oczu, nieład w ubiorze i zaczerwienionej twarzy nawet Ignacy wstrzymał oddech. Stało się coś doniosłego.

- Zwycięstwo! - zagrział ostatni królewski zegarmistrz. - Przedwczoraj cesarz Napoleon Bonaparte w bitwie pod Jeną rozbił doszczętnie korpus księcia Hohenlohe! Tego samego dnia marszałek Davout w bitwie pod Auerstedt doprowadził do całkowitej porażki armię Fryderyka Wilhelma III, który w panice, razem ze swym sztabem musiał salwować się ucieczką z pola bitwy!

- Co pan wygadujesz?! - ryknął generał Köhler, któremu na bieżąco przetłumaczono słowa Gugenmusa. - Zabraniam panu roznoszenia wieści politycznych po mieście, w dodatku kłamliwych i defetystycznych! Bo będę za to karał, i to srogo!

Zegarmistrz nie sprawiał wrażenia przestraszonego, machnął nawet na generała ręką, jakby się odpędział.

- Jaśnie wielmożny generale, co mnie po waszych karach, kiedy właśnie straciliście armię. Słyszeliście, ludzie?! Pruska armia starta z powierzchni ziemi, a król ucieka w popłochu! Armie napoleońskie kierują się na Berlin, korpus marszałka Davouta natomiast maszeruje prosto w stronę dawnych granic Rzeczypospolitej! Za tydzień lub dwa po Prusakach nie będzie śladu w Warszawie!

Tłum w sali eksplodował, stateczne damy i eleganccy panowie zapomnieli o powadze. Kilka lat poniżającej okupacji, grabieży i panoszenia się pruskiego wojska miało się skończyć, nagle i niespodziewanie. Pod sufit ozdobiony imponującym plafonem poleciały czapki i peruki, orkiestra zaczęła rznąć mazura, wzniesiono kielichy i wypijano toasty za wolność i odzyskaną ojczyznę, jakby ta już rzeczywiście była wolna. Nikt nie zwracał uwagi na spłoszonych i mocno skonfundowanych Prusaków, ludzie padali sobie w ramiona, ściskali się i całowali. Frania, nie czekając na reakcję swego kawalera, rzuciła się Rafałowi na szyję. Jemu nie pozostało nic innego, jak zakręcić nią w piruecie, a później, korzystając z okazji, pocałować, i to prosto w usta. Lucjan, dostrzegając okazję, objął Cecylię, przechylił ją i pocałował, zanim zdążyła zaprotestować. Łatwo mogłaby mu się wymknąć z objęć, ale nie zamierzała.

- Ładny mi debiut - mruknął Ignacy, widząc wyczyniane przez bratanicę i ich absztyfikantów brewerie i rozpustę.

Powiedział to do Teresy, ale okazało się, że już jej przy nim nie ma. Znikła w tłumie bez śladu ani choćby słowa pożegnania. Kapitan nie wiedział, co o tym myśleć. Obawiał się, że dziewczętom znów może grozić niebezpieczeństwo. Na domiar złego nie zdemaskował Teresy jako potencjalnej morderczyni. Nie miał

żadnych dowodów, motywów lub innych podejrzanych. Pozostało mu zatem wznieść kielich za klęskę zaborcy i cieszyć z pozostałymi tym francuskim zwycięstwem, choć nie bardzo wiedział, co tak naprawdę z niego wyniknie.

Listopadowy deszcz jak co roku zamienił warszawskie ulice w rozjechane kołami wozów bajora i trzęsawiska. Drewniane chodniki miejscami też pogrzyżyły się w nieujarzmionym polskim błocie, nie odstręczało to jednak ludzi od poruszania się po mieście, bo życie musiało się toczyć niezależnie od aury, przemarszów wojsk i innych katastrof. Ignacy, idąc przez miasto, mijali zatem, tak jak zwykle, tragarzy i posłańców, najemnych robotników, pilarzy i piaskarzy, chłopskie wozy z żywnością i baby taszczące na plecach kosze z towarem na sprzedaż. Przez błoto brnęły też karety i powozy, brodziły w nim konie pruskiej kawalerii, bo mimo pobożnych życzeń i wiary w potęgę Napoleona jego armia też ugrzęzła w błocie i nie wygoniła okupantów z polskiej stolicy.

Ignacy przeszedł całą długość Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, skąd skręcił w dół, na Powiśle. Nie żałował, że wybrał się pieszo, a nie konno, chciał rozprostować nogi. Siedzenie długo przy biurku nad księgami i korespondencją mocno go zużyło, poza tym zwyczajnie lubił chodzić. Nadal uważał się za oficera piechoty, dawniej przemierzył na własnych stopach setki mil po górach i dolinach. Podczas służby w Legionach koni nie było nawet do tego, by ciągnąć lawety z armatami, i fizylierzy robili to siłą własnych mięśni, część kadry oficerskiej też zatem chodziła razem z wojskiem piechotą. Kapitan Sobolewski przemaszerował cały Półwysep Apeniński wzdłuż i wszerz, zdarł przy tym niejedną parę butów. Choć wówczas sarkał na ten uwłaczający szlachcicowi wysiłek, po latach wspominał tamte wyczyny z nostalgią. Doszło do tego, że największą przyjemność sprawiały mu obecnie piesze wyprawy, poza tym czuł, że wysiłek konieczny jest do utrzymania się w formie. Nie wystarczały pojedynki z kapralem Pustym, w nieużywane mięśnie wchodziła wiotkość i słabość, których nie cierpiał. Przeszedł zatem przez większą część miasta, nie zważając na wodę, błoto i przechodniów, a tak się składało, że musiał ustępować miejsca damom na chodniku i wchodzić w bajora do pół łydki.

Lokal Pod Piękną Syreną nadal stał na swoim miejscu, burdelu nie zmyły deszcze ani upływające lata. Tak jak zawsze kierowała nim Zocha Kabała, tyle że już sama. Jej gruby i leniwy mąż przeniósł się pewnego dnia na tamten świat.

Niespecjalnie jej to przeszkadzało, właściwie mogła w końcu przejąć pełną komendę i kontrolę nad zakładem. Kiedy Ignacy wszedł do środka, powitał go przyjemny zapach tytoniowego dymu i ziół suszących się w pękach u powały. Klienteli było całkiem sporo, Syrena prosperowała nie tylko znośnie, ale dopiero teraz przechodziła swoje złote lata. Pomiędzy stołami uwijały się doskonale zbudowane, powabne dziewczęta, roznoszące napitki i żarcie, bo Zocha nie zatrudniała teraz raptem czterech pańienek jak kiedyś, ale aż dwa tuziny, i to pracujące na zmiany.

– Czołem, kapitanie – powitała go z daleka skinieniem, ale oczywiście nawet się nie uśmiechnęła. – Zjesz coś, z łaski swojej?

– Co tam dziś Mariolka ugotowała? – spytał. – Jeśli kaszę ze skwarkami, to podziękuję.

– Kapusta z grochem i sztukamięś – odparła Józia, wychodząc z zaplecza.

Kapitan skinął głową i usiadł przy pustym stole blisko kominka, by się wysuszyć w ciepłe od niego bijącym. Mrugnął do Józki, gdy stawiała przed nim miskę i kufel. Zocha, choć była wstrętną rajfurką, miała jednak ludzkie serce. Nie pozbyła się starych dziwek, kiedy te już wyblakły. Bezzębna Mariola została awansowana na szefową kuchni, w której i tak wcześniej najchętniej przesiadywała. Smutna Józka z kolei została jej pierwszą kucharką. Nie była już taka smutna, uśmiechnęła się nawet do kapitana i jak spostrzegł, z wiekiem jakby wyładniała. Widocznie brak trosk o jutro dobrze jej robił.

Nie wszystkim dziwkom tak dobrze się w życiu ułożyło. Kryśka już od lat spoczywała pod płótem cmentarza otruta arsenikiem, którym nasączone były chusteczki od hrabiny Chodkiewicz, z kolei Nasturcja, wesółka, bosonoga ładacznica, która lubiła tego popić, któreś zimy pośliznęła się po pijanemu i spadła ze schodów. Uszkodziła sobie kość biodrową na tyle poważnie, że nigdy już nie wstała z łóżka. W złamanie wdała się gorączka i biedaczka po kilku tygodniach męczarni odeszła na tamten świat. Proporcja uratowanych dziwek do tych, które przegrały życie, wynosiła dwa do dwóch. Ignacy pokiwał głową, myśląc nad kruchością życia i nieprzewidywalnymi wyrokami losu. Sam nie raz otarł się o śmierć, ale kiedyś tylko sobie z niej kpił, teraz coraz częściej myślał o przemijaniu i nieuchronnym, które gdzieś tam czeka.

Pijąc pierwszy łyk piwa, wspomniawszy jeszcze bandę sędziego Niewieskiego. Uczestniczył w jej likwidacji i przecież udało się ją zetrzeć z powierzchni ziemi dosłownie w kilka minut, choć zbójom wydawało się, że są nietykalni

i nieśmiertelni. Prusacy wyłapali niemal wszystkich, mimo to sędziemu wydawało się, że nadal jest bezkarny i rychło wyjdzie na wolność. Niewiele brakowało, i tak by się stało, bo ktoś zaczął zabiegać o jego uwolnienie, ale i w przypadku Niewieskiego los miał inne plany. Od paskudnej rany języka, którą sam sobie zadał, stracił tyle krwi, że zapadł na zdrowiu. Chorował jakiś czas, nikł w oczach trawiony gorączką, aż wreszcie znaleziono go w celi martwego. Na nic zdały się koneksje i wpływy, sprawiedliwość wymierzyła mu się sama.

Ignacy zjadł przyniesioną porcję bez specjalnego entuzjazmu, pogrążając się w ponurym, jesiennym nastroju. Okazało się, że Mariola nadal nie była dobrą kucharką, kapustę przez nią przyrządzoną jeszcze jakoś dało się zjeść, ale sztukamięś okazał się szarą bryłą, twardą i bez smaku. Ignacy, jak przystało na dawnego żołnierza, nie był wybredny, jeśli chodzi o jedzenie. Przynajmniej kiedyś wystarczyło mu cokolwiek, by zatopić w tym zęby, teraz zaczynał coraz bardziej szanować żołądek, wiek bowiem miał swoje prawa.

W pewnej chwili przysiadła się do niego jedna z dziewcząt pochodzących z nowego zaciągu. Była to ruda i piegowata Stasia, niezwykle operatywna i skupiona na zarabianiu pieniędzy jak żadna inna dziwka, którą znał Ignacy, a przez lata wędrówek po świecie poznał ich naprawdę sporo. Dziewczyna szybko stała się prawą ręką Zochy, właściwie jej przyboczną, księgową i głównym doradcą. Wyglądało na to, że kiedy Zośka się zestarzeje i straci siły, to właśnie Stasia zostanie jej następczynią.

– Com się nachodziła za pańską sprawą, mości Siferdus – pokręciła głową – to chyba jeszcze nigdy się tak nie nabiegałam. Nie było łatwo, bo orzech okazał się dość twardy do zgryzienia, ale mamy go! Ucapiony! Jeszcze jest na górze, spędził noc z Martyną, bo ją sobie wielce upodobał i to ona zawróciła mu w głowie. Wiesz waść, to ta o bardzo bujnym biuście...

– Nie wiem, nie znam wszystkich waszych panienek. Ile mnie to będzie kosztowało?

– Zgodnie z umową. Dałeś waść dziesięć talarów, czekam na resztę. – Nie wyciągnęła ręki, nie zrobiła chytrej miny, uśmiechnęła się za to przymilnie i zachęcająco.

Ignacy uznał, że naprawdę będzie z niej wspaniała burdelmama, o ile wcześniej nie przytrafi się jej coś złego. W tym fachu bowiem człek nie znał dnia ani godziny. Co prawda żaden fach nie gwarantował długiego

i szczęśliwego życia, ale przedstawiciele niektórych szczególnie się narażali, choćby prostytutki obcujące często z plugawcami różnej maści. Podsunął dziewczynie mieszek z brzęczącymi monetami, po czym kazał jej iść po ucapionego osobnika i przy okazji zabrać niedopite piwo. Nie tylko kucharka była tu kiepska, ale dostawca napitków również. Choć może to ostatnimi czasy po prostu kapitan za bardzo się przyzwyczaił do smacznych win? Wszystko się zmieniało, upodobania Ignacego również.

Po paru minutach Stasia wróciła w towarzystwie wysokiego mężczyzny o pociągłej, smukłej twarzy. Szedł prosto, wręcz sztywno, i oczami wyobraźni Ignacy od razu wyobraził go sobie w liberii lokaja. To był człowiek, który całe życie spędził jako sługa, ale w pałacu, prężąc się przed jaśniepaństwem, i został wytresowany do tego stopnia, że już nie potrafił się zachowywać swobodnie, nawet w burdelu. Usiadł sztywno naprzeciw kapitana i skinął mu głową.

– Co chcecie wiedzieć, mości Siferdus? – spytał, od razu przechodząc do rzeczy.

Ignacy go nie pamiętał, ale widocznie sługa skądś go kojarzył. Musiał mieć dobrą pamięć, bo w pałacu, w którym mieszkała Teresa, kapitan był może dwa razy, oczywiście pod nieobecność hrabiego Chodkiewicza. Na szczęście lokaj znał go jedynie z pseudonimu, ciągle zatem Ignacy pozostawał nierozpoznany, co bardzo go cieszyło. Zocha i jej personel potrafiły dochować dyskrecji, miał tego naoczny dowód.

– Jesteś pan lokajem u Chodkiewiczów, tak? Od dawna? – spytał.

– Piotr Zdun się nazywam i tak, służę u rodziny od dawna, właściwie całe życie. Mój ojciec był osobistym pokojowcem starego hrabiego, Jana Mikołaja. Urodziłem się w Czarnobyłu, w posiadłości, w której zmarł stary hrabia. Moi rodzice to była służba rękodajna, znaczy nie byle czeladź, jakieś podrzędne parobki, rękodajni zawsze traktowani byli z szacunkiem, czasem jak członkowie rodziny – lokaj oznajmił z dumą, ale i nutą rozżalenia w głosie. – Zdarzało się, że pan zostawiał rękodajnym w testamencie całe wsie i pola. Nam się nie poszczęściło, traktowano nas godnie, ale nie obsypywano złotem. Liczył się jednak mir wśród służby, pozycja uprzywilejowanego sługi, ale to się z czasem zmieniło. Powinienem zostać jak mój ojciec totumfackim panicza, ale ten zrobił mnie najpierw stangretem, później zwykłym lokajem od otwierania drzwi, podawania kapci, usługiwania przy stole...

Ignacy pokiwał ze zrozumieniem głową. Zdun był rozczarowany traktowaniem, tym, że nie udało mu się zrobić kariery. Miał już pasma siwych włosów, wyglądał na dobiegającego czterdziestki, czyli osobistym pomagierem panicza już raczej nie zostanie. Nie mógł też liczyć, że zostanie mu się w ramach podziękowania za służbę wioska lub dwie, gdzie będzie mógł spokojnie i godnie spędzić starość. Przez zawiedzioną nadzieję, może i inne żale, zdecydował się zdradzić pana. To musiała być dla niego drastyczna decyzja, widocznie panicz Aleksander jakoś mu dopiekl. Może wybrał sobie za totumfackiego kogoś wroga Zduna? To właściwie nie miało znaczenia, ale wyjaśniało powody tej dezercji.

– Co chcesz wiedzieć, mości Siferdus?

– Co wiesz o Teresie. Wszystko o kochankach i jej śliskich sprawkach, zarówno tych związanych z masonerią, jak i innych – odparł Ignacy.

Już dawno powinien to zrobić, przekupić kogoś z otoczenia hrabiny, prześwietlić ją i jej szachrajstwa. Tyle że jak dotychczas świetnie się pilnowała, jej służki pozostawały absolutnie wierne i ślepo posuszne, nikt z domu Chodkiewiczów też nie chciał choćby gadać z obcymi. Na nic zdało się podsyłanie im szpiegów udających służących szukających zatrudnienia oraz próby przekupstwa, rodzina sprawiała wrażenie całkowicie odpornej na inwigilację. Dlatego dotarcie do Zduna było na wagę złota i Ignacy go nie żałował. Zanim lokaj zaczął opowiadać o zwyczajach Teresy, kapitan położył na stole ciężki, pękaty miecz pełen monet. To mogła być owa nagroda na starość, której Zdun już się nie spodziewał ze strony Chodkiewiczów. Jego twarz rozpromieniła się w łagodnym uśmiechu.

– Jeśli chodzi o miłości jaśnie pani, długo by opowiadać. Nawet mimo tego, że my, służba, wiemy wszystko o życiu swoich państwa, jestem pewien, że wiele ze spraw związanych z jej kontaktami towarzyskimi mi umknęło. Rzadko bowiem hrabina podejmuje znajomych w domu, częściej po prostu znika gdzieś w mieście...

Ignacy westchnął. Sługa zatem, mimo że chętny do zwierzeń, nie wiedział zbyt wiele. Teresa pilnowała zachowania dyskrecji, przecież powinien o tym wiedzieć. Od lat wodziła go za nos, obiecywała mu odsłanianie kolejnych tajemnic masonskich, ale nie doczekał się właściwie niczego.

– Co nieco się jednak dowiedziałem – Zdun kontynuował. – Martyna namówiła mnie, bym wypytał dziewczęta z otoczenia hrabiny, znaczy jej

pokoju i przede wszystkim osobistą służkę, z którą ta się nie rozstaje. Magda pracuje dla hrabiny od dekady i jest jej wierna jak pies, ale tak jak wszyscy ma swoje słabości, żale, zadawnione urazy, o których nie chce zapomnieć. Prawda jest taka, że niemal każdy jaśnie pan traktuje nas jak przedmiot. Czym bardziej jesteśmy usłużni, pokorni i cisi, tym mniej dostrzega się w nas człowieka. Oczywiście nie każdy pan jest taki, byli kiedyś ludzcy panowie, którzy traktowali ulubione sługi jak krewnych, nawet grzebać ich kazali w rodzinnych grobowcach. Ale to dawniej, teraz obyczaje upadają...

– Wszystko upada, obyczaje szczególnie – Ignacy przyznał ze smutkiem. – Co zaś się tyczy pani Teresy...

– Magdzie nazbierało się do niej żalów i przelała się czara goryczy. Hrabina kilka razy ją spoliczkowała z czystej złości, tylko po to, by się na kimś wyładować. Nie poszło jej w kłótni z mężem? To prast Magdę w twarz. Zlekceważył ją upatrzony kawaler, to dawaj Magdę szarpać za włosy. Dziewczyna nabrała niechęci do pani i wystarczyło trochę ją podjudzić, by sypała opowieściami jak z rękawa. Ma sporo do powiedzenia, bo zwykle stoi tuż za plecami hrabiny lub czeka w pokoju przylegającym do miejsca schadzek. Opowiedziała mi oczywiście kilka pikantnych szczegółów. Choćby o zwyczajach miłosnych pani Teresy, o tym, że bardzo dba o czystość i każe sobie grać całą wannę gorącej wody po każdym spotkaniu z kochankiem. Moczy się i szoruje, jakby chciała zmyć z siebie jego dotyk i zapach. Lubi zaś mężczyźn roślących, umięśnionych, brutalnych i gwałtownych, lubi, by w łóżku traktowali ją ostro, używali swojej siły i nie bawili się w delikatne pieszczoty. Magda nie raz słyszała krzyki hrabiny, przerażające i niepokojące, ale po prostu Teresa lubi czerpać rozkosz z bólu i poniżenia. Służka raz była przekonana, że jej panią mordują, i wpadła do pokoju, by ją ratować. Teresa kochała się z pułkownikiem Rothardem z pruskich dragonów, oficer ujeżdżał ją od tyłu jak kobyłę, okładając po zadku i plecach szpicrutą.

Ignacy poczuł się głupio. Jego też Teresa nakłaniała do dziwnych praktyk, kazała się podduszać albo brać na stojąco, jakby była dziwką przydybaną w bramie. Nigdy się nie łudził, że ma ją na wyłączność, ale kiedy wyobraził ją sobie ujeżdżaną przez pruskiego kawalerzystę, zaczęła drażnić go rosnąca złość.

– Jej łóżkowe sprawy zostawmy zamknięte w alkowie – zdecydował. – Mniejsza o przyjmowane pozy, chcę nazwisk jej kochanków, najlepiej wszystkich wraz z opisem, kto jest kim...

- Zawsze byłem zapobiegliwy i domyślny, przywykłem do zgadywania życzeń pana, zanim ten je sobie uświadomi – rzekł Zdun i wyciągnął z kamizeli złożoną na cztery kartę. – Jestem doskonałym sługą, ale niedocenianym. No cóż, może choć waszmość się na mnie poznasz. Oto i lista, wypisałem na niej wszystkie znane mi nazwiska „przyjaciół” hrabiny, od kiedy została żoną panicza Aleksandra.

- Doceniam pański wysiłek, Zdunie. – Ignacy przesunął miśszek w stronę lokaja, a ten natychmiast zgarnął zdobycz, w zamian oddając listę.

- Listę sporządziłem wspólnie z Magdą – dodał. – Wszystkie nazwiska są sprawdzone i pewne.

- Jestem jeszcze ciekaw, które z nich należą do członków loży. – Ignacy zerknął na zawartość kartki. Z ulgą spostrzegł, że nazwisk jest kilkanaście, a nie, jak się obawiał, kilkadziesiąt.

- Tego nie mogę powiedzieć z całą pewnością, jej działalność w tajnym stowarzyszeniu nie jest taka jasna jak romanse. – Lokaj rozłożył ręce. – Mąż zgadza się na jej udział w spotkaniach masonskich, ale hrabia pozwala żonie właściwie na wszystko. Poza tym ona się go o pozwolenie nie pyta i robi, co chce. Powiedzmy jednak, że w spotkaniach masonów bierze udział jawnie, za wiedzą i zgodą męża. Magda twierdzi, że Teresa często przebierała się w maskę i pelerynę, niby idąc na tajemne spotkanie loży, a tak naprawdę jechała na niemniej tajemne spotkanie do kolejnego kochanka. Poza tym często spotykała się towarzysko z przyjaciółkami, z których kilka też należało do żeńskiej loży. Nie wiadomo, może wówczas odbywały się nieoficjalne spotkania rytu, może podejmowały jakieś decyzje lub przekazywały sobie polecenia mistrzów masonskich?

- Czy Magda opowiadała o przebiegu takich spotkań? Co się na nich działo, konkretnie, czy planowano morderstwa lub podobnie drastyczne rzeczy?

- Absolutnie nie. – Lokaj zaprzeczył. – Wręcz przeciwnie, zajmują ich zupełnie niewinne sprawy. Jedynymi dziwactwami były uroczystości, na które przebierano się i zakładano maski, odgrywano jakieś oniryczne przedstawienia w piwnicach lub kryptach, przy blasku świec i podniosłej muzyce. Ale to bardziej przypominało teatr, co prawda z udziałem nagich tancerek lub z użyciem opium, wygłaszano metafizyczne, bezbożne bzdury, ale nikogo nie mordowano. Plany zaś, które omawiała hrabina, były może i nielegalne, ale dlatego, że tyczyły na przykład szerzenia oświaty wśród chłopów, uczenia dzieci

czytania i pisanie po polsku, krzewienia kultury narodowej, uczenia historii, walki z analfabetyzmem, nędzą, prostytutką...

Ignacy uniósł brwi. W imieniu łoży prowadził interesy, obracając pieniędzmi masonów, za które kupował i sprzedawał wina na niemieckim i frankońskim rynku. Odprowadzał część zysków na jakieś tajemnicze sprawy, w które go nie wtajemniczano z powodu niskiego stopnia w stowarzyszeniu. Czyżby zarobione przez niego kwoty nie szły na jakieś niezwykle tajne sprawki, na zlecenia morderstw i kierowanie wielką polityką światową, ale na wspomaganie biednych i uczenie chłopskich dzieci czytania? Naprawdę całe to towarzystwo tylko udawało groźnych, bezwzględnych mędrców z cienia pociągających za sznurki, szafujących ludzkim życiem w imię jakichś planów obejmujących całe narody i stulecia? Tak naprawdę byli to tylko nudzący się arystokraci, którzy bawili się w zbawienie świata, ucząc dzieci i karmiąc głodujących? Wszystko było tylko teatrem.

- Teresa wspomaga ubogich i ich dzieci? - powiedział na głos, drapiąc się po czole, bo nie mieściło mu się to w głowie. Znał ją z innej strony, jako dość rozpustną i wyuzdaną damę skupioną na sprawianiu sobie przyjemności.

- Od lat odwiedza kasztelanową Lanckorońską i wspomaga jej działania. Chyba chciałaby kiedyś też zasłużyć na tytuł świętej pani, a może robi to z potrzeby serca? - Zdun wzruszył ramionami. - Kaprysy jaśnie pań są niezbadane i nieodgadnione, nawet dla kogoś takiego jak ja.

Ignacy się zadumał, szczerze zaskoczony. Teresa słowem mu nie wspomniała o swojej działalności charytatywnej i przez myśl mu nie przemknęło, że może w ogóle mieć takie ciągoty. Zwyczajnie nim manipulowała? Czy kryło się za tym wszystkim coś jeszcze?

- Kim jest Cesarzowa? Czy zdarzyło się, że hrabina używała tego pseudonimu? - rzucił jeszcze.

Zdun zmarszczył czoło i pokręcił przecząco głową, przyznał też, że Magda o nikim takim nigdy nie wspomniała. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy Ignacy dociekał, czy hrabina korzystała z laboratorium męża i zajmowała się truciznami. Lokaj nawet nie wyobrażał jej sobie parającej się jakąkolwiek robotą, a już szczególnie śmierdzącą lub niebezpieczną. Teresa po mieszkaniu chodziła w dodatku tak, by niczego nie dotykać i nie zniszczyć sobie aksamitnej i delikatnej skóry na dłoniach. Eksperymenty i badania męża miała za głupią zabawę i powtarzała mu, że prawdziwi mężczyźni szukają rozrywek na

polowaniach, w ramionach kochanek, pojedynkując się lub rżnąc w karty, a nie ślęcząc nad księgami i przelewając smrody w szklanych naczyniach. Niby ona, taka wielka dama, miała by własnoręcznie przygotować roztwór trucizny, nasączyć nim chusteczki, wysuszyć je i delikatnie złożyć? Nawet nie umiałyby czegoś takiego zrobić, nie mówiąc o tym, że nigdy by na to nie wpadła.

Ignacy po tych prawdach i rewelacjach zapragnął się napić czegoś mocniejszego, ale na myśl o tym, jakie podle trunki serwuje Zocha w swoim przybytku, odeszła mu ochota. Podziękował Zdunowi za informacje, ten zaś obiecał, że jeśli czegokolwiek jeszcze się dowie, natychmiast poinformuje kogo trzeba. Kapitan z westchnieniem jeszcze raz zajrzał do kartki i przebiegł ją wzrokiem. Były tu nazwiska polskie, pruskie i francuskie. Teresa zabawiała się z polskim eksenatorem, pruskim pułkownikiem i księciem de Fleury, najbliższym przyjacielem króla Ludwika XVIII. Stosunki łączyły ją także z jakimś Biernatem, kowalem z Saskiej Kępy, doktorem Colinionem, naukowcem z Drezna, oraz Stefanim, śpiewakiem z Opery Wiedeńskiej, który przebywał na gościnnych występach w Warszawie. Nie było w tym żadnego klucza, tylko fantazje i zachcianki Teresy, kobiety ciekawej mężczyzn i próbującej posmakować różnych ich rodzajów. Ignacy już miał schować kartkę, zniesmaczony tą lekturą, gdy jego spojrzenie natrafiło na znajome nazwisko.

– Sobolewski – mruknął. – Hej, mości Zdun, czekajcie jeszcze chwilę! Co to za Sobolewski, bez imienia? Tyle tylko, że z dopiskiem: ziemianin.

– Ach, ten? To dawne dzieje... Podejrzewam, że Teresa związała się z nim jeszcze przed ślubem z hrabią i ciągnęła romans tylko siłą rozpędu. Nie znałem nawet jego nazwiska, Magda je podsłuchiwała i zapamiętała.

Ignacy zmarszczył brwi. Jego znała jako Siferdusa, innych Sobolewskich w Warszawie nie było. Ale to przecież nie mógł być...

– Jak dawno to było, jak on miał na imię? Chociaż jak wyglądał? – Kapitan wstał gwałtownie od stołu.

– Nie mam pojęcia, widziałem go tylko raz, gdy wzburzony przyszedł do pałacu i domagał się spotkania z Teresą, co jak waszmość wiesz, jest nie w jej stylu. Nie przyjmuje kochanków w domu... Jak on wyglądał? – Zdun potarł czoło w zamyśleniu. – Podobnie do waszmościa, wysoki, postawny, z kanciąstą szczęką i srogim spojrzeniem spod mocnych brwi. Właściwie to był do was podobny. Moglibyście wręcz być braćmi, he, he, he. Takie same oczy, kształt

twarży... Och, wybaczcie, widzę, że was chyba uraził. Lepiej sobie pójdę. Z Bogiem!

Zdun wyszedł czym prędzej, widząc minę mości Siferdusa. Ten zrobił się blade, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy. Zacisnął szczękę i pięści. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Krzysztof, jego świątobliwy, stateczny i pozbawiony wad brat, był kochankiem Teresy? Czy to możliwe, czy jakaś pomyłka, zbieżność nazwisk i wyglądu? Czuł jednak, że nie ma żadnej pomyłki, znów razem z bratem kochali się w jednej kobiecie. I znów to jednego z nich przywiodło do zguby. Tym razem Krzysia.

Konna przejażdżka w niedzielne popołudnie stała się cotygodniowym, wspólnym zwyczajem sióstr Sobolewskich i braci Ussakowskich. Jeździli w różnych kierunkach, w zależności od humoru lub pomysłów. Czasem podróżowali wzdłuż Wisły do Wilanowa, czasem przekraczali most łyżwowy i błąkali się po Saskiej Kępie albo Pradze, urządzali pikniki lub odwiedzali karczmy, czasem tylko jechali przed siebie bez celu i rozmawiali. Jesienne słoty nie przerwały im tych wycieczek, bo były one jedyną okazją, by wspólnie spędzić czas, i żadne z rodzeństwa nie zamierzało zrezygnować z tej przyjemności. Ignacy początkowo wysyłał za nimi Pustego, który obserwował towarzystwo z pewnej odległości, uzbrojony w karabinek kawaleryjski. Oficjalnie bowiem miał chronić siostry przed ewentualnym zamachem, po debiucie bowiem się odstąpiły i wrogowie rodziny nadal mogli chcieć je zgładzić. Nieoficjalnie Pusty działał też jako przyzwoitka. Nie było bowiem mowy, by trzymać się za ręce lub by doszło do jakichkolwiek umizgów, gdy srogi kapral miał wszystkich na oku i karabin pod ręką.

Kiedy jednak zrobiło się chłodno i deszczowo, a wycieczki zaczęły przypominać mozolne przedzieranie się przez błota, stary wojak dał sobie spokój. Zobowiązał tylko młodzieńców do godnego zachowywania się i opieki nad siostrami, na co ci przystali bez chwili wahania. Poprzysięgli mu w potrzebie oddać życie w obronie pańien i nie uchybić ich czci lub honorowi pod żadnym pozorem. Zabierali zatem na przejażdżki broń, jakby wybierali się na łowy, i to na grubego zwierza. Nikt jednak sióstr nie niepokoił, choć miały kolejne tygodnie od ich ujawnienia się światu.

Tej niedzieli Frania zarządziła wycieczkę na Wolę, czyli do podwarszawskiej wsi, w której w zasadzie nie było niczego ciekawego. Znajdowały się tu upiornie

śmierdzące garbarnie wyrzucone z miasta z powodu odoru, który się nad nimi unosił, oraz okopy wojskie, czyli fortyfikacje pobudowane przez Kościuszkę. Dwanaście lat temu miały tu miejsce walki o stolicę w czasie insurekcji. Nie chodziło jednak o okolicę, ale o samą przejażdżkę i przyjemność z niej czerpaną. Zaloty młodzieńców były przyjmowane z przyjemnością, bowiem obecnie byli to jedyni absztyfikanci, którzy interesowali się siostrami.

Skończyły się dla siostrzycy czasy pracy w składzie win, panny nie musiały już uśmiechać się do klienteli i znosić umizgów młodych stettinian. Z jednej strony to, że nie pracowały, dawało im więcej wolnego czasu, z drugiej straszliwie się przez to nudziły. Zdażyły już w winiarni przywyknąć do zajęć i obowiązków, teraz nagle znów musiały spędzać czas jak szlacheckie córki. Kiedyś postrzegały to jako coś normalnego, ale obecnie trwonienie czasu na lekcje gry na harfie, haftowanie albo lekturę romansów wydawało się im próżniacze i bezproduktywne. W dodatku mieszkwały w kamienicy, w czteropokojowym mieszkaniu na piętrze, i nawet nie mogły wyjść do ogrodu, by choć założyć wirydarz, czyli ogródek botaniczny, bo przy domu nie było na to miejsca. Kamienica tkwiła wciśnięta między inne, przy Miodowej, najbardziej ludnej i ruchliwej ulicy miasta. Po powrocie do Warszawy i odzyskaniu statusu szlachetnie urodzonych pań nie dość, że nie miały zajęcia i kawalerów, to jeszcze tkwiły w zamknięciu, strzeżone przez kaprala Pustego i ostatnio jakby nieobecnego duchem stryja Ignacego. Wycieczki konne były zatem wyczekiwane i nawet deszcz by ich nie odwiódł od wyrwania się z domu na wyprawę.

Jechali parami obok siebie, przodem Frania z Rafałem, kilka kroków za nimi Cecylia z Lucjanem. Panny korzystały z koni należących do stryja, dwóch pięknych klaczy z rasy koni hanowerskich, popularnych w Niemczech od wieków. Ignacy kupił je w Stettinie i był dumny z tych zwierząt, bo w kraju rzadko spotykało się przedstawicieli tej rasy, zaliczanej do gorącokrwistych. Klacze były duże i silne, o atletycznej budowie, ale smukłych, długich szyjach. Obie siostry prezentowały się na ich grzbietach dostojnie i wręcz wyniosłe, jak królowe Amazońki, tak je przynajmniej skomplementował zachwycony Lucjan. Obaj bracia dosiadali koni małopolskich, zaliczanych do angloarabów, tradycyjnych w polskich hodowlach mieszanek ras orientalnych. Były to koniki niższe od hanowerskich i nie tak mocno zbudowane, za to energiczne i skoczne. Rwały się do galopady, jakby chciały koniecznie się ścigać z masywnymi klaczami.

– Jacyś dziś małowólni jesteście – zauważyła Frania, kiedy już dotarli na Wolę. – Coś waszmościom dolega? Jakies złe humory?

– Jak się nie smucić, kiedy serca mamy rozdarte, panno Franiu. – Rafał westchnął. – Idzie o to, że... Wydarzenia dziejowe wołają nas, przyciągają z nieodpartą mocą i pora będzie lada dzień ruszać w świat i zostawić was w Warszawie.

– Jakie to wydarzenia tak was ciągną i dokąd? – Cecylia się odezwała.

– Takie oto – odparł Lucjan i wręczył jej zadrukowaną z obu stron kartkę.

Wychyliła się w siodle, ściągnęła wodze, by zmusić swoją klacz do zwolnienia. Kartkę z jednej strony zadrukowano po francusku, na odwrocie zaś po polsku. Była to odezwa, na której widok panna poczuła ciarki niepokoju na plecach. Nie podobały się jej skrzyżowane armaty, na których siedział orzeł, a taki rysunek ozdabiał pismo. Zalatywało wojną i od razu zaczęła się domyślać, o co chodzi.

– Jan Henryk Dąbrowski, generał dywizji, ozdobiony Orderem Wielkiego Orła Legii Honorowej, bla, bla, bla, et cetera, et cetera... – przeczytała na głos. – Polacy! Napoleon Wielki, niezwyciężony, wchodzi w trzykroć sto tysięcy wojska do Polski. Od was teraz zawisło istnieć i mieć ojczyznę; wasz zemściciel, wasz stwórca się zjawił! Przynoście mu wasze serca i odwagę wrodzoną Polakom. Powstańcie i przekonajcie go, iż gotowi jesteście krew toczyć na odzyskanie ojczyzny. Broń i oręż z rąk jego otrzymacie...

– To wezwanie na wojnę – Frania podsumowała. – I zamierzacie się na nią wybrać, jak mniemam?

– W Poznaniu będzie formowana Kawaleria Narodowa z ochotników – przyznał Rafał. – Na powitanie Napoleona wyrusza deputacja z Warszawy, generałowie Fiszer, Chłapowski, Jaraczewski, Kęszycki i wielu innych oficerów. Wyruszają też przedstawiciele Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny, na czele z braćmi Krasińskimi. Książę Poniatowski chce, byśmy i my, młodzież spod Błachy, pokazali, że mamy jajca i nie pozwolimy, by w naszym imieniu walczyli jacyś rozmodleni, świętoszkowaci Przyjaciele Ojczyzny. Ruszamy wszyscy, kto tylko może.

Cecylia pokiwała głową. Mogły się tego spodziewać, ostatnimi dniami cała Warszawa żyła nadzieją wyzwolenia. Rozmawiało się o tym na targowiskach, w kościołach, w sklepach i na ulicy. Po błocie ganiały bosonogie andrusy, drąc

się na Prusaków: „Uciekajcie z Warszawy, pruskie śledzie! Bo Kościuszko z wojskiem jedzie!”.

– Zabierzcie nas ze sobą! – Cecylia rzuciła impulsywnie. – W Warszawie jesteśmy do niczego nikomu niepotrzebne. Konno jeździć umiemy, szablą robimy lepiej niż niejeden szlachetka...

– Z pistoletów strzelamy, znamy francuski i niemiecki, umiemy szyć, liczyć i gotować – Frania się dołączyła. – Na wojnie wielce się przydamy.

Bracia spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– To wykluczone – Rafał oświadczył ostro. – Pomysł z gruntu chybiony! Armia to nie miejsce dla dam. Za wojskiem ciągną tylko markietanki, kobiety upadłe bądź szalone!

– Pora to zmienić, my też chcemy walczyć – Frania oznajmiła butnie.

Jechali chwilę w milczeniu.

– Myślicie, że się nie nadajemy, bo nosimy kiecki? Że niczego nie potrafimy i trzeba nas tylko ratować z opresji? – Cecylia wysyczała rozszłoszczona. – No to spróbujcie nas dogonić. Zobaczymy, kto lepiej radzi sobie w siodle.

– Kiedy my wychowaliśmy się w stadninie i jeździmy od dziecka, nie macie szans. – Lucjan wyciągnął rękę, jakby chciał ją zatrzymać.

Frانيا pierwsza wbiła piętę w końskie boki i pochyliła się, przyjmując pozycję do galopady.

– Jeśli mnie chcesz, to spróbuj złapać – rzuciła przez ramię do Rafała.

Klacz pod siostrami wyrwały z kopyta, skoczyły przed siebie, jakby tylko na to czekały. Silne, mocno umięśnione uderzały o ziemię z taką energią i łomotem, aż pannom wydawało się, że ziemia drży, a wokół przetaczają się burzowe gromy. Wiatr świstał w uszach, świat wokół umykał z taką prędkością, że zapierało dech. Obie czuły jednocześnie euforię i radość z pędu, jak i przerażenie. Gdyby teraz która spadła, ziemia zmieliłaby ją na miazgę od siły uderzenia. Panny radziły sobie jednak nadspodziewanie dobrze, młodzieńcy zostali szybko w tyle. Po chwili jednak spięli konie i ruszyli w pogoń. Ich polskie koniki pognały jak ogary spuszczone za zwierzyną. Rwały za klaczami jak oszalałe, jakby dogonienie ich było kwestią życia i śmierci, kwestią końskiego honoru.

– Jesteście do dupy! – Frania wrzasnęła przez ramię. – To my pojedziemy na wojnę, a wy możecie zostać w domu i grać na harfie, patałachy!

Pędzili przez Wolę, a później traktem na zachód. Minęli wieś Powązki, już kawał za miejskimi rogatkami, klacze rwały, zdawałoby się, niestrudzenie, prychając i rżąc coraz bardziej. Ussakowscy jednak niestrudzenie zbliżali się do ściąganych, wykorzystywali teren, ścinając zakręty, a nawet przesadzając na skrótach płoty i przecinając chłopskie gospodarstwa. Świnie i kury rozbiegały się w panice, kwicząc i gdacząc. Z każdą chwilą byli coraz bliżej panien, aż w końcu pędzili tuż za nimi. Lucjan wyciągnął rękę, by chwycić za koniec łopoczącej sukni Cecylii.

– Łapy przy sobie! – krzyknęła i zamachnęła się palcatem, po czym trzasnęła go nim w wyciągniętą dłoń.

W porę zabrał rękę, palcat trafił w pustkę i Cecylia straciła równowagę. Przechyliła się w siodle, odruchowo złapała się końskiej grzywy, ściągając przy tym wodze. Klacz zaryła kopytami w ziemię i panna Sobolewska wystrzeliła z siodła, przeleciała nad końską głową i uderzyła z impetem w błoto, szeroko rozkładając przy tym ręce. Wszyscy wstrzymali konie, Lucjan zeskoczył ze swojego jeszcze w biegu i wskoczył w środek kałuży, po czym próbował wziąć pannę na ręce, ale ta odepchnęła go gwałtownie. Klęczała w wodzie, cała umazana w czarnym błocie, łącznie z twarzą i włosami. Bolały ją zębra z jednego boku, usta miała pełne ziemi, przygryzła też sobie wargę. Wstała chwiejnie, bo po kostki tkwiła w kałuży. Czuła się poniżona i wściekła nie na żarty. Lucjan nadal próbował ją ratować, wywinęła mu się z jęknięciem bólu, po czym pchnęła go, jednocześnie wsadzając stopę między nogi tak, że runął na plecy w kałużę.

Próbował wstać, ale pośliznął się i padł w błoto po raz kolejny, zabawnie przy tym wymachując rękoma. Cecylię w jednej chwili puściła złość i dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Wyciągnęła rękę do kawalera, ale schylając się, znów syknęła z bólu. Lucjan zerwał się wreszcie na równe nogi i z troską objął ją wpół.

– Jest pani ranna, panno Cecylio. Proszę się o mnie wesprzeć – powiedział.

– I co my teraz powiemy mości Siferdusowi? – Rafał zawrócił konia i nadjechał w towarzystwie Franciszki. – Mieliśmy się wami opiekować, a nie razem ganiać się po polach i dziurach. Dostanie się nam, nie ma co...

– Nic się wam nie dostanie – Franciszka wypaliła z irytacją. – Zrozumcie wreszcie, że same odpowiadamy za swoje czyny. Nie musicie nas ratować, opiekować się nami i pielęgnować, jakbyśmy były niespełna rozumu. Czasy,

kiedy niewiasty wymagały nieustannej troski, niech już wreszcie przejdą do historii i czym prędzej zostaną zapomniane.

Cecylia jej przytaknęła, ale nie próbowała się oswobodzić z objęć Lucjana. Otarła tylko błoto z twarzy i uśmiechnęła się do niego lekko.

– Jesteś piękna nawet wyjęta prosto z kałuży – powiedział, wpatrzony w nią jak w obrazek.

– Niczym księżniczka zaklęta w żabę. Możesz mnie pocałować, ale nie liczy, że zmienię się w prawdziwą księżną. Jestem tylko sierotą... Ach, i nie mówcie już o Ignacym per Siferdus, wiecie przecież, że jest naszym stryjem, nosimy to samo nazwisko. Tyle że zachowajcie to dla siebie, nie chce się ujawniać, ma wielu wrogów.

Lucjan tylko skinął głową, bo słuchał jej wywodów o stryju jednym uchem. Zabierał się już do tego, by ją pocałować, kiedy Rafał syknął ostrzegawczo i obrócił wierzchowca frontem do traktu.

– Wsiadajcie na konie. Cysia, dasz radę jechać? – spytał. – To Rosjanie...

Cały trakt wypełnił się ludźmi, a konkretnie ciągnącym powoli wojskiem. Przodem jechała sotnia kozacka, brodaci jeźdźcy w papachach na głowach i z długimi spisami w garściach. Za nimi maszerowali rosyjscy fizylierzy i grenadierzy w wysokich bermycach, futrzanych czapach. Ciągnęli głównym traktem prosto na Warszawę. Nawet ich awangarda nie interesowała się stojącą w błocie na polu czwórka gapiów, widocznie mieli za sobą naprawdę forsowny marsz i marzyło się im już tylko dotarcie do miasta.

– To wsparcie cara Aleksandra dla okaleczonej armii pruskiej – Cecylia stwierdziła i posmutniała. – Chyba jednak nici z wyzwolenia Warszawy, patrzcie tylko, ilu ich jest. Do pruskich okupantów dołączą teraz Rosjanie i Kozacy.

– A ci tam? – Frania wskazała kolejnych jeźdźców w kolorowych kołpakach na głowach i futrzanych czapkach ze spiczastymi tutkami.

– Tam to Baszkirzy, taki muzulmański lud z Uralu – Rafał wyjaśnił. – A za nimi, z uniesionymi buńczukami, włóczniami zakończonymi półksiężycem i końskim ogonem, jadą Tatarzy krymscy. Widocznie car zdecydował się ściągnąć wszelkie wojska, jakimi dysponuje. Widzicie już, że nasz udział w wojnie jest zatem konieczny, każda para rąk się liczy. Inaczej nigdy nie przepędzimy z Polski tych dzikusów i teutońskich okrutników.

– I rozumiecie, że nie możemy zabrać was na walkę z takimi jak ci tam – dodał Lucjan. – To barbarzyńcy, pozbawieni skrupułów i litości łupieżcy. Nie

chcemy was nie dlatego, że uważamy was za słabe, ale zrozumcie, że nie da się wojować, jednocześnie martwiąc o bezpieczeństwo ukochanej.

– Ukochanej? – Frania upewniła się, czy dobrze usłyszała.

Cecylia westchnęła, miała już zaoponować, ale zabołał ją bok i wsparła się na ramieniu kawalera.

– Wracajmy już, jestem cała przemoczona i wyglądam jak świnia – powiedziała. – Musimy pojechać inną drogą, lepiej nie jechać z Moskałami.

Z pomocą Lucjana wspięła się na siodło, zagryzając przy tym zęby. Frania jeszcze pogroziła pięścią maszerującym kolumnom wojska, po czym cała czwórka odjechała czym prędzej okrężną drogą do miasta.

Pod koniec listopada gruchnęła wieść, że generał Köhler otrzymał dymisję, ale król Wilhelm nie wyznaczył nikogo na jego następcę. Trudno się było dziwić królowi, że nie miał do tego głowy, bo władca Prus musiał się najpierw zmierzyć z problemami u siebie. Pokonano mu armię, podbito kraj i zmuszono do ukrywania się gdzieś na Rugii, bo w Berlinie już na całego rozłożyli się Francuzi. Tymczasem w Warszawie widziano też Tatarów w służbie carskiej, jak pod osłoną nocy przekraczają Wisłę mostem łyżwowym i galopują na południowy wschód, w kierunku domu. Znaczyło to, że wsparcie Rosji dla Prus też się powoli wykrusza. Dezercje w garnizonie były tak powszechne, że nawet już nie ścigano uciekinierów, szeregi pruskiej armii opuścili już niemal wszyscy wcieleni do niej Polacy. Na ulicach lepiej było nie chodzić w niemieckim stroju, z harcapem lub nawet mówić po niemiecku, bo można było oberwać w potylicę czymś ciężkim. Coraz częściej się zdarzało, że Prusakom spadały z nieba cegły na głowy.

Bracia Ussakowscy znikli z miasta, tak samo jak cała masa młodzieńców i starych żołnierzy, ponoć grupowali się w oddziały w Kaliszu i w Poznaniu. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie są i co robią, wytworzyła się przez to atmosfera niespokojnego oczekiwania. Matki, siostry, narzeczone i żony drżały z lęku i niepewności, nie organizowano żadnych balów, spotykano się jednak w teatrach, by po odsłuchaniu koncertów wymieniać się informacjami i plotkami. Szczególnie modny był niedawno otwarty lokal Harmonia, założony przez śpiewaka i dyrygenta Hoffmanna. Ogólnie jednak unikano zabaw

i poświęcono czas oczekiwaniu oraz obserwowaniu coraz bardziej nerwowego zachowania zaborców.

Ignacy razem z Pustym wybierał się na jakieś tajemnicze wypadki za miasto, coś obaj knuli, ale nie chcieli powiedzieć siostrom, o co chodzi. Zostawiali je pod dyskretną opieką niejakiego Myciaka. Był to gruby wążacz uzbrojony w miotłę i przekrzywiony kaszkiet, który piastował w kamienicy przy Miodowej stanowisko stróża. Zajmował z żoną mieszkanie w suterenie i miał na wszystko oko, nikt nie wchodził i nie wychodził na teren domostwa bez jego wiedzy. Wzbudził zaufanie Ignacego tym, że zawsze był trzeźwy, a przed budynkiem nigdy nie wałało się końskie łajno. Kapitan ustalił też, że Myciak jest prawdopodobnie hersztem bandy uliczników z całej okolicy. Obdarci chłopcy przychodzili do niego z meldunkami, a on wydzielał im zadania, karmił ich lub wypłacał pieniądze. Ignacy nie wnikał w jego szemrane sprawy, za to stróż wydał mu się osobą operatywną i kontrolującą całą ulicę. Zapłacił mu zatem za trzymanie oka na panny i nieco spokojniejszy wyjeżdżał z Pustym na całe nawet dnie.

Siostry nie zamierzały siedzieć pod kluczem i czekać nie wiadomo na co, szczególnie że nie czuły, by ktoś dybał na ich życie. Zdecydowały się nawet wyjść do Harmonii na koncert angielskiej śpiewaczki, miss Stamm, która miała wystąpić z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej, ale w bramie kamienicy drogę zastąpił im Myciak, dzierżący oburącz miotłę niczym halabardę.

– Nie może być, by panny poszły wieczorem na miasto, szczególnie że już ciemno się robi – oznajmił, tarasując im drogę swoim zwalistym ciałem. – Jeśli chcecie śpiewów, to moja żona chętnie wam pośpiewa, a ja pogram na harmonijce. Znamy szlagiery, którymi zachwyca się Warszawa, wszystkie ballady uliczne. Choćby o Czarnej Mańce, co nie chciała Prusaka, albo o tym, jak jedna baba drugiej babie wsadziła do... Ech, nieważne.

– Wielce pan łaskaw, Myciaku szanowny. – Frania dygnęła grzecznie. – Mamy jednak inne plany na wieczór. Proszę, tu kilka dydków, pan sobie kupi garniec piwa i wyśpiewa razem z żoną choćby wszystkie ulubione ballady.

– Nie mogę tego przyjąć. – Stróż nie wyciągnął ręki, nawet nie spojrzął na monety. – Wracajcie lepiej, z łaski swojej, do domu, bardzo proszę. Nie każcie mi użyć siły, bo szkoda byłoby obić takie zgrabne zadki miotłą. Mości Siferdus jasno się wyraził, mam was strzec, nie żałując sił i środków. Nie pożałuję więc razów, jeśli będzie potrzeba. Z powrotem, powiedziałem! Pókim jeszcze dobry!

- Dziwny ten wasz sposób na okazywanie troski i opiekę nad sierotami – zauważyła Cecylia. – Nie byłoby głupio, gdybym wyrwała wam tę miotłę i natłukła po łbie w przytomności przechodniów i andrusów z sąsiedztwa?

Myciak zarechotał basowo, jedną ręką biorąc się pod bok, a drugą unosząc miotłę. Widać było, że potrafi się nią posługiwać i nie raz używał jako oręża, przeganiając nią domokrażców, złodziei i żebraków. Nie zdążył ponowić groźby lub przeprowadzić ataku, gdy Cecylia ominęła go z jednej strony, Frania z drugiej, wirując kieckami, jakby tańczyły z nim kujawiaka. Obie poruszały się szybko, z gracją i zwinnością, jakiej się zupełnie po nich nie spodziewał. Stateczne damy ze sfer nie poruszały się tak szybko, zwyczajnie nie wypadało. Wyciągnął jedną rękę, zamachnął się drugą, ale trafił tylko powietrze. Śmiejące się panny już były za jego plecami, na ulicy. Frania wykonała pogardliwy ukłon, Cecylia zasalutowała niczym żołnierz. Odwróciły się, by odejść, zanim rzuci się za nimi w pościg, i stanęły na wprost mężczyzny w kapeluszu z piórem, czerwonym kubraku i w butach z cholewami. Giovanni uśmiechał się, zakręcając jak zwykle ufryzowane w szpice wąsy.

- Widzę, że ćwiczyliście – stwierdził. – To dobrze, praca ciała przydać się może w najmniej spodziewanej chwili.

- Giovanni! Tyle lat cię nie było – Frania pisnęła i rzuciła mu się na szyję.

Mediolańczyk zaśmiał się wesoło i zakręcił się z nią wokół własnej osi, po czym postawił pannę na ziemi. Wyciągnął rękę do Cecylii, a kiedy ta podała mu swoją do pocałunku, przyciągnął dziewczynę do siebie i obrócił ją, jakby wycinał z nią hołubce, po czym cmoknął w policzek. Zademonstrował w ten sposób, że sam też jest w doskonałej formie.

- Wyrosłyście na piękne niewiasty – spostrzegł. – Miło popatrzeć.

- Nie służymy do patrzenia, do niczego i nikomu nie służymy – oznajmiła Cecylia, oswobadzając się z jego uścisku. – Słyszy do teatru, ale skoro właśnie przyjechałeś, wracamy razem do domu. Nakarmimy cię i wszystko nam opowiesz, co też robiłeś przez te kilka lat.

- Nie jestem sam, pozwólcie. – Giovanni wskazał na stojących kawałek z tyłu trzech jegomościów. – To sierżant Jan Zegart, też z Legionów, tyle że został w nich dłużej niż my z Ignacym. Wywieźli go na San Domingo, gdzie walczył najpierw ze zbuntowanymi niewolnikami, później zdezerterował i bił razem z nimi Francuzów i Anglików po równo. Siedział w więzieniach, na galerach,

był piratem na Morzu Karaibskim. Człowiek nie do zdarcia, śmiał się śmierci w twarz chyba ze trzysta razy...

Sierżant Zegart tupnął, stając na baczność, i skinął głową. Był szczupłym, żyłastym mężczyzną w średnim wieku, o płowych włosach i jasnych oczach, tak jasnych, że ciarki przechodziły, gdy się w nie spojrzano. Porażały chłodem i nieludzkim brakiem uczuć. Jakby się patrzyło w oczy rekinowi.

– Tych dwóch zaś to moi krajanie. – Giovanni wskazał młodych jeszcze mężczyzn o śniadej skórze i czarnych czuprynach. – Mój kuzyn Leonardo Girattini, poeta i poszukiwacz szczęścia, oraz nasz kucharz, Riccardo Palmieri. Człowiek renesansu, wybitnie uzdolniony i do tego mój wierny druh!

Wierny druh i kuzyn Leonardo ukłonili się pannom, przyglądając się im z wyraźnym zainteresowaniem. Okazało się, że w uliczce obok zatrzymał się ich powóz z bagażem, obecnie pilnowany przez woźnicę i służbę. Panny zaprosiły całe towarzystwo do mieszkania, a to nagle wydało się małe jak dla tak sporej gromadki, jeśli wziąć pod uwagę Ignacego i Pustego, którzy powinni niedługo wrócić do domu. Oczywiście było, że trudno będzie udzielić gościom noclegu, kompania Giovanniego potrzebowała lokalu. Frania przejęła rolę gospodyni, posadziła mężczyzn przy stole i próbowała ich nakarmić, plądrując w tym celu spiżarnię. Cecylia natychmiast pomaszerowała z powrotem na dół i załomotała pięścią w drzwi suterenu.

– I po co były te akrobatyczne popisy, i tak zostałyście w domu, jak prosiłem – powiedział z wyrzutem Mysiak, wpuszczając ją do środka.

Jego żona, zażywna kobieta w fartuchu w falbany, natychmiast próbowała ją ugścić poczęstunkiem w postaci ciasteczek.

– Potrzebujemy pomocy, dobrzy ludzie. Trzeba sprowadzić napitek i jadło dla kilku mężczyzn strudzonych podróżą przez pół Europy, ale i znaleźć dla nich lokum – Cecylia wypaliła prosto z mostu.

Mysiak nie kręcił nosem, bo dostał kilka ciężkich monet do ręki, które tym razem przyjął bez wahania, zaraz też osobiście wybrał się do zajazdu po ciepłe jedzenie i trunki, znalazł też klucze do pustych lokali na poddaszu, które udostępnił w imieniu kamienicznika. Zanim minęła godzina, dziewczęta zadbały o to, by kompania Giovanniego została nakarmiona, napojona i miała dach nad głową. Obie siostry nagle nabrały wiatru w żagle, poczuły, że w końcu coś się dzieje i nie będą musiały jedynie czekać na to, co przyniesie los, jak większość niewiast w Warszawie.

- Czymże się zajmowałeś w rodzinnym Mediolanie, drogi Giovanni? Oczywiście poza uwodzeniem pięknych i gorących Włoszek? – spytała Frania z uśmiechem, podając mu kubek pitnego miodu.

Panowie odpoczywali po posiłku wokół kominka, przyjemnie ogrzewającego cały salon. Mediolańczyk usadowił się w ulubionym fotelu Ignacego, oparł nogi na taboreciku skierowanym ku kominkowi. Leonardo i Riccardo zasiedli na dwuosobowej, klasycystycznej kanapie przeznaczonej do dziennego odpoczynku, a stojącej w bezpośredniej bliskości ognia. Wszyscy trzej Włosi zmarzli i zdawali się wchłaniać ciepło całym ciałem, jak jaszczurki. Nie przeszkadzało im to jednak wodzić spojrzzeniami ciemnych oczu za obiema pannami. Giovanni opowiadał im o młodych dziewczynkach, nie spodziewali się dwóch atrakcyjnych kobiet i teraz pochłaniali je wzrokiem z nieukrywaną przyjemnością. W Polsce podobne gapienie się uchodziłoby za niegrzeczne, nawet obraźliwe i natrętne, ale dla gorącokrwistych południowców było całkiem normalnym okazywaniem zainteresowania. Zresztą nawet ich sługa Achille też gapił się na panny, tyle że z kuchni, gdzie go zagnano do roboty przy czyszczeniu butów po podróży. Sierżant Zegart natomiast nadal siedział w pewnym oddaleniu, przy stole, przy którym wcześniej jedli, patrzył z rozmarzeniem w okno, choć panowały za nim już całkowite ciemności. Panny przysunęły sobie krzesła do kominka.

- Może zanim odpowiesz, przejdziemy na język zrozumiały dla wszystkich zebranych? – zaproponowała Cecylia po francusku. Siostry, po szkoleniu u mesdames Melissy i Christine, posługiwały się tym językiem ze swobodą, jakby była to ich rodzima mowa.

- Dziękujemy, będzie nam miło – poeta Leonardo odpowiedział po francusku z zabawnym, włoskim akcentem.

- Jak sobie życzycie, możemy gadać w języku żabojadów, ale wolałbym, by chłopcy uczyli się polskiego. Kilka zwrotów wpoilem im po drodze, ale na razie to, jak gadają, jest poniżej krytyki – odparł Giovanni po polsku, ale dalej kontynuował już po francusku. – Jesteś ciekawa, czym się zajmowałem w domu? Tym, czym przez całe życie, szukałem szczęścia, pieniędzy i sprawiałem sobie przyjemność. Byłem już w życiu oszustem, kochankiem, najemnikiem, ochroniarzem możnych, nauczycielem szermierki i tańca, ale po powrocie do domu zajmowałem się czymś zupełnie innym. Pielęgnowałem ciężko chorą matkę... Przynosiłem jej od Riccarda pyszne kleiki, polenty,

buliony i zupy, karmiłem ją, myłem, usuwałem nieczystości, zmieniałem ubranie i pościel. Ale to nie wszystko, sprzątałem, zamiatałem i myłem podłogi, uprawiałem ogródek, karmiłem zwierzęta. Wyobrażacie mnie sobie sypiącego ziarno kurom i zadającego paszę świniom? Przez dwa lata po przyjeździe pędziłem zatem żywot zwykłego, prostego wieśniaka i pielęgniarza w jednym. Aż któregoś poranka mama odeszła na tamten świat, zakończyła pełną udręki wędrówkę. Uwolniła zarówno swoją nieśmiertelną duszę z ziemskiej powłoki, jak i mnie, mogłem złamać daną jej obietnicę poprawy i wrócić do łajdackiego żywota. Tak się też złożyło, że Mediolan ze stolicy Republiki Cisalpińskiej, która została przekształcona w Republikę Włoską, a następnie Królestwo Włoch, przemienił się w stolicę państwa obejmującego znacznie większą powierzchnię – od Wenecji po Królestwo Neapolu. To otworzyło szerokie perspektywy na robienie wszelakich interesów. Nie zająłem się jednak żywotem kupieckim, postanowiłem na kupcach żerować. Z podobnymi mi łajdakami – wskazał głową swoich kompanów – zajmowaliśmy się kontrabandą, zastraszaniem, porwaniami i wymuszeniami haraczu. Napadaliśmy na domy bogatych kupców lub na ich magazyny i kazaliśmy sobie płacić za bezpieczeństwo. Na Sycylii nazywają takie zazwyczaj rodzinne kompanie gagatków mafią. Utworzyłem zatem mafię i naprawdę dobrze mi się powodziło. Wszystko ma jednak swój koniec, na zbyt wiele odcisków nadepnęliśmy, kupcy się zorganizowali, zaprzęgli do roboty policję i... Oto jestem!

Przy ostatnich słowach wykonał na siedząco elegancki ukłon, co było nie lada sztuką.

– Musieliśmy uciekać z kraju – Leonardo włączył się do opowieści. – Zemsta naszych ofiar była bowiem brutalna i gwałtowna, mediolański bruk spłynął krwią naszych bliskich i naszych kompanów. Niejeden trafił przed oblicze sądu i rychło pomaszerował prowadzony przez kata na swój ostatni taniec, zatrzepotał i zakolysał się na szubienicy. Właściwie nielicznym udało się zbiec, ale na szczęście Giovanni nie na darmo nazywany jest u nas Gatto, czyli kot. Zawsze spada na cztery łapy i umie wywinąć się pogoni, przemykać w ciemności ścieżkami, które tylko on zna. Hm... Wybaczcie ubóstwo moich metafor, ale nie znam na tyle dobrze francuskiego, by układać w tym języku strofy. Gdybym mógł to wszystko opowiedzieć pannom po włosku, brzmiałaby ta historia znacznie lepiej.

Cecylia pokiwała głową i odpowiedziała wystudowanym uśmiechem. W głębi serca uczucia miała bardzo mieszane. Zastanawiała się, co by

powiedziała mama, gdyby wiedziała, z jakimi personami zadają się jej córki? Przyjmowały pod własnym dachem bandę zbójców najgorszego sortu i gościły ich niemal jak rodzinę. Kim właściwie się stały wychowywane przez stryja? Czy przypadkiem nie zmienił ich w podobne sobie, pozbawione przyzwoitości i skrupułów, gotowe na wszystko awanturnice? Czy może po prostu starał się je przystosować do życia w świecie, jaki znał, w ponurym miejscu pełnym złych ludzi? Spojrzała na siostrę, ale ta zdawała się być zajęta zerkaniem na dwóch przystojnych Włochów. Frania nigdy nie lubiła się dręczyć rozterkami, przyjmowała świat i wszystko, co jej dawał, bez wnikania i kręcenia nosem. Nawet nie zauważyła spojrzenia siostry, wyraźnie się cieszyła z okazywanego przez gości zainteresowania. Cecylia zaczęła się dodatkowo martwić, czym to się może skończyć. Zerknęła na zegar, stryj powinien już wrócić razem z Pustym, może od razu wymyśli jakieś zajęcie przybyszom i odciągnie ich od Frani? Lub Franię od nich, zależy, jak spojrzeć.

W szarówce nadchodzącego wcześniej listopadowego wieczoru dwór zbudowany przez Anzelma Sobolewskiego, dziadka Ignacego, prezentował się ponuro i mrocznie. Właściwie przypominał przysadzistą włościańską chałupę, tyle że ogromną, z piętrem i poddaszem, o wysokim dachu krytym gontem. Stał na podmurówce z kamieni polnych, ale cały zbudowany był z bali, uszczelnionych pakułami i poczerniałych już od słońca i deszczu. Miał małe okienka, niczym jakieś warowne dworzyszczce z Kresów, gdzie dwory były często otoczone ostrokołem i strzeżone przez baszty niczym fortece. Na Mazowszu nie było aż tak niebezpiecznie, by siedziba szlachcica musiała być stale gotowa do odparcia zajazdu sąsiadów lub ataku zagonów tatarskich, mimo to dziadek zaopatrzył chatę w otwory strzelnicze w dachu, zaś ganek, wsparty tradycyjnie na kolumnach, został wyposażony w solidne, dwuskrzydłowe drzwi, ryglowane na noc od środka, i aby je sforsować, potrzebny byłby taran lub armata.

Ignacy poczuł rzewność i jakieś bolesne dławienie w gardle, kiedy skryty za drzewami sadu patrzył na rodzinny dom. Nie sądził, że kiedyś zatęskni do tego miejsca, ale jednak upływ czasu robił swoje. Dom już nie kojarzył mu się wyłącznie z niezadowolonym ojcem i zdradzieckim bratem, z tym okropnym dniem, kiedy go z niego przegoniono i wydziedziczono, bo w szale próbował zamordować Krzysia i groził śmiercią własnemu ojcu. Z pamięci wracały coraz częściej dobre chwile. Był w nich dzieckiem i bawił się z bratem, ganił go

sadzie, w którym właśnie stał, chodzili z dziadkiem na ryby i z ojcem na polowania, ćwiczyli szermierkę drewnianymi palcatami, podglądali praczki pracujące w rzece albo dziewczyny ze wsi kąpiące się w jezioru. Jeździli konno po okolicy, bili się z chłopakami z sąsiedztwa, uciekali przed guwernantem, który wpajał im wiedzę za pomocą różgi. Słońce świeciło jaśniej niż dziś, świat był bardziej kolorowy, nawet zwykłe jabłka wydawały się smaczniejsze, a rosół w niedzielę lub pieczone w glinie kurczaki to już w ogóle była bajka, nie to co dziś.

- Chyba się spóźniliśmy, już zaryglowali drzwi, nawet parobki nie kręcą się w obejściu - zauważył kapral Pusty, który przycupnął obok Ignacego.

Wyrwał kapitana z zamyślenia, że świata dzieciństwa sprowadził do terażniejszości. Ignacy wiedział, że w pamięci odległa przeszłość wygląda inaczej, że każdy człowiek wspomina dzieciństwo z rozrzwiniem i marzy o powrocie do niego. Tylko że żadnego powrotu nie było, a tamten świat od dawna już nie istniał. Może nigdy nie istniał? Może go sobie imaginował, taki czysty, niewinny, pełen ciepłych uczuć?

To nie miało znaczenia, teraz liczyło się, by w imię pamięci o dobrych czasach i rodzinie wymierzyć sprawiedliwość. Z Pustym przyjeżdżali tu od tygodnia i obserwowali okolicę, najpierw dyskretnie, z oddali, potem w chłopskich przebraniach podchodzili pod samą posiadłość. Ostrożnie, skrycie. Nie to co kiedyś, dawniej wpadłby tu galopem bez przygotowania i rozpoznania, a w razie kłopotów martwił się na miejscu lub po prostu wyrębałby sobie z nich drogę szablą.

- Giovanni dał znak? - spytał szeptem, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć.

- Jeszcze nie, ale chyba widzę go na dachu stodoły. Po co on tam włął, u licha? - Pusty podrapał się po głowie.

To nie była stodoła, tylko stajnia, i rzeczywiście stała dość blisko dworu. Po jej dachu przemknęła czarna sylwetka, która niczym kot przeskoczyła na dach dworzyszczca. Ignacy uśmiechnął się z zadowoleniem, śladem Giovanniego przeskoczył poeta Leonardo i sługa Achille. Szybko dotarli do uchylonego świetlika i kolejno wśliznęli się przez niego do środka. Wszyscy trzej poruszali się zwinnie niczym koty i Ignacy był pewien, że spędzili niejedną noc, mknąc po dachach Mediolanu. Z opowieści Giovanniego wynikało zresztą, że całą młodość wędrował tak zarówno do kochanek, do których wślizgiwał się przez

okna i balkony, jak i domów bogatych kupców, by obrobić im nocą gabinety i sekretarzyki z kosztowności oraz złota. Dobrze mieć w kompanii zawodowych złodziei i włamywaczy, przydawali się na polach bitew jako rozpoznanie i w potrzebie jako skrytobójcy do działań na tyłach nieprzyjaciela. Po ich przyjeździe do Warszawy kapitan nie pozwolił im się rozleniwic ani spędzać czasu na zalotach do jego bratanic, od razu zagnał ich do roboty.

Ta akurat czekała długo, kilka lat, ale Ignacy uznał, że tak będzie lepiej. Zemsta przecież najlepiej smakuje na zimno, poza tym przeciwnik po tak długim upływie czasu z pewnością nie spodziewał się ataku, szczególnie ze strony osoby, którą miał za zmarłą lub zaginioną. Ignacy bowiem występował pod nazwiskiem Siferdus z kilku powodów, ale głównie dlatego, żeby zmylić wszystkich wrogów rodziny, uspić ich czujność. Nadszedł jednak czas na zdecydowane ruchy. Świat już wiedział, że panny Sobolewskie żyją i mają się dobrze, rychło też zrozumie, że zajmujący się nimi Andrzej Siferdus to tak naprawdę ich stryj Sobolewski.

– Idziemy – rzucił krótko i wyciągnął zza pasa pistolet, a następnie odciągnął jego kurek. – Żółkowskiego żywcem, reszta nie ma znaczenia.

– Dom musi ocaleć? – spytał sierżant Zegart, który wynurzył się z mroku za plecami Ignacego.

– Żadnych podpaleń, mam nadzieję, że ta nieruchomość wróci do rodziny – przytaknął.

Obok nich pojawił się jeszcze Riccardo, uzbrojony w dwa tasaki, krótkie i paskudne ostrza, którymi obrócił z dużą wprawą. We czterech ruszyli chyłkiem w kierunku dworu. Jego domownicy nie powinni być świadomi zagrożenia, zapewne właśnie jedli wieczerzę, odpoczywali po dniu zajęć, może raczyli się trunkami lub odmawiali wspólnie modlitwę z okazji szarej godziny.

Ignacy stanął na ganku i odetchnął z bardzo mieszanymi uczuciami. Zapamiętał to miejsce jako znacznie większe, teraz zdawało się skurczyć, poza tym na schodach wałało się błoto, nawet gnój, co w czasach jego ojca byłoby nie do pomyślenia. Dostałoby się parobkom po łbach, gdyby ganek nie lśnił czystością. Tak samo nie podobały mu się drzwi, zdaje się, że się rozeschły i były pełne szpar. Niewiele się zastanawiając, Ignacy wziął rozpęd i kopnął w odrzwia z całych sił. Chrupnęło, trzasnęło i jedna z dech wpadła do środka. Pusty natychmiast doskoczył, włożył rękę przez dziurę i podniósł rygiel, po

czym otworzył drzwi. Nie musieli nawet czekać na akcję Giovanniego, który miał im umożliwić wejście.

Kapitan wszedł do środka jako pierwszy. Z miejsca uderzył go w nozdrza cierpki zapach ludzkich wyziewów i nieczystości. W sieni, gdzie niegdyś wisiały pęki ziół i sznury czosnku, gdzie na hakach czekała broń i gdzie powinna się zebrać czeladź w czasie alarmu, stały niewyniesione wiadra z kuchennymi odpadami i nocnik pełen odchodów. W sieni, miejscu reprezentacyjnym dla całego domostwa! Ignacy aż zazgrzytał zębami, to nie było byle niechlujstwo, ale profanacja jego rodzinnego gniazda. Ze ścian znikły kobierce i obrazy, pod sufitem wisiała meluzyna, świecznik z rogów jelenia, zrobiony z trofeów jeszcze dziadka Anzelma. Tkwiło w nim kilka brudnych łożówek więcej kopcących niż dających światła, wisiały też pajęczyny, jakby służbie nie chciało się ich usunąć przy zapalaniu świec. To było niedopuszczalne zaniedbanie, dom został zamieniony w oborę. Możliwe, że nie był zamieszkiwany na stałe, tylko używany od czasu do czasu do pijackich spotkań.

Gdzieś z głębi domostwa dobiegł krzyk bólu i łomot, trzask gruchotanych mebli. To Giovanni z chłopcami oczyszczali lokal ze służby mogącej stwarzać zagrożenie, czyli prali każdego, kto stanął im na drodze. Ignacy przeszedł do części pańskiej dworu, od razu do izby stołowej, gdzie nadal znajdowały się ławy, kredens z zastawą i długi stół. W kominku dopalały się polana, na stole walały się miski i talerze z resztkami stawy, pod stopami chrzęściły mu miażdżone kurze kości. Nikogo tu nie było, za to drzwi po drugiej stronie zamknęły się z hukiem. Kapitan przeszedł w ich stronę, do bawialni, zwanej też salonem. Pchnął drzwi barkiem, ale nie wpadł do środka, tylko obrócił się i skrył za ścianą. Pusty uchylił się z drugiej strony. Huknął wystrzał i przez otwarte drzwi przeleciała chmura śrutu wystrzelonego z dwururki. Pociski zmiotły cynowe talerze ze stołu, pokiereszowały blat i krzesła. Ignacy wskoczył w kłęb dymu, wymierzył do sylwetki trzymającej broń i wypalił z pistoletu. Na deski podłogi runął jakiś sługa z dziurą w głowie.

– Dość! Wstrzymajcie się, ludzie! Nie wiecie, co robicie, na kogo napadliście!
– zagrzmiał gruby szlachciura ubrany w kwiecisty szlafrok i szlafmycę.

Ignacy wynurzył się z dymu niczym zły duch. W rękę ścisnął szablę, której ostrze wymierzył w grubasa.

– Na nikogo nie napadłem, tylko wróciłem do własnego domu, mości Żółkowski. I zamierzam przegnać tych, co profanują gniazdo, z którego się

wywodzę.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Bawialnia wyglądała właściwie jak dawniej, nie licząc brudnej podłogi i pajęczyn u powały oraz zwisających z kandelabru. Prócz Żółkowskiego i zabitego sługi w bawialni było jeszcze dwóch domowników, zapewne rękodajnych szlachciców na służbie u gospodarza, mógł to być jego sekretarz i rządcą, może pisarz i rachmistrz, nie miało to znaczenia. Za barykadą z pospiesznie przewróconej ławy i kanapy przyczało się jeszcze dwóch chłopaków z czeladzi. Nie byli to jednak zwyczajni służący, obaj odziani byli w luźne podomki bez wątpienia żeńskie, bo w kwietne wzory, a włosy mieli ufryzowane w loki. Ignacy zmarszczył czoło na ich widok. Dopiero po chwili dostrzegł, że pod szlafrokami obaj są prawdopodobnie nadzy. Byli to zatem chłopcy obsługujący Żółkowskiego w sposób niewymawialny. Może też urządził z ich udziałem oraz swoich dwóch pracowników orgie? Ignacy pokręcił głową z niedowierzaniem. To by wyjaśniało zaniedbania, dom był używany tylko czasem, jako miejsce schadzek. Ignacy czuł, że ręka trzymająca szablę drży coraz mocniej. Zaraz potoczą się odrąbane głowy.

– Najmłodszy Sobolewski? – gospodarz się zdumiał. – Jak śmiesz wkraczać do mego domu? Dostał mi się zgodnie z prawem, wykupiłem długi zastawne, których narobił twój brat. Poza tym ty sam zostałeś wydziedziczony i pozbawiony jakichkolwiek roszczeń, nie masz prawa nawet zbliżyć się do tego miejsca.

Do bawialni wparował Giovanni, ciągnąc za kołnierz jakiegoś człowieka z rozkwaszonym nosem, którym cisnął o podłogę. Achille przyniósł wyrwaną jednemu ze sług rohatynę, którą ten porwał ze ściany. Sam sługa został na miejscu ubity.

– Dziwne, w całej tej śmierdzącej chałupie nie ma ani jednej baby. Jesteśmy rozczarowani – Giovanni zameldował kapitanowi po włosku. – Ubiliśmy na górze dwóch patałachów, którzy próbowali nas zatrzymać. Poza tym jest tam jedna wielka rupieciarnia, jakby gospodarz zgromadził meble z całego miasteczka. Brudno, ale nic dziwnego, skoro nie ma ani jednej posługaczki, pomywaczki ani pokojówki. Aha, chyba rozumiem! – Wskazał skinieniem brody na dwóch niemal nagich efebów. – Zdaje się, że wiem dlaczego. Ale zawsze wydawało mi się, że sodomici bardziej dbają o czystość i w ogóle lepiej się prowadzą.

- Widocznie trafiają się wśród nich i tacy jak ten tutaj. Ilu ludzi, tyle upodobań. - Ignacy wzruszył ramionami. - To mnie akurat najmniej interesuje. Skoro lubią uprawiać miłość między sobą, to ich sprawa. Ja tam nikomu do alkowy nie zaglądam. Po co innego tu przyszedłem, po sprawiedliwość.

Riccardo z Leonardem i Achillem odebrali jeńcom broń i wepchnęli ich do kąta. Pusty dorzucił do ognia w kominku i wetknął do niego pogrzebacz, a po chwili zastanowienia przyniósł z kuchni nożyce do cięcia kurczaków i kapłonów, usadził Żółkowskiego na krześle przed kominkiem i kazał mu czekać. Ignacy przeszedł się po domu, oglądając zaniedbania i coraz bardziej się złościąc. Giovanni z chłopcami w tym czasie przetrząsali systematycznie pomieszczenie po pomieszczeniu, wszystkie komory, alkowy i składziki. W spiżarni znaleźli ukrywającego się za beczką kucharza, w gabinecie kuferek z gotówką i dokumentami. Ignacy przeglądał je, stojąc za siedzącym i narzekającym Żółkowskim.

- To wołające o pomstę do nieba bezprawie, bandycka napaść, zakłócenie miru domowego i kilkukrotne morderstwo. Zawieśniesz za to, Sobolewski. Dołączysz do brata na tamtym świecie. - Słowa wyrzucał z siebie, prychając śliną.

- Właściwie to ja właśnie w tej sprawie - mruknął Ignacy, po czym cisnął kilka niepotrzebnych mu dokumentów do ognia. - Znaczy w sprawie kilkukrotnego morderstwa. Opowiecie mi, z łaski swojej, jak to było, mości Żółkowski? Krok po kroku. Razem z Magierą udawaliście przed Krzysiem wiernych przyjaciół, kochanych sąsiadów, na których zawsze można polegać. Pamiętam waszych dwóch synów, stale bili się z nami, gdy byliśmy dziećmi. Rozumiem, że po moim wyjeździe stosunki między rodzinami wielce się poprawiły, bo to zapewne ja byłem prowodyrem wszelkich niesnasek. Zatem żyliście tu sobie z moim bratem za pan brat, że tak powiem. Mieliście też wspólne interesa? I cóż się stało, że zdecydowaliście się go pozbyć? Kto to wymyślił i dlaczego? Prawda jest bowiem taka, że rządca Grabowski przywłaszczył aktywa i gotówkę, zastawił hipotekę posiadłości pod pożyczkę, podszywając się podpisami pod mojego brata. Wy zaś spłaciliście długi i przejęliście posiadłość. Grabowski, kiedy go odwiedziłem i ukarałem, nie miał już tyle forsy, ile pożyczył pod hipotekę. Podejrzewam zatem, że było to tak: zmówiliście się z rządcą, pozbyliście mojego brata i wszystkich dziedziczących posiadłość, czyli moich bratanic. Grabowski zastawił posiadłość, wziął za nią gotówkę, którą wam oddał, wy zaś za te pieniądze spłaciliście hipotekę

i prawnie przejęliście ziemię i dwór. Grabowski zadowolił się tym, co zrabował z dworu, i ciepłą posadką w głębi Prus. Czy tak to wyglądało? Bo na scenę wchodzi jeszcze postać Cesarzowej, która zleciła morderstwo mego brata niejakiemu sędziemu Niewieskiemu. Kim ona jest i jakie są wasze z nią układy?

Żółkowski zrobił się czerwony ze złości, zerwał się z krzesła, by wygrażać Ignacemu, ale oberwał pięścią w żołądek od stojącego obok Giovanniego i usiadł ciężko z powrotem.

– Nie było żadnego spisku, nie znam żadnej Cesarzowej – wysapał, ledwie łapiąc powietrze z bólu. – Zwyczajnie z Magierą skorzystaliśmy z okazji. Skoro rodzina Sobolewskich wyginęła, a ich posiadłości przeszły w łapy żydowskich lichwiarzy, trzeba było ratować, co się da. Uczciwie wykupiliśmy hipotekę i podzieliliśmy się ziemią po połowie. Ja wziąłem dwór, sady, pasieki, łąki aż do rzeczki Gryzki. Magiera zabrał lasy z tartakami i dworek rodziny na warszawskich Faworach. Tylko skorzystaliśmy z okazji, na Boga! Każdy by to zrobił na naszym miejscu. Dzięki temu te ziemie nie popadły w obce ręce, w łapy pruskich osadników albo Żydów. Dom miał się stać siedzibą jednego z moich synów, drugi mój chłopak miał przejąć naszą rodzinną siedzibę. Tyle że obaj wyjechali na jakiś czas szukać szczęścia na wojnie. Młodość musi się wyszumieć... Skończyło się tak, że jeden poległ gdzieś na końcu świata, drugi wrócił z przetrąconym kolanem, siedzi w domu i chleje.

Ignacy pokręcił głową z niesmakiem.

– Sierzancie Zegart, bądźcie tak łaskawi i z Achillem wyprowadźcie jeńców do składziku za kuchnią – poprosił starego żołnierza. – Nie muszą, a może nawet nie powinni, słuchać dalszego ciągu naszej rozmowy. Kiedy skończymy rozmowę z mości Żółkowskim, zastanowię się, co z nimi zrobić.

Jeden z efebów rozplakał się i przechodząc, chwycił kapitana za nogawkę, padając mu do nóg i błagając o litość, obiecał też, że będzie milczał jak grób. Ignacy kazał mu zachowywać się godnie i nie przeszkadzać w dochodzeniu. Kiedy tylko za jeńcami zamknęły się drzwi, kapral Pusty zabrał się za robotę. Zaczął Żółkowskiemu krępować ręce za plecami, przywiązując je do oparcia krzesła. Cały czas opowiadał przy tym o szykowanej kaźni, o tym, jak będzie przypalał go pogrzebaczem, a potem odcinał mu kolejno palce u stóp i rąk, przyżegając kikuty ogniem, by zbyt szybko szlachciura się nie wykrwawił. Może zatem od razu zacznie śpiewać wszystko, co wie, zamiast pozować na bohatera?

- Niech was diabli - Żółkowski warknął. - To, że mnie przyłapaliście z chłopcami, nie znaczy, że jestem jakimś rozmazanym i strachliwym zwolennikiem miłości greckiej. Robię to, co chcę, i możecie mnie w dupę pocałować, zaś co wiedziałem, już wam powiedziałem. Ty zaś, Sobolewski, nie zasługujesz na noszone nazwisko i klejnot szlachcica. Jesteś zwykłym zbójem i łazęgą, twój ojciec dobrze wiedział, co robi, kiedy cię wydziedziczał. Twój brat był naiwnym i niezbyt lotnym, ale przynajmniej przyzwoitym i honorowym ziemianinem. A ty co? Twój totumfacki straszy mnie torturami i myślisz, że z tego powodu ponizę się i zacznę wam zwierzać? Ha! Chłystki, lebiegi i ciamajdy! Zawisniecie na szubienicy, jeden obok drugiego!

Ignacy westchnął, po czym założył na dłonie wyciągnięte zza paska skórzane rękawiczki. Pochylił się do Żółkowskiego i położył mu dłonie na ramionach.

- Masz waść rację, nie zasługuję na szlachectwo, nie jestem jednym z was, zadufanym w sobie, rozpasanym nierobem i zdrajcą. Nie czerpię też przyjemności z poniżania i krzywdzenia ludzi, nie mam ochoty słuchać godzinami waści wrzasków. Przejdziemy zatem do kolejnego etapu.

Po tej krótkiej przemowie wybił Żółkowskiemu ciosami pięści kilka zębów, zgruchotał nos, następnie uderzeniami płazem ostrza szabli połamał mu nogi w goleniach. Zrobił to szybko i beznamiętnie, bez zbędnego gadania i nie zważając na wrzaski, przekleństwa, a później płacz i błagania o litość. Usiadł na krześle, które przystawił naprzeciw ofiary, i powtórzył prośbę o opowiedzenie wszystkiego jeszcze raz.

Kiedy tylko Żółkowski przestał wypluwać zęby i omdlewać z bólu, nagle postanowił zmienić postawę wobec rozmówcy i stał się bardziej gadatliwy. Jego duma szlachcica wyparowała bez śladu, zrobił się wręcz potulny i skory do zwierzeń. Zaklinał się, że nie wziął udziału w spisku na życie Krzysztofa i jego rodziny, przysięgał na wszystkie świętości, że razem z Magierą dostali propozycję od jednego tajemniczego jegomościa, który poprosił ich o spotkanie w karczmie. Był to człowiek wielkich rozmiarów, ubrany w pelerynę z kapturem zasłaniającym twarz. Ignacy domyślił się, że był nim najpewniej sędzia Niewieski. Poleciał on dwóm sąsiadom Sobolewskich, by poszli na współpracę z tajnym stowarzyszeniem, które zdecydowało o likwidacji rodziny i wymazaniu wszelkich po niej śladów w historii. Nie przedstawił oczywiście żadnych powodów, ale postraszył ich potęgą tajnego rytu, który decyduje nie tylko o losach poszczególnych ludzi, ale całych narodów. Nie musieli brać udziału

w zamachu, mieli tylko o nim milczeć na wieki. Ich zadaniem było wspólne z Grabowskim rozparcelowanie majątku, by zniknął wszelki ślad po Sobolewskich. W zamian otrzymali zapewnienie o bezkarności i urzędowym przyklepaniu rozbioru majątku Sobolewskich. Obaj uznali, że to coś w rodzaju rozbiorów Polski przez ościenne mocarstwa, czyli zwykła rzecz w polityce. Trzeba korzystać z okazji, by nie zrobił tego kto inny.

Ignacy nie czuł się zadowolony, ślady prowadziły do Niewieskiego, czyli donikąd, sędzia już dawno gryzł ziemię. Nie było skąd wyciągnąć nazwisk, a on chciał usłyszeć to jedno, które potwierdziłoby jego podejrzenia.

Zastanawiał się jeszcze jakiś czas, co dalej, siedząc obok zmaltretowanego Żółkowskiego i patrząc w ogień. Giovanni z chłopcami po raz kolejny gruntownie przetrząsnęli domostwo, ale okazało się, że trochę sreber, które znaleźli w kredensie, należało jeszcze do rodziny Sobolewskich i gospodarz przejął je razem z dworem.

– Oddam ci ten dom, tylko daruj mnie życie – Żółkowski wyjęczał płacziwie już zupełnie pozbawiony dumy.

– Oddasz, oddasz – mruknął Ignacy.

Planował wyrznąć w pień wszystkich, których by złapał w swoim rodzinnym dworze, bez litości, łącznie z kobietami i dziećmi. Jednak to, co tu zastał, skutecznie go zniechęciło. Zamiast gniewu czuł rozczarowanie i niesmak. Jego wróg okazał się śliskim typem, który tu urządzał sobie, jak sam przed chwilą przyznał, schadзки z przyjaciółmi, jak to określił. Poza tym używał dworu jako magazynu przy swoich interesach polegających na sprowadzaniu francuskich mebli w modnym ostatnio stylu empire i handlu nimi wśród zaściankowej szlachty. Nie był wcale członkiem loży, tylko zwykłym pionkiem, który w dodatku niczego faktycznie ważnego nie wiedział.

– Kapralu, wypuście tych cymbałów ze składziku i pogońcie ich kopniakami w noc, tak jak stoją. Niech lecą do wsi szukać schronienia – zarządził, jednym ruchem darując wszystkim życie. – Ty zaś, Żółkowski, przepiszesz na mnie z powrotem całą zagrabioną część posiadłości. Może to być akt sprzedaży. Zapłacę ci za ten dwór, sad, pasieki i łąki do rzeczki Gryzki, powiedzmy... Jeden grosz. Co ty na to?

– Zgoda! Doskonała cena – Żółkowski przytaknął energicznie.

– Przyjadę do ciebie po te dokumenty za kilka tygodni, gdy skończę sprawy w Warszawie. Do tego czasu dwór ma być uprzątnięty, wypucowany na błysk,

a wszystkie ruchomości zwrócone na swoje miejsce. – Ignacy szturchnął go palcem w pogruchotany nos, aż nieszczęśnik zawył i zwinął się z bólu. – Jeśli nie zrobisz, czego oczekuję, skończysz naprawdę marnie. Następnym razem oddam cię w ręce moich chłopców i gwarantuję ci, że dopiero wówczas poczujesz, co znaczy ból i żal za grzechy.

Kapitan wstał i zdjął umazane krwią rękawiczki, z obrzydzeniem cisnął je w ogień. Wyszedł, nie odwracając się za siebie.

– Wisła się pali! – wrzasnęła Wanda, wpadając jak burza do salonu.

Wandzia Krzeska miała czternaście lat i dopiero niedawno została najęta jako służąca do pomocy w mieszkaniu Sobolewskich na Miodowej. Dziewczyna była roztrzepana, chuda jak kij i niezgrabna, jakby poskładano ją z niepasujących do siebie patyków. Poza tym została wychowana na Starym Mieście, jej obie starsze siostry pracowały jako przekupki na rynku, a zatem siłą rzeczy służka nie tylko była pyskata, ale też wiedziała wszystko o tym, co w trawie piszczy. Choć przez nieokrziesanie, właściwie spore braki w wychowaniu, można się było po niej spodziewać wszystkiego, ten okrzyk i tak wyprowadził obie siostry z równowagi. Stały od dłuższego czasu przy oknie i nasłuchiwały oraz patrzyły, bo przez całe popołudnie dobiegały z zewnątrz okropne hałasy.

Na domiar złego stryj z całą kompanią gdzieś wyjechał i oznajmił, że wróci w środku nocy lub rankiem. Zostawił je same tylko ze służką, gdy tymczasem pod ich oknami na Miodowej najpierw biegało w tę i w tę pruskie wojsko, a później przejechały rosyjskie tabory eskortowane przez Kozaków. Ci ostatni sprawiali wrażenie zdenerwowanych. Kiedy jakiś andrus na nich nagwiżdżał, płosząc konie, od razu któryś z nich strzelił w powietrze na postrach. Na dodatek w różnych kierunkach biegali szukający awantury czeladnicy, w większości szewscy, którzy od zawsze słynęli w mieście ze skłonności do bijatyk, walk i urządzania pogromów. Ulicznicy i czeladnicy ganiłi uzbrojeni w zaimprovizowaną broń, kije, widły i pochodnie. Uciekli, gdy przepłoszyło ich maszerujące karnie pruskie wojsko. Szybko nadciągnął listopadowy wieczór i zrobiło się ciemno, widać było tylko ludzi z latarniami.

Siostry nie wiedziały, czy mają się zabarykadować w mieszkaniu, czy schować gdzie indziej, bo zamęt na mieście wyglądał na regularne powstanie.

Od ostatniego minęło dwanaście lat i żadna go nie pamiętała, zresztą mieszkali wtedy w rodzinnym domu za miastem. Wiedziały tylko, że podczas buntu mieszczan w czasie insurekcji udało się co prawda wygnać Moskali z miasta, ale ulice spłynęły rzekami krwi i wszędzie wały się trupy. Żadna nie należała do strachliwych, ale obie aż podskoczyły, kiedy Wandzia wpadła do mieszkania z szalonym okrzykiem na ustach i rozwianym włosom na głowie.

– Wisła nie może się palić – Cecylia spokojnie zauważyła. – Jestem pewna, że przesadzasz.

– Same chodźcie zobaczyć, skoro nie wierzycie – oznajmiła. – Dziś i tak nikt nie będzie spał, szkoda tracić młodość na stanie w oknie, kiedy na zewnątrz toczy się prawdziwe życie. I tak cała Warszawa jest na ulicach, trzeba wziąć światła i lecieć poświecić naszym!

– Jakim naszym? – Frania spytała.

– No, swoim! Chłopcom naszym, polskim, warszawskim, ale i innym, z dalszych stron – podekscytowana Wandzia odparła, wymachując niezgrabnie rękoma. Z rozmachem strąciła dzbanek ze stołu, ale w locie go złapała, klękając na jedno kolano i wyciągając się w niby-ukłonie. – Prusaki uciekli, Ruskie razem z nimi, to znak, że nasi idą. Kościuszko z polskim wojskiem idzie!

Frani zaświeciły się oczy. Owszem, miłe jej były umizgi Italiańców, których przywiózł Giovanni, ale tak w głębi serca tęskniła już za Rafałem. Za jego powagą i skupieniem, męskim zdecydowaniem i silnym ramieniem, ale też za nieśmiałością i łagodnością. Miała ochotę się z nim całować, tu i teraz. Kto wie, może właśnie wraca razem z wojskiem i lada chwila będzie w mieście?

– Ma rację – rzuciła pospiesznie do siostry. – Możemy siedzieć i się modlić, jak poważne i nadęte do granic możliwości matrony, albo wyjść naszym naprzeciw. Może są ranni, spragnieni lub głodni? Może nie wiedzą, którądy do domu?

– Akurat nie wiedzą – Cecylia prychnęła, ale już wystartowała do składziku po latarenki na oliwne lampki.

Po chwili panny zakładały na ramiona podbite futerkiem salopy z kapturami, wyposażone we wszyte od wewnątrz pochewki ze sztyletami. Prócz światel i osobistej broni każda zabrała jeszcze po nabitym pistolecie, wetknięte je do kieszeni peleryn. Zamknęły drzwi na wielki, żelazny klucz, który zabrała Cecylia, uważająca się za gospodynię i przywódczynię ich trójki.

W bramie natknęły się na stróża Myciaka, który właśnie umieszczał odświętną iluminację na fasadzie kamienicy, czyli za pomocą specjalnej tyczki zawieszał na hakach w ścianie zapalone lampiony. Poza tym umocował po dwóch stronach bramy płonące pochodnie. Zerknął tylko na wychodzące panny i nawet nie starał się ich tym razem zatrzymać, jedynie pomachał im wolną ręką.

- Z Bogiem, ślicznotki! Nie wpakujcie się ino w jaką kabałę, bo mnie wasz stryj kijem rozliczy...

Cecylia ukłoniła mu się chłodno, a Frania pomachała swoją latarenką, omal nie wylewając oliwy i nie powodując małego pożaru. Na ulicy ruch był jak w niedzielę, kiedy lud walił tłumnie do kościołów. Zgodnie ze słowami Wandzi Warszawa nie zamierzała dziś kłaść się spać. Takie atrakcje zdarzały się rzadko i wszyscy chcieli skorzystać i zobaczyć, co też się wyprawia. Wzburzony lud pędził zobaczyć, jak Wisła się pali, powtarzano sobie też wieści o wyjeździe gubernatora i pospiesznej ewakuacji całego garnizonu. Prusacy nie zdążyli nawet ogołocić ze wszystkiego Zamku Królewskiego, chyba głównie dlatego, że generał Köhler po prostu zabronił czegokolwiek ruszać. Opuścił stanowisko z podniesioną głową, jak przystało na przyzwoitego człowieka, w przeciwieństwie do wielu innych najeźdźców, którzy mieli okazję podbić to miasto i rabowali, co popadło, po czym umykali chyłkiem.

Dziewczęta raźnie pomaszerowały z Miodowej na Podwale i po chwili znalazły się na placu przed Zamkiem Królewskim. Ze wzgórza przy zamku widać było doskonale Wisłę i rzeczywiście, na pierwszy rzut oka wyglądała, jakby płonęła. Wystarczyło jednak, by dziewczęta przyjrzały się dokładniej, by zrozumiały, że to pali się most łyżwowy. Warszawa nie mogła się doczekać na stałą, murowaną przeprawę na Pragę i co jakiś czas budowano nowy most drewniany z połączonych modułów unoszących się na łodziach zwanych łyżwami, który rozbierano przed każdymi roztopami, by lód go nie zniszczył. Teraz właśnie cała ta konstrukcja płonęła, i to na całego. Nie przeszkadzała listopadowa wilgoć ani to, że most unosił się na płynącej wodzie. Kolumna ognia ciągnęła się od jednego brzegu do drugiego, rzekę przecinała wstęga żaru, strzelająca iskrami, sycząca i trzaskająca. Ludzie patrzyli na nią ze zgrozą, ktoś głośno się modlił, jakieś dziecko trzymane na ręku przez matkę zawodziło płaczem.

- Francuzy! Francuzy w mieście! - rozdarł się jakiś czeladnik szewski, wymachując pochodnią. - Przejechali przez rogatki wolskie i jadą tu, ludzie! Na Boga, jadą tu!

- No i co z tego? Czego się tak drzesz, bałwanie? - Jakiś pijany szlachciura machnął ręką. - Ledwo poszli jedni, a przyszli drudzy, pies z nimi tańcował! Gdzie są nasi, ja się pytam?

Ledwie to powiedział, ulicą przegalopował szwadron francuskich strzelców konnych, który ewidentnie kierował się w stronę mostu, by od razu, z marszu zaatakować Prusaków i Rosjan. Jeźdźcy wstrzymali konie, widząc płonąca przeprawę. Ludzie zaczęli wiwatować na ich cześć, jakby ci dali nie wiadomo jakiego łupnia okupantom, choć właściwie zdobycie Warszawy odbyło się bez jednego wystrzału. Kapitan strzelców pomachał, jakby nieco speszony, do gapiów, a kiedy jakaś przekupka podała mu butelkę, by się napił, zdjął czako, uklonił się i pociągnął z butelki łyk, a później podniósł ją nad głowę w triumfalnym geście. Tłum ryknął z radości. Nastrój strachu i zawieszenia w oczekiwaniu nagle prysnął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Z ludzi w jednej chwili zeszło napięcie i eksplodowało radością. Nie dość, że Warszawa wolna, to żabojady wyglądały na porządne chłopcy.

Frania w przypiływie euforii wsadziła palce w usta i zaczęła gwizdać, tak jak kiedyś nauczył ją kapral Pusty. Cecylia nieco bardziej powściągliwie biła brawo, jakby znajdowała się w teatrze i oklaskiwała udany występ. Radość udzielała się ludziom lawinowo, nawet pijany szlachciura już nie narzekał na obcych i tylko kiwając głową, zakręcał węża. Francuzi, wyraźnie zmęczeni, ale i chyba uradowani tym, że nie muszą walczyć, za to ludzie witają ich z radością, poświadali z koni i zaczęli się bratać z kim popadnie. Wpadali mieszczanom w ramiona, nadstawiali policzki mieszczkom do całowania, byli klepani po plecach i sami klepali. Ludzie podawali sobie z rąk do rąk bukłaki z miodem, dzbany z winem, kufle piwa i blaszane kubki z gorzałką. Pojawił się sprzedawca kielbasek „na widelec”, i to z gorącym rusztem, który pchał przed sobą na wózku, jak spod ziemi wyrósł Żyd z obwarzankami i szynkarka z beczką piwa na kółkach.

Miasto jaśniało, nie tylko płonącym mostem, ale tysiącami świateł w oknach, na bramach i kamienicach. Ludzie spontanicznie zapalili odświętną iluminację jak na przybycie samego cesarza. Błyski odbijały się refleksami w mokrym bruku, wszystko wokół wyglądało bajkowo i jakoś nierealnie, jakby

nie działało się naprawdę. Po tygodniach oczekiwania w napięciu ulice wybuchwały jedna po drugiej falami dzikiej radości. Nie wiedzieć kiedy orkiestra z pałacu pojawiła się na rynku i zaczęła rznąć na całego kujawiaka. Czeladnicy i francuscy strzelcy porwali do tańca dziewczyny, które wyłuskowali z tłumu. Panny Sobolewskie napiły się podanego przez kogoś miodu, pozwoliły się wycalować po policzkach strzelcom konnym, ale do tańca im się nie paliło, w przeciwieństwie do Wandzi, która sama złapała francuskiego kapitana i zaczęła z nim wirować po bruku. Kanciasta i niezgrabna dziewczyna w jednej chwili odzyskała grację i poruszała się, jakby płynęła, Francuz za to zaczął wycinać hołubce, jak gdyby wychował się na Mazowszu, a nie w Burgundii.

Czym ludzie stawali się bardziej pijani i rozbawieni, tym robiło się weselej i hałaśliwiej. Pojawili się ludowi muzykanci z piszczałkami i harmoniami, każdy przy tym rznął swoją melodię, ludzie śpiewali na całe gardła lub wznosili chóralne toasty. Istna kakofonia, od której Cecylii zaczęło szumieć w uszach. Nie zamierzała jednak wracać do domu, i tak nie zmrużyłaby oka, hałas był zbyt wielki, poza tym na ulice wyległa już z pewnością cała Warszawa i szkoda byłoby przegapić coś ciekawego. Długo zresztą nie musiały czekać, już niebawem młodzi szewcy z Podwała wzięli się za łyby z czeladnikami krawieckimi z Nowego Miasta, brzęknęło tłuczone szkło, ktoś padł z rozkwaszonym nosem. Przegoniono ich wspólnie i znów się zrobiło wesoło, pojawili się polykacze ognia, żonglerzy i kobieta z brodą wróżąca z ręki i z portfela.

Na kolejną awanturę nie trzeba było jednak czekać, pijany szlachciura nagle poczuł urazę wobec obcokrajowców i zaczął Francuzom ubliżać, na szczęście po polsku. Wokół jednak sytuacja zrobiła się nerwowa, bo pojawili się wesołkowie, którzy zaczęli mu kibicować, a nawet go podjudzać. Wówczas z tłumu wyszedł bardzo wysoki jegomość w polskiej czamarce, lekko przygarbiony, choć jeszcze młody. Zaszedł szlachciurę od tyłu, położył mu rękę na ramieniu i zdecydowanym, choć łagodnym tonem zaczął mu perswadować wszczynanie bójek z Francuzami. Z racji swoich rozmiarów wzbudzał respekt nawet wśród uliczników i nikt nie śmiał mu przeszkodzić, ale do czasu, nagle tuż obok stojących panien trzech młodych szewców zaczęło licytować się, który nałoży wielkoludowi wiadro na głowę. Najodważniejszy miał to zrobić, dając susa z murku, pozostali zaś mieli kijami przydzwonić kilka razy intruzowi w owo założone na głowę wiadro. Ubaw miał być co niemiara, szczególnie że wysoki jegomość wyglądał na ciamajdę.

– Wybijcie to sobie z głowy – oznajmiła Wandzia, wchodząc między nich z rękami opartymi o biodra. – Nie uchodzi atakować nikogo od tyłu. Jakaście takie chojraki, to zagadajcie do niego z przodu, obaczymy, co wtedy będzie.

– Schowaj się, chuda, bo i ty oberwiesz – zagroził krępy i niski czeladnik z połamanym nosem.

Wandzia w odpowiedzi kopnęła go w kolano i się zaczęło. Dwaj pozostali szewcy ruszyli na nią z obu boków, oberwała pięścią w żebra, a z drugiej strony potężnego klapsa w pośladek, od którego aż padła na kolana. Nie zdążyli zrobić jej nic więcej, tłum gapiów zaś nawet nie zaczął się oburzać tym atakiem na pleć niewieścią, gdy między szewców wpadły dwie panny. Zawirowały, wymierzając ciosy niczym Furie. Załopotaly ich sięgające ziemi salopy i krępy szewc ze złamanym nosem usiadł na ziemi, trzymając się za powtórnie strzaskany kinol, tym razem ręką sztyletu dobytego przez Cecylię. Pozostali dwaj rozrabiający legli na wznak, jeden próbował złapać oddech po ciosie w mostek, drugi wył z bólu i trzymał się za uszkodzoną w łokciu rękę, którą Frania wyłamała mu, nawet nie dobywając broni.

– Co też panny wyprawiają za moimi plecami? – Wielkolud odwrócił się powoli i spojrzał na nie, marszcząc brwi.

Głowę miał śmiesznie małą w porównaniu z szerokimi barami i rosną posturą. Pijany szlachcic patrzył zza jego pleców nieco oszołomiony, mrugając oczami. Nagle z tłumu wyszła dama w czarnej pelerynie i ze złotymi lokami na modnie ufryzowanej głowie. Ujęła wielkoluda pod ramię, a sięgała mu ledwie do ramienia. Uśmiechnęła się do panien, które jednak na nią nie patrzyły, bo zajęte były podnoszeniem z ziemi poobijanej Wandzi.

– Toż to moje dobre znajome, panny Sobolewskie. Strzegły twoich tyłów, mój drogi. Zdaje się, że ci nicponie zamierzali sobie z ciebie zakpić i założyć ci od tyłu wiadro na głowę. Ale już nie zamierzają – powiedziała z uśmiechem.

Frانيا i Cecylia w końcu spojrzały na nią uważnie. Nie widziały damy kilka lat, ale oczywiście dobrze ją pamiętały. Cecylia dygnęła jako pierwsza w oszczędnym ukłonie.

– Hrabina Teresa, jakże miło panią widzieć. Waszmość pani nadal piękna jak poranek, nic się nie zmieniła – powiedziała, siląc się nawet na komplement.

– Wy za to dorosłyście i wypiękniałyście niczym dwa kwiaty, który rozwinęły się z niepozornych pączków. – Przekrzywiła głowę, przyglądając się im uważnie.
– Poznajcie, to mój mąż, Aleksander. Musimy się pannom jakoś zrewanżować za

tę nieoczekiwaną pomoc, prawda, kochanie? Zaprosimy je do pałacu na podwieczorek. Och, nie jesteśmy tu wszak sami, pani kasztelanowa z pewnością się ucieszy na wasz widok. Pozwólcie, proszę, ze mną.

Puściła męża i ujęła obie panny pod ramiona, jakby były bliskimi przyjaciółkami. Hrabia Chodkiewicz podrapał się po głowie, patrząc to na niepozorne ślicznotki, to na powalonych przez nie na ziemię rozrabiaków. Nie miał pojęcia, jak to zrobiły, uznał jednak, że skoro podjął się uspokajania tłumu, musi dokończyć sprawę. W tej jednak chwili pojawili się przy nim czterej jegomości wyglądający na policjantów, dwóch z nich miało nawet przy sobie halabardy. Warszawska policja była nie tylko nieporadna, ale i dość zacofana, nosiła się, jakby nadal trwał osiemnasty wiek.

– Zabielski, setnik straży miejskiej z nominacji nowego komendanta miasta, księcia Poniatowskiego – przedstawił się dowódca patrolu, opierając dłoń na rękojeści szabli. – Jeśli się obywatele natychmiast nie uspokoją, wszystkich zabierzemy na odwach, byście do ranka nieco ochłonęli. I nie ma dyskusji, nic mnie nie obchodzi, kto zaczął pierwszy. Rozchodzicie się w pokoju czy idziemy na wspólny spacer?

Hrabia Chodkiewicz nie był przesadnie dumnym arystokratą, właściwie znano go jako skromnego, skinął zatem tylko głową setnikowi i rozejrzał się za swoją żoną. Czasami nie miał do niej siły, potrafiła zniknąć bez słowa wyjaśnienia i nie pojawiała się całymi dniami. Innym razem, tak jak dziś w nocy, ciągnęła go na miasto nie wiadomo po co i dlaczego. Nie podejrzewał, że jest ciekawa zamieszek lub innych rozrywek prostego ludu, to nie było w jej stylu, ale jednak wyciągnęła męża z domu i jeszcze kazała zawieźć się po swoje przyjaciółki. Sam się czasami dziwił, czemu znosi jej wybryki, to, jak go traktuje, jak nim publicznie pomiata i poniża. Wiedział jednak, dlaczego wszystko tolerował, po prostu ją kochał i nie wyobrażał sobie życia bez Teresy. Jakakolwiek by była, nadal pozostawała jego ukochaną żoną i zostanie nią aż do śmierci. Dlatego też tak się za nią teraz rozglądał, nie chciał, by w tym pijanym tłumie stało się jej coś złego. Dostrzegł ją na szczęście szybko, zaaferowana spotkaniem tych dwóch podlotków zapomniała o małżonku i prowadziła niezwykle panienki do swoich przyjaciółek. Hrabia pokręcił głową, a następnie machinalnie, nawet o tym nie myśląc, włożył w dłoń setnika monetę i poklepał go po ramieniu. Policjant zaprotestował z oburzeniem, po czym mimo wszystko schował monetę do kieszeni i zaszalutował hrabiemu, by skupić się na

siedzących na ziemi poturbowanych czeladnikach. Zagroził im natychmiastowym aresztowaniem, jeśli się nie rozejdą.

Teresa doprowadziła siostry i kroczącą za nimi wiernie Wandzię do przyglądającej się warszawskim wydarzeniom kasztelanowej Lanckorońskiej. Babcia Marianna w ciągu sześciu lat, bo wówczas ją panny ostatnio widziały, nie zmieniła się nawet odrobinę. Była tą samą zasuszoną, przygiętą brzemieniem lat staruszką. Wspierała się na lasce, ubrana w czepeczek z falbanką i bezkształtne, sięgający ziemi płaszcz. Z jednej jej strony stała wierna Krescencja Sanguszkówna, stara panna i córka nieżyjącej przyjaciółki pani kasztelanowej, z drugiej uśmiechnięta młoda kobieta z niemowlęciem na ręku. Staruszka zmarszczyła czoło, wyęzając wzrok, by przyjrzeć się pannom, ale nie poznała ich od razu. Dopiero kiedy Teresa wyjaśniła jej, że to sieroty po Sobolewskim, pani Lanckorońska się ożywiła.

– Pamiętam! Dwie śliczne dziewczuszki, które gościłam kilka lat temu w mieszkaniu. – Aż zastukała laską o bruk. – Ale czy Anna Sanguszko nie miała was zawieźć na Wołyń? O ile dobrze pamiętam?

– Nie zdążyła, bo pojawił się nasz prawny opiekun, stryj Ignacy – Frania odparła bez zastanowienia. – I podjął nad nami opiekę.

Teresa aż drgnęła i spojrzała na nie uważnie.

– Stryj Ignacy? – upewniła się. – Ale czemu teraz opiekuje się wami mości Siferdus? Czyżby stryj zmarł?

– Ma się świetnie, nic mu nie jest – Cecylia odparła zmieszana i by odwrócić uwagę od paplania Frani, pochyliła się nad niemowlęciem. – Jakie śliczne! To musi być dziewczynka!

– Zgadła panna, to moja córka, Emilia – odparła kobieta trzymająca dziecko. – Pojadła dopiero co, to i zasnęła. A sen ma zupełnie niczym jej ojciec, niemal kamienny. Mogą walić armaty, a kiedy się naje i śpi, to nic mu nie przerwie. Chce panna potrzymać?

Cecylia nie miała na to chęci, ale by Teresa dalej nie pytała o stryja, wzięła dziewczynkę na ręce. Mała się na szczęście nie obudziła. W Cecylii też nie przebudził się jeszcze instynkt macierzyński, miała nadzieję, że nigdy się nie przebudzi, bo dzieci jej nie pociągały i nie interesowały, ale nagle, kiedy tak trzymała to maleństwo i czuła jego ciężar i dotyk, ciepło rozlało się jej w piersi i zaczęła nieświadomie kołysać małe i uśmiechać się błogo.

- Daj też mnie trochę – Frania się domagała. – Du, du, du, dili, dili, di! Śpij, maleńka, śpij...

Zaczęła szczebiotać jak niespełna rozumu, nic sobie nie robiąc z patrzących na nią dam. Tak się nie zachowywano w towarzystwie, o czym doskonale wiedziała. Prawdziwe damy były chłodne nawet wobec własnych dzieci, szczebiotaniem i przytulaniem parały się nianie i mamki. Frania miała to jednak w nosie, Wandzia przytuliła się do niej natychmiast i zaczęła razem z nią cmokać i wydawać dziwne dźwięki. Cecylia przewróciła oczyma.

Mama małej Emilki przedstawiła się jako Anna von der Mohl, żona hrabiego Platara. Chyba atencja wobec maleństwa bardzo przypadła jej do gustu, bo od razu zaprosiła panny do odwiedzenia jej na jutrzejszej popołudniowej herbatce w pałacu Brühla, gdzie się z mężem zatrzymali. Oboje z hrabią pochodzili z Kurlandii i w Warszawie byli jedynie w związku z interesami męża. Rozgadała się przy tym i zaczęła wypytwać Cecylię o pochodzenie jej rodziny.

- Cichajcie, jaśnie panie, bo małą żeśta gadaniem obudzili – prychnęła Wandzia z przyganą.

Maleńka Emilia Plater otworzyła wielkie, niebieskie oczy i rozejrzała się ze zdumieniem. Po czym rozplakała się donośnie, zwracając uwagę wszystkich w okolicy. Panna Sobolewska oddała ją ostrożnie mamie.

- Wyrośnie na prawdziwą piękność, o której wszyscy będą mówili – Frania przepowiedziała z pewnością w głosie.

O ile sam widok rodzinnego dworzyszczka obudził w Ignacym intensywne emocje, o tyle dworek letni Krzysztofa na warszawskich Faworach nie poruszył w nim żadnych cieplejszych ani zimniejszych strun. Głównie dlatego, że brat kupił tę posiadłość już po ślubie z Marią i Ignacy nigdy nawet przez chwilę nie gościł w tym domu. Wiedział jednak, że rodzina kilka lat przed tragedią mieszkała tu bardzo często, Krzysztof prowadził bowiem jakieś interesy w Warszawie.

- Może przyjeżdżał tu, bo romansował z Teresą? – mruknął Ignacy do siebie, patrząc z ciemności na skromny dworek otoczony zadbanym ogrodem. – Nieskalany, uczciwy Krzyś, zawsze moralnie bez zarzutu, zawsze ode mnie lepszy, godniejszy, bardziej honorowy i szlachetny. Prawdziwy rycerz bez zmyślenia i skazy. Kto by się spodziewał, że zdradzał ukochaną Marię, szuja i kanalia...

Ciekawe, czy właśnie to wpędziło go do grobu? Może mości Magiera będzie coś wiedział?

Drugi z sąsiadów rodziny, który dokonał rozbioru majątku Sobolewskich, zamieszkał w ich warszawskim domu. Ignacy już dawno to sprawdził, ale trzymał zemstę na nim na deser. Nie wiedział właściwie, czemu pozostawił przy życiu tego obrzydliwca Żółkowskiego, może miał chwilę słabości? Może to nie był najlepszy dzień na wywieranie pomsty? Jakoś pogruchotanie mu gnatów nie sprawiło Ignacemu żadnej przyjemności, nawet poniżenie i zdeptanie dumy tego nadętego szlachciury nie rozweseliło kapitana. Coś z tą zemstą było nie tak, może dlatego, że ci dwaj grabieżcy okazali się tylko pionkami? Prawdziwy wróg nadal znajdował się poza zasięgiem.

– Jak działamy tym razem, kapitanie? – Giovanni spytał o instrukcje. – Magierę żywcem, ale co z resztą? Też brać do niewoli?

Ignacy się zawahał. Kiedy dziś wieczorem zaczynali ten rajd, miał zamiar skąpać się we krwi zdrajców. Chciał widzieć ich wymordowane rodziny, konające żony, matki, dzieci. Chciał widzieć ich ból i cierpienie, zaspokoić nimi głód, który go męczył od tyłu lat. Pomszczenie Marii, bo to o nią mu głównie chodziło, napędzało go od tak dawna, że nie wyobrażał sobie, iż mogłoby być inaczej. Teraz jednak stanęły mu przed oczami bratanice i usłyszał ich wspomnienia o mamie. Wiedział, że Maria nie tylko nie pochwaliłaby tej zemsty, ale stanowczo by się jej sprzeciwiła. Była taką dobrą i niewinną osobą, że sama myśl o zabijaniu doprowadziłaby ją do rozpacz. Przecież skrzywdzenie tych ludzi i tak nie przywróci jej do życia, w żaden sposób nie przyniesie jej ulgi. Po co więc to wszystko?

– Postarajcie się nie zabijać – powiedział głośno. – Chyba że ktoś sięgnie po broń. Chcę ich przesłuchać, a potem się zobaczy, może skończę na karze, jaką dostał Żółkowski? Zaś zabijanie dzieci już nie wchodzi w grę, brzydziłbym się samego siebie i nie mógł spojrzeć bratanicom w oczy. Zróbmy to szybciej, szkoda czasu. Zdaje się, że w mieście trwają rozruchy, może wybuchło powstanie, musimy rychło wracać na wypadek, gdyby ktoś zdecydował się skrzywdzić dziewczęta, korzystając z zamieszania.

– Może wysłać któregoś z chłopców?

– Dobrze. Niech Riccardo i Achille wracają na Miodową przypilnować panien – Ignacy zdecydował. – Reszta za mną.

Ruszył przodem, tym razem nie planowali skradania się i wślizgiwania przez okna dachowe, zresztą ten dworek żadnych okien w dachu nie miał. Z daleka widać było, że wewnątrz świecą się lampy i świece, tak jak całe miasto i tu dziś nie spali. Niestety mogło to nieco utrudnić atak, bo domownicy z pewnością byli zaniepokojeni i gorliwie pilnowali domu przed ewentualnymi awanturnikami. Kiedy już był blisko, nagle zwolnił, zdecydował, że zmienia plany. Zdarzało się to na tyle często podczas akcji, że idący obok kaprał specjalnie się nie zdziwił. Dobry dowódca potrafił reagować na sytuację i podejmować szybko decyzję, a Ignacy był dobrym oficerem. Skinął tylko Pustemu głową, a on potaknął, nie zadając pytań, i sięgnął po broń. Ignacy podszedł do drzwi dworu i załomotał w nie pięścią, jakby właśnie przyszedł w gości. Kaprał przycupnął z boku, z uniesionym, gotowym do strzału pistoletem. W środku rozległy się kroki, słychać było podniecone głosy wymieniające się uwagami, nikt drzwi jednak nie otworzył.

– Kto tam, na miłość boską, o tej porze? – Rozległ się wreszcie zachrypnięty głos.

Ignacy pamiętał Magierę z dawnych czasów jako zasuszonego chudzielca, który nigdy nie rozstawał się z kopczą fajką. Ponoć od tego zamięłowania do kurzenia miał tak zdarte gardło, choć słyszał także z tego, że lubił wrzeszczeć na ludzi. Ignacy pamiętał, jak kiedyś jego i Krzyśka pogonił ze swego sadu, obrzucając wyzwiskami z taką mocą, że chyba słychać go było na całym Mazowszu. Jakim cudem Krzysztof wszedł z tym indywiduum w konfidencję i zażyłość? Nie sposób było zgadnąć, Ignacy uważał tego jegomościa za skrajnie nieprzyjaznego piekielnika i nie wyobrażał sobie, że mógłby się z nim przyjaźnić.

– To ja, Ignacy Sobolewski! Dawnośmy się nie widzieli, sąsiedzie! Zaszedłem z odwiedzinami, bo mamy co nieco do pogadania!

Zapadła cisza, Magierę wyraźnie zamurowało takie postawienie sprawy. Kogo jak kogo, ale żadnego Sobolewskiego się nie spodziewał, uznał, że cała rodzina wymarła, łącznie z Ignacym, awanturnikiem lata temu wygnanym z domu. Stary drań musiał to sobie poukładać w głowie i zastanowić się, jak zareagować, ale oczywiście nie kwapił się, by otworzyć.

– Ignacy poległ dawno temu, i to na obczyźnie – odparł po paru chwilach. – Jego kości bieleją na jakimś polu bitwy, nieładnie jest się podszycać pod poległego żołnierza. Kim naprawdę jesteście i czego chcecie?

– Pamiętacie, mości Magiera, jak kiedyś przyłapaliście mnie i brata na zrywaniu jabłek w waszym sadzie? – odparł Ignacy i aż się uśmiechnął na to wspomnienie. – Najpierw chcieliście prac do nas z fuzji, później nazwaliście złodziejskim nasieniem i czarcim pomiotem, wreszcie goniliście, okładając po plecach i głowach wierzbowymi różgami. Przeskoczyliśmy strumyk, a wy żeście do niego wpadli, pośliznęli się na kamieniu i zanurzyli aż po szyję. Zagroziliście, że z tyłków będziecie nam drzeć pasy, my zaś staliśmy na brzegu i śmialiśmy się z was aż do łez. Do łysiny przykleiły się wam wodorosty i szydziłyśmy, żeście wodnik. Przyszliście następnego dnia na skargę do naszego ojca i żądaliście, by wymierzył nam po dziesięć kijów. Ojciec was wyśmiał i przegonił, ale kiedy poszliście, wymierzył nam po dwadzieścia. Uznał, że szlacheckim synom nie przystoi kraść i szydzić z sąsiada. Do dziś pamiętam ten ból, ale i cenną lekcję. Wiesz waść jaką? Że szkoda zachodu na drobne złodziejstwa i niegodziwości, bo kara i tak będzie nieadekwatna do winy.

Magiera milczał parę chwil, z wewnątrz dobiegały stłumione drzwiami szepty i szuranie. Ignacy na wszelki wypadek odsunął się i stanął z boku, spodziewając się zdradzieckiego ostrzału. Magiera zakaszał, splunął siarczyście i znów się odezwał:

– Ciągłe trudno mi uwierzyć w tak niespodziewany powrót sąsiada. Czego, chłopcze, szukasz tu o tej godzinie?

– Odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Wolisz waszmość gadać przez drzwi, nie zaprosisz mnie do środka? Do domu, który ukradłeś mojemu zamordowanemu bratu?

– Nie miałem nic wspólnego z tragedią, która dotknęła Krzysztofa – odparł, ale dopiero po pyknięciu kilka razy fajką. – Domu zaś nie ukradłem, ino wyrwałem go z rąk żydowskich lichwiarzy. Uczciwie, za brzęczącą monetę. Odejdź teraz, Sobolewski, z łaski swojej, bo noc jest niespokojna i otwierać ci nie zamierzam. Pamiętam, coś ty za jeden, gwałtownik i zabijaka! Jeśli ci po łbie chodzi, że atakując mnie, pomścisz brata, to mylisz się srodze. Krzysztof zrobił sobie wrogów w Warszawie, znacznie wyżej postawionych ode mnie. Nie znam nawet ich imion, nie wiem, kim są, nigdy ich nie spotkałem...

– Kłamiesz, Magiera. Spotkałeś, wiem to od Żółkowskiego. Rozmawialiście z Mistrzem, człowiekiem w kapturze, który dał wam instrukcje, jak macie przejąć majątek mojej rodziny.

- Skoro waść wszystko wiesz od Żółkowskiego, to czego mnie jeszcze niepokoisz?

- Liczę na to, że coś wam się jeszcze przypomni. Poza tym wasz kompan zgodził się odsprzedać mi zagrabioną część majątku. Dałem mu naprawdę dobrą cenę, liczę, że i wy się zgodzicie oddać mi ojcowiznę i wyniesiecie się do diabła z domu mego brata!

Ignacy poczuł znajome ciepło nadchodzącej fali gniewu. Lubił niegdyś ten stan aż do przesady, właściwie to w młodości był od niego uzależniony. Ciągnęło go do awantur, walki, konfliktów, bo jedynie wówczas czuł, że naprawdę żyje. Uwielbiał lecieć, unosił się bowiem wówczas nad ziemią, na fali gniewu. Dawno nie pozwalał, by znajoma furia go ogarniała, teraz to jednak wracało, i to samo, bez jego woli. Nie próbował jednak hamować złości, pozwolił jej się rozlewać i wypełniać go wartkim strumieniem.

- To nie jest dom waszego brata, to był dom waszego brata. Od dawna zgodnie z prawem należy do mnie, uczciwie go kupiłem, tak samo jak ziemię i lasy. Nawet pomijając to, żeście zostali wydziedziczeni, to i tak nie macie żadnych praw i nie możecie niczego ode mnie wymagać! - Magiera zagrział. - Całujcie psa w nos!

- To przeklęty, chytry dziadyga - wycedził Ignacy, zaciskając pięści. Kilka razy wałnął pięścią w drzwi, aż te zadygotały, po czym nabrał powietrza w płuca i huknął: - Wyłaź waść, policzymy się jak należy. Zaraz wam udowodnię, że nie pozwolę okradać się z dziedzictwa i żerować na krzywdzie mojej rodziny!

Zachrobotął rygiel, drzwi się otworzyły i stanął w nich przygarbiony, chudy jak kij Magiera, jeszcze bardziej łysy i zylasty, niż go Ignacy zapamiętał. Przydało się wojskowe doświadczenie, od razu bowiem kapitanowi wydała się podejrzana postawa dziadygi. Ugiął się pod ciężkim żelastwem, które opierał o biodro. Ignacy rzucił się w bok, szczupakiem na ziemię.

Grzmotnął strzał, potężny niczym uderzenie pioruna. Z garłacza o rozszerzonej jak trąba lufie wyleciała chmura rozgrzanych prochem siekańców. Gdyby Sobolewski się nie uchylił, poszatkowałyby go na krwawą miazgę. Magiera splunął i cofnął się, a jeden z jego sług zamknął drzwi i z powrotem je zaryglował.

- I jak tam zasmakował waszmości mój poczęstunek powitalny? - Magiera się zaśmiał.

Ignacy przeorał dłońmi po tłuczniu, którym wysypano podwórko, startł też sobie na nim kolana i finalnie wylądował w nim twarzą. Splunął zatem z wściekłością piaskiem, który dostał mu się do ust, i uniósł się na bolące kolana. Spojrzał na krwawiące dłonie, czuł przy tym, że pulsuje mu krew w skroniach ze złości. Pusty chciał mu pomóc wstać, ale Ignacy odtrącił jego rękę, zrywając się gwałtownie.

– Giovanni i Leonardo, zajmijcie pozycje od tyłu. Ubijcie każdego, kto będzie próbował uciekać – rozkazał ostro. – Podpalamy. W nosie mam ten dworek, nie jest mi do niczego potrzebny, jeśli Magiera tak bardzo się do niego przywiązał, to odejdzie razem z nim w zaświaty. Nikt mu nie przyjdzie z pomocą, bo Wisła się pali, w mieście trwają chyba jakieś walki. Zapalajcie od tyłu!

Sam sięgnął po odstawiony na bok lampion, po czym cisnął nim z rozmachem pod dach dworu. Naczynie roztrzaskało się z hukiem, rozbryzgując po ścianie i dachowych gontach oliwę, która się natychmiast zapaliła. Pusty sięgnął po pochodnię i próbował zapalić poddasze, ale przez listopadową wilgoć dechy nie chciały się zająć. Podobne problemy z podpaleniem domu miał też Giovanni, podkładający ogień na tyłach. Oliwa zaś po paru chwilach się wypaliła i teraz przysmażony nią od dołu dach tylko dymił niemilosiernie. Ignacy cedził przez zęby przekleństwa, bo oczami wyobraźni widział cały dwór stojący w ogniu strzelającym płomieniami wysoko w niebo. Zamiast tego w ciemnościach dymiło się przypalone drewno. Zemsta nie smakowała wrzaskami płonących ludzi, Ignacy zazgrzytał zębami z rozczarowania. Miał ochotę wyrządzić komuś krzywdę, ale wyglądało na to, że musi się obejść smakiem.

Dym jednak zrobił swoją robotę, czuć nim było intensywnie też wewnątrz dworu. Magiera doszedł do wniosku, że szalony Sobolewski zaraz ich tu spali żywcem, jedyna nadzieja to pokonać go i gasić płonącą chałupę. Zebrał swoją czeladź, uzbrojoną po zęby, i kazał po cichu zdjąć rygle. Zanim Ignacy odwołał swoich druhów, drzwi dworu się otworzyły z hukiem i ze środka wysypało się dziesięciu mężczyzn uzbrojonych w siekiery, kuchenne tasaki, ale i myśliwskie fuzje, z których dali ognia na oślep, w ciemność.

Ignacy aż wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu. Udało się drani wykurzyć, to nawet lepiej. Kłęby dymu z nieudanego pożaru i luf, a do tego ciemność, działały na korzyść czających się w mroku drapieżników. Przewaga liczebna czeladzi nie miała żadnego znaczenia. Wpadł między nich, kręcąc

szablą młynka, a ostrze zmieniło się w makabryczne narzędzie, jakby sama śmierć przebiegła przez podwórko i wymachiwała kosą. Kapral Pusty uderzył z boku, ciął po rękach osobnika trzymającego dwururkę, rąbnął przez plecy draba z siekierą. Ignacy rznął parobków bez litości, mierząc w szyje i rąbiąc w torsy. Ludzie wrzeszczeli z bólu i przerażenia, ocaleni rzucili się do ucieczki.

Magiera znów stanął w drzwiach, unosząc powtórnie nabity garłacz, ale tym razem Ignacy był szybszy. Lewą ręką wyszarpnął pistolet zza pasa i wypalił właściwie bez celowania. Kula trafiła chudego starca w bark i strzaskała mu obojczyk. Garłacz wypadł mu z bezwładnej ręki, a on sam usiadł ciężko na progu, stękając z bólu. W ciemnościach rozlegały się wrzaski i błagania, to Giovanni z Leonardem dorzynali uciekinierów. Cała zbrojna drużyna Magiery została wybita do nogi w parę chwil. Ignacy podszedł do rannego i przyłożył mu ostrze szabli do gardła.

- Nazwisko Mistrza - wycedził. - Kto wam kazał to zrobić, z kim spiskowaliście?

- Nie wiem, nie widziałem nawet jego twarzy - wychrypiał starzec. - Twierdził, że stoi za nim potężna organizacja, jakieś tajne stowarzyszenie. Wystraszył nas obu, to był typ, który nie przywykł do tego, by mu odmawiano. Wiedzieliśmy, że jeśli nie zrobimy, czego oczekuje, po prostu nas ubiją.

Ignacy zagryzł wargę. Wystarczyłby jeden ruch nadgarstkiem i poderznąłby staruchowi gardło. Właściwie niczego więcej już od niego nie mógł się dowiedzieć, zacisnął zatem zęby i już miał przeciągnąć ostrzem po starczej szyi, gdy w głębi domu rozległ się płacz dziecka. W sieni pojawiła się kobieta trzymająca w jednym, uniesionym ręku zapaloną świecę, na drugim ręku trzymała dziecko, kilkuletnią dziewczynkę.

- To moja wnuczka, jedyne pacholę mojej córki - powiedział Magiera. - Oszczędź je, błagam. Podpiszę papiery, jakie chcesz, oddam ci ten dom i wszystko, co mam... Oszczędź je obie, niczym nie zawiniły. Pamiętasz moją córkę, Magdę? Bawiliście się razem...

Pamiętał ją, znacznie młodszą, właściwie berbecia, z którym nigdy się jednak nie bawił. Teraz stała tam, już dorosła kobieta. Omal nie spalił żywcem jej i małej. Wzdrygnął się, czuł, że gniew go opuścił. Kiedyś zabiłby ich wszystkich niesiony furią i nawet przez chwilę by się nie wahał, teraz coraz łatwiej gniew ustępował i zastępował go wstyd lub nawet obrzydzenie do

samego siebie. Nie był już takim wściekłym wilkiem jak dawniej, opuścił szablę i cofnął się w mrok.

– Oddasz mi tylko to, co przywłaszczyłeś po Krzysztofie – powiedział już z ciemności. – Nie chcę niczego więcej.

Rozdział 8

STYCZEŃ 1807 ROKU

Na początku roku lód wreszcie ściał i utwardził polskie błoto, które wyzwoliciele przybyli z Francji zdążyli już szczerze znienawidzić. Grande Armée, która utknęła razem z taborami na bezdrożach, wreszcie mogła się swobodnie poruszać, choć wcale nie poprawiło to humoru francuskim wojskowym. Od chwili wkroczenia do Polski nieustannie narzekali, proste wojsko dopuszczało się nawet awanturniczych wybryków, grabieży i rozbojów, wszystko przez to, że chodziło zwyczajnie głodne, wielki Napoleon nie miał bowiem w zwyczaju przejmować się takimi drobiazgami jak aprowizacja. Wychodził z założenia, że armia ma się sama wyżywić, zobowiązał zatem gospodarzy do dostarczenia koniecznych ilości chleba, wina i mięsa jego żołnierzom. Tego jednak Polacy nie byli w stanie zrobić. Nie dysponowali ani administracją, ani państwowymi spichlerzami, ani składami pełnymi zapasów. Kraj był biedny i bezradny, ograbiony przez Prusaków i Rosjan i się właśnie odradzał po kilkunastu latach niewoli.

Problemy z wyżywieniem wielotysięcznego korpusu nie psuły jednak humoru samemu cesarzowi, który urządził sobie kwatery główną na Zamku Królewskim w Warszawie i stąd od kilku tygodni władał całym podbitym przez siebie światem. Zrujnowane i dotychczas wyludnione miasto z dnia na dzień stało się stolicą imperium obejmującego niemal całą Europę. Nagle do Warszawy zaczęły ścigać niezwykle osobistości, a na ulicach zrobiło się kolorowo od mundurów najróżniejszych formacji francuskich, jak i sprzymierzonych. Słysząc też było różne języki, szybko pojawili się delegaci i interesanci z dosyć odległych stron świata. Do tego wszystkiego w pośpiechu tworzyły się struktury państwowe, na mocy dekretu Napoleona powstała Komisja Rządząca, kierowana przez dawnego marszałka Sejmu Wielkiego, Stanisława Małachowskiego. Komisja z kolei powołała dyrektorium składające się z pięciu ministerstw i na dyrektora wojny mianowała księcia Poniatowskiego, tak do niedawna pogardzanego przez Przyjaciół Ojczyzny.

Znaczyło to, że w związku z odzyskaniem niepodległości wojna między złotą młodzieżą i patriotami zostaje zakończona.

Mimo wszystko wciąż panował spory chaos, żołnierze francuscy nadal głodni i spragnieni dopuszczali się skandalicznych czynów. Wdzierali się do mieszkań i dworów, z których rabowali nie tylko jedzenie, ale też kosztowności, nawet porcelanę i srebrną zastawę. Tak się rozbisurmanili, że napadli w jego własnym domu burmistrza warszawskiej Pragi, Jezierskiego, obili go nahajkami, pędząc boso po śniegu, i na koniec obrabowali.

Kapitan Sobolewski uznał, że czasy niepokoju i bezprawia są doskonałe, by dokończyć zemsty i dobrać się do Cesarzowej. Jako że za pierwszą i jedyną podejrzaną uważał hrabinę Chodkiewicz, swoją teoretycznie nadal jeszcze kochankę, od niej zaczął dochodzenie. Postanowił z pomocą dziewcząt wywabić ją z pałacu i miejsc publicznych, gdzie ostatnio wyłącznie bywała, i rozmówić się na osobności w terenie bardziej dyskretnym. Z nią nie mógł rozegrać sprawy przemocą, jak z Magierą i Żółkowskim, była osobą zbyt znaną i wpływową. Jeśli nie otaczał jej wianuszek adoratorów i wielbicieli, to przynajmniej strzegła służka, a czasami nawet świta złożona z czterech kobiet. Pilnowała się ostatnimi czasy, jakby przeczuwała, że coś jej grozi. Ignacy właściwie był pewien, że już o nim wie, że jest świadoma, iż Andrzej Siferdus to tak naprawdę Ignacy Sobolewski, brat jej zamordowanego kochanka.

Unikała konfrontacji, zatem miała sporo na sumieniu lub... coś knuła. Bała się? Może po prostu była ostrożna, może przyczaiła się jak jadowita żmija pod kamieniem? Ignacy nie chciał jej spłoszyć ani sprowokować do gwałtownych ruchów. Mogła świadomie wywołać skandal i przedstawić go jako agresora, który ją dręczy, tylko po to, by go pogrzyżyć. Tymczasem wymieniał się z nią listami. Napisał ostatnio już dwa, w których zapewniał o swoim przywiązaniu i utrzymywał, że nadal przebywa w Stettinie. Nie miał pojęcia, czy uwierzyła, zapewniała go oczywiście o swojej miłości, niepokoiła się też tym, że nie zamierza wracać do Warszawy, choć czasy są niezwykle, przez co powstało pełno nowych okazji, na wszystko, na karierę, fortunę, nowe romanse. Ryt miał oczywiście wielkie plany, by przejąc rękoma swoich członków władzę w nowej Polsce. Ktoś taki jak moi Siferdus był tu bardzo potrzebny i nadeszła pora, by został awansowany z siedemnastego od razu na ósmy stopień wtajemniczenia.

Dlaczego na ósmy, nie raczyła wyjaśnić, ale ewidentnie wabiła go i kusila, by wyszedł z ukrycia i pojawił się na spotkaniu łoży. Te odbywały się obecnie,

w związku z gorącą atmosferą, co dwa-trzy dni, mógł zatem przybywać, kiedy mu wygodnie. Kusilo go, i to bardzo, by pójść na owo tajemne spotkanie, oczywiście nocą, w jakichś podziemiach, tyle że uzbrojonym po zęby i ze wsparciem swoich kompanów. Mógłby ucapić masonów na miejscu i wytrząsnąć z nich całą prawdę o śmierci Marii i Krzysztofa. Zdemaskowałby Teresę jako Cesarzową i wymierzył jej sprawiedliwość. Wszystko rozstrzygnęłoby się w kilka godzin.

Tyle że pomny ostatnich niefortunnych doświadczeń z zemstą po latach, wybił sobie ten pomysł z głowy. Na pewno coś poszłoby nie tak, zginęliby ludzie pewnie Bogu ducha winni, a on stałby się wrogiem publicznym numer jeden, bo tak skończyłaby się otwarta zwada z wolnomularzami. Ścigałaby go policja i wojsko, do tego nie tylko polskie, ale i francuskie. To byłoby samobójstwem, bo zaprzepaściliby pewnie wszystko, co dotychczas udało się osiągnąć. Może znów straciłby rodzinną posiadłość? Od dwóch tygodni bowiem dysponował odzyskanymi nieruchomościami rodziny. Miał zarówno dwór na Faworach, jak i rodowe dworzyszczce pod miastem, lasy, tartak, pasieki, łąki i rzeczkę Gryzkę. Wszystko oficjalnie przepisane notarialnie i z dokumentami sprzedaży. Żółkowski i Magiera byli na tyle przerażeni czynami Ignacego, że obaj sprzedali mu to wszystko za symboliczny grosz. Mógłby już zatem odpuścić, dziewczęta miały zapewnione wiano, a on majątek na starość. Przepadło trochę zarobionych aktywów, ale dawno już zarobił na handlu winem tyle, że był całkiem majątnym człowiekiem. Wszystko wróciło do rodziny, wszystko znalazło się znów na swoim miejscu. Mógłby żyć spokojnie i szczęśliwie, a przecież już się starzał i należał mu się spokój i odpoczynek.

Jednak nie zamierzał odpuścić. Musiał doprowadzić sprawę do końca, zagonił zatem bratanice do akcji. Dostały zadanie, by zbliżyć się do Teresy i spróbować sprowokować sytuację, w której uda się ją odizolować. Wówczas zamierzał ją uprowadzić i w tajemnicy przesłuchać. W tym celu trzymał się na tyle blisko panien, na ile się dało. Dzisiejszego wieczoru wybrały się do Teatru Narodowego, gdzie było wiadomo, że pojawi się i Teresa. Lubiała być w centrum wydarzeń, a na dzisiejsze przedstawienie przybyć miała cała śmietanka towarzyska Warszawy i nie tylko Warszawy. Ignacy nachodził się przez pół dnia, by zdobyć dla dziewcząt dwa bilety. Nie było łatwo, a udało się tylko dzięki pomocy Giovanniego. Zlokalizował on bowiem szczęściarza, który kupił dzięki znajomościom bilet dla siebie i żony. Wystarczyło wciągnąć tego pechowca

w bramę i nieco mu przyłożyć, po czym postraszyć nożem i po paru chwilach Ignacy mógł przekazać zdobyte bilety zachwyconym dziewczętom.

– Stryjku! Skąd to wytrzasnąłeś? – Frania aż podskakiwała z radości. – Musiałeś wydać na te bilety fortunę!

– Stryj potrafi być hojny, jeśli mu na czym zależy – Cecylia przytaknęła, po czym cmoknęła go w policzek.

Nie wyprowadzał ich z błędu, a to ich wielkie podekscytowanie sprawiło mu radość. Odwiózł je pod teatr, osobiście powożąc karetą, a kiedy weszły wraz z tłumem miłośników rozrywek i jaśniepaństwem do środka, ustawił się wśród oczekujących fiakrów i wozaków. Kapral Pusty, ubrany w liberię lokaja i kozuch, przechadzał się w tym czasie po placu Kraszińskich, na którym stał gmach teatralny, szczególnie zerkając na tyły budynku. Istniała szansa, że panny wyjdą ze środka razem z Teresą. Dwa stare wilki przyciały się zatem w mroku, przebrane za owce, i czekały.

Sala teatralna oświetlona została z rozmachem i bez oszczędności – zapalono wszystkie kandelabry i świeczniki, przez co stroje obszyte złotą nicią, do tego klejnoty noszone przez damy i przez waszmościów w kontuszach skrzyły się i migotały milionami kolorów oraz błysków. Obie panny aż stanęły na chwilę i mrugały, by przyzwyczać wzrok do tych jaskrawości i kapiącego zewsząd bogactwa. Widzowie sadowili się na miejscach na dole, dwa piętra balkonów też, rzecz jasna, zostały całkowicie wypełnione, oprócz łoży królewskiej czekającej na najdostojniejszych widzów. Wszyscy oczywiście rozglądali się i plotkowali, podziwiali suknie dam i bogate stroje zarówno polskiej szlachty, jak i francuskich osobistości i dygnitarzy, którzy się pojawili, a dostrzeżono w jednej z łóż włoskiego księcia, Camilla Borghese, który był mężem Pauliny Bonaparte, siostry cesarza. Pauliny w Warszawie nie było, ale piękny księżę nie przybył na przedstawienie sam, tylko w towarzystwie polskiej damy.

– Niech mnie kule biją, to przecież Teresa! – Frania syknęła.

Rzeczywiście w łoży księcia usiadła obok niego hrabina Chodkiewicz, która natychmiast pochyliła się do cesarskiego ulubieńca i zaczęła mu coś szeptać na ucho. Oboje się roześmiali, księżę bez skrępowania zerknął jej w duży dekolt, założyła bowiem, mimo panujących na zewnątrz mrozów, suknię z szerokim

rozcięciem obejmującym ramiona. Jej półnagi tors zdobił gruby sznur pereł i przede wszystkim uniesione gorsetem pełne kule piersi.

– Ma tupet, trzeba jej to przyznać – Cecylia szepnęła. – Spróbujemy ją zacześć podczas antraktu, teraz nic z tego.

Miały miejsca na dole, ale nieco z boku, po przeciwnej stronie łoży księcia, tak że widziały gruchającą parę jak na dłoni. Obie też nie mogły się powstrzymać, by nie patrzeć na Teresę. Wiedziały już, co z niej za ziółko. Ignacy wczoraj sporo wypił i popadł w melancholijny nastrój, nie wiedzieć czemu tym razem zeszło mu też na zwierzenia. Opowiedział siostrze naprawdę dużo o Teresie, jej zwyczajach, nadmiernej kochliwości i wyuzdaniu, skłonności do intryg i popadania w teatralną tajemniczość. Po kolejnym kielichu wyznał im wreszcie, że nie tylko on miał z nią romans, ale też ich ojciec, Krzysztof Sobolewski.

Nie chciały w to wierzyć, szczególnie że ta informacja pochodziła jedynie od sług Teresy, a kto by dawał wiarę w zeznania skorumpowanej czeladzi? Z drugiej strony służący nie mieli żadnego powodu, by oskarżać o niegodne zachowanie nieżyjącego szlachcica, o którym mało kto w ogóle słyszał. Właściwie jego nazwisko nawet nie było rozpoznawalne, nikt z rodziny nie pełnił nigdy żadnych funkcji publicznych. Sobolewscy należeli do szlachty zagrodowej, byli klasycznymi mazowieckimi szaraczkami, jak niegdyś nazywano takich jak oni ziemian, niezamożnych i nieliczących się w wielkim świecie. Po co dumna i wyniosła Teresa miałaby uwodzić Krzysztofa, który był właściwie nikim, dajmy na to, w porównaniu z księciem Borghese?

– Czasem pozwala sobie na miłości dla rozrywki lub by spełnić fantazje erotyczne, szczególnie z mężczyznami, którzy ją jakoś zaintrygują lub zafascynują – odparł Ignacy, patrząc w opróżniony kielich. – Może uwiodła go dla zabawy, by zepsuć poukładanego i ugłaskanego, grzecznego Krzysia? Bywa, że szuka zwykłej miłości cielesnej i zdarza się jej pójść do łoża nawet z parobkiem. Tyle że najbardziej ją pociągają brutale, siłacze kipiący męskością, mężczyźni jurni lub gwałtowni. Co też zobaczyła w Krzysztofie, który był raczej miękka kluchą? Chyba rzeczywiście jakąś perwersyjną zabawkę, nie wiem...

– Zapytamy ją o to jutro w teatrze – Cecylia obiecała.

Teraz siedziały w ósmym rzędzie, między damą z krótkimi loczkami i we francuskiej sukni a jegomościem z podgoloną głową, w żółtym żupanie z kołnierzem ze złotogłowa, jakby się urwał z siedemnastowiecznego portretu.

Siostry usiadły niemal bokiem i beczelnie patrzyły w górę na Teresę, która teraz wodziła wzrokiem po sali i chyba opowiadała księciu o wypatrzonych personach. Panny świdrowały ją wzrokiem, Franciszka, miotając wściekłe pioruny, natomiast Cecylia z lodowatym chłodem, mogącym zamrozić na kamień. Hrabina chyba w końcu wyczuła ich spojrzenia, które, gdyby mogły zabijać, spopielilyby ją na miejscu, a popioły zamroziły w bryłę lodu. Uśmiechnęła się do siostr i pomachała do nich wesoło. Obie natychmiast zdobyły się na uśmiech, szkoła francuskich guwernantek nie poszła w las, a nawet odpowiedziały jej skinieniem głów. Księżę Borghese spytał hrabinę, kim są, po czym uklonił im się lekko. Musiały przyznać, że był nie tylko szalenie przystojny, ale sprawiał wrażenie sympatycznego. Zapewne biedaczek nie zdawał sobie sprawy, w sidła jakiej pajęczycy się wpakował.

Wymianę ukłonów i sztucznych uśmiechów trzeba było zakończyć, bo przed sceną usadowiła się wreszcie orkiestra, natomiast na scenę wkroczył dyrektor Bogusławski we własnej osobie, postać popularna i szanowana, nawet od jakiegoś czasu nazywano go ojcem polskiego teatru. Uklonił się publiczności i rozpoczął prezentację zaplanowanego na ten wieczór programu, w skład którego miały wejść *divertissements* baletowe oraz jednoaktówki w całości ułożone i wyreżyserowane przez mości François Gabriela Le Doux, który przyjechał z Paryża blisko trzydzieści lat temu i prowadził w Warszawie szkołę baletową jeszcze za czasów króla Stanisława. Widowiska mieli zatańczyć uczniowie jego szkoły, trzydzieścioro sześcioro tancerzy na czele z solistką, primabeleriną Marią Krzesińską. Miała ona wystąpić pomalowana na czarno, jako Afrykanka w jednoaktówce *Mirza i Lindor*. Potem tancerze mieli jeszcze zaprezentować *Zaślubiny górali* oraz *Seraj zazdrości*. Po przerwie natomiast scenę przejmą aktorzy Bogusławskiego, którzy zaprezentują dramę liryczną wierszem Andromeda, napisaną przez pana Osińskiego i z muzyką Elsnera. Wieczór zapowiadał się zatem niezwykle bogato, to była prawdziwa uczta dla każdego miłośnika sztuki scenicznej.

Zanim Bogusławski zniknął ze sceny, niespodziewanie rozległy się fanfary odegrane przez trębaczy z orkiestry, którym towarzyszyło wściekłe walenie w bębny. Cała publika wstała i odwróciła się do tyłu. Oto do łoża królewskiej wkroczył sam cesarz Napoleon, któremu towarzyszył księżę Aleksander Sapieha. Publika zaczęła bić brawo, także obie siostry Sobolewskie pozwoliły, by porwał je entuzjazm, i klaskały na całego. Frania zagwizdała przeciągle i zaczęła tupać, Cecylia jak zwykle była bardziej powściągliwa, ale humor znacznie się jej

poprawił. Hałas robiony przez entuzjastycznie nastawionych warszawiaków zagłuszył orkiestrę, ludzie zaczęli skandować, tupiąc i klaszcząc do rytmu wznoszonego wspólnie okrzyku:

– *Vive l'Empereur! Vive l'Empereur!*

Napoleon ukłonił się uprzejmie w lewo i prawo, kładąc rękę na sercu. Usiadł, po czym skinął damom w sąsiednich łóżach, by również usiadły. Dopiero ich śladem poszli panowie i hałas wreszcie szybko ucichł. Rozpoczęło się przedstawienie, tancerki i tancerze sprawiali wrażenie rozluźnionych i pewnych siebie, ale z pewnością fakt, że patrzył na ich popisy najpotężniejszy człowiek na świecie, musiał mocno ich tremować. Primabalerina Krzesińska zdawała się unosić w powietrzu, wirowała, właściwie nie dotykając sceny. Cesarz z uznaniem kiwał głową i śmiał się, kiedy książe Sapieha tłumaczył mu coś do ucha. Wyglądało na to, że Napoleon czuje się już w Warszawie jak u siebie i naprawdę dobrze się bawi. Siostry nie wiedziały, czy zerkać na niego, czy na hrabinę, ale w sumie nie wypadało się wiercić i gapić do tyłu, więc skupiły się na balecie.

Anrakt zarządzono po jakiejś godzinie, ludzie wstali z miejsc, wszyscy patrzyli na cesarza, który również wstał i wyszedł do foyer. Tłum natychmiast ruszył jego śladem. Siostry starały się nie spuścić Teresy z oka, ale ona ujęła księcia Borghese pod ramię i już była na zewnątrz. One musiały wyjść razem z całą czeredą dam i jaśnie panów, a kiedy znalazły się w korytarzach, ugrzęzły w jeszcze większym tłumie.

– Tam jest, wydra – Frania syknęła, wskazując Teresę, która stała na antresoli i ze skromnie złożonymi dłońmi rozmawiała z cesarzem, trzepocząc przy tym rzęsami i śląc władcy powłóczyste spojżenia.

Cecylia przystanęła i pokręciła głową. Hrabina przykleiła się do księcia Borghese, by ten doprowadził ją do Napoleona. Chyba nie planowała go uwieść? Choć cesarz to dopiero był kąsek na miarę jej miłosnego apetytu. Zabawiać się z władcą świata, tego żadna by nie przebiła. Miał co prawda jakąś tam żonę, Józefinę, ale kto nie miał żony albo męża? To nie był powód, by rezygnować z zalotów. Do tego, mając wpływ na cesarza, mogłaby naprawdę wiele, w jednej chwili stałaby się najpotężniejszą kobietą, i to nie tylko w kraju, ale w Europie.

– Ma trzydzieści lat, ale wygląda na młodszą. Jest do tego naprawdę ładna – Frania zauważyła z podziwem. – Wiele mogłybyśmy się od niej nauczyć.

- Była mniej więcej w moim wieku, kiedy uwiodła naszego ojca, nie zapominaj o tym, proszę. - Cecylia uśmiechnęła się do jakiegoś jegomościa, który, przechodząc, ukłonił się pannom. - Chodźmy, bo dwie stojące samotnie kobiety tylko się proszą, by ktoś je zaczepił i się narzucił swoimi uprzejmościami. Pozostawajmy w ruchu, wtedy może nikt nie zwróci na nas uwagi.

Przy Napoleonie stały już inne damy, cesarz po prostu przyjmował hołdy, witał się z warszawiakami, a dyskretnie strzegąca go gwardia dopuszczała do niego niemal wszystkich chętnych. Dopóki Napoleon miał dobry humor, można było uścisnąć mu rękę, z czego pragnęło skorzystać wielu teatralnych bywalców. Teresa znikła gdzieś bez śladu, choć książe Borghese został przy cesarzu. Cecylia była niezadowolona, że intrygantka im umknęła, miały wszak spróbować ją wywabić na zewnątrz.

- Tu jesteście! Jakże się cieszę, że was widzę! - Pojawiła się przed nimi jak spod ziemi.

Zanim Cecylia zdążyła się zdziwić, Teresa ucałowała powietrze obok jej policzków. Kiedy jednak zbliżyła się w tym samym celu do Frani, ta cofnęła się, prychając niczym rozszłoszczona kotka.

- Mierzą mnie te udawane grzeczności, brzydzę się panią, hrabino. Nie mamy czasu ani ochoty na dyplomatyczne gesty i dworskie zwodzenie i udawane pozy - oznajmiła. - Musimy sobie wyjaśnić kilka spraw, nalegam, by bez owijania w bawelnę.

- O, co to za ton? Musisz bardziej nad sobą panować, moja mała. - Teresa z trzaskiem rozłożyła wachlarzyk i zaczęła nim trzepotać nerwowo. - Prawdziwa dama nigdy nie okazuje emocji, nawet jeśli jest wzburzona. Brzydzisz się mną? Dobre sobie. Odetchnij trzy razy głęboko i powiedz mi, co też cię ugryzło.

- Wasza nieszczerłość, zdradzieckość i zwykłe łajdactwo! - Frania wypaliła, nie siląc się na dyskrecję. - Może łaskawie powiesz, czemu próbowałaś nas otruć, wręczając zatrute chusteczki? To było siedem lat temu, ale jestem pewna, że świetnie pamiętasz. Może chciałaś się nas pozbyć, bo miałaś romans z naszym ojcem i byłaś zamieszana w jego śmierć? Dowiedział się czegoś, co było ci nie na rękę? Może groził, że wyzna wszystko twojemu mężowi?

Cecylia syknęła na siostrę, bo jej gniewny ton ściągał uwagę gapiów. Ludzie odsunęli się od nich i panny wraz z Teresą znalazły się w pustym pierścieniu.

- Opamiętaj się, mała - wycodziła hrabina przez zęby. Jej twarz stężała. - Oskarżenia, które bezpodstawnie rzucasz, są bardzo ciężkie. Wiedz, że za słowa, nawet ciskane w gniewie, też trzeba ponosić konsekwencje. Nie wiem, skąd ten pomysł o waszym ojcu. Bzdurny. Poza tym jak niby można otruć kogoś chusteczkami? To idiotyzm i niedorzeczność. Nie będę rozmawiała w tym miejscu, w ten sposób...

Odwrociła się, by odejść, ale Frania niespodziewanie złapała ją za rękę i szarpnęła, obracając w miejscu.

- Będziesz! - warknęła. - Nie pójdziesz się teraz łajdaczyć, tylko wszystko nam wyśpiewasz. Jeśli nie tutaj, bo wstydzisz się gapiów, możemy wyjść przed gmach teatru. Nie potrwa to długo, wrócisz do swojej łóży, zanim przedstawienie się zacznie.

Teresa wyszarpnęła dłoń i trzasnęła złożonym wachlarzem w ramię Frani.

- Nie dotykaj mnie! - wycodziła. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj, smarkulo. Odczepcie się, idiotki, teraz jestem zajęta delikatną dyplomatyczną robotą. Wywołaniem skandalu narazicie moją misję na porażkę, na czym ucierpią ważne sprawy państwowe. Myślicie, że wdzięczę się do księcia i cesarza tak dla zabawy? Nie zdajecie sobie sprawy, co tu się dzieje, w którym imieniu próbuję zbliżyć się do tych osobistości i co z tego może wyniknąć dla Polski...

- Jeszcze chwilę. - Tym razem Cecylia złapała ją za rękę, zatrzymując w miejscu. - Kłamiesz, Tereso, w sprawie naszego ojca. Przyznaj, że go znałaś, albo urządzimy ci tu taki skandal, że więcej nie zaproszą cię nie tylko na salony, ale nawet do burdelu. Nam na powodzeniu towarzyskim i tak nie zależy, jak wiesz, jesteśmy zupełnie nikim.

Teresa spojrzała najpierw na ściskającą ją za nadgarstek rękę, następnie prosto w oczy Cecylii. Znów szarpnęła, już nie kryjąc złości, ale panna Sobolewska trzymała mocno i nie zamierzała puścić. Nawet z daleka wyglądało to na szarpaninę i przyciągało uwagę gapiów.

- Niech będzie, znałam... Nawet przyjaźniłam się z Krzysztofem - przyznała z niechęcią, rozglądając się nerwowo. - To stare dzieje i nie miałam nic wspólnego z jego śmiercią. Puść mnie, bo już chyba wszyscy się gapią. Publiczna awantura w teatrze to katastrofa towarzyska. Jesteście debiutantkami, boleśnie to w was uderzy. Szacowne matki kawalerów będących dobrymi partiami, które prowadzą dzienniczki pod tytułem Panny na wydaniu, mogą was po tym wydarzeniu wykreślić jednym ruchem. Wiecie, co się teraz

dzieje na rynku małżeńskim? Większość młodzieńców wstąpiła do wojska, odpowiadając na wezwanie Dąbrowskiego. Kiedy wyjadą z Napoleonem pomagać mu w kolejnych podbojach, może się okazać, że nie sposób będzie znaleźć narzeczonego. Jesteście już w tym wieku, że właściwie najwyższa pora poszukać sobie męża. Ta scena może przynieść wiele złego, nie tylko mojej misji, ale i zaważyć na waszej przyszłości.

Cecylia puściła jej rękę, właściwie odepchnęła ją ze złością.

– Ja w waszym wieku byłam już żoną Aleksandra, co nie przeszkodziło mi w poszukiwaniach prawdziwej miłości, które zresztą trwają do dziś... – Uśmiechnęła się złośliwie. – Krzysztof swoją drogą też szukał czegoś nowego, ale to już inna historia, na kolejne spotkanie. O ile na nie zasłużycie.

– Wypchaj się, wstrętna żmijo – Frania warknęła, przyjmując nieświadomie pozycję szermierczą, jakby szykowała się do walki. Obróciła się bokiem, rozsunęła stopy i lekko ugięła kolana.

Cecylia tym razem złapała siostrę za rękę, siłą zatrzymując ją w miejscu. Nie tak miała przebiegać ta rozmowa, miały udawać przyjazne i grzecznie wywabić ją na zewnątrz, ale cóż, mleko się już rozlało. Pora się wycofać, tylko jak teraz zniknąć w tłumie, który patrzył na nie z ciekawością? Teresa nagle spojrzała w górę i jęknęła z niezadowolenia.

– Spójrzcie, coście zrobili, idiotki – syknęła. – Nawet cesarz na nas teraz patrzy.

Napoleon stał na antresoli, opierał się o barierki i rzeczywiście patrzył na nie z uśmiechem, jakby obserwował defiladę swojej armii. Teresa dygnęła wdzięcznie, panny natychmiast powtórzyły to samo za nią. Odwróciła się i weszła w tłum, zostawiając je same, nieco wystraszone tym, że Napoleon je obserwuje. Szepnął coś do księcia Sapiehy, który ponoć niedawno został jednym z jego adiutantów i członkiem gwardii przybocznej. Cecylia pociągnęła siostrę w tłum, skierowały się szybkim krokiem do wejścia na salę.

– Może lepiej uciekajmy z teatru? – Frania zaproponowała. – Przecież i tak już dziś nie wyprowadzimy Teresy po cichu i dyskretnie, wszyscy się na nas gapią. Zdaje się, że zawaliliśmy plan, stryj będzie zły...

– On przez większość czasu jest zły, zresztą sam miał setki okazji, by ją gruntownie przesłuchać, kiedy chodził do niej się gzić. Teraz mu się pilnie zrobiło – Cecylia prychnęła zirytowana tym wszystkim. – Obejrzyjmy sztukę,

pobędźmy trochę wśród ludzi. Zdążymy się jeszcze nasiedzieć z naszymi zbójami.

Cała kompania Ignacego zamieszkiwała obecnie w dworku na Faworach, który omal nie został w listopadzie spalony. Na szczęście pogoda go ocaliła, a po przejściu go od Magiery okazało się, że ten przynajmniej dbał o lokum i w środku dworek lśnił czystością. Wszyscy się w nim swobodnie pomieścili, panny nawet miały wreszcie osobne buduary. Przebywanie jednak cały czas ze starymi wojakami nie wpływało na nie dobrze. Uczyły się co prawda szermierki i strzelania, gry w karty i kości, kradzieży kieszonkowych i rzucania nożem, ale też przeklinania w sześciu językach i komend wojskowych. Niezbyt im to było do szczęścia potrzebne, nadto po miesiącu stało się nużące.

Wróciły na salę i zajęły miejsca, stryj mógł na nie poczekać, może na mrozie jego wieczny gniew nieco ostygnie. Obejrzały sztukę z przyjemnością, przedstawienie zostało przygotowane z rozmachem i można było w teatrze poczuć się światowo. Warszawa nie miała się czego wstydzić, i to przed samym cesarzem. Kiedy umilkły brawa, najpierw przeznaczone dla aktorów, a później dla wychodzącego Napoleona, przy zbierających się do wyjścia pannach pojawił się Aleksander Sapieha. Przystojny książe wyrósł przed nimi niespodziewanie, uśmiechnięty i tak dostojny, że aż obie się speszyły. Bez słowa powitania wręczył każdej bilecik.

– Są panny zaproszone na koncert na pokojach u dworu cesarskiego – powiedział tytułem wyjaśnienia. – Za trzy dni, z osobami towarzyszącymi. Cesarz osobiście panny wskazał, razem z hrabiną Chodkiewicz dostąpić osobistej audiencji, oczywiście po cercle dworskim. Do zobaczenia!

Uklonił się i znikł, zostawiając zaskoczone panny z bilecikami w dłoniach.

Okazało się, że koncerty na Zamku Królewskim odbywają się raz w tygodniu i zapraszani są nie tylko arystokraci, ale najróżniejsze osoby z polecenia polskich dygnitarzy. Bileciki, rzecz jasna imienne, wcale nie tak łatwo było zdobyć. Ignacy, kiedy je zobaczył, tylko wzruszył ramionami, ale gdy się dowiedział, że Teresa też tam będzie, zgodził się wysłać dziewczęta, a nawet udać się jako osoba towarzysząca jednej z nich.

– Wolałabym, by poszedł ze mną Lucjan Ussakowski – Cecylia oznajmiła wprost. – Niestety chłopaki służą pod komendą generała Skórzewskiego. Zaczynają

ten oficer i patriota dowodził jeszcze podczas konfederacji barskiej, wielce szanowna persona. Jest żołnierzem starej daty i zwolennikiem trzymania surowej dyscypliny i drygu. Ciągłe urządza wojsku musztry, manewry, zmienia destynację, wymyśla pozorowane starcia i batalie. Chłopaki ledwie zejda z sodeł, muszą zasuwac w stajni przy koniach. Moze przyjada za dwie niedziele na przepustke, ale o tym, by poszli z nami na bal, nie ma co marzyc...

– Powtarzalam Rafalowi, by rzucili sluzbe. Wojna sie skonczyła, cesarz pobil Prusy, przegonil Rosjan, po co ten cyrk z ciaglymi musztrami i paradami? – Frania prychnęła. – Ale Rafal jest taki zasadniczy... Nic tylko obowiazek i honor, powinność, tradycja, dziedzictwo, przysiega i tak dalej, szkoda gadać. Czasami mam wrazenie, ze usiadl na kiju i zapomniat go sobie wyjac z tylka.

– Franiu! – siostra ja upomniała, choc otaczali je sami weterani, dla ktorzych ta wypowiedz byla jedynie lagodnym zarciem. – Rafal jest po prostu obowiazkowy. To uczciwy i porzadny mlodzienciec...

– To wez go sobie! – Frania oznajmila entuzjastycznie. – A ja zabiorę Lucjana. Jest wesoly i ma wszystko w nosie, zupełnie jak ja! Zamienimy sie chlopakami. Wlasciwie dlaczego wzescniej sie na to nie zdecydowalyśmy?

– Bo to przeciwnictwa sie przyciagaja, a nie podobienstwa – rzekla Cecylia. – Poza tym ja jeszcze nie wiem, czy chce ktoregos z nich. Co to, malo kawalerow? Wbrew temu, co gada Teresa, gdziekolwiek pojdziemy, jakis absztyfikant smali cholewki. Mozna w nich przebierac jak w ulęgakach.

– Moze poznamy jakichs interesujacych na balu? – Frani zaświecily sie oczy. – Jakby o mnie sie starał ktos taki jak ksiazę Borghese! Och, to by bylo cos. Musielibyscie mi mówic pani marszalkowo, wasza ksiazęca moc...

– Obawiam sie, ze za kogokolwiek bys wyszła, i tak zostaniesz dla nas po prostu Franią – Cecylia ja zgasila.

Ignacy przewrocil oczami, wzniosl je ku niebu, jakby proszac je o cierpliwosc i zmiłowanie. Machnal reką i siegnal po kamionkowa butelke z gorzalką. Zmarzl jak pies, czekajac na panny przed teatrem, i musial jakoś rozgrzac gnaty od srodka. Samo stanie przed kominkiem nie pomagalo. Nalal tez Pustemu, ktory skinal mu glowa i wzniosl kubek w niemym toascie.

– Pójde na ten bal czy tam koncert jako towarzysz Cysi – Ignacy zdecydowal. – Giovanni bedzie asystowal Frani. Tylko my dwaj z calej kompanii mamy odpowiednie stroje i przede wszystkim odrobinę oglady.

- Będę zaszczycony, panno Franciszko - rzekł Giovanni, uklonił się pannie i ucałował ją w dłoń.

Okazało się, że koncert na pokojach u dworu, jak go skromnie określano, nie jest wcale kameralny. Napoleon zaprosił na niego siedemdziesiąt sześć polskich dam, bo chciał je sobie obejrzeć, niczym wytrawny koneser. Cecylia stwierdziła cierpko, że chyba ma je za klacze wyścigowe, bo oglądać to sobie można konie.

- Może będzie nam zaglądał w zęby? - Frania parsknęła nerwowo, choć do złota i marmurów w pałacowych komnatach już przywykła.

- Oby każdej nie zaglądał w dekolt - Cecylia rzuciła kąśliwie.

Zanim panie i ich towarzysze zasiedli na krzesłach, musieli ustawić się w kolejkę do Napoleona, który każdej ścisnął dłoń i wymienił kilka słów, ale tylko z tymi, które wpadły mu w oko. Najdłużej rozmawiał z niepozorną Marią Walewską, żoną starszego od niej o pół wieku szambelana Walewskiego. Wszyscy już szeptali o tym, że na balu, kilka dni wcześniej, po raz pierwszy Maria stanęła przed cesarzem i od razu go oczarowała. Widocznie niespecjalnie tęsknił za Józefiną lub w dalekiej i zimnej Warszawie pilnie potrzebował żeńskiego towarzystwa i pani Walewska z jakiegoś powodu szczególnie przypadła mu do gustu.

To jednak nie wydało się pannom istotne, rozglądały się uważnie w poszukiwaniu Teresy i dostrzegły ją już po chwili. Nie sposób było jej nie zauważyć, bo oczywiście wystroiła się tak, że błyszczała nawet w lśniącej od złota Sali Wielkiej. Miała na sobie modną greczynkę, tyle że z dekoltem i rękawami obszytymi feretami, niczym suknie dawnych polskich dam z magnaterii. Były to drobne sztuczki złota obsadzone szlachetnymi kamieniami, w jej wypadku wyłącznie krwistoczerwonymi rubinami. Blondynka o złotych włosach mieniła się zatem krwawymi błyskami i jaśniała złotem, nie sposób było od niej wzroku oderwać. Ignacy poruszył się niespokojnie, już dawno wybił sobie z głowy wszelkie cieplejsze uczucia wobec tej damy, ale kiedy ją ujrzał, serce i tak zabiło mu żwawiej. Nic dziwnego, że tak łatwo potrafiła manipulować mężczyznami, miała odpowiednie warunki ku temu, by większości z nich zawrócić w głowie, nawet specjalnie się do tego nie przykładając.

Szła w towarzystwie swego męża, hrabiego Aleksandra, jegomościa o wielkich gabarytach i małej główce. Giovanni prowadzący Franię wskazał im wolne krzesła, a nawet odsunął jedno przed swoją podopieczną, ale zanim usiedli, Teresa ich spostrzegła i podeszła, ciągnąc męża za trzymane ramię. Ignacy zmieszał się na mgnienie oka, ale szybko nad sobą zapanował. Musiał co prawda spojrzeć w oczy jegomościowi, z którego żoną miał romans, i to trwający kilka lat, ale wielu waszmościów znajdujących się w tej sali mogło o sobie powiedzieć to samo. Ukłonił się zatem sztywno nadchodzącej, hrabia zaś skinął im głową.

– Pozwólcie, że was przedstawię – powiedziała Teresa, skrząc się złotem i rubinami. – To moi Siferdus, szlachetny handlarz winny, który przygarnął pod swój dach te dwie sieroty, o których ci kiedyś wspominałam, Cecylię i Franciszkę. To w ich towarzystwie będę dziś miała zaszczyt spotkać się z Jego Wysokością. Dziewczęta drogie, a gdzie jest wasz stryj, o którym tyle mi opowiadałyście? Ach, chwileczkę, czy może odnaleziony po latach stryj, którego wszyscy mieli za zmarłego, to nie moi Siferdus? To by dopiero była niespodzianka! Aż na usta cisną się tysiące pytań! Czy mogę zadać choć jedno?

Podsunęła Ignacemu dłoń do pocałowania. Ten nie miał innego wyjścia, jak znów się uklonić i powitać ją pocałunkiem, a później ucisnąć dłoń hrabiego Chodkiewicza.

– Co też skłoniło szlachetnie urodzonego Ignacego Sobolewskiego do udawania zwykłego mieszczanina? – zapytała bez czekania na pozwolenie. – Zmiana nazwiska to poważna sprawa, nie robi się tego z byle powodu, dla płochego kaprysu. Dopuścił się waszmość jakiegoś wstydliwego czynu? Bo chyba nie zbrodni?

– Tereso, przestań proszę – jej mąż syknął. – Waszmość wybaczy, to oczywiście nie nasza sprawa i nic komu do tego. Panny pozwolą, że złożę im mocno spóźnione kondolencje z powodu tragicznej śmierci rodziców. Słyszałem o tej historii dawno temu, ale nawet nie wiedziałem, że ktoś przeżył tę straszną napaść. Cieszę się, że wszystko dobrze się ułożyło.

– Dziękujemy, panie hrabio. – Cecylia dygnęła lekko. – Przetrwaliśmy dzięki dobrym ludziom, między innymi pomocy pana żony. Pani Teresa była dla nas niezwykle uprzejma, podarowała nam nawet chusteczki opatrzone jej monogramem.

- Chusteczki? - Aleksander się zdziwił. - Ależ złotko, co też ci przyszło do głowy, by dawać biednym sierotom akurat chusteczki?

- Wówczas zwyczajnie miałam je pod ręką, nie spodziewałam się, że akurat wyjeżdżają, a wypadało im coś podarować na drogę. Poza tym to były jedwabne chusteczki z koronką, szalenie eleganckie - odparła Teresa. - Usiądźmy może, bo za chwilę się zaczną i prawie wszyscy już zajęli miejsca.

Nawet cesarz skierował się na przeznaczony dla niego tron. Był to jeden z pałacowych foteli na szybko obszyty złotogłowiem z frędzlami, prawdziwy tron Stanisława Augusta ukradli Rosjanie i ponoć podarowali go carycy Katarzynie. Nie miało to chyba dla Napoleona najmniejszego znaczenia, wodził bowiem wzrokiem po polskich ślicznościach, które tak licznie odpowiedziały na jego zaproszenie, a nie po meblach. Mógł w damach przebierać do woli, w pannach, mężatkach, wdowach, bez różnicy, każda i tak oddałaby mu się na jedno skinienie. Jego wzrok sam jednak kierował się ku pani Walewskiej, jej ślicznym loczkom i białej skórze, szlachetnej, jakby była marmurowym posągami bogini.

Przed orkiestrę wyszedł kompozytor, Włoch nazwiskiem Pear. Ogłosił po francusku, że ma zaszczyt być dziś dyrektorem oraz dyrygentem orkiestry i zaprezentuje szanownym zgromadzonym wiązaną utworów włoskiej muzyki dworskiej wedle własnego wyboru, wzbogaconą o fragmenty utworów ludowych w jego interpretacji. Cesarz skinął mu ręką na znak, że pora zaczynać, i sale zamku wypełniły się muzyką symfoniczną, podniosłą i szlachetną. Siostry siedziały oddzielone od Teresy jej mężem i stryjcem Ignacym, który usiadł obok hrabiego, bo poczuł do niego coś w rodzaju współczucia. Biedaczek nie był wcale naiwny, inteligencję dostrzec można było w jego spojrzeniu i staranności w doborze słów. Wiedział z pewnością o niewierności żony, a mimo to trwał przy niej i udawał, że nic się nie dzieje. Musiał ją zatem kochać, a zatem świadomość tego, że żona go zdradza, z pewnością była niezwykle bolesna.

Kiedy koncert się skończył, część gości wyszła, prócz pewnej grupy, która dostała zaszczytu, by wziąć udział w cercle dworskim, czyli zamkniętym spotkaniu z cesarzem w gronie wybranych. Szczęśliwcy przeszli do sali obok, gdzie lokaje roznosili na tacach kielichy i gdzie siedziała kolejna orkiestra, tym razem bardziej kameralna i grająca cicho w tle. Tu można było swobodnie rozmawiać. Cesarz został obstąpiony przez polskich arystokratów, Stanisława

Kostkę Potockiego z małżonką, Adama Czartoryskiego z jego matką, księżną Izabelą, Adama Sapiehę i księcia Józefa Poniatowskiego. W sali byli jeszcze rozmawiający wesoło z Polakami dygnitarze francuscy: wielki książę Bergu, marszałek Murat, minister Talleyrand i generał-gubernator Laurent de Saint-Cyr. Ten ostatni przedstawił się pannom za pośrednictwem Giovanniego, którego w tym celu zaczepił. Mediolański zbój i szef mafii nie okazał najmniejszego zmieszania obecnością takich wspaniałych person, z uśmiechem zaprezentował panny, przy okazji, tak bardziej dla wprawy, ukraść Saint-Cyrowi zegarek w złotej kopercie. Nie umknęło to czujnemu spojrzeniu Frani, do której Giovanni mrugnął zawadiacko. Panny musiały zaś skupić się na przyjmowaniu komplementów od generała i odpowiadać na nie tak, jak nauczyły je francuskie guwernantki.

Ignacy próbował znów podejść do Teresy, ale ta wyraźnie go unikała i zabawiała rozmową księcia Poniatowskiego oraz Izabelę Czartoryską, kapitanowi więc nawet nie wypadało podchodzić do tak znamienitego jaśniepaństwa. Z rosnącej złości wypił szybko kilka kielichów wspaniałego, starego węgryzyna, utoczonego z królewskich beczek, których nie opróżnili Rusczy ani Prusacy. Wziął jeszcze dwa kielichy i podszedł do opierającego się o parapet hrabiego Chodkiewicza. Aleksander miał ponurą i zasmuconą minę, patrzył z daleka na gruchającą z ich książęcymi mościami żonę. Chyba nie miał ochoty podchodzić do jej towarzystwa, poza tym zdaje się, że nie pożądaną specjalnie jego obecności. Ignacy podał mu kielich i stuknął o niego swoim.

– Za miłosne rozczarowania – powiedział i wypił jako pierwszy.

Miał już trochę w czubie i takie postawienie sprawy wydało mu się zabawne. Chodkiewicz jednak nie przepił, choć nie odstawił kielicha.

– Waś też się miłośnie rozczarował na mojej żonie? – spytał tylko z cierpką miną.

– Nie, Teresa nie zdobyła mego serca. Myślałem o innej kobiecie. Kiedyś, dawno temu, znalazłem tę miłość, która wydawała mi się jedyna i na całe życie – Ignacy odparł. – Nic z tego nie wyszło.

Hrabia westchnął i wznosił kielich, napił się i uśmiechnął do Ignacego. Patrzył na niego z góry, choć kapitan nie był ułomkiem. Ignacy nie zadawał się z takimi jak on, wiedział, że Chodkiewicz jest naukowcem i literatem, do tego aktywnym patriotą i w ogóle człowiekiem renesansu, który ciągle poszukiwał, studiował i się doskonalił. Pewnie nie przepadał za alkoholem i nigdy go nie

nadużywał, był grzeczny i ani razu nawet głosu nie podniósł na Teresę. Ignacy na jego miejscu wrzeszczałby na nią od rana do wieczora i pewnie w końcu w szale ją udusił. Różnił się zatem diametralnie od Aleksandra postawą życiową, temperamentem, upodobaniem, a jednak go polubił.

– Cesarz prosi panny na obiecane spotkanie – księżę Sapieha, adiutant cesarza, oznajmił siostrze.

Napoleon przeszedł już do niewielkiego salonu obok, drzwi zostawiając otwarte. Siostry Sobolewskie, pobladłe z wrażenia, oraz równie poruszona Teresa pomaszerowały za adiutantem, odprowadzane spojrzeniami zebranych. Ignacy poruszył się nerwowo i zmęł przekleństwo pod nosem. Miał nadzieję, że Napoleon nie zamierza się do dziewcząt dobierać, bo może się to dla niego źle skończyć. Jeśli zaś oberwie po łapach lub pysku, surową cenę za zniewagę może zapłacić cała Polska.

– Spokojnie, nic się nie stanie waszmości podopiecznym – hrabia Aleksander powiedział do niego. – Cesarz tylko posadzi je przy stoliku i zagra z nimi w karty. Lubi wieczorem rozegrać partyjkę wista, najlepiej w miłym towarzystwie. Nic złego w tym nie ma, zresztą będziemy ich widzieć, bo dzieje się to przy otwartych drzwiach.

– Ach – Ignacy mruknął, drapiąc się po brodzie. – Ale chyba nie będą grali na pieniądze? Jeśli tak, to moje dziewczynki puszcza Napoleona w samych gaciach. Niech się hrabia tak nie patrzy, po prostu nauczyłem panny tego, co w życiu potrzebne. Wiedzą, jak mają sobie radzić.

Cesarz wcale nie był taki mały, jak o nim powszechnie i złośliwie mówiono. Cecylia, jako najwyższa z trzech dam, była niemal jego wzrostu, ale mimo wszystko nieco jej brakowało. Poza tym okazał się miłym i całkiem przystojnym mężczyzną, z rysującym się pod surdudem brzuszkiem, w każdym razie żaden z niego karzeł, ale też wcale nie wielkolud pożerający dzieci, jak przedstawiano go na karykaturach drukowanych przez jego nieprzyjaciół. Przynajmniej na pierwszy rzut oka na takiego nie wyglądał. Czekał na zaproszone damy przy stoliku z zielonym sukniem, czyli przeznaczonym do gry w karty. Zanim weszły do sali, księżę Sapieha zdążył z grubsza wyjaśnić, co mają robić. Po prostu rozegrać w wista kilka rozdań, najlepiej oddając lewe cesarzowi, ale nie dawać mu ostentacyjnie wygrywać, bo się zirytuje. Uważał się co prawda za genialnego

stratega i wybitny umysł, a niewiasty za istoty naiwne i o płochych umysłach, ale nie był bynajmniej zadufanym w sobie głupcem. Miały po prostu grać i tyle, Napoleon powinien sobie z nimi poradzić.

Siostry usiadły do gry naprzeciw siebie, były zatem jedną parą. Cesarz stworzył drugi, konkurencyjny zespół z Teresą, której trema już minęła i hrabina zaczęła się zachowywać jak zwykle. Wzdychała, wypinała pierś i trzepotała rękami, opowiadając Napoleonowi jakieś bzdury o urokach miasta i proponując, że może osobiście mu je pokazać. Cesarz własnoręcznie potasował i rozdał karty, patrzył przy tym na dziewczęta z wyraźną przyjemnością. Pytał je o to, skąd pochodzą, czym zajmują się ich ojcowie i kawalerowie, skąd tak dobrze znają francuski, szczególnie gdzie się nauczyły tak zgrabnych salonowych odpowiedzi.

– Miałyśmy dwie zacne guwernantki, pokojowe samego króla Ludwika XVIII – Frania wypaliła bez zastanowienia, bo próbowała się właśnie skupić na kartach.

– Och, jesteście zwolenniczkami Burbonów? – Cesarz uniósł brew. – Czyżby ktoś z waszej rodziny był rojalistą?

– Ależ skąd, to tylko głupiutkie gąski – Teresa odparła w ich imieniu. – Nie mają pojęcia o polityce. Po prostu zdetronizowany przez Waszą Cesarską Mość ekskról przebywał w Warszawie przez dwa lata, szukając pieniędzy na utrzymanie. Wszelkie osoby z jego świty parały się zarobkowaniem, jak kto mógł. Najczęściej ci ludzie udzielali lekcji francuskiego, stąd i wiele gąsek nauczyło się władać tym językiem całkiem znośnie, a jak Wasza Wysokość widzi, niektóre nawet opanowały dworskie maniery i wydaje się im, że mogłyby brylować w Wersalu.

– Jeszcze raz nazwiesz nas gąskami, to wywołam taki skandal, że nie wpuszczą cię nawet do stajni, o cesarskich stolikach będziesz mogła co najwyżej pomarzyć – Frania obiecała jej po polsku, łagodnym tonem, ciągle się uśmiechając.

Napoleon spostrzegł jednak grymas, który przemknął po twarzy Teresy, i domyślił się właściwego znaczenia wypowiedzi. Cecylia pod stołem kopnęła siostrę w nogę, ale co się stało, tego nie dało się przecież cofnąć. W ogóle samo mówienie w obecności Napoleona w języku, którego nie rozumiał, było rażącą niegrzecznością i naruszeniem etykiety.

- Panna uważa i skupi się na kartach, bo właśnie, pac! I zabieram wam kolejną lewę - oświadczył władca wesoło. - Zdaje się, że są panie ze sobą skonfliktowane, i to poważnie. Właściwie zwróciłem na was uwagę, bo bardzo wojowniczo przeciw sobie stawaliście. Lubię dzielnych ludzi, gorąco krwiste niewiasty także budzą mój podziw. Wy, Polacy, jesteście narwani, jak mało który naród w Europie. Ciekawy jestem niezmiernie, o co paniom poszło...

To nie była prośba, tylko polecenie, co wszystkie zrozumiały. Nie były też na tyle naiwne, by wierzyć, że uda się spławić największego taktyka epoki byle kłamstwem o babskich sprawkach lub sporach o stroje.

- To bardzo delikatna i wstydliva sprawa, Wasza Wysokość. Trudno mi jednak nie przyznać pewnych racji pannom Sobolewskim, właściwie rozumiem ich niechęć wobec swojej osoby. Siostry dowiedziały się, że miałam romans z ich ojcem - powiedziała Teresa, zerkając na panny znad kart. - Oskarżają mnie też o to, że maczałam ręce w jego zabójstwie i próbowałam je otruć. To bardzo poważne zarzuty i proszę zrozumieć, że po ich wysłuchaniu naprawdę byłam wzburzona. Okazałam jednak wyrozumiałość i cierpliwość, szczególnie że panny mają pewne niewygodne tajemnice, którymi też nie chciały się podzielić. Nurtuje mnie mianowicie, czemu ich stryj ukrywał się latami pod przybranym nazwiskiem, jakby miał coś bardzo niewygodnego na sumieniu.

- Jak śmiesz... - Frania wycodziła, ale siostra znów kopnęła ją pod stołem. - Au!

- Cóż takiego miałby mieć na sumieniu? - Cecylia zamrugała i wdzięcznie przekrzywiła główkę, uśmiechając się przyjaźnie do Teresy.

- Popytałam o Ignacego i okazało się, że miał bardzo nieciekawą opinię. Słyszał jako awanturnik, gwałtownik i nieokrzesaniec, niepanujący nad gniewem i własnymi czynami. Został wygnany z domu przez ojca, do tego brat się od niego odwrócił, wcześniej odbiwszy mu ukochaną. Może Ignacy wrócił po latach, by się zemścić? Zabił brata i jego żonę, czyli swoją dawną kochankę. Następnie zmienił nazwisko, by nikt nie skojarzył go z tym, co zaszło...

Cecylia odetchnęła, stłumiła wszelkie emocje, ale Frania aż zaczęła się wiercić ze złości. Tylko obecność cesarza powstrzymywała ją przed rzuceniem się na Teresę z pazurami.

- Wielce zawiła i ciekawa historia! - Napoleon zauważył, patrząc na dziewczęta. - Zrobimy tak, zagramy w karty na szczerłość. Drużyna, która wygra, będzie mogła zadać drugiej parze po jednym, dowolnym pytaniu.

Przegranii będą musieli odpowiedzieć szczerze i zgodnie z prawdą, bez zwodzenia i co jeszcze raz podkreślę, zgodnie z prawdą pod groźbą utraty honoru i twarzy. Jeśli zatem wygracie, moje panny, będziecie mogły zapytać hrabinę o to, czy zabiła waszego ojca, lub o co tylko zechcecie. Ale jeśli ona wygra, zapyta was o stryja czy wasze inne tajemne sprawy. Co wy na to?

Z cesarzem nie mogły wygrać, był zbyt wytrawnym graczem, poza tym jego adiutanci chybaby je rozstrzelali, gdyby poniżyły Jego Wysokość, ogrywając go w karty. Z drugiej strony obie aż trzęsły się z nerwów i przede wszystkim złości na bezczelną Teresę. Spojrzały tylko na siebie i porozumiały bez słów czy choćby najdrobniejszego gestu.

– Zaczniemy zatem rozgrywkę jeszcze raz – Cecylia zaproponowała. – Podstawowe zasady? Która para zbierze więcej lewych, ta wygrywa? Gra do trzech wygranych rozdań?

Napoleon pokiwał głową i zgarnął karty, po czym przetasował je i rozdał jeszcze raz. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego, skinął nawet na lokaja i poprosił o przyniesienie swojego leczniczego wina. Po chwili cała czwórka musiała skosztować czerwonego burgunda z Chambertin, raczej sikacza, którego cesarzowi zalecił jego przyboczny lekarz w celach zdrowotnych. Napoleon tak przywykł do jego smaku, że rozpoznałby nawet najmniejszy dodatek trucizny, co było dodatkowym efektem kuracji. Napój nie należał do wybitnych, ale żadna z pań nawet nie mrugnęła ani się nie wykrzywiła. Sięgnęły po karty.

Obie siostry były zdeterminowane, by wygrać, stosując wszelkie sztuczki, które wpoił im jeszcze ksiądz Baltazar i które doskonaliły, grając z Giovannim i jego kompanami. Najłatwiej byłoby szachrować przy rozdawaniu, ale to już odpadało, bo kartami władał cesarz. Pozostawało zatem przekazywanie sobie znaków, tak by siostry nawzajem wiedziały, jakimi kartami dysponuje partnerka. Mogły też przekazać sobie wiadomość, kiedy odpuścić i oddać lewą z kiepskimi kartami, a kiedy naciągnąć przeciwników na wyrzucenie koloru atutowego. Było to bardzo nieeleganckie, właściwie haniebne oszustwo i za przyłapanie na czymś takim groziło towarzyskie wykluczenie i ogólny ostracyzm. Ksiądz Baltazar powtarzał im jednak, że liczy się wyłącznie wygrana, a nie jakaś tam przyzwoitość, poza tym uczciwa gra w karty, kiedy na stole są wysokie stawki, to zwyczajna głupota.

Mrugnięcie, ruch ręką i podrapanie się po brodzie, nerwowe szarpnięcie się za kolczyk, wszystko coś znaczyło, wyglądało zaś zupełnie niepozornie. Przy tym wszystkim panny prowadziły niezobowiązującą rozmowę, opowiadając Napoleonowi o tym, jak pomagały stryjowi prowadzić skład wina w Stettinie i jakie miały tam perypetie z pruskimi klientami. Teresa stężała, bo właśnie wyznały, że Siferdus to ich stryj, czyli Ignacy Sobolewski. To hrabinę rozproszyło na tyle, że popełniła kilka błędów i oddała trzy czy cztery lewy. Cesarz spojrział na nią z cierpką miną.

– Pani hrabina zdaje się zachowywać, jakby nie miała pojęcia o idei wistowej – rzekł niby w żartach, ale raczej chłodno.

Napoleon bardzo nie lubił przegrywać, panny zaś z łatwością wygrały całe rozdanie. Zaczął tasować karty do następnego.

– Och, ależ mamy dziś szczęście! – Frania zaklaskała w dłonie. – Nie na darmo mówią na nas panny Fortuny!

– Szczęście nowicjuszek – Teresa prychnęła. – Wasza Wysokość mi wybacz, teraz będę uważała.

Siostry uniosły karty i znów zaczęły drapać się po twarzach, pokasywać, unosić brwi i mrugać. Cesarzowi nawet przez myśl nie przeszło, że te naiwne panienki miałyby czelność robić go na całego w konia. Za złapanie któregoś ze swoich oficerów na oszukiwaniu w karty kazałby go na miejscu zdegradować i rozstrzelać. Ale i tak żaden by się nie odważył, co dopiero mówić o jakichś podlotkach. Siostry czuły zagrożenie, ale to tylko dodawało im skrzydeł. Frania zaczęła pleść kolejną anegdotę, by dać Cecylii czas na wymyślenie taktyki.

– W Stettinie jednym z ważniejszych mieszczan był za naszych czasów niejaki Adolf Loza, bogaty kupiec bławatny i kolonialny, po za tym przybysz ze Szwabii – Frania gadała jak najęta. – Miał on aż sześć córek, dorodnych blondynek, pulchnych i rumianych, jak świeżo wypieczone buły. Wszystkie kropka w kropkę podobne do matki, damy wielkich rozmiarów. Pan Adolf zaczął wydawać córki za mąż, opracował sobie przy tym plan, że co roku jedną, dzięki czemu nie zrobi pląjty na wianie i weselu, za to sukcesywnie pozbędzie się z domu tego zalegającego towaru. Zanim ten się zepsuje.

– Ha! – parsknął cesarz z niejakim współczuciem.

– Przyszedł ów kupiec do stryja i zaproponował, że awansem zapłaci mu za dostawę wina z góry na sześć wesel. Chciał w związku z tym specjalnego upustu, bo zamówienie było niebagatelne. Po dziesięć beczek czerwonego

wytrawnego, dwanaście skrzyń winiaku i cherry, do tego cztery skrzynie szampana i jedna brandy. I tak sześć dostaw z rzędu – Frania kontynuowała, zabierając cesarzowi lewą po lewej i udając, że nie zwraca na to uwagi i robi to od niechcienia. – Stryj się zgodził, także na upust, ale zażądał, by podpisać umowę u notariusza, która zobowiąże kupca do wypłaty należności i odbioru towaru. Tak też się stało, niedługo potem odbyło się pierwsze wesele, rumianej Lucy, najstarszej z córek pana Loza, która wyszła za właściciela sieci jatek targowych na całe północne Niemcy. Pan Adolf był bardzo zadowolony, ale tylko przez jakieś pół roku, do kiedy dwie kolejne córki, Marthe i Luize, zwiły z cyrkowcami, konkretnie z polykaczem noży i siłaczem. Przyłączyły się do trupy, rezygnując ze splendoru kupieckich córek i swego dziedzictwa w towarach bławatnych. Odjechały i słuch po nich zaginął, mam jednak nadzieję, że są szczęśliwe. Miesiąc później kolejna córka, Agathe, oświadczyła, że rozpoczyna nowicjat w zakonie i zamierza poślubić się jedynie z Jezusem. Niedługo po niej Ada wyprowadziła się do baronowej Netherode, słynącej ze swoich związków z kobietami. Pan Adolf dostał po tym ataku apopleksji, ale jakoś się pozbierał. Została mu najmłodsza córeczka, Gertruda. Niestety w czasie niedzielnej przechadzki po mieście nieszczęśliwie weszła pod pędzący powóz, którym pewien pijany pułkownik artylerii gnał spóźniony na odprawę u generała. Biedaczka zginęła na miejscu, a pułkownik uciekł i wszystkiego się wyparł, ale to już inna historia.

– I kupiec został z opłaconymi dostawami wina na pięć wesel, które nie mogły się odbyć? – Napoleon sprawiał wrażenie rozbawionego. – Oto do czego prowadzi zbytnia pazerność i nadmierna zapobiegliwość. Nie ma sensu planować zaopatrzenia zbyt daleko w przyszłość, dobry dowódca na bieżąco podejmuje decyzje.

Nawet się nie zdenerwował, kiedy Frania z uśmiechem zgarnęła mu ostatnią lewą.

– No to żeśmy znów wygrały. Jest dwa zero. Ostatnie rozdanie! – oświadczyła z niewinną miną.

– Zaś co do pana Adolfa, to stryj za naszą namową się zlitował i zwrócił mu część gotówki, reszta zamówień za ich obopólną umową poszła na rzecz miejscowego garnizonu jako gest kupców Stettina dla władz dbających o bezpieczeństwo mieszczan – Cecylia włączyła się do opowieści. – Wojskowi dostali skrzynie z brandy i winiakiem. Już przy pierwszej dostawie tak się spili,

że dwóch spadło z murów i połamano sobie wszystkie gnaty, jeden się postrzelił, a dwóch oficerów pobiło się i podziabalo szablami. Jednym z tych, który zginął tej nocy, w bardzo tajemniczych okolicznościach, był ów pułkownik, pijak, który zabił młodą Gertrudę. Znalaziono go na wałach napompowanego gorzała tak, że wylewała mu się nosem. Butelka utkwiała mu szyjką w gardle, podejrzewano zatem, że ktoś wlał w niego tę brandy. Winnych nie zidentyfikowano. Nie wiem jednak, jaki z tego morał...

– Czyżby to wasz stryj, mości Siferdus, okazał takie poczucie sprawiedliwości? – Teresa parsknęła. – Byłoby to do niego podobne.

– Może? – Cecylia wzruszyła ramionami. – Kto to może wiedzieć? W każdym razie ci, co go rozgniewają, mogą się spodziewać przykrych niespodzianek. Sprawiedliwość spotka ich prędzej czy później.

Teresa spojrzała na nią ostro, zrozumiała bowiem groźbę. Opowieść była skierowana do niej, nie do cesarza. Sam władca natomiast sprawiał wrażenie, że się dobrze bawi, choć nieco irytowało go, że Teresa dała się rozproszyć i grała nieuważnie, przez co tracił razem z nią punkty. Żaden prawdziwy wódz nie pozwoliłby, aby podobne drobiazgi przeszkodziły mu podejmować wyważone i trafne decyzje. Utwierdziło go to tylko w przekonaniu, że kobiety to płóche istoty, które nie nadają się na strategów. Żadna z nich nigdy nie zostanie generałem, były zbyt podatne na emocje. Tylko dlatego jeszcze się nie rozgniewał i nie nakrzyczał na hrabinę, musiał po prostu uznać, że decydując się na grę z paniami, niejako zgodził się znosić niedostatki ich umysłów. Poza tym ta dworska kłótnia, zamaskowana kurtuazją, pozornym spokojem i uśmiechami, wydawała mu się zabawna. Niewiasty może i nie nadawały się na wojowników, ale jeśli chodzi o ranienie słowami i gestami, potrafiły być jadowite niczym żmije.

Siostry czuły się coraz pewniej, ale obie nie pozwoliły emocjom, by wyrwały się spod kontroli, i w kluczowym momencie zachowały pełne skupienie. Nie dały szans konkurencyjnej parze nawet na to, by mogła honorowo wygrać jedno rozdanie. Wbrew temu, co sobie cesarz myślał o niewiastach i ich zdolnościach umysłowych, rozgromiły go błyskawicznie i bez skrupułów. Kiedy w ostatnim rozdaniu zgarnęły wszystkie lewy, Napoleon na chwilę przestał się uśmiechać. Odsunął się na krzesło, przesunął dłonią po przyzłizanej grzywce i napił się wina. Zapanował jakoś nad rozczarowaniem i gniewem, zerkał to na jedną, to na

drugą pannę, które udawały zmieszanie i żal, ale też zaskoczenie niespodziewaną wygraną. Potrzebował chwili, by strawić upokorzenie.

– Tupet Polaków nie ma granic, powinienem się zacząć do niego przyzwyczajając – powiedział wreszcie i uśmiechnął się krzywo. – Wyobraźcie sobie, że kiedy w grudniu przyjechałem do Warszawy po raz pierwszy, nikt na mnie nie czekał. Zamiast wiwatujących tłumów, nadobnych panien sypiących kwiaty i gwardzistów grających fanfary przywitało mnie miasto pogrążone w ciemnościach, śpiące w najlepsze.

– Czy to nie dlatego, że wasza miłość raczył przyjechać w środku nocy? – Frania spytała z niewinną miną.

– Tak, to prawda. Kareta zatoneła mi w błocie gdzieś pod Łowiczem i musiałem pożyczyć konia od swojego przybocznego, przez to dotarłem po północy. Przyjechałem zmarznięty i z obolałym tyłkiem, na domiar złego musiałem dwa kwadransy dobijać się do zamku, bo służba też spała w najlepsze. Później się okazało, że moja komnata jest zimna jak grób, bo nawet w niej nie napalono. Rankiem byłem taki wściekły, że chciałem wszystkich w tym kraju rozstrzelać. Wezwałem do siebie tę całą Radę Narodową, czy jak to się nazywa, i zażądałem, żeby Polska nakarmiła moją armię, żeby natychmiast znalazła się pasza dla koni i dach nad głową dla wszystkich żołnierzy. A oni oświadczyli z uśmiechami, że to niemożliwe. Wpadłem w furię i zacząłem wrzeszczeć, że potraktuję wasz kraj jako nieprzyjaciela i każę zburzyć wszystko do gołej ziemi i złupić bez litości. Wówczas jeden z waszmościów po prostu sięgnął po moją tabakierę, wyjął mi ją z ręki, zażył do nosa solidną szczyptę, kichnął i oświadczył, że całkiem niezła, po czym powtórzył, że moje żądania nie mogą być spełnione i już. Coś podobnego nie spotkało mnie od początków panowania. Ja na niego wrzeszczę i grozę śmiercią, a on zażywa moją tabakę i ma wszystko w nosie. Tacy właśnie są Polacy, grozić wam i straszyć to strata czasu.

– Wasza Cesarska Mość wybaczy mi fatalną grę, proszę mnie rozstrzelać, ale nie złościć się na moją ojczyznę. – Teresa już miała się osunąć na kolana, ale Napoleon ją powstrzymał i ujmując za ramiona, posadził z powrotem przy stoliku.

– Lubicie też dramatyczne gesty, wiem, wiem... – mruknął. – No dobrze, słowo cesarza jest święte. Panny wygrały i mają prawo zadać po jednym pytaniu, na które wybrane z nas musi odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

Decydujcie zatem, kogo chcecie zapytać i o co. Tylko nie zastanawiajcie się długo, bo najwyższa mi pora wrócić do towarzystwa i oficjalnie zakończyć wieczorek.

Siostry spojrzały na siebie porozumiewawczo. Franciszka uśmiechnęła się i jako pierwsza zadała pytanie.

Ignacy czuł, że francuskie wino solidnie szumi mu w głowie. Lubił ten stan, choć mniej niż bitewne uniesienie, furię i złość, które bardziej pobudzały krew w żyłach niż najlepszy nawet trunek. Tak czy inaczej, bawił się dobrze, patrząc na ludzi z rosnącym niepokojem zerkających przez otwarte drzwi do salonu, w którym cesarz dostawał w skórę od Ignacowych bratanic. Z pewnością nie obejdzie się bez bury od najważniejszych osób w państwie, marszałka Małachowskiego i księcia Józefa. Każda polska dama miała obowiązek być spolegliwa i chętna wobec Jego Wysokości, wyzwoliciela Polski. Najlepiej, by wszystkie były gotowe do rozkładania przed nim nóg, oczywiście w imię racji stanu, dla ojczyzny, dla wolności. Aż zarżał z rozbawienia, niczym koń, i w dodatku parsknął winem.

– Co was tak bawi, mości Siferdus? Czy może mości Sobolewski? Nie wiem, jak się do was zwracać... – powiedział hrabia Chodkiewicz, który też zaczął opróżniać kielichy coraz szybciej, od czego nabrał rumieńców.

– Zwracajcie się, jak wam wygodnie. – Ignacy wzruszył ramionami, ale wtedy jego spojrzenie padło na oficerów w polskich mundurach i jakby się wzdrygnął. – Ale może w towarzystwie lepiej, bym nadal używał pseudonimu. To sprawa prywatna, nie chcę o niej mówić, upraszam jednak o nazywanie mnie Siferdusem.

– Jak waść życzysz. – Teraz hrabia wzruszył ramionami. – Tajemnice rodzinne to rzecz w zupełności dla mnie zrozumiała. Nie wyobrażasz sobie, co ja muszę przechodzić, by ukrywać pewne sprawy i by innych nie dostrzegać...

Ignacy skinął na lokaja z tacą, po czym wyjął z rąk hrabiego pusty kielich i wręczył mu pełny. Napili się obaj. Nieproporcjonalnie mała głowa i twarz Chodkiewicza wyglądały komicznie z różowymi policzkami i błogim, pijackim uśmiechem. Kapitan domyślił się, że jego rozmówca rzadko zażywa trunków i ma dość słabą głowę. Może dzięki temu udałoby się pociągnąć go za język?

- W związku z tymi tajemnicami mam do was, hrabio, jedno dość niewygodne pytanie - powiedział. - Nie wiem tylko, czy jesteśmy w konfidencji na tyle bliskiej, byś nie przyjął tego pytania jako obrazy?

- Zaryzykuj, mości Siferdus. Najwyżej wyzwę cię na pojedynek i zabiję - odparł hrabia ze smutkiem w głosie. Uśmiechnął się po chwili i po sztubacku szturchnął Ignacego w ramię, jakby byli dobrymi kompanami i udał mu się przedni żart. - Wybacz tę facecję, oczywiście cię nie zabiję. Polubiłem waszmościa, ujdiesz z życiem, o ile nie przesadzisz z tym pytaniem. Śmiało, próbuj. Raz się żyje.

Ignacy napił się wina, zbierając myśli, bo szum w głowie trochę go rozpraszał.

- Panny wspomniały o chusteczkach, które podarowała im Teresa. Działo się to siedem lat temu, ale wszystkim nam zapadło w pamięć, bowiem chusteczki były zatrute. Czy wydaje się waszmości możliwe, że Teresa nasaczyła je arsenikiem, tojadem lub innym świństwem, wykradzionym z pańskiego laboratorium, by skrytobójczo uśmiercić panny? Na przykład na polecenie jakiegoś wpływowego masonskiego kochanka?

Chodkiewicz zamrugał zaskoczony, po czym jakby otrzeźwiał, bo spojrzał na Ignacego nadzwyczaj przytomnie. W jego oczach błysnął gniew, ale wielkolud natychmiast nad sobą zapanował.

- Myślę, że zrobiłaby różne rzeczy, czasami mam wrażenie, że jest zdolna do wszystkiego, ale z całą pewnością nie pozwala wykorzystywać się swoim kochankom. Jest raczej wręcz przeciwnie - odparł, krzywiąc się, jakby wino zrobiło się gorzkie. - Co do zatruwania chusteczek, to zwyczajnie niemożliwe. Po pierwsze w swoich badaniach skupiam się na potwierdzeniu teorii ciepłika⁸, badam zatem procesy spalania, próbuję izolować czysty kwasoród², by wykorzystać go do eksperymentów. Nie interesują mnie zatem toksyny i nigdy żadnych nie przechowywałem w pracowni. Poza tym siedem lat temu prowadziłem jedynie badania literaturowe i zwyczajnie nie miałem żadnych specyfików ani aparatów w domu. Najważniejsze jednak jest to, że Teresa nie byłaby w stanie wykonać własnoręcznie czegokolwiek, bowiem wszelką pracę uważa za hańbiącą i nigdy w życiu nie skalała się zrobieniem czegoś wymagającego wysiłku. Tak, wiem, jak to brzmi. I nadal ją kocham, co zrobić? To silniejsze ode mnie.

Ignacy westchnął, kręcąc głową. Wierzył hrabiemu, właściwie coraz bardziej mu współczuł. Pocziwina i naiwniak bujający w obłokach, któremu trafiła się żona piękna, ale niewierna i zakłamana. Wyglądało jednak na to, że nie sposób ją oskarżyć o próbę zabicia dziewcząt.

– Martwi mnie co innego – Chodkiewicz odezwał się po chwili namysłu. – Ona twierdziła, że podarowała te chusteczki dziewczynkom impulsywnie, kiedy została zaskoczona wiadomością o ich wyjeździe. I jej tym razem wierzę, bo tak między nami mówiąc, rzadko mnie okłamuje. Proszę nie patrzeć z takim współczuciem, bo jednak będę musiał wyzwać waszmościa na pojedynek. Owszem, wyznaje swoje zdrady, zwykle zalewając się łzami i przepraszając. Wiem zatem o większości, może o wszystkich. O was także, ale to pewnie wiecie. Tak czy inaczej, Teresa dała im te chusteczki w dobrej wierze. Musiała je dostać tego samego dnia, skoro o nich pamiętała i miała nieużywane w torebce. Wszystko wskazuje zatem na to, że ktoś próbował otruć nie panienki, tylko Teresę...

Hrabia w zamyśleniu podrapał się po brodzie i mówił dalej:

– Taaak, pamiętam. Siedem lat temu niespodziewanie zmarła jej osobista służka, taka, co to nosiła za nią torebkę z wszystkimi koniecznymi przyborami, jakie potrzebne są damie. – Zmarszczył brwi. – Nie zbadałem ciała, nie przyszło mi do głowy, że mogła umrzeć na skutek zatrucia. To ona trzymała te chusteczki, włożyła je do torebki i z niej wyjęła, miała z nimi bezpośredni kontakt, może palce pokryte trucizną machinalnie oblizwała i to ją zabiło? I teraz pytanie, kto jej przekazał te chusteczki?

– Da się to jeszcze jakoś ustalić? – Ignacy poczuł, że również trzeźwieje.

Hrabia przecząco pokręcił głową. Upłynęło zbyt wiele czasu, nie było nawet kogo spytać, kto miał wówczas dostęp do prywatnych rzeczy Teresy. To mogły być dziesiątki osób. Ignacego zastanowiło tylko, dlaczego skoro ktoś spróbował raz otruć Teresę i mu nie wyszło, nie ponowił ataku? Coś tu nie grało, choć nie miał już najmniejszych wątpliwości, że Teresa nie była trucicielką, mógł skreślić ją z listy podejrzanych. Mimo że miał ją za zmięję, w głębi serca uważał ją tylko za lubiącą romanse intrygantkę miłosną, a nie morderczynię. Niewykluczone, że z jakiegoś powodu omal nie stała się ofiarą, podobnie jak Krzysztof i Maria. Tylko ofiarą kogo?

Choć śledztwo trwało tak długo, rodziło nadal więcej pytań niż odpowiedzi.

– Opowiedz o swoim romansie z naszym ojcem i wyznaj, co miałaś wspólnego z jego śmiercią. – Franciszka przyszpiliła Teresę groźnym wzrokiem.

Hrabina prychnęła z irytacji, ale widząc ciekawe spojrzenie Napoleona, musiała stłumić objawy niechęci czy nawet złości i posłusznie odpowiedzieć.

– To nie jest pytanie, tylko prośba o opowieść, i to tyczącą dwóch różnych rzeczy. Zdecydujcie się, moje drogie – wycedziła z uśmiechem tak sztucznym i jadowitym, że obie panny aż drgnęły, odsuwając się odruchowo od stołu.

Cesarz jednak ponaglająco machnął ręką, choć jeszcze nie wstał od stolika. Było już późno i wieczorek niepotrzebnie się przeciągał, mimo to władca nie zamierzał rezygnować z rozrywki. Liczył na jakieś pikantne szczegóły i Teresie nie pozostało nic innego, jak spełnić jego zachciankę. Jeśli nie po to, by wywiązać się z zakładu karcianego, to wypadało jej to zrobić dla ojczyzny. Napoleon musiał wstać od stolika zadowolony, taka była polska racja stanu – zabawiać go, by kochał Polskę jak nic na świecie i zrobił z niej królestwo jak za czasów jej największej świetności.

– Poznałam Krzysztofa na wieczorku u kasztelanowej Lanckorońskiej. Przyszedł z jeszcze dwoma ziemianami, chudy nazywał się Magiera, nazwiska grubego już nie pamiętam. Panowie starali się o poparcie kogoś wpływowego w interesach związanych ze sprzedażą drewna, rzeczą potwornie nudną, ale mniejsza z tym. Ktoś podpowiedział im, że w zamian za datek na cel charytatywny mogą zyskać przychylność Sanguszków, to zresztą też nieistotne. Byłam mężatką ledwie od roku, ale czułam się zagubiona i porzucona, bowiem mąż wolał przesiadywać w swoich księgach albo konstruować jakieś aparaty, niż się mną zajmować, wielbić mnie i pieścić. Krzysztof też zdawał mi się zagubiony i smutny, od razu dostrzegłam w nim pokrewną duszę. I nie musiałam go uwodzić, nie stosowałam żadnych sztuczek. Po prostu po wieczorku razem wyszliśmy od kasztelanowej i udaliśmy się na przechadzkę, poprosił mnie wszak, bym pokazała mu swoje ulubione miejsca. Był taki nieśmiały, niewinny, skromny i uroczy. Szczerze mówiąc, to właśnie dzięki niemu odkryłam, że pociągają mnie kochankowie silni jak prawdziwe ogiery, gorącokrwieści, władczy, agresywni. Wówczas sama byłam jeszcze niewinna i cnotliwa. Uwiódł mnie już tego samego wieczoru... No dobrze, to ja zaprowadziłam go pod ulubioną jarzębinę w Ogrodzie Saskim, pod którą na chwilę przysiedliśmy i... Stało się. Zdradziłam Aleksandra po raz pierwszy, na

trawie, przy świergocie ptaków i w promieniach słońca migoczącego w koronie jarzębiny.

- Do brzegu, droga hrabino - cesarz ją ponaglił. - Czas biegnie.

- Kochaliśmy się, kiedy tylko nadarzyła się okazja. - Z pikantnymi szczegółami zwróciła się oczywiście do władcy, i to trzepocząc rzęsami. - Skromny, bogobojny i łagodny Krzys w sferze intymnej zmieniał się w prawdziwego demona. Brał mnie gwałtownie i mocno, nie dbając ani o wygodę, ani o przyzwoitość. Kochaliśmy się w powozie, podskakującym na trakcie do Ujazdowa lub w drodze na Marymont, na stojąco, w sieni naszego pałacu, kiedy mój mąż czytał traktaty w gabinecie nad nami, na myśliwskiej ambonie w czasie wycieczki do lasu, w łoży teatralnej, podczas przedstawienia Bogusławskiego o krakowiakach i góralach, a nawet w zaułku między kamienicami, gdy Prusacy urządzili sobie defiladę. Dźgał mnie swoją szablą w rytm werbli i butów tłukących o bruk...

- Dość - Cecylia wycedziła przez zęby. - Mówisz o naszym ojcu, nie zapominaj o tym.

- Mówię tylko prawdę, nie konfabuluje, bo i po co? - Teresa wzruszyła ramionami. - Oczywiście, nie znałyście go z tej strony. Podejrzewam, że tylko wasza matka wiedziała o jego jurności i o tym, że w łożu zamienia się w barbarzyńskiego wojownika, w zdobywcę, pogromcę. To on nauczył mnie, że podduszanie podczas miłości wprowadza w stany euforyczne, że bicie baciem lub otwartą dłonią w strefy intymne pobudza w nich krew i powoduje gwałtowniejsze i głębsze doznania. On też nakłonił mnie do uprawiania miłości ustami, sztuki znanej u nas jako miłość francuska...

Cesarzowi załśniły oczy, poluzował ciasny kołnierzyk pod szyją. Ewidentnie poczuł się pobudzony, co wcale nie spodobało się siostrze Sobolewskim.

- Zdecydowanie przesadzasz, hrabino - powiedziała Frania tak spokojnym tonem, a przez to do niej niepodobnym, że Teresa poczuła się nieswojo. - Jak doszło do śmierci naszego ojca?

- Nie wiem, zwyczajnie nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Krzysztof był porządnym człowiekiem, bo uważajcie, moje panny, trzeba oddzielić człowieka od jego upodobań łóżkowych. Krzys z pewnością był dobrym gospodarzem, mężem i ojcem, naprawdę wpłacał kasztelanowej Lanckorońskiej pewne zasoby na utrzymanie sierocińca i robił to w dobrej wierze, by pomagać, nie tylko walczyć o łaskę jaśniepaństwa. Płacił podatki i nie wadził władzy, nigdy nie

zadawał się z żadnymi szemranymi osobami. Nie wiem, komu nadepnął na odcisk, bo z tego, co się orientowałam, prowadził interesy zupełnie niewinne. Handel drewnem to rzecz tak nudna i pospolita, że od razu ziewałam, gdy o tym opowiadał... Nasz romans był raczej krótki, choć intensywny. Nagle dostałam od Krzysia list, w którym oświadczał, że więcej nie może się ze mną spotykać. Nie umieścił w nim żadnych wyjaśnień, miłosnych wyznań ani obietnic. Po prostu zerwał, po czym... Jakiś tydzień lub później został zamordowany. Nie miałam z tą śmiercią nic wspólnego. Myślę, że ta odpowiedź wyczerpuje pierwsze pytanie.

Siostry spojrzały na siebie porozumiewawczo. Samymi spojrzeniami przekazały sobie, że wierzą hrabinie.

– Drugie pytanie. Kim są Cesarzowa i Mistrz, osoby z masońskiego rytu? – spytała Cecylia. – Wiemy, że jesteś na tak wysokim stopniu wtajemniczenia, że znasz ich tożsamość.

Teresa zerknęła na Napoleona, który tylko znów skinął ponaglająco ręką. Zdaje się, że rozmowa zaczęła go nudzić.

– Tyle że w Wielkim Wschodzie Polski nie ma takich osób – odparła bez chwili wahania. – Po pierwsze kobiety nie mogą być przyjmowane do tej loży, utworzono dla nas lożę żeńską, adopcyjną, o nazwie Aurora. Jej mistrzem jest, wyznam wam to w tajemnicy, Stanisław Kostka Potocki. Mężczyzna, bo kobietom masoni nie pozwalają zajmować tak szacownych funkcji. Tak czy inaczej, to miły jegomość pozbawiony zupełnie instynktu krwiożerczego, jeden z członków Komisji Rządzącej, interesuje się sztuką i edukacją, raczej nudziarz z mojego punktu widzenia. Z pewnością nigdy nie występuje jako Mistrz, jest na to za skromny. Jest dość znanym dramaturgiem i publicystą, często podpisuje się pseudonimem Wieśniak. Gdzie mu tam do krwawych spisków albo zamachów! Naszej loży polecił zajmować się pomocą ubogim, edukacją biednych dzieci, walką z analfabetyzmem i uwstecznieniem. Zamiast trwonić czas i pieniądze mężów na bale, miałyśmy uczyć patriotyzmu, rodzimej historii, alfabetu i pacierza. Przykro mi, że wasz stryj wmówił sobie, że masoni tworzą jakiś potężny spisek przeciw całej ludzkości i chcą zmienić świat, że to jakaś złowroga potęga. Mroczne postaci knujące i oplatające wszystko i wszystkich pajęczyną intryg są jedynie wymysłami nam nieprzychylnych, zazdrośników nigdy nieprzyjętych do loży. Wszystko to bzdura! Nie wyprowadzałam jednak Siferdusa z błędu, bo jego oddanie było mi na rękę.

Wysługiwałam się nim, a uzyskane przez niego w imieniu loży zasoby przekazywałam na przytułki i szkoły elementarne. Żadnych intryg, żadnych złowrogich Cesarzowych. Wpadł w pułapkę, którą sam sobie wymyślił.

– Kiedy ona istnieje – Frania wypaliła. – Wysłany na nas zawodowy morderca sam to wyznał!

Teresa rozłożyła ręce.

– Nawet jeśli takie osoby istnieją, nie mają nic wspólnego z naszym stowarzyszeniem. Nigdy się z nimi nie zetknęłam i nie mam wam więcej nic do powiedzenia, moje drogie – hrabina oznajmiła dobitnie i lekko ukłoniła się cesarzowi, dając mu znak, że kończy zwierzenia i sprawa przegranego zakładu karcianego została załatwiona.

Napoleon wstał, panie poderwały się zatem i wszystkie się synchronicznie ukłoniły.

– Dziękuję za miły wieczór – powiedział cesarz. – Byłyście naprawdę wyjątkowymi partnerkami do gry. Szczęśliwcy, którzy zdobędą panien serca, będą się musieli mieć na baczności.

Zostawił je, nie wyjaśniając, co właściwie miał na myśli i jak powinny rozumieć ten dziwny komplement. Ledwie odszedł od stolika, a otoczyli go oficerowie ordynansowi i lokaje. Odcięli Jego Wysokość od kontaktu z pozostałymi gośćmi, spragnionymi dalszych z nim rozmów, po czym odprowadzili cesarza w głąb komnat zamkowych. Teresa uśmiechnęła się złośliwie do sióstr, wyjęła skądś złożony wachlarzyk i rozłożyła go z trzaskiem, jakby odciągała kurek pistoletu, aż obie drgnęły.

– Zostawcie lepiej już tę sprawę, ślicznie was proszę. Ryzykowanie życia podczas oszukiwania cesarza w karty nie jest tego warte, nie przywrócićcie przecież rodziców do życia – powiedziała. – Oni naprawdę padli ofiarą zwykłej bandyckiej napaści, a żadna Cesarzowa, która to niby zleciła, nie istniała i nie istnieje. Masoni nie zabijają ludzi, tylko wspomagają biednych i uczą dzieci czytać. Ja zaś nie jestem jakąś królową zła, po prostu mam słabość do mężczyzny i lubię romanse. Wszystko jest inne, niż się wydaje, ochłóńcie wreszcie.

– A chusteczki... – zaczęła Frania, ale Teresa zagłuszyła ją, trzepocząc wachlarzem.

– To były zwykłe chusteczki, nie próbowałam was nimi zamordować – odparła, kręcąc głową. – Kolejne nieporozumienie lub niefortunny zbieg okoliczności. Skończcie z tym na litość boską i zostawcie mnie w spokoju! Aha,

pozdrówcie Siferdusa, widziałam go dziś w tłumie, wiem, że tu jest. Powiedzcie mu, że może jeszcze kiedyś... Albo nie, nic mu nie mówcie.

Zostawiła je same, po czym odpłynęła w kierunku czekających wielbicieli, bo tych miała właściwie w każdym towarzystwie. Frania wymamrotała wiązanek przekleństw nauczonych przez włoskich przyjaciół stryja, Cecylia tylko pokręciła głową. Po chwili ujęła siostrę pod ramię i poprowadziła do wyjścia.

– Przynajmniej ograłyśmy cesarza w karty – stwierdziła tylko.

– Szkoda, że nie zagrałyśmy z nim o coś cenniejszego, na przykład o polską koronę – Frania dodała z żalem w głosie. – No cóż, każdy popełnia błędy.

8 Ciepłik – polska nazwa potencjalnego fluidu odpowiedzialnego za istnienie ciepła. Pojęcie ciepłika wywodziło się z tradycji alchemicznych i w czasach napoleońskich jego istnienie było już naukowo obalone. Hrabia Aleksander Chodkiewicz był jednak gorącym zwolennikiem teorii ciepłika, zwanego też flogistonem, i poświęcił mu wiele uwagi w swoim kilkutomowym dziele *Chemia*, które było pierwszym polskim podręcznikiem do chemii. Między innymi z powodu umieszczenia w książce wielu nietrafionych teorii była ona z naukowego punktu widzenia zupełnie bezużyteczna.

9 Tlen.

Rozdział 9

KWIECIEŃ 1809 ROKU

Środa była dniem pogodnym i słonecznym, choć nocą błoto ściał przymrozek i rankiem ziemię pokrywał szron i tafle lodu. Siostry Sobolewskie maszerowały przez miasto, ledwie słońce podniosło się za Wisłą i oświetliło skąpane w mlecznej mgle podmokłe okolice rzeki. Panny zeszły wprost na Powiśle pachnące wilgotnym drewnem, które zalegało w przyzmach spławionych i zepchniętych na brzeg przez flisaków. Mimo wczesnej pory miały sporo przechodniów, w dodatku wcale nie zaspanych, ale raczej ożywionych i podnieconych. Gapie już gnali w kierunku wałów, pospiesznie usypanych na południe od miasta ledwie kilka dni temu. Zresztą te umocnienia nie zostały nawet dokończone ani obsadzone załogą. Nie równały się z fortyfikacjami wzniesionymi przez Kościuskę na Woli podczas insurekcji, wzniesiono je po amatorsku i jakby w panice, aż w końcu głównodowodzący armią Księstwa Warszawskiego, książe Józef Poniatowski, po ich obejrzeniu zdecydował, że nie będzie marnował ludzi, by ich bronić. Szkoda czasu i wysiłku, wały były za małe i na zbyt krótkim odcinku, by mogły powstrzymać nadchodzącą armię.

– Dobry człowieku, są jakieś wieści? – Frania zaczęła mijającego ich staruszka, który kuśtykał na drewnianej nodze, podpierając się na kuli.

– Dzień dobry szanownej pani. – Staruszek uchylił pocerowanej czapki. – Nic nie wiem, z wałów widać ino dymy i słyhać echo odległych grzmotów. To artyleria gra swoją piosenkę. Ale która, nasza czy ich, nie widno, nie widno...

Cecylia podziękowała mu w przelocie i pociągnęła siostrę za rękaw. Obie niosły przewieszzone przez plecy ciężkie kosze. Dwa kolejne targał idący kilka kroków za nimi Riccardo. Włoski kucharz przez ostatnie dwa lata nieco spał się na polskiej, tłustej kuchni, którą nieustannie kulinarnie badał i testował, przez co teraz zasapał się i spocił. Panny jednak na niego nie czekały, spieszo im było, by złapać stryja, zanim wybierze się ze swoimi kompanami na wypad. Obie były świadome, że tym razem może z awanturniczej wyprawy po prostu nie wrócić.

Niepokoje w mieście zaczęły się tydzień wcześniej, kiedy nagle na ścianach domów i murach pojawiły się przyczepione ulotki z odezwą arcyksięcia Ferdynanda Habsburga-Este, w której ów Austriak wzywał warszawiaków do wspólnej walki przeciw Napoleonowi. Ludzie pukali się w głowy i zgodnie wykpiłi to idiotyczne wezwanie, nadal panowało bowiem przekonanie o wspianałości cesarza Napoleona, wyzwoliciela Polski, i Polacy byli w większości gotowi skoczyć za nim w ogień. Jednak ledwie dzień później do miasta dotarły wieści, że arcyksiążę przekroczył granicę księstwa na Pilicy i wtargnął na czele potężnego korpusu inwazyjnego na polskie ziemie. Zamierzał z marszu podbić kraj, który ledwie co podniósł się po rozbiorach, i zapewne podzielić go między Austrię i Prusy. Zaskoczenie było ogromne, nawet wśród generalicji i rady. Najgorsze bowiem było to, że Napoleon i jego Grande Armée nie mogli uratować Polaków, bo byli w Hiszpanii, tak samo jak połowa polskiej armii, która towarzyszyła cesarzowi. Księstwo Warszawskie zostało z nielicznymi, nieostrzelanymi rekrutami i kilkoma pułkami piechoty. Wyglądało na to, że austriacka armia po prostu zetrze ich z powierzchni ziemi, nawet nie zwalniając marszu.

Panika wybuchła, kiedy okazało się, że książe Józef nie zamierza bronić Warszawy, bo uznał, że to chybiony pomysł, który doprowadzi tylko do zniszczenia miasta i rzezi mieszkańców. Nie uciekł jednak, zebrał wszystkich zdolnych do noszenia broni i wyprowadził ich do Lasu Falenckiego przed Raszynem, by tam podjąć rozpaczliwą próbę zatrzymania najeźdźców. Od kilku dni ludzie żyli zatem w pełnym napięciu oczekiwaniu i gotowości. Niektórzy uciekli z miasta na północ, większość jednak czekała z typowym fatalizmem. W zasadzie lud już przywykł, że przez ostatnie dwie dekady stolica przechodzi z rąk do rąk i defilują po jej ulicach co rusz inne wojska.

– Hej, już jesteście! – Frania pomachała mężczyznom krzątającym się przy koniach i przyspieszyła kroku.

Weszły przez otwartą bramę na podwórko słynnego zajazdu Pod Piękną Syreną, który nadal prosperował nad rzeką, kierowany twardą ręką przez Zofię Kabałę. Pomachał im w odpowiedzi jeden z jeźdźców, stryj Ignacy we własnej osobie. Razem z nim konie rychtował kapral Pusty, Giovanni, poeta Leonardo, służący Achille i sierżant Zegart. Cała szóstka starych zabijaków ubrana była w popielate, sięgające niemal do ziemi płaszczce austriackich strzelców konnych. Na głowach nosili czarne czaka z dwugłowym orłem Habsburgów. Nie udało się im zdobyć pełnych umundurowań żołnierzy wrogiej armii, ale

płaszczki zakrywały ich aż do butów i na pierwszy rzut oka wyglądali jak przedstawiciele nieprzyjacielskiego oddziału.

– W samą porę, bo właśnie mieliśmy odjeżdżać – Ignacy oświadczył z irytacją. – Barka już czeka, by przerwucić nas przez rzekę. Flisacy są coś nerwowi i niechętni, boją się, że Austriacy czają się już na drugim brzegu i zagarną im ich tratwy.

– To niewykluczone – kapral Pusty poparł kapitana. – Ponoć ich awangarda jest wielce żwawa. Tworzą ją szwadrony węgierskich huzarów, wąsaci czikosze, wszyscy bez wyjątku to śmiałe i zawzięte dranie. Mogą być na tyle bezczelni, by ominąć naszych i wdrzeć się do miasta. Możemy mieć z nimi problemy, ale z drugiej strony przyjemnie będzie zrobić z nich głupków.

– Bierzcie prowiant, na miłość boską – wysapał Riccardo i z jęknięciem ulgi postawił swoje kosze na ziemi, po czym usiadł tam, gdzie stanął, bezpośrednio na ziemi, trzymając się dłonią za serce. – Po kiego diabła ten pośpiech, pali się czy co?

– Jeszcze nie, ale niedługo będzie – odparł Ignacy i uśmiechnął się krzywo, jak zawsze, kiedy na siłę starał się być wredny i groźny. – Niech no tylko dojdziemy ich taborów, a dym będzie widać nawet z Krakowa.

Ignacy stanowczo odmówił propozycji, by wstąpić do armii. Oświadczył, że przestrzeganie dyscypliny i regulaminów nie jest dla niego i wystarczająco sparzył się wojskowym dryblem podczas służby w Legionach. Poza tym narobił sobie wśród legionistów wrogów, a wielu z nich było obecnie trzonem oficerskim polskiej armii, więc on nie chciał się rzucić im w oczy, szczególnie generałowi Dąbrowskiemu. Nie zamierzał jednak rezygnować z wypełnienia obywatelskiego obowiązku, szczególnie że przy okazji można było narozrabiać i coś zagrabić. Wyprawa łupieżcza na tyły wrogiej armii była piekielnie niebezpieczna i nie gwarantowała żadnego zysku, ale Ignacy był dobrej myśli.

Sam nie palił się do awantury tak jak kiedyś, ale musiał znaleźć jakieś emocjonujące zajęcie swoim kompanom, którzy powoli wpadali w apatię i gnuśnieli, jak choćby Riccardo, pędząc żywot zwykłych mieszczan i kupców. Pilnowanie majątku Sobolewskich, nadzorowanie tartaku, cegielni i składu wina, który otworzył Ignacy, nie było tym, o czym marzyli starzy wojacy i trzej włóscy mafiosi. Tylko czekali, aż wydarzy się coś naprawdę emocjonującego. Pomysł wypadu podrzucił spokojny i stonowany sierżant Zegart, chłopcy natychmiast się do tej roboty zapalili i kapitanowi nie zostało nic innego, jak

przysłać na zorganizowanie awantury. Na domiar złego sam złapał wiatr w żagle i poczuł się, jakby znów miał dwadzieścia kilka lat. Niczym stary wilk, który znów usłyszał zew krwi i ciągnęło go do polowania.

– Ricci napiękl świeżych chlebków, są jeszcze gorące – powiedziała Cecylia, sięgając po pakunki z koszy. – Tu macie półgęski, kilka gomótek sera, manierki z winem. Wystarczy wam spokojnie na kilka dni.

– Dworu pilnuje Wandzia? – Ignacy się upewnił, przejmując pakunki od siostrzenicy i ładując je w juki.

Wanda Krzeska awansowała do roli ochmistrzyni i od jakiegoś czasu dyrygowała funkcjonowaniem całego domu. Nadal była raczej brzydula, za to nabrała nieco ciała oraz krągłości, przez co musiała się opędzać od adoratorów. Radziła sobie jednak z nimi, tak jak i ze wszystkim, dzięki bezpośredniości, ciętymu językowi i zdecydowaniu. Sobolewscy byli zadowoleni z jej służby i traktowali niczym członka rodziny.

– Oczywiście, że Wandzia, a któż by inny się do tego nadawał? – Frania potwierdziła. – Ma do pomocy trzech parobków i podkuchenną, nikt się do domu nie wedrze, spokojna głowa.

– Mniejsza o chałupę, właściwie nic dla mnie nie znaczy. – Ignacy machnął ręką. – Nie chciałbym tylko, byście straciły nieruchomość akurat wówczas, gdy i mnie by się coś stało. Uznajmy jednak, że jesteście zabezpieczone. No dobra, na nas pora. Może uda się nam złapać jakiegoś austriackiego księcia i zgarnąć dla okupu. Wówczas mógłbym kupić kilka dworków i jeszcze zostałoby na sześciokonną karete. Módlcie się, by Fortuna mi sprzyjała.

– A na co nam austriackie złoto? Pluję na nie – Frania prychnęła, biorąc się pod boki. – Czy nam czego braknie? Żyjemy w dostatku, nie wiem doprawdy, po co ta wyprawa, ale się domyślam. Wyobrażacie sobie, że znów jesteście młodzi. Ponoć niektórzy mężczyźni tak mają, że kiedy głowa im siwieje, to koniecznie pragną się odmłodzić, za wszelką cenę i w jak najgłupszy sposób. Biorą sobie młodą kochankę, kupują najszybszego ogiera i najmodniejsze stroje. No cóż, do niektórych nie dociera, że upływu czasu nie tylko nie da się zawrócić, ale nawet powstrzymać...

– Nie mędrkuj, mała – Ignacy warknął, po czym podszedł i uściśnął siostrzenicę, co zdarzało mu się czynić nad wyraz rzadko. – Wy też na siebie uważajcie. Siedzcie tu z dziewczętami i nie wychylajcie nosa poza ten burdel. Wbrew pozorom to niezwykle bezpieczne miejsce, dziwki wiedzą, jak się

bronić. – Podszedł do Cecylii i także ją uściśnął. – Uważaj na tę roztrzepaną smarkulę. Obie nie próbujcie okazywać bohaterszczyzny, zostawcie to mężczyznom. Ech, po co ja to gadam? To wszak jakbym gadał do obrazu, szkoda słów. Do zobaczenia za kilka dni!

Wskoczył na konia, odbijając się z ziemi sprężyste, jakby był młodym chłopakiem. Kapral Pusty również doskoczył do każdej panny i ucałował je w policzki.

– Zawsze trzymajcie gardę wysoko – rzucił i też lekko dosiadł konia.

– Nie wahajcie się kopać w jaja i wbijać noża w plecy – Giovanni dodał swoje trzy grosze, kłaniając się elegancko mimo tego, że miał na sobie ciężki, obły płaszcz strzelca. – Zwycięzców nikt nie sądzi!

Sześciu drabów w przebraniu odjechało z łomotem i chrzęstem broni dzwoniącej pod płaszczami. Frania pomachała im oburącz i krzykiem życzyła szerokiej drogi.

– Właściwie zachowują się, jakby mieli po trzysta lat – Cecylia zauważyła, splatając ręce na piersiach.

– Jesteście wreszcie, jaśnie panienki! – Stasia, płomieniście ruda, piegowata hetera, która nadal była prawą ręką Zośki, huknęła za ich plecami. – Myślicie, że robota sama się zrobi? Nie przyjechałyście tu odpoczywać, jazda do środka!

Stała, opierając ręce o biodra, robiła przy tym groźną minę, marszczyła czoło i ściągnęła brwi. Frania podeszła i dygnęła wdzięcznie, skromnie się uśmiechając, jakby znów kłaniała się cesarzowi.

– Tak, wielce wielmożna Stanisława z Syreny, wedle twej woli.

Twarz Stasi rozpozgodziła się, dziewczyna zaśmiała się, i to od razu na całe gardło. Klepnęła Franię z rozmachem w plecy, szturchnęła Cecylię w bok.

– Wielcem rade, żeście przyszły, dziewczyny! – dodała już innym, wesołym tonem. – Prawda, że trochę nas jeszcze czeka roboty, ale migiem się uwiniemy. Zaraz dam wam gorącego grogu, to się humor poprawi. Dobrze się napić przed bitwą, później będziemy się wszystkie nurzały we krwi po szyję i brodziły w odciętych członkach, mówię wam, będzie sakramencka zabawa!

Weszły we trzy do środka. Syrena lśniła czystością i porządkiem, od kiedy Zocha trzymała stery tego interesu, nic się pod tym względem nie zmieniło. Dziś jednak podłoga wysypana była grubą warstwą świeżych trocin, stoły

usunięto, kilka dziewcząt taszczyło pozbijane z desek pryce, ustawiając je jedna obok drugiej, pod kierownictwem samej Zochy. Stara burdelmama była jeszcze chudsza i brzydsza niż przy poprzedniej wizycie. Uśmiechnęła się jednak na widok panien i skinęła im głową.

– Pamiętam, jak szorowałyśmy tę podłogę na kłęczkach – Frania powiedziała z zadumą. – Ile to lat temu było, dziewięć?

– Zaraz sobie przypomnicie, jak wygląda robota posługaczek – rzekła Zocha. – Pomożecie Marioli i Józii w kuchni. Trzeba nanosić wody i nagrzać kilka garów wrzątku. Nie wiadomo, kiedy zjadą pierwsi klienci. Co tam ze sobą macie?

Frania wskazała na spoconego Riccarda, który wszedł do burdelu z lekkością i pewnością, jak przystało na starego bywalca. Oczywiście razem z Ignacym i chłopakami byli tu częstymi gośćmi.

– Mamy prawdziwego kucharza, a do tego trzy kosze szarpi, bandaży, opasek i jeszcze nożyce, igły i nici oraz mocną gorzałkę dla uśmierzenia bólu – dziewczyna wyrecytowała. – Może być?

– Och, jesteście! – Józia wyjrzała z kuchni. – Zrobić wam coś ciepłego na śniadanie? Może jajek nasmażyć?

– Bóg zapłać, już jadłyśmy – Cecylia odparła, pamiętając, jaką fatalną kucharką jest Mariola i jej pomocnica Józia. – Rozłożymy towar i zaraz przyjdziemy wam pomóc.

Riccardo usiadł na stołku w kącie i wyjął fajkę z kieszeni, gapiąc się na dziwki, które dziś nie miały kusych kiecek, tylko długie sukienki i fartuchy. Cały zamtuż przemienił się magicznym sposobem w połowy lazaret. I to całkiem oficjalny, zgłoszony do dowództwa i podlegający pod naczelnego medyka armii Księstwa Warszawskiego. W prywatnych domach w całym mieście urządzono wiele mu podobnych, spodziewano się bowiem liczego napływu rannych. Potrzebne było miejsce dla setek, a może tysięcy chłopców pokiereszowanych kulami i szablami, podziurawionych kartaczami i bagnietami. Nikt nie zagłębiał się w to, kim są ochotnicze sanitariuszki, werbowano je zarówno spośród zakonnic, zwykłych mieszczek, jak i dziwek.

Cecylia zdjęła salopę i powiesiła ją na haku przy wejściu, po czym zaprezentowała się wszystkim w prostej sukience i fartuchu. Ten był zgodnie z zaleceniem lekarzy czarny, by plamy, a nawet całe strugi krwi, pozostawały na nim niewidoczne. Chodziło to, by nie obniżać morale rannych i niepotrzebnie

ich nie straszyc. Frania ubrana byla podobnie, tyle ze na wlosach zawiązala sobie biala chustke.

– Jesteśmy gotowe! – zameldowała się Zosi.

Rafał i Lucjan Ussakowscy jechali stępa na lewym skrzydle pierwszego szwadronu Drugiego Pułku Ułanów. Bracia wyglądali niemal jak dwie krople wody. Głównie dlatego, że ubrani byli w identyczne lśniące nowością granatowe mundury, z wysokimi rogatywkami na głowach i żółtymi lampasami na spodniach. Każdy trzymał wyprostowaną, opartą o strzemię lancę z czerwono-białym proporcem, po którego kolorze można było z daleka rozpoznać pułk. Widzieli dobrze postać swego dowódcy, hrabiego pułkownika Tyszkiewicza, weterana zarówno wojny z Rosją sprzed dwudziestu lat, jak i insurekcji kościuszkowskiej. Służba pod komendą tak zaprawionego w bojach żołnierza dawała poczucie pewności i uspokajała. Co z tego, że nieprzyjaciel miał dwukrotną przewagę, w większości bardzo młodzi ułani byli przekonani, że są u siebie i dadzą sobie radę z całymi hordami nieprzyjaciół.

Jechali drogą między Wolicą a Wypędami, prosto na północ, na spotkanie nadciągającej nieprzyjacielskiej armii. Wiedzieli tylko, że mają zadanie spowolnić ją i nękać wypadami, niech najeźdźcy zapłacą okup krwi za każdy krok postawiony na polskiej ziemi. Do tej pory Austriakom wydawało się, że są na defiladzie lub manewrach, a nie na wojnie, i trzeba ich wyprowadzić z błędu. Atmosfera w szwadronie panowała niemal euforyczna, wszyscy kawalerzyści byli chłopakami pełnymi zapału i wiary w zwycięstwo. Choć rozsądek podpowiadał, że to jest zupełnie niemożliwe.

– Nasze panny pewnie już w lazarecie – Lucjan zagał rozmowę. – Ciekawe, jak się czują. Pewnie mają więcej odwagi niż cały nasz szwadron albo i pułk! Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczymy!

Rafał zerknął na brata z ukosa. Ich relacje z pannami Sobolewskimi nadal pozostawały dość skomplikowane i niejasne. Każdy powinien już dawno poprosić swoją o rękę, ale ostatnimi czasy zupełnie się im to nie układało. Po pierwsze służba w wojsku zdawała się nie mieć końca, ze względu, rzecz jasna, na ciężkie czasy, a to nie ułatwiało decyzji o założeniu rodziny. Poza tym to, co wcześniej pociągało go we Frani, teraz wydawało mu się coraz większą jej wadą. Jej energiczność, żywiołowość i szczerłość, a przy tym pogarda dla

konwenansów lub wrażliwości innych osób zaczynały go uwierać i irytować. Złapał się na tym, że podczas wspólnych spacerów próbował ją nieustannie uspokajać, upominać, prosić i ogólnie okiełznać. Jakby cały czas szarpał się z narowistą kłaczą, niepokorną i nieposłuszną. Pomyśleć, że kiedyś wydawało mu się to zabawne, a teraz go męczyło.

– Osobiście specjalnie mi się do nich nie pali – powiedział spokojnie. – Właściwie jestem znużony Franciszką. Może podczas pracy przy rannych nieco się uspokoi? I ochłonie? Choć właściwie sam w to nie wierzę.

Lucjan spojrział na brata uważnie i pokiwał głową. Już wcześniej zauważył, że między nim a Franią gromadzą się chmury burzowe. Sam nigdy nie zastanawiał się zbyt głęboko nad relacjami między sobą a Cecylią, nie był nigdy myślicielem, działał impulsywnie, pod wpływem chwili. Podobała mu się i to mu wystarczało, choć gdy się teraz nad tym zastanowił, rzeczywistość z zachowania była trochę jak ich matka. Ciągle go upominała, próbowała wpoić grzeczne zachowanie, uciszyć, uspokoić, zmusić do siedzenia w miejscu i nierozrabiania. Uśmiechała się, gdy żartował, ale to Frania, a nie ona, wybuchała gromkim śmiechem i odpowiadała kuksańcami na jego zaczepki.

– Wiesz co, brachu? – rzekł, drapiąc się wolną ręką po brodzie. – Coś mi się wydaje, że wybraliśmy panny na opak. I to wszystko dlatego.

– Co dlatego?

– Dlatego nie możemy się zdecydować na oświadczyzny, ciągle coś nam doskwiera, coś nie pasuje – Lucjan ciągnął swój wywód. – Nie odpowiadają nam ich temperamenty, taka jest prawda! Niby przeciwieństwa się przyciągają, ale na dłuższą metę może za bardzo między nami iskrzyć, za bardzo możemy się wzajemnie uwierać. Wiesz co, mam pomysł.

Rafał nie dowiedział się jaki, bo nagle rozbrzmiała trąbka, sygnalizując pełną gotowość. Chwilę później trębacz zagrał sygnał do ataku, hrabia Tyszkiewicz dobył szabli i wskazał nią kierunek natarcia. Z kolumny marszowej ułani w locie rozproszyli się i ustawili w linię do szarży, ciągle nabierając tempa. Dopiero teraz bracia zobaczyli, przeciw czemu się szykują. Z lasu naprzeciw wychodziły całe chmury austriackiej piechoty, kolumna obok kolumny. Tyle że ze względu na chaszcze i błoto mocno rozproszone, miejscami przemieszane i w kompletnym nieładzie.

– Huraaa! – USSAKOWSCY ryknęli jednym głosem z całym szwadronem i dźgnęli konie ostrogami, zmuszając do przejścia w cwał.

Pochylili lance, ich ostrza mierzyły teraz w piechurów w pośpiechu składających się do strzałów lub formujących linie. Ściana jeźdźców wpadła na nich niczym taran, rozległ się przeraźliwy wrzask, szczęk, łomot i chrupot gruchotanych kości. Lucjan pochylił się w siodle i dźgnął jakiegos wystraszonego nieszczęśnika prosto w pierś, przez co omal nie wyleciał z siodła pchnięty impetem uderzenia. Utrzymał jednak lancę, która jakimś cudem nie pękła, choć jej grot właściwie przebił i rozpruł człowieka. Rafał uderzył lekko i z wycuciem, prosto w twarz strzelca, który złożył się do strzału, mierząc wprost w ułana. Zaraz było kolejne uderzenie, gdy konie wpadły torsami w pierzchających na boki piechurów, przewracając ich i miażdżąc kopytami. Bracia dźgali w przelocie lancami na lewo i prawo, zmuszając konie do dalszego pędu.

Grzmiały pojedyncze wystrzały, wreszcie jakaś austriacka kompania zapanowała nad sobą na tyle, by dać równą salwę. Kilku ułanów wypadło z sodeł, jakiś koń kwiknął przeraźliwie i runął, zrzucając jeźdźca. Pułkownik Tyszkiewicz dał sygnał i trębacz zagrał na odwrót. Ułani pognali z powrotem na drogę, zostawiając za sobą krwawe pobojowisko zasłane dziesiątkami zabitych i konających najeźdźców.

– Trzymajcie się, chłopcy! – krzyknął pułkownik. – Zaraz powtórzymy szarżę! Będziemy robić to raz za razem, aż cofną się do lasu. Dacie radę?

– Ta jest! – Ussakowscy wrzasnęli chórem.

Obaj czuli dziwną mieszaninę radości i przerażenia. Wiedzieli, że właśnie otarli się o śmierć i lada chwila znów to powtórzą. Co będzie, jeśli Austriacy podciągnęli armaty lub z lasu wyjadą pułki cesarskich kirasjerów albo cała brygada huzarów palatyńskich, elitarna jazda zaprawionych w boju weteranów? Obaj mogą lada chwila tu polec.

– Słuchaj, brachu! – Lucjan krzyknął. – Jeśli przeżyje tylko jeden z nas, niech wybierze jedną z panien wedle woli.

– A jeśli obaj ocalejemy, co zrobimy? – spytał Rafał, jak zwykle przytomnie i konkretnie.

– Zamienimy się narzeczonymi – Lucjan wypalił bez namysłu. – Oświadczę się Frani, a ty rób, co chcesz!

Trąbka znów zagrała przeraźliwą melodię, w odpowiedzi zagrzmiały austriackie werble, nadając rytm maszerującym piechurów, których całe kolumny dalej wychodziły z lasu, depcząc zabitych kompanów. Ułani zawrócili

konie, żegnali się i całowali święte medaliki, ściskali ręce przyjaciół i składali pospieszne obietnice, choć raczej nie tak niezwykle jak Ussakowscy. Tyszkiewicz machnął szablą nad głową i znów wskazał kierunek szarży.

– Za mną, wiara! – ryknął. – Na nich, w konie!

Bracia pochylili lance i zgodnie z rozkazem wbili koniom ostrogi.

Wozy ambulansów zaczęły docierać do Warszawy już około szesnastej. Od razu w Syrenie zrobiło się gorąco jak w tureckiej saunie, przynajmniej takie wrażenie odniosła Frania taszcząca kolejne gary z gorącą wodą. Jedyne medyk w lazarecie, niejaki Grzelak, starszy jegomość z kępką włosów na głowie i monoklem wsadzonym w oczodół, miotał się od jednego rannego do drugiego i na widok ich ran szarpał się za resztki włosów. Stasia wrzeszczała na niego, by szybciej się ruszał z hamowaniem krwotoków, bo już dwóch rannych zmarło, zanim ktokolwiek się nimi zajął. Grzelak kłął jak szewc, wrzeszczał na dziwki, by każdemu rannemu zdejmowały ubranie z uszkodzonych części ciała i przemyły rany z błota i krwi, to szybciej pójdzie. Dziewczęta zderzały się ze sobą, pędząc w różnych kierunkach z bandażami, noszami z kolejnymi nieszczęśnikami i wodą oraz wynosząc poszarpane mundury. Panny Sobolewskie miotaly się z całą tą przerażoną i wyjąca czeredą w chaosie krzyków, płaczu i jęków.

Trudno było zachować zimną krew, bo sanitariusze dostarczali kolejnych rannych tak szybko, że zapełnili wszystkie prycze w kwadrans, więc pozostałych układali na podłodze i po kątach, a nawet w kuchni i składziku. Żołnierze byli oklejeni błotem i zakrzepłą krwią, twarze mieli osmalone prochem, błyskali białkami wytrzeszczonych oczu, szczyrzyli zęby, zaciskając je z bólu, modlili się, płakali, prosili o wodę, zmiłowanie, księdza, chcieli do mamy, do domu lub by w jakikolwiek sposób przynieść im ulgę, choćby przez chwilę potrzymać za rękę. Cecylia patrzyła ze zgrozą na konających chłopców, którym nie dało się już pomóc, bo mieli dotkliwe rany brzuchów lub torsów, absolutnie nieuleczalne. Wiedziała, że będą umierali – jedni godzinę, inni kilka dni, płacząc i robiąc z bólu pod siebie. I nic nie mogła na to poradzić.

– Nie stój tak! – Zocha wydarła się na Cecylię, która ocierając pot z czoła, próbowała pozbierać myśli. – Róbże coś!

Tylko co? To ich miotanie się i potykanie o rannych nie miało wielkiego sensu. Cecylia nie zareagowała na wrzaski burdelmamy, odetchnęła i oczyściła umysł, wyrzucając z niego straszliwe hałasy. Przestała nawet czuć okropny smród śmierci, który wypełnił Syrenę straszliwym odorem krwi, wyprutych wnętrzności, odchodów i potu. Machnęła do siostry, która oczy miała już pełne łez z bezsilności, bo jakiś chłopak właśnie zmarł, akurat kiedy udało się jej założyć mu opatrunek na kikut po nodze urwanej w kolanie.

– Trzeba nad tym zapanować – oświadczyła surowo. – Potrzebujemy prawdziwego chirurga, Grzelak jest tylko łapiduchem z Powiśla, który leczy dziwki z francji i łąta andrusów po bijatykach.

– Najlepiej kilku chirurgów – Frania przyznała.

– Weź konia i jedź do kasztelanowej. Niech przyśle tu księdza i chirurga, może też ma jakieś wolontariuszki pod ręką lub zakonnice. Potrzebujemy pomocy, i to jak najszybciej. – Cecylia zrobiła srogą minę. – Ja spróbuję tu wprowadzić jakiś ład, bo na razie wygląda to jak przysłowiowy pożar w burdelu.

Frania rzuciła się do wyjścia, wypadła na podwórko i kilkoma susami znalazła się przy stajni. Stała w niej burdelowa chabeta, zwykle zaprzęgana do dwukółki. Panna Sobolewska wdrapała się na jej grzbiet, nie kłopotząc się szukaniem rzędu czy choćby ogłowia. Zdecydowała, że będzie jechała na oklep, jakoś da radę, najwyżej spadnie w błoto. Zanim jednak dojechała do bramy, dostrzegła ją Stasia, która właśnie wyrwała jednemu rannemu trąbkę sygnalizacyjną. Był to trębacz ułanów z połamanymi nogami, który bronił się i nie chciał oddać swego atrybutu.

– No pożycz waść, przecież ci nie zjem! – wydarła się na niego ruda ładacznica i wyrwała mu skarb, który teraz rzuciła Frani. – Dmucha, ile wlezie, inaczej nie będą ci schodzili z drogi!

Frania skinęła jej w podzięce głową i uderzeniami stóp zmusiła konia do ruszenia z kopyta. Rzeczywiście na drodze pełno było ludzi, gapiów, wozów, rannych, dezertów i diabli wiedzą kogo. Panna Sobolewska jedną ręką trzymała się grzywy konia, drugą przycisnęła trąbkę do ust i dęła w nią z całych sił. Wydobywała z niej dziwne, upiorne dźwięki, przypominające zawodzenie ciężarnej krowy, może trochę wycie psa. Ważne jednak, że działało i ludzie z przerażeniem uskakiwali jej z drogi.

Gdy Frania galopowała do kasztelanowej Lanckorońskiej, Cecylia zajęła się próbami uporządkowania pracy lazaretu. Złapała Stasię i tonem nieznoszącym

sprzeciwu kazała jej zebrać wszystkie dziewczęta na odprawę. Przemówiła władczo, patrząc na dziewczynę z góry, przez co udało się jej podporządkować ambitną ladacznicę. To nie była łatwa sztuczka, ale madame Christine i madame Melissa nauczyły je również takich zabiegów, przydatnych niezwykle w kontaktach z ludźmi z gminu. Zdecydowana postawa i władczość Cecylii zadziałały, po paru chwilach na podwórku zgromadziła się cała załoga Syreny, łącznie z Zochą i Grzelakiem, który ze znużoną miną wycierał okrwawioną rękę w równie okrwawioną szmatę.

– Jest nas tu w sumie trzydzieści niewiast i jeden doktor – podsumowała, przyjrzawszy się zespołowi. – Zocha, weźmiesz tuzin dziewcząt i będziesz nimi dowodziła przy opatrywaniu rannych. Zajmiecie się tylko tym, niczym innym. Stasia, przejmiesz pod komendę sześć najsilniejszych panien i będziesz z nimi zajmowała się wyłącznie rozlokowaniem, przyjmowaniem nowych i wynoszeniem opatrzonych lub martwych. Martwych składujcie na tyłach, za szopą, po prostu kładźcie ich na razie na ziemi. Opatrzonych wynoście do stajni i szopy. Musimy wprowadzić rotację i posegregować towarzystwo. Mariola przejmuje kuchnię, biorąc pod skrzydła sześć najzwawszych dziewcząt, zajmiecie się wyłącznie aprowizacją. Pojenie i karmienie rannych, grzanie wody, płukanie bandaży, szykowanie nowych opatrunków i donoszenie ich do zespołu Zochy. Będziecie miały dużo biegania. Doktor dostaje dwie panny do pomocy, ma się zająć tylko rannymi, którzy zostali wytypowani przez Stasię, przyjmującą pacjentów. Pozostają tylko ja, będę wszystko notowała i liczyła, nadzorowała na bieżąco pracę szpitala i zgodnie z potrzebą zmieniała wam wytyczne. Czy wszystko zrozumiałe? No to do roboty!

Pozostało jeszcze podzielić dziewczęta na zespoły i oddać je pod komendę sierżantów, czyli Zochy, Stasi i Marioli. Zrobiła to szybko i sprawnie, przy okazji notując imiona ołówkiem w zeszytce, który dostała od Zochy. Teraz przynajmniej wszyscy wiedzieli, co mają robić i komu podlegają pod komendę. Dziewczyny ruszyły do boju i w jednej chwili przestały na siebie wpadać, wrzeszczeć, kłać i przepychać. Teraz każda wiedziała, co ma robić i kogo słuchać. Lazaret zaczął funkcjonować całkiem sprawnie. Cecylia uznała, że potrzebuje jeszcze godziny lub dwóch, by wszystko chodziło jak w zegarku.

Dla zajętych rozpaczliwym ratowaniem życia kobiet czas płynął nad wyraz szybko. Cecylia, która nieustannie pozostawała w ruchu i nawet na chwilę nie przysiadła, by odpocząć, była szczerze zaskoczona, kiedy nagle na podwórko przed Syreną zajechała karetka z Franią na pokładzie. Jej siostra wyskoczyła jako

pierwsza, zanim lokaj stojący za budą zdążył zsiąść i rozłożyć schodki. Z pojazdu wysiadła po chwili starsza siwowłosa pani, Krescencja Sanguszkówna, córka największej przyjaciółki pani kasztelanowej i jej powiernica oraz prawa ręka. Sama Lanckorońska nie mogła się pojawić, była zbyt wiekowa i słaba, by brać udział w pracach wojennego szpitala. Za to prócz damy z karety wysiadł często przebywający u kasztelanowej ksiądz Jan Paweł Woronicz oraz doktor Sierakowski, jej osobisty lekarz. Ten ostatni ubrany był we francuski frak i śnieżnobiały żabot pod szyją. Na jego widok Cecylia pomyślała, że ów żabot długo nie pozostanie biały i krew będzie wyglądała na nim doprawdy malowniczo. Okazało się jednak, że doktor nie był eleganckim durniem, pierwsze, co zrobił, to zdjął ozdobę z szyi i rzucił ją lokajowi, po czym wyciągnął z karety ciężką torbę pełną narzędzi chirurgicznych, z wystającymi ze środka piłami do cięcia kości.

Trzeba będzie znaleźć miejsce na odcięte kończyny, Cecylia pomyślała jak zwykle pragmatycznie. Nie mogą leżeć na środku podwórka w błocie, bo to fatalnie wpłynie na nowych rannych. Szopa na drewno chyba będzie najlepsza, tam się do nich nie dobiorą bezpańskie psy...

Sama była zaskoczona tym, że bez problemów zachowuje zimną krew. Tak jakby widok umierających, ich płacze i błagania, zamiast złamać, tylko ją zahartowały.

– Wyrosłyście na piękne kobiety, moje drogie – powiedziała Krescencja, zanim udała się za księdzem, by pomóc w udzielaniu ostatniego namaszczenia umierającym. – Martwi mnie, że nadal pozostajecie pannami. Nie idźcie tą drogą życiową co ja, bardzo was proszę. Dziś żałuję wielu decyzji i zmarnowanych szans. Gdybym miała męża i dzieci, pewnie wszystko inaczej by się potoczyło.

Frania tylko energicznie pokiwała głową, wzięła damę pod ramię i zaprowadziła do środka. Dziwnie się czuła, wprowadzając kogoś takiego do burdelu, choć dziś, co prawda, było to miejsce poświęcone krwią przelaną za ojczyznę. Pani Krescencja całe życie poświęciła dobroczynności i służbie u boku kasztelanowej, jej siostry oraz swojej matki, a wszystkie trzy traktowano wszak w mieście niemal jak błogosławione i część tej chwały i wzniosłości spłynęła też na nią. Trudno było sobie wyobrazić kogoś takiego otoczonego chmurą ładacznic i nierządnic, kobiet upadłych i zepsutych, ale tak się właśnie działo.

Stasia skinęła księdzu i Krescencji głową, jakby byli jej znajomymi, po czym wręczyła Cecylii kamionkową flaszkę i poleciła się napić, bo trudno znosić coś takiego w zupełnej trzeźwości. Panna Sobolewska pociągnęła łyk z szyjki i podała butlę siostrze. Ta również się napiła podłej i palącej w gardło gorzałki, jak się okazało. Jan Paweł Woronicz wyjął jej naczynie z ręki i również skosztował, by dodać sobie animuszu. Rozglądał się przy tym ze zgrozą po pomieszczeniu pełnym rannych. Chuchnął w dłoń i oznajmił, że pora zaczynać, po czym klęknął przy łóżku z leżącym w nim chłopcem bladym jak papier i wyglądającym na konającego. Krescencja uznała, że nie zachodzą tu żadne gorszące sceny, zatem z zadziwiającą wprawą zabrała się do pocieszania cierpiących. Klękała obok ich łóżek, trzymając w ręku krzyżyk, wkładała im w dłoń święty obrazek z Matką Boską i odmawiała cicho modlitwę. Działo to na chłopców kojąco, niczym jakieś magiczne lekarstwo. Przystawali płakać, cichli i patrzyli na nią z powagą, ulgą i radością. Po kilku chwilach zasypiali z błogimi uśmiechami, a Krescencja przechodziła do kolejnych cierpiących.

Cecylia wróciła do nadzorowania wszystkiego z zeszytem w ręku i ołówkiem tkwiącym w ustach. Frania dołączyła do zespołu Zochy, zajmującego się opatrywaniem ran i wykonywaniem poleceń obecnie już dwóch doktorów. Nowy chirurg, Sierakowski, szybko poprosił ją o asystę i pomoc w zorganizowaniu sali operacyjnej. Rannym trzeba było nie tylko tamować krwotoki, ale wyciągać kule i kartacze z ran, podwiązywać żyły i usuwać strzaskane i pogruchotane kończyny. Frania znalazła się zatem z doktorem w małej izbie na piętrze, gdzie zapaliła szybko lampy oliwne i świecznik. Dziewczeta przyniosły pierwszego pacjenta, doktor dał mu łyk wódki, wetknął drewniany kołek do zagryzania w usta i szczypcami zaczął dłubać w ranie, by znaleźć kulę z muszkietu.

Frania trzymała nieszczęśnika, by się nie wyrwał podczas operacji, co wcale nie było takie łatwe, bo ból dodawał rannemu sił. Pracowała tak w pocie czoła przy kilku kolejnych operacjach, aż doszło do konieczności amputacji piechurowi nogi strzaskanej pod kolanem uderzeniem kuli armatniej. Tym razem wezwała do pomocy dwie dość pulchne, a zatem ciężkie dziewczyny, sama zaś ulotniła się, by złapać oddech i nieco się uspokoić. Od wrzasków operowanych, zapachu krwi i ludzkich wyziewów szumiało jej w głowie, żołądek podchodził do gardła i trzęsły się jej ręce. Zeszła na dół i usiadła na chwilę na stołku w kącie kuchni. Cecylia od razu ją tam zauważyła i przycupnęła obok.

- Słuchaj, dzieje się coś dziwnego - powiedziała, stukając ołówkiem w zeszyt. - Zauważyłam, że sześciu chłopców zmarło w ciągu dwóch ostatnich godzin...

- Tylko sześciu? - Frania westchnęła i ściągnęła z głowy białą chustkę, by wytrzeć nią spoconą i zabryzganą krwią twarz. - Jeden umarł nam na stole.

- W sumie zmarło dziesięciu, ale sześciu odeszło we śnie - Cecylia dodała. - Po modlitwie z Krescencją. Pozostali, których uspokajała, śpią jak aniołki, ale żyją, sama sprawdziłam. Mam wrażenie, że to jej sprawka. Przyglądałam się tej świątobliwej damie i wiesz co? Podaje im do całowania swój krzyżyk, niektórym z kolei starannie wyciera twarz chusteczką. Chusteczką, rozumiesz, co mam na myśli?

Frania zamrugała zaskoczona. Potrzebowała paru chwil, by zebrać myśli. W końcu dotarło do niej, co mówi siostra, i aż podskoczyła.

- Jesteś tego pewna?

- Znasz mnie, nie rzucam słów na wiatr - Cecylia odparła z pewnością w głosie.

Frania skinęła głową i złapała ją za dłoń.

- Chodźmy zatem! Musimy się tym zająć, natychmiast!

Krescencja nie miała nic przeciw temu, by pójść z pannami do stajni, gdzie składowano lepiej czujących się i opatrzonych rannych. Pretekstem do wycieczki było, że im też trzeba pilnie udzielić duchowego wsparcia. Wyszły zatem we trzy z głównego budynku i przeszły na tyły posesji. Nadszedł już wieczór i zapadły ciemności, nie wiedzieć kiedy, cały dzień upłynął bez śladu. Miasto jednak nie szykowało się do snu, z daleka dobiegały stłumione grzmoty artylerii niczym echa odległej, żelaznej burzy. W mieście rozlegały się nawoływania i chóralne śpiewy kościelne, bo oczywiście zorganizowano kilka procesji, by się wspólnie modlić o ocalenie miasta i nielicznej armii. Na Powiślu jednak znacznie się uspokoiło, okolica była rzadko zasiedlona, i to głównie przez biedotę zamieszkującą rudery i ziemianki wzdłuż Wisły. W okolicy Syreny panowała zatem cisza i bezruch, zwyczajowa klientela zamtuza też się dziś nie stawiała.

- Dokąd mnie przyprowadziłyście? - Krescencja się zdziwiła, kiedy Frania otworzyła przed nią drzwi jakiejś szopy.

Zamiast odpowiedzieć, Cecylia wepchnęła ją do środka. Siostry weszły śladem Krescencji i zamknęły za sobą drzwi. Znajdowały się w rupieciarni oświetlonej lampą trzymaną przez Franię. W jej żółtym, rozedrganym świetle twarze sióstr wyglądały groźnie i nieprzystępnie, szczególnie że obie patrzyły na starszą damę z wrogością. Krescencja przekrzywiła głowę, patrząc na nie ciekawie i bez strachu, była tylko starszą, kruchą i łagodną panią, nie stanowiła żadnego zagrożenia. Tak mówiła cała jej postawa, twarz pokryta siecią zmarszczek z grymasem łagodnego uśmiechu.

– Dość czarowania i mydlenia oczu – Frania wycedziła i przysunęła jej lampę do twarzy. – Usypiasz rannych, podając im zatruty krzyżyk do całowania. Ci, którym otarłaś twarz chusteczką, zmarli. Zaprzeczanie nie ma sensu, od razu niech się waszmość pani przyzna i oszczędzi nam czasu.

Krescencja zrobiła zdziwioną minę, cofnęła się, rozkładając ręce.

– Cóż to za kuriozalny pomysł? Zdajecie sobie sprawę, kogo oskarżacie? I o co? – Pokręciła głową. – Moje dziewczynki, to chyba przez nadmiar wrażeń? Powinnyście odpocząć, ochłonać, może chwilę się pomodlić. Zrobimy tak, wypuścicie mnie, jutro przeprosicie, a ja o wszystkim zapomnę...

W rękę Cecylii pojawił się sztylet. Siostry zgodnie z naleganiami stryja nigdy nie rozstawały się z bronią. Na razie tylko pokazała go Krescencji, świdrując ją wzrokiem.

– Chusteczka jest nasączona arsenikiem, tak samo jak te, które podarowała nam Teresa. To od ciebie je dostała, prawda? Ty za tym stoisz, trucicielko. Próbowalaś nas zgładzić – wycedziła przez zęby i nagle przystawiła jej sztylet do szyi. – Gadaj dłużej i co miałaś wspólnego ze śmiercią naszych rodziców? Kiedy się nie udało nas otruć, wysłałaś za nami Niewieskiego? Tak było, mam rację?

Krescencja westchnęła i pokręciła głową.

– Niezupełnie – odparła i dotknęła dłonią ostrza, odsuwając je nieco od szyi. – Właściwie w niewielkim stopniu. Zabierz to żelazo, mam cienką skórę. Tak, pomogłam odejść tym chłopcom, używając chusteczek, ale nie z arsenikiem, tylko z wyciągiem z naparstnicy. Wcześniej uspiłam ich opium, by nie cierpieli. Pierwszy raz ktoś mnie na tym przyłapał, choć robię to od dziesięcioleci. Nie stawiajcie oczu w ślup, nie zabijam ludzi dla przyjemności, ale z litości, by oszczędzić im cierpień. Ci chłopcy i tak by umarli, ale wijąc się z bólu i cierpiąc nieopisane katusze w potwornie powolnej agonii. Wszyscy mieli rany brzucha,

rozprute jelita, odłamki głęboko w trzewiach. Przyniosłam im łaskę łagodnej, spokojnej śmierci we śnie. To miłosierdzie. Tak, w ten sposób też je można okazywać. Wiem, że skazałam się tym czynem na potępienie, ale już dawno zdecydowałam się na tę drogę. Stało się to podczas choroby i śmierci mojej matki. Całymi miesiącami patrzyłam bezsilnie na to, jak gaśnie, wyjąc z bólu, tracąc umysł przez straszliwe cierpienie. Miała guzy w organach żeńskich, bardzo bolesne i niedające szans na wyleczenie. Od początku to wiedzieliśmy, ale musieliśmy stać przy jej łóżku i patrzeć, jak kona w koszmarnych katuszach. Wtedy coś we mnie pękło... Przyniosłam, że nie dopuszczę, by ludzie tak konali, że oddam swoją duszę, by nieść im łaskę łagodnej śmierci.

Cecylia opuściła ostrze i odsunęła się o krok.

– Zaczęłam studiować księgi o zielarstwie, stare traktaty, alchemiczne przepisy. Szukałam ścieżki, aby przeprowadzić chorego na drugą stronę w sposób możliwie najłagodniejszy... – kontynuowała Krescencja. – Pierwsze próby czyniłam na rannych zwierzętach. Na psach przejechanych przez dorożkę, na kocie, który dostał się pod końskie kopyta. To była długa droga, ale się opłaciło. Wysłałam na tamten świat dziesiątki cierpiących nieszczęśników z lazaretów i przytułków, którymi opiekowałam się z kasztelanową. Zasypiali z błogim uśmiechem na ustach i budzili się już po tamtej stronie. Wierzę, że są szczęśliwi, żyją wiecznie na niebiańskich łąkach...

– Bzdury – Frania mruknęła, ale trochę niepewnym głosem. – Ta ckliwa historyjka o miłosierdziu i poświęceniu własnej duszy nie pasuje coś do próby otrucia nas dwóch. Nie byliśmy chore ani cierpiące. Próbowałaś zwyczajnie nas zamordować.

Krescencja pokręciła przecząco głową.

– To nie was chciałam uśmiercić, tylko Teresę. To był mój wielki błąd, spowodowany chwilą słabości – przyznała ze skrucą. – Wielce tego żałuję, właściwie żałowałam już wówczas, zaraz po tym, kiedy dopuściłam się tego okropnego czynu.

Siostry milczały, patrząc na nią wyczekująco. Cecylia obróciła w dłoni sztylet, ostrze błysnęło w świetle lampki. Dama westchnęła, wiedziała, że nie uniknie wyjaśnień, więc kontynuowała:

– Teresa wkroczyła do naszego towarzystwa jak przekupka ze Starego Miasta, ordynarnie rozpychając się łokciami. Znudzona i zblazowana hrabina, której się po prostu nudziło w domu z mężem zajęтым księgami, postanowiła zatem

zostać damą słynącą w towarzystwie z działalności charytatywnej. Pewnie imponowała jej sława kasztelanowej, jej siostry i mojej, świętej pamięci, mamy. Od razu wyczułam drzemiący w niej fałsz i obłudę, wiedziałam, że zasieje ferment i może nawet nas skłóci. Pani Marianna niestety z miejsca uległa czarowi tej żmii, jej słodkim słówkom, komplementom i szczodrości, bowiem Teresa hojnie sygnęła złotem z mężowskiej kiesy. Nagle zostałam zepchnięta w cień, okazało się, że już nie jestem potrzebna i kasztelanowa woli spędzać czas w towarzystwie Teresy. Zabierała się z nią na wycieczki, przechadzki do schronisk i przytułków. Któregoś razu okazało się, że nie ma dla mnie miejsca w karcie, i kompletnie nikt się tym nie przejął, zostawiły mnie przed domem, samą i opuszczoną. – Znów westchnęła boleśnie i pokręciła głową. – Wiecie, że całe życie poświęciłam służbie potrzebującym. Od kiedy pamiętam, od zawsze właściwie, całe dzieciństwo i młodość, przebywałam w towarzystwie Marianny i chłonełam jej dobroć, uczyłam się i pragnęłam stać się taka sama. Nie mam prywatnego życia, nie założyłam rodziny, byłam wiecznym cieniem Marianny, która zastępowała mi wszystko, matkę, rodzinę, męża. I nagle się okazało, że już nie jestem jej potrzebna, że ta śliczna żołą ze złotymi loczkami wepchnęła się na moje miejsce i bryluje na mieście, prowadząc kasztelanową pod rękę.

– Postanowiłaś się więc pozbyć Teresy – Frania stwierdziła – podsuwając jej chusteczki z trucizną?

– To nie było zaplanowane, działałam impulsywnie, korzystając z nadarzającej się okazji. Niemal przypadkiem przejęłam chustki, które Teresa zleciła hafciarce opatrzyć monogramem. Nasączyłam je stężonym roztworem arseniku, tak naprawdę nie myśląc o konsekwencjach. Nie przewidziałam, że Teresa nawet z nich nie skorzysta, ale podaruje dwóm dziewczuszkom, biednym sierotom. Kto by się spodziewał, że wręczy wam jako prezent akurat chustki? Czemu nie dała wam jakiegoś elementu biżuterii, którą jest obwieszona, czemu nie dała pieniędzy, przecież nigdy nie okazała skąpstwa, tylko akurat jedwabne chusteczki? Nie wiem, to nieistotne, może po prostu jest nieco szalona? Tak czy inaczej, przeżyłam wstrząs, kiedy się okazało, że zmarła jej pokojówka, przyboczna służka. Wiedziałam, że dotykała chustek i pewnie nimi się otruła. Później się okazało, że Teresa ma się świetnie. Po kilku miesiącach przyznała w rozmowie, że dała chustki właśnie wam. Byłam zdruzgotana. Przeszłam ciężką pokutę, udałam się nawet w pielgrzymkę, by błagać Maryję na Jasnej Górze o przebaczenie. Z jaką ulgą odetchnęłam, kiedy się po latach dowiedziałam, że żyjecie i cieszycie się dobrym zdrowiem.

– Zmarła pracująca w Syrenie dziewczyna, Krystyna – Cecylia dodała. – Ukradła nam te chustki i los ją pokarał.

– Och! – Krescencja położyła dłoń na ustach.

– Co się stało, to się nie odstanie. – Frania machnęła ręką. – Mamy zatem uwierzyć, że to był wypadek, tak? Nie miała pani nic wspólnego z zamachem na naszych rodziców? Nie jest waszmość pani Cesarzową?

– Kim takim? Jestem tylko starą panną żyjącą u boku wielkiej kobiety, całe życie pełnię ciężką służbę, przynosząc ludziom ulgę. Jeden jedyny raz uległam pokusie, by zrobić komuś krzywdę. Całe szczęście Teresa ocalała. W dodatku po jakimś czasie się okazało, że działalność wśród biedoty ją nudzi, i powoli sama się odsunęła. Odwiedza nas jeszcze czasem, ale już nie tak intensywnie i nie próbuje podkopywać mojej pozycji. Oto do czego doprowadziła mnie rozpacz i zazdrość. Bardzo żałuję tego, co zaszło...

Frانيا zmęła w ustach włoskie przekleństwo, ze złością zakolysała lampką i zdjęła rygiel z drzwi. Znow się okazało, że siostry nie znalazły się nawet o krok bliżej odkrycia spisku przeciw rodzicom. Może najwyższa pora dać sobie z tym spokój? Cecylia też nie była zachwycona, ale zamiast reagować złością, czuła tylko rozczarowanie. Puściła Krescencję przodem, ale kiedy wychodziły, złapała ją pod ramię i zatrzymała w miejscu.

– Wszystko, co zostało tu powiedziane, zostanie między nami – oświadczyła z mocą. – Zachowamy pełną dyskrecję, mogę przysiąc. Proszę mi tylko obiecać, że nie będzie waćpani truła rannych. Oraz, rzecz jasna, nas...

– Jak sobie życzysz, dziecko – starsza pani odparła lekko. – Możemy pozostać w doskonałych relacjach. Jeśli ci zależy, przestanę przynosić ulgę rannym, choć serce mi się kraje, kiedy patrzę na ich cierpienie. Rozumiem jednak waszą postawę, nie chcecie mieć nic wspólnego z moim grzechem i obarczać nim swoich sumień. W każdej chwili możesz jednak zmienić zdanie, wystarczy, że mi o tym powiesz. Poza tym nie zapominaj, że posiadam rozległą wiedzę dotyczącą toksyn i ich pozyskiwania z roślin. Kiedy będziecie w potrzebie, może się to wielce przydać. Lepiej zatem, byśmy zawsze pozostawały przyjaciółkami, mam rację?

Cecylia skinęła tylko głową, miała naprawdę mieszane uczucia. Czuła się niczym stara przyjaciółka beznamietnej morderczyni. Trudno było przejść nad tym do porządku dziennego, że miła starsza pani jest bezwzględna trucicielką. Niby to, co robiła, czyniła w dobrych intencjach, ale mimo wszystko zabijała

ludzi. Teraz jednak trzeba było odłożyć rozterki na później, nadal czekało mnóstwo pracy, bo rannych wciąż przybywało.

Jechali w kompletnych ciemnościach za ułanem, który trzymał zapaloną pochodnię. Kolumna wozów ambulansowych i kilku eskortujących je kawalerzystów, wszyscy bez wyjątku ranni, łącznie ze wskazującym drogę i oświetlającym ją przygasającą już żagwią. Lucjan siedział na jednym z wozów obok ośmiu ciężiej poszkodowanych żołnierzy. Dziś trzy razy spadł z konia. Za pierwszym razem niemal zupełnie niegroźnie, prosto w miękkie błoto. Wówczas ucierpiała tylko jego duma i piękny mundur, nic złego mu się jednak nie stało. Za drugim razem wyleciał z siodła, łamiąc lancę na pancerzu austriackiego kirasjera. Obaj spadli z koni, tamten przy okazji skręcił sobie kark, Lucjan jedynie solidnie się poobijał, możliwe też, że pękło mu żebro, bo teraz przy każdym oddechu bolało go jak diabli. Za trzecim razem zleciał z konia, bo wybuch armatni połamał zwierzęciu tylne nogi i pokiereszował zad. Stracił wówczas wierzchowca i zwichnął sobie ramię, ale przynajmniej był nadal żywy, co w zasadzie wielce go radowało. Zawsze był optymistą i starał się patrzeć w jasne strony życia.

Jego brat, Rafał, jechał obok, ciągle na swoim ogierze i ciągle w mundurze niemal zupełnie czystym. Jeśli nie liczyć krwi i osmołi. Trochę tej krwi należało do niego, pochodziła z ramienia rozplatanego szablą huzara, której ostrze rozcięło mięsień i zazgrzytało aż na kości. Zabandażowano mu tę ranę na szybko pasami materiału, teraz pulsowała bólem przy każdym kroku konia. W dłoni czuł mrowienie, co jednak było pocieszające, bo to doznanie sprawiało, że istniała szansa, iż może nawet nie straci ręki, o ile się wcześniej nie wykrwawi.

– Jak się trzymasz, brachu? – spytał w ciemność, w kierunku Lucjana.

– Rękami się trzymam, może z woza nie spadnę, brachu – młodszy Ussakowski odparł bratu. – Myślisz, że wygraliśmy tę bitwę?

– Nie mam pojęcia, podejrzewam, że nikt tego nie wie. – Rafał wzruszyłby ramionami, gdyby tylko nie bał się bólu. – Masę tych drani usiekliśmy, sam wiesz. Ale ciągle ich przybywało, bo całe ich mrowie wylażyło z lasów. Warszawa jeszcze nie padła, placu boju nie poddaliśmy. Cofamy się w ładzie i porządku.

Jest już po dwudziestej drugiej, więc bitwa skończona. Austriacy wybili sobie zęby o naszą małą armię.

– Czyli wygraliśmy?

– Nie przegraliśmy, tylko to jest pewne – odparł Rafał. – A nie przegrać z tak silnym przeciwnikiem to jak wygrać!

Pierwszy wóz nagle się zatrzymał. Rafał mruknął coś o gównianych drogach, po czym pojechał zobaczyć, co się stało. Obawiał się, że ambulans utkwiał w błocie lub, co gorsza, na wyboju uszkodził koło lub nawet złamał oś. Wszyscy w konwoju byli albo ranni, albo wyczerpani bojem i nie miałby kto wypychać wozu z błota. Okazało się jednak, że stało się coś jeszcze gorszego, jadący w pierwszym wozie pułkownik Godebski, dowódca jednego z batalionów piechoty, właśnie skonał. To najwyższy rangą polski oficer, który oberwał w bitwie, prowadząc swój baon przeciw nieprzyjacielowi. W dodatku, kiedy to robił, był już dwukrotnie ranny. Został plejzerowany¹⁰ prosto w pierś, ale trzymał się całkiem dobrze, wszyscy myśleli, że dojedzie do Warszawy i trafi w ręce medyków. Teraz dowódca konwoju próbował ustalić, kto przekaze wieść o śmierci pułkownika jego żonie, z pewnością czekającej na rogatkach.

– Godebski zmarł – Rafał oświadczył po powrocie. – Będzie losowanie, kto mówi o tym jego żonie, i jedziemy dalej.

– Niech to diabli – Lucjan syknął. – Ludzie źle to przyjmą, brachu. Choć może z drugiej strony ta ofiara uczyni z niego bohatera i wzór? Nie mam siły o tym myśleć, marzę już tylko o tym, żebyśmy rychło dojechali na Powiśle. Oby nasze panny były jeszcze w lazarecie. Cały dzień miałem ochotę je zobaczyć, szczególnie Franię. Nie masz nic przeciw temu, że będę się teraz zalecał właśnie do niej?

Rafał nie miał sił myśleć o amatorach, parsknął tylko śmiechem.

– Nie wiem tylko, co powie na to Cecylia – Lucjan się zmartwił. – Niby nie jesteśmy po słowie, ale przez tyle lat smałem do niej cholewki...

– Nie martw się, ja się nią zajmę – Rafał zdobył się na wysiłek, by pocieszyć brata.

O ile nie skończę zaraz jak Godebski, dodał w myślach. Krew kapie z opatrunku i chyba wiele już we mnie nie zostało.

Ignacy dawno nie spędził tyle czasu w siodle, co tego dnia. Bolały go przez to uda, plecy i oczywiście pośladki. Właściwie tak zeszywniał, że bał się, iż nie zlezie z siodła, kiedy wreszcie wróćą do miasta. Przedostali się na drugą stronę Wisły i galopowali wzdłuż jej brzegów. Przez nikogo nie niepokojeni dojechali najpierw do Otwocka, a później jeszcze dalej i wrócili na lewy brzeg tratwą na wysokości Góry Kalwarii. Tam się nieco przyczaili, wystali na przeszpiegi dwóch szczeniaków, wcześniej dobrze ich opłaciwszy. Ostatecznie powędrowali bezdrożami, lasami i przez podmokłe łąki w kierunku Tarczyna i w końcu znaleźli się tam, gdzie planowali, czyli na tyłach armii austriackiej. Wykonali wielkie koło, dwa razy przekraczając rzekę, byle nie natknąć się na nieprzyjaciela lub własną armię. Manewr udał się nadspodziewanie dobrze.

Chłopcy nie narzekali, wręcz przeciwnie, pozostawali pełni zapału, licząc z niecierpliwością na solidną bijatykę i łupy. Wreszcie, kiedy już zapadł zmrok, zrobili śmiały, właściwie wariacki rajd na wozy taborów, które zatrzymały się pół mili polskiej przed Tarczynem. Ubrani w płaszcze i czapki austriackich strzelców minęli warty, po czym wyrznęli je bez zmiłowania. Po chwili natknęli się na obozowisko, a w nim kilku ordynansów, którzy błagali ich o litość po chorwacku. Ignacy kazał ich oszczędzić i związać, okazało się, że to przyboczni generała Josipa Vukassovicha, chorwackiego oficera w służbie Habsburgów. Grasanci Ignacego ograbili cały jego tabor, przejmując szkatułę z listami i złotem. Nie było jednak tego wiele, trochę guldenów, zapewne generalski żołąd. Dopiero kiedy Giovanni zabrał się do obdzierania ze skóry jednego z ordynansów, okazało się, że w drugim wozie jest kolejna szkatuła, z złotem przeznaczonym dla całej brygady, którą dowodził Vukassovich. Skrzynia była tak ciężka, że Achille z Leonardem musieli targać ją we dwóch.

Ignacy kazał przesytać jej zawartość do juków każdego z grasantów, by rozdzielić ciężar i od razu podzielić łup po równo. Chłopcy byli zachwyceni, Giovanni od razu zaczął snuć plany, by rychło powrócić do Mediolanu i wyrzucić pomstę na rajcach miejskich, którzy zniszczyli jego mafię. Z taką forszą mógł bowiem zdziałać wiele złego i napsuć krwi wielmożom w rodzinnym mieście.

- Jeszcze nie koniec - Ignacy mruknął. - Myślę, że w drodze do domu zajedziemy do Tarczyna. Chciałem zrobić prezent generałowi Dąbrowskiemu, by odkupić stare winy. Zgarniemy generała von Pflachera, sukinsyn powinien już wrócić z pola bitwy na kwatery. Myślę, że to będzie miły prezent, nie wydaje się wam?

Nie wypadało zostawić taborów i tak po prostu odjechać, chłopcy podłożyli więc ogień pod wozy, przy okazji wycięli w pień woźniców i koniuchów. Giovanni używał garoty, po cichu, od tyłu dusząc nieszczęśników cienką struną, Zegart rozwaliał im głowy uderzeniami szabli, Leonardo podrzynał gardła. W końcu mogli zaszaleć i odbić sobie ostatnie lata spokojnego życia.

Suchy prowiant suchy był tylko z nazwy, ale mimo to palił się bardzo ładnie. W dodatku na jednym z wozów, jak się rychło okazało, znajdowały się skrzynie z papierowymi ładunkami do muszkietów. Proch eksplodował naprawdę widowiskowo i kula żółtego ognia pochłonęła nie tylko wóz, ale rozstawione namioty, w których odpoczywali ranni zniesieni z pola bitwy. Ignacy stał chwilę i patrzył na szalejący ogień i biegających w panice Austriaków. Ręką masował sobie plecy, bo bolały jak diabli. Z jednej strony miło było znów poczuć krew i radość wojownika na polu bitwy, z drugiej miał już ponad czterdzieści lat i jego krzyż i tyłek nie były już tak jędrne i wytrzymałe jak kiedyś. Uznał jednak, że von Pflachera uda mu się jeszcze ucapić. W każdym razie trzeba było skorzystać z okazji, jaka się nadarzała.

Pognali na południe, zostawiając za sobą obozowisko pogrążone w chaosie. Taka walka najbardziej się Ignacemu podobała. Gdy był piechurem, wpojono mu, że największy honor dla żołnierza to sterczeć w równym szeregu i cierpliwie czekać, aż zabije go kula z muszkietu lub armatnia. A on znacznie bardziej wolał być w ruchu, spadać na nieprzyjaciela jak jastrząb i siać śmierć w jego szeregach. To nie pasowało do współczesnej taktyki wojskowej i regulaminów, nic dziwnego, że stale pozostawał w konflikcie ze sztabem i musiał się wyklócać z innymi oficerami. Teraz był wolny jak ptak, choć w tych ciemnościach to raczej jak nietoperz.

Jechali pod prąd ciągnących w przeciwnym kierunku oddziałów, Austriacy cofali się do taborów w poszukiwaniu pomocy lekarskiej i odpoczynku. Nikt nie zaczepiał kilku strzelców, którzy gdzieś się spieszyli. Tylko raz stanął im na drodze jakiś wyjątkowy służbista w mundurze huzara i czapie z grubymi oficerskimi sznurami. Zażądał, by podali hasło, swój przydział, dowódcę i zdradzili rozkaz, który wykonują. Gadał jeszcze coś po niemiecku, kiedy sierżant Zegart w przelocie wybił mu rękojeścią pistoletu zęby i zrzucił z siodła prosto w błoto.

Po kolejnym kwadransie dotarli wreszcie do miasteczka i skierowali tam, gdzie widać było światła i krzątających się żołnierzy. Achille został z końmi na

skrajem ciemności, reszta ruszyła piechotą wprost do dworu, w którego oknach świeciły się lampy. Ignacy uznał, że wypada chwilę poobserwować domostwo, by ustalić, czy generał tam w ogóle jest. Nie udało mu się powstrzymać jęknięcia ulgi, kiedy siadał przy ścianie szopy stojącej z boku. Pusty zwał się obok, również nie ukrywając zmęczenia. Najmłodszym w kompanii był poeta Leonardo, jego zatem wysłał kapitan na rozpoznanie. Potrzebował paru minut, by odsapnąć, poza tym dałby teraz worek guldenów za możliwość wypalenia fajeczki przy ciepłym ogniu z kominka. Niestety musiał na to jeszcze poczekać.

Leonardo obszedł dwór, który nawet nie był otoczony wartownikami, widocznie Austriacy czuli się nadzwyczaj pewnie i wydawało się im, że już podbili Polskę. Może też zwyczajnie byli zmęczeni? Wyłamał zatem skobel w drzwiach dla służby i wlaź do kuchni. Akurat kiedy był w środku, przed dwór zajechała karetka. Ktoś przyjechał z odwiedzinami do odpoczywającego generała? Może sam arcyksiążę Ferdynand Karol? Ignacy aż poderwał się na równe nogi, zapominając o zmęczeniu i bólu w krzyżu. Przecież gdyby udało mu się pojmać dowódcę wrogiej armii, samego księcia krwi z domu Habsburgów, zmieniliby losy wojny. Nie tylko odkupiłby winy, został bohaterem, ale i oszczędził tysiące niepotrzebnych śmierci, doprowadzając do szybkiego zakończenia konfliktu.

Podbiegł do bocznej ściany dworu i przywarł do niej, wtapiając się w ciemność. Popielaty płaszcz strzelca uznał za zbyt jasny, więc go zrzucił, bo pod spodem miał czarny kubrak i takiego koloru spodnie. Pewny tego, że jest niemal niewidoczny, wychylił się, by widzieć wysiadających. Pierwszym był bardzo wysoki mężczyzna z gołą głową, kapitan rozpoznał go od razu po charakterystycznej, przygarbionej sylwetce i zabawnie małych rozmiarach czaszki w porównaniu z gabarytami ciała.

– Hrabia Chodkiewicz – wyszeptał.

Czyżby arystokracja już się układała z Habsburgami? Nie byłoby w tym niczego zaskakującego ani specjalnie zdroźnego. Polska ostatnimi czasy przechodziła z rąk jednego cesarza w ręce innego. Ważne, by stanąć po stronie tego silniejszego, który ostatecznie zatriumfuje. Ten ród, który trafi w tej loterii i dobrze wybierze władcę, któremu będzie służył, może wygrać naprawdę wiele, zaszczyty, urzędy dworskie, cesarską łaskę. Mimo to Ignacy poczuł spore rozczarowanie, polubił Aleksandra i miał go za przyzwoitego człeka i patriotę.

Hrabia nie był sam, po chwili podał rękę kobiecie, by pomóc jej wysiąść z karety. Ignacy wytężył wzrok, by dojrzeć jej twarz ukrytą pod kapturem salopy. Teresa? Aleksander przyjechał tu z żoną? Wówczas dama odrzuciła kaptur na ramiona i weszła do środka. Kapitan stał parę chwil z otwartymi ustami, był tak zaskoczony, że zapomniał nawet o oddychaniu. W końcu, kiedy Pusty potrząsnął jego ramieniem, spazmatycznie wciągnął powietrze. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim jak nic w życiu. Chyba że mu się tylko przywidziało? Wiedział jedno, musiał to jak najszybciej sprawdzić.

Wtargnął razem z Pustym przez tylne drzwi, tam gdzie czekał na nich Leonardo. Kapitan polecił chłopcom, by tym razem powstrzymali się przed zabijaniem, mieli tylko unieszkodliwić zbrojnych i dać mu czas na parę chwil rozmowy z przybyszami. Kompanii nie trzeba było powtarzać takich rzeczy, pojmali wewnątrz dworu kilku Austriaków, młodszych oficerów i ich ordynansów, nie czyniąc nawet przy tym wielkiego hałasu. Drzwi do głównego salonu stanęły przed Ignacym otworem. Nie wpadł jednak do środka z marszu, zawahał się, zatrzymał, bo czuł, że serce wali mu w piersi niczym dzwon.

Co, jeśli to było tylko złudzenie?, pomyślał w nerwach. Jest ciemno, mogłem się pomylić.

Nie było czasu na długie rozterki, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Hrabia Chodkiewicz stał przed kominkiem, wyciągając dłonie do ognia, jakiś austriacki pułkownik towarzyszył mu z kieliszkiem w rękę. Ignacy skupił się jednak na kobiecie siedzącej w fotelu. Podeszedł powoli, nie mogąc oderwać od niej spojrzenia. Tak, to była ona, niemal nic się nie zmieniła przez te wszystkie lata. Minęło ich kilkanaście, od kiedy widział ją po raz ostatni – Maria Sobolewska, jego ukochana, żona jego brata, która miała zginąć dziewięć lat temu w zamachu, siedziała i patrzyła na niego spod lekko zmrużonych powiek.

Nawet nie okazała zdziwienia, tylko na chwilę uniosła brwi, kiedy go rozpoznała, po czym uśmiechnęła się nieznacznie. Austriacki pułkownik sięgnął do pasa i złapał za rękojeść szabli, ale kapral Pusty był szybszy i przystawił mu ostrze noża do gardła. Hrabia Chodkiewicz wykrzywił się w grymasie zaskoczenia, opuścił dłonie wzdłuż ciała, ale stał spokojnie. Sobolewski nawet na niego nie spojrział.

- Witaj, Ignacy - Maria powiedziała takim głosem, że kapitan poczuł ciarki na plecach. - Dawno się nie widzieliśmy. Słyszałam, że ofiarnie opiekujesz się dziewczynkami, aż nadto ofiarnie...

Serce waliło mu coraz bardziej, jakaś dziwna, wielka gula rosła w gardle. Myśli, emocje, wszystko kotłowało się w nim piorunującą mieszanką i wiedział, że zaraz wybuchnie. Nie mógł zdecydować, czy chce ją zamordować, czy przeciwnie, wziąć w ramiona i pocałować. Już dawno pogodził się z jej śmiercią, wszelkie emocje wobec niej w nim wygasły. Teraz nagle eksplodowały straszliwie palącym płomieniem. Miał mętlik w głowie, ale z drugiej strony nie był już młokosem, potrafił nad sobą zapanować, także nad swoim gniewem i pasją.

- Nadto ofiarnie - obracał w ustach jej ostatnie słowa. - Zatem to tak... To ty chciałaś zgładzić dziewczęta, swoje własne córki? Ty za tym wszystkim stoisz!

Maria wstała. Uśmiechała się w taki sam sposób, w jaki zapamiętał i w jaki przez te lata wracała do niego w snach. Szła, kołysząc biodrami, tak samo jak kiedyś, tak ponętnie, że od razu rozpałiło się w nim gorąco, jakby znów miał kilkanaście lat, wszystko nagle wróciło, było tak samo jak wtedy. Stanęła blisko, ledwie o krok, a potem pogładziła go dłonią po policzku.

- Mój Ignas - szepnęła. - Taki sam jak przed laty. Nadal mnie kochasz i zabiłbyś dla mnie, prawda? Kiedyś nie wahałeś się sięgnąć po szablę i ruszyć na własnego ojca i brata z tej miłości. Nadal masz w sobie ten ogień? Tak, czuję go...

Złapał ją za dłoń, chciał ją pocałować, ale i ścisnąć jednocześnie. Nie wiedział, co wybrać, szumiało mu w uszach. Kochał ją nadal czy jednak jego rodziną są teraz Cysia z Franią? Trzymał ją zatem tylko i patrzył z bliska w jej twarz. Kurze łapki w kącikach oczu, zmarszczki na czole i szyi, siwe włosy, ale oczy te same, tak samo błyszczące jak kiedyś. Tylko czemu wówczas nie dostrzegął, że drzemie w nich czyste, beznamiętne zło?

- Ty jesteś Cesarzową, prawda? - spytał, ale raczej by się upewnić. - Odkryłaś, że Krzysztof zdradzał cię z Teresą, zatem z zemsty uwiodłaś jej męża. Okręciłaś go sobie wokół palca, tak jak wszystkich mężczyzn, którzy wydawali ci się do czegoś potrzebni. Hrabia chodzi na twoim postronku, robi, co każesz. To on jest Mistrzem? Może i tak, tyle że to ty nim władasz. Domyślam się, czemu zabiłaś Krzysia. To była zemsta za zdradę, za coś, czego nie mogłaś znieść. Nie rozumiem tylko, czemu się uparłaś, by zgładzić własne dzieci...

Wyszarpnęła rękę z jego dłoni i cofnęła się o krok. W jej oczach błysnął gniew.

– Wydaje się wam, że wszystko wiecie. Mężczyźni, panowie i władcy całego świata. – Pokręciła głową. – Nigdy nie chciałam mieć dzieci, co w tym trudnego do zrozumienia? Sami nakłoniliście do tego młodą, naiwną dziewczynę, jaką wówczas byłam. Nie zauważyłeś jeszcze, że Cecylia jest bardziej podobna do ciebie niż do Krzysztofa? Ty jesteś jej ojcem, durniu. Frania jest dzieckiem twojego brata, choć i tak nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Byłam młodą kobietą, nieświadomą jeszcze swojej siły, uległam wam, jednemu po drugim. Choć już podczas porodu Cysi poprzysięgłam sobie, że nie urodzę więcej ani jednego dziecka. Musiałam udawać, że je kocham i rozpieszczę, bo tego wszyscy oczekiwali. Ale najchętniej potopiłabym je jak kocięta. Mało co zresztą do tego nie doszło...

– Nawet zwierzęta czasem odrzucają młode, nie ma w tym niczego niezwykłego – hrabia Chodkiewicz wtrącił beznamiętnie. – To musi być jakiś mechanizm mający głębsze znaczenie w przyrodzie.

– Może i odrzucają, ale nie próbują ich zamordować i nie knują latami, jak je uśmiercić – Ignacy wycedził jednocześnie z niedowierzaniem i wściekłością. – Nie nasyłają też na nich morderców. Niewieski to twoja sprawka, prawda? Wysłałaś największą kanalię, by zgładził twoje własne córki. Skąd w tobie tyle nienawiści? Wiesz, że one nadal cię kochają i wspominają z miłością?

– Sprawily mi tyle bólu, zniekształciły moje ciało, rozciągnęły piersi, pomarszczyły brzuch, do dziś mam na nim blizny – odparła chłodno. – Były potworami rosnącymi w moim ciele, pożerały mnie od środka, kawałek po kawałku. Odebrały mi piękno, młodość, witalność. Zamieniły w dojną krowę, bezwolną i bezwzględnie posłuszną wobec swego męża, pana i władcy. Musiałam je zniszczyć, by odzyskać siły życiowe, by wróciła moja młodość i uroda. Tak przynajmniej wierzyłam, teraz już wiem, to niczego by nie dało. Badania Aleksandra potwierdzają, że nie istnieje żaden pierwiastek życia, nie da się go przelewać między organizmami, jakby te były naczyniami. Dziewczęta już niczego mi nie zwrócą, dzięki temu są mi od jakiegoś czasu obojętne. Nie musisz się bać, że je skrzywdzę – dodała, po czym machinalnie oblizała wargi.

Westchnął, widząc ten zmysłowy odruch. Powinien ją zgładzić, tu i teraz, na miejscu zapłacić za wszelkie knowania.

- I po co to wszystko? Czemu porzuciłaś rodzinę, zaprzepaściłaś też własny majątek?

- Własny? Przecież jestem kobietą, zaraz musiałabym znów wyjść za męża. Niedługo dziewczęta by podrosły i trzeba byłoby oddać im w wianie sporą część tego majątku. I co ja bym z tego miała? Żadnego własnego życia, żadnej wolności – prychnęła ze złością. – Wymazując z istnienia całą rodzinę, w końcu stałam się wolna. Szczególnie że część majątku i tak ja przejęłam. Rządca Grabowski był tylko marionetką, dostał jakieś ochłapy. Od lat żyję niczym cesarzowa, z cienia pociągam za sznurki, jestem tym, kim chcę, i nie stoi nade mną żaden mąż, żaden władca. Teraz już rozumiesz, wiesz, kim naprawdę jestem? To zabieraj się stąd i nie przeszkadzaj. Tu rozstrzygają się ważne sprawy, których taki brutal i zbój jak ty nigdy nie zrozumie.

Zacisnął obie pięści, czuł, jak napinają się mu wszystkie mięśnie. Nie uderzyłby jej znowu, mimo wszystko nigdy by jej nie skrzywdził, nie potrafił. Dostojnie podszedł do hrabiego i szarpnięciem zmusił go do upadnięcia na kolana. Chodkiewicz nie bronił się zanadto, zachowywał spokój, który nieco ochłodził też Ignacego.

- Słuchaj waść – powiedział hrabia pojednawczym tonem. – Maria wymierzyła karę swojemu mężowi, może zbyt okrutną, ale nie mnie to oceniać. Oszczędziła Teresę, to okoliczność łagodząca, moim zdaniem. We dwoje przeprowadzimy pewnemu stowarzyszeniu, utworzonemu na wzór loży masonskiej. Nie zdradzamy ojczyzny, nie paktujemy z najeźdźcami. Pułkownik Grosser jest wybitnym naukowcem, moim starym znajomym. Od lat wymieniamy się publikacjami i wynikami badań. Nalegał na spotkanie, by pomóc podczas austriackiej okupacji, która jest wszak nieunikniona. Chodzi o badania związane z medycyną, bardzo ważne dla całej ludzkości. Tym się zajmuje nasza organizacja, staramy się pojąć tajniki działania organizmu człowieka, szczególnie umysłu. Stoimy ponad polityką, spiskami i walkami o wpływy. Maria jest mocno zaangażowana w te badania i dla nich ważna. Kobiety bowiem mogą być takimi samymi ludźmi nauki jak mężczyźni. Mają umysły nawet bogatsze, bo związane ze sferą emocjonalną. To niezwykle ciekawe i moglibyśmy rozmawiać o tym godzinami. Z chęcią wszystko waszmości wyjaśnię... tyle że w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Pułkownik będzie ewakuował naszą placówkę badawczą, specjalny szpital, z terenów zajętych walkami – Maria dodała. – Puść ich obu wolno, hrabia ci do

niczego nie jest potrzebny, a Grosser to bardziej człowiek nauki niż żołnierz. Zostanemy we dwoje, uczynisz ze mną, co chcesz. Masz prawo do zemsty za śmierć brata.

Zrobiła krok i znów go dotknęła. Jej twarz była łagodnie uśmiechnięta i to nadal na Ignacego działało. Nie ruszył się, nie zareagował.

– Przypomnę ci tylko, że brat się ciebie wyparł, ukraść ci ukochaną, rodzinę i majątek. Po czym tę ukochaną zdradzał, mimo tego, że miał ją tylko dla siebie, że rodziła mu te przeklęte dzieci. Może zasłużył na to, co go spotkało? – spytała.

Chciała zostać z nim sama, by znów nim zawładnąć. Wiedziała, że nie zdobędzie się na zemstę, nie wobec niej, szczególnie że Krzysztof wiele dla niego nie znaczył.

Drzwi z hukiem się otworzyły i do środka wpadł sierżant Zegart, trzymając w dłoni pistolet gotowy do strzału. Twarz miał pobladłą z przejęcia i oczy szeroko otwarte.

– Kapitanie, przed dworem stanął cały szwadron strzelców konnych. Zaraz tu będą, musimy zniknąć. Już!

Ignacy nie odrywał spojrzenia od Marii. Kiedyś, gdy był młodszy, nie zastanawiałby się ani chwili. Złapałby ją, zarzucił na plecy, przerzucił przez koński grzbiet i zabrał ze sobą w szaloną ucieczkę w mrok. Tyle że nie był już młodzieńcem. Musiał sprawę załatwić na miejscu, tu i teraz. Zabić ją? O nie, wiedział, że nigdy by tego nie zrobił, nawet w wielkim gniewie. Potrzebował czasu, by wszystko przemyśleć, tyle że go nie miał. Jeśli wpadną w ręce Austriaków, ci potraktują ich jak szpiegów i dywersantów, czyli po prostu rozstrzelają. Musiał zniknąć.

– Żegnaj, Mario – powiedział. – Lepiej, byśmy nigdy się więcej nie spotkali. I trzymaj się jak najdalej od mojej rodziny. Dla nas jesteś martwa i tak ma pozostać.

Odwrócił się i wyszedł z salonu, nie oglądając się za siebie, choć strasznie go kociło. Szedł mechanicznym krokiem niczym nakręcany automat. Nie wiedział, co się działo wokół, prowadził go Zegart i Pusty. Oprzytomniał dopiero, kiedy kapral pomagał mu wsiąść na konia. Po chwili pognali w ciemność, ominęli miasteczko szerokim łukiem i skierowali się prosto do domu. Całą drogę marzył, by zapomnieć wszystko, co go przed chwilą spotkało, ale oczywiście było to niemożliwe. Obiecał sobie tylko, że o niczym nie

wspomni dziewczętom ani słowem. Nigdy się nie dowiedzą, lepiej dla nich, by nie wiedziały.

Gdzieś w oddali kurant wybił północ, Cecylia usiadła ciężko na schodkach prowadzących na ganek Syreny. Frania przycupnęła obok, już miała coś powiedzieć, ale między siostry wpełchnęła się Stasia z dzbankiem w rękę. Podała naczynie najpierw Cysi, ale ta przecząco pokręciła głową, nie miała ochoty na wysokokowe trunki.

– To mleko – oświadczyła ruda ładacznica.

Napiły się kolejno wszystkie trzy. Patrzyły w ognisko, które sanitariusze z ambulansów rozpalili na środku podwórka, by nieco się ogrzać. Wiosna bowiem znów skończyła się wraz z nadciągnięciem nocy i pojawił się przymrozek. Nieszczęśnicy, którzy nie zostali zabrani z pola bitwy, do rana z pewnością wystygną na amen. Pozostało już się tylko modlić o ich dusze, ale żadna z dziewcząt nie miała na to siły. Wszystkie marzyły, by położyć się w jakimś ciepłym miejscu i po prostu usnąć. W lazarecie jednak nie zanosilo się na spokojną noc, ranni płakali, jęczeli i zawodzili, prosili o wodę i ratunek. Sanitariuszki będą miały co robić. Cecylia zastanawiała się, jak wyznaczyć wachty, by część załogi spała, kiedy reszta pracuje. Tylko w ten sposób jakoś wszystkie przetrwają do rana.

Z ciemności wynurzył się samotny, ponury jeździec, który powoli wjechał na podwórko. Koń wlekł się noga za nogą, kawalerzysta głowę trzymał opuszczoną, wydawał się jakiś wielki i niekształtny. Cecylia niemal odruchowo sięgnęła po ukryty w sukience sztylet, w rękę Stasi pojawił się masywny, kawaleryjski pistolet, Frania zaczęła się szamotać, szukając w ubraniu swojej broni. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że wyjęła ostrze i dała je jednej z dziewcząt do cięcia mundurów na rannych. Kiedy jeździec wjechał w krąg światła, okazało się, że na jednym wierzchowcu siedzi dwóch mężczyzn. Ułani, umazani błotem i krwią, zsunęli się jeden po drugim, przy czym pierwszy się zachwiał i padł na kolana.

– Rafał! – Cecylia pierwsza go rozpoznała i poderwała się na równe nogi.

Doskoczyła do klęczącego i dopiero wówczas się zorientowała, że ten drugi to Lucjan. Chciała wstać, by się z nim przywitać, ale powstrzymał ją stanowczym gestem.

– Mnie niemal nic nie jest, tylko mnie trochę poobijali. Zajmijcie się nim w pierwszej kolejności, stracił dużo krwi. Trzeba zatamować mu krwotok i go połatać.

Cecylia zarzuciła sobie zdrowe ramię Rafała na szyję, objęła go w pasie i podniosła z zaskakującą wprawą. Stasia w tym czasie wsadziła dwa palce w usta i zagwizdała przeciągle, wzywając w ten sposób dziewczęta z noszami. Frania nie wiedziała, co ma zrobić, rzucić się swojemu wybrankowi na szyję czy się rozplakać. To pierwsze odpadało, bo Rafał ledwie trzymał się na nogach, więc wybrała to drugie, a raczej płacz opanował ją sam z siebie. Cały dzień skrajnych emocji zrobił swoje, hamowała się, by nie wybuchnąć przez ten stały kontakt z cierpieniem i umieraniem, trzymała się mocno, ale teraz nagle tama pękła i popłynęła z niej rzeka łez. Płakała nad Rafałem, który wyglądał, jakby miał zaraz umrzeć, nad wszystkimi zmarłymi, których ciała leżały za szopą, poukładane w szereg, nad cierpiącymi w szpitalu i nad sobą samą.

Lucjan objął ją i przytulił, a przynajmniej próbował, ale jęknął z bólu. Odruchowo go podtrzymała, objęła w pasie. Pociągnęła nosem, ale było za późno, smarki popłynęły jej aż na brodę.

– Uch, wyglądam pewnie jak świnia – stwierdziła, dławiąc się łzami.

– Spójrz na mnie, jestem uwalany w błocie jak wieprz, który cały dzień tarzał się w bajorze. – Lucjan parsknął śmiechem i znów jęknął z bólu. – Pieruńsko przywaliłem o ziemię, kiedy konia pode mną zabiło. Chyba mam połamane żebra. He, nie dość, że warchlak, to do tego niezbyt udany.

– Pasujemy do siebie – powiedziała z uśmiechem i rękawem otarła nos, jakby była niechlujną prostytutką, a nie damą.

– Ja jestem tylko brudnym niezdarą, ty jesteś prawdziwą pięknoscią – odparł z mocą.

Zatrzymali się, zanim weszli do lazaretu. Frania patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Czuła się, jakby wcześniej miała je zamknięte i nigdy się dokładnie Lucjanowi nie przyjrzała. Był szalenie przystojny, a to zmęczenie malujące się na twarzy, smugi krwi i sady dodawały mu męskości i surowości. Nagle wydał się jej piekielnie pociągający. Zadziałała tak jak zwykle, impulsywnie i bez zastanowienia. Złapała go oburącz za głowę, przyciągnęła do siebie i pocałowała w usta.

Nie odepchnął jej, czego się trochę obawiała, przyciągnął do siebie i odpowiedział namiętym pocałunkiem. Stali tak dłuższą chwilę, tuląc się

i dotykając. Oboje zapomnieli o zmęczeniu, ona o bolących stopach i łydkach, on o dziesiątkach siniaków.

– Co my robimy? – szepnęła w końcu. – Cecylia...

– Rafał się nią zajmie. – Lucjan machnął ręką. – Albo odwrotnie, to ona nim się zajmie, nieważne. Ale nie będą mieli do nas pretensji, uwierz mi.

Frania nie zamierzała się z nim spierać. Musiała się nim zająć, zdjęć z niego ten brudny mundur, obmyć udręczone ciało i opatrzeć rany. Nie tylko zupełnie przez to zapomniała o zmęczeniu, ale poczuła przypływ energii jak nigdy dotychczas. Złapała go za rękę i pociągnęła na górę. Na poddaszu miały kilka izb używanych na co dzień przez ladacznice do przyjmowania klientów. Wiedziała, że nie wszystkie są zajęte i w jednej z nich będzie się mogła zająć swoim ułanem jak należy. On szedł posłusznie tuż za nią i nie zadawał pytań, miał przeczucie, że już za chwilę spotka go coś niezwykłego, czego nie zapomni do końca życia.

W tym samym czasie Cecylia posadziła Rafała na krześle w pomieszczeniu, w którym wcześniej pracował doktor Sierakowski, ale razem z panią Krescencją odjechał jakąś godzinę temu, by odpocząć. Sala operacyjna była zatem pusta, narzędzia czekały umyte i ułożone na ścierce na następny dzień. Cecylia, nie zastanawiając się długo, złapała za nożyce i zaczęła rozcinać na rannym koszule i prowizoryczny opatrunek, który mu założono. Rafał patrzył na nią bez słowa, uśmiechając się blado. Czuł się dziwnie miękki i słaby, jakby unosił się w ciepłej wodzie. Oczy zaczęły same mu się zamykać.

– Nie teraz, nie wolno ci zasnąć! – Cecylia trzasnęła go w policzek. – Muszę zatamować krwotok i porządnie cię opatrzeć. Później napijesz się czerwonego wina, które pobudza krew, i dopiero wtedy pójdziesz spać. Nie wcześniej, bo mi jeszcze umrzesz!

– Szkoda by ci mnie było? – spytał, powoli cedząc słowa.

– Bardzo – odparła krótko i ostrym tonem, po czym syknęła, widząc obnażoną ranę. – Będiesz miał piękną bliznę. Spróbuję to pozszywać, wytrzymasz?

– Pewno. – Skinął głową. – Już się nie mogę doczekać. Oddaję się w pełni w twoje ręce. Rób ze mną, co chcesz!

– Teraz chcę cię utrzymać przy życiu. Potem się zobaczy – odparła, jak zwykle nie bawiąc się w czułości.

Przemyśla starannie ranę wodą przyniesioną przez Stasię, nawlekła długą, zakrzywioną niczym hak igłę i zaczęła sprawnie i szybko zszywać skórę,

zaciskając ciągle sączącą się ranę wolną ręką. Rafał tylko raz drgnął i syknął z bólu, później zacisnął pięść i nawet szybciej nie oddychał. Zerknęła na niego z podziwem, podobało się jej jego opanowanie. Poznać można było po tym prawdziwego mężczyznę.

Gdzieś na górze nad nimi rozległ się hałas, skrzywienie i szuranie, jakby ktoś gwałtownie przestawiał łóżko. Po chwili nogi łoża zaczęły rytmicznie uderzać w dechy, rozległy się też równie rytmiczne jęknięcia. To wcale nie stękał ranny, głos należał z pewnością do kobiety. Cecylia i Rafał spojrzeli w sufit, choć oczywiście niczego przez niego nie było widać. Niemożliwe, żeby któraś z dziewcząt obsługiwała właśnie klienta, nie było dziś żadnych klientów.

– Gdzie właściwie jest Frania i Lucjan? – syknęła, maskując zmieszanie, bo intensywność uprawianej na górze miłości przybrała na sile.

– Myślę, że Frania dobrze się zajmuje moim rannym bratem – Rafał odparł niewinnym tonem, jakby się niczego nie domyślał. – O, dobrze ci idzie, zaraz będę miał zszytą ranę. I będziesz mogła mnie położyć do łóżka.

Zmrużyła groźnie oczy, patrząc na niego podejrzliwie. Skończyła szycie, zawiązała nić w supełek i odgryzła jej koniec. Szarpnęła przy tym boleśnie, ale Rafał tylko się uśmiechnął. Później ją pocałował, co nawet jej nie zdziwiło.

Ignacy uśmiechnął się szeroko, kiedy w końcu dostrzegł światła migoczące w wodach Wisły i odcinającą się na ich tle bryłę rozłożystych zabudowań Pod Piękną Syreną. To niemal jakby był już w domu, jeszcze kawałek i w końcu zlezie z siodła, usiądzie w lazarecie, w jakimś ciepłym kącie i wypali fajkę. Wcześniej sprawdzi, czy dziewczęta grzecznie śpią i czy wszystko u nich w porządku. Pocałuje każdą w czoło. Tak właśnie robi, zawsze powinien tak robić, ale oczywiście to zaniedbywał. Nie był z tych, co okazują wylewnie przywiązanie i ciepłe uczucia. Może i nie doceniał tego, co miał? A przecież one były mu jak córki.

Jak się okazało, jedna z nich jest nią nawet naprawdę, pomyślał, drapiąc się po głowie.

Wszystko, co robił, liczyło się tylko dlatego, że miał je obie. Bez nich byłby tylko plugawym zbójem, grasantem i moczymordą. Dzięki nim jego życie miało sens. Powinien im to powiedzieć, w końcu oficjalnie uznać za córki, uczynić swoimi spadkobierczyniami.

- Kapitanie, coś się dzieje - syknął kapral Pusty czujny jak zwykle. - Nieprzyjaciel przed nami.

Ignacy gwizdnął cicho, zatrzymując całą kompanię. Znow robotą rozpoznawczą przypadła Leonardowi jako najmłodszemu. Nawet nie narzekął, odjechał w ciemność, ale wrócił już po chwili.

- Oddział kawalerii, może półszwadron. Mają takie futrzane czapki i kurtki z mnóstwem guzików i sznurków. Huzarzy?

- Węgierscy huzarzy w służbie cesarskiej - Ignacy mruknął i powoli wyciągnął szablę. - Austriacy używają ich do rozpoznania i wypadów na teren nieprzyjaciela. Zachciało im się pewnie uderzyć nas w miękkie, spalić i złupić szpital. Może wyrznąć rannych, może wziąć jeńców.

- Jest nas tylko sześciu - sierżant Zegart zauważył rozsądnie. - Ich może być pięćdziesięciu...

Może tu zaraz zginę, pomyślał Ignacy. Ale w obronie własnych córek. Warto!

- Kto chce, może zostać - oświadczył i w drugą rękę wziął pistolet. - Ruszamy w sam ich środek, z tartasem, żeby myśleli, że to cały regiment diabłów prosto z piekła ich dopadł. Kto jedzie?

- Wszyscy - kapral Pusty odparł krótko.

- My w mafii jesteśmy jak rodzina - dodał Giovanni. - Było zaszczytem należeć do twojej rodziny, Ignacy. Prowadź!

Wbił ostrogi koniowi i ruszył przed siebie, wprost na widoczne w mroku sylwetki żołnierzy. Wrzasnął niczym sam diabeł, kiedy byli już między nimi. Wypalił prosto w twarz jakiegoś Madziarowi, który próbował się przeżegnać ze zgrozy. Chlasnął szablą kolejnego, rycząc na całe gardło. Jego kompani wpadli z takim samym impetem i hałasem, rąbiąc, strzelając i mordując każdego, kto znalazł się w zasięgu. Węgrzy musieli ostatnimi godzinami przemykać w napięciu między polskimi oddziałami i z całą pewnością nie spodziewali się ataku od tyłu. Huk, wrzask, krzyki zabijanych, błyski ognia z luf, tego było za dużo. Ktoś wrzasnął, by uciekać, trębacz zaczął dmuchać w trąbkę sygnał, ale oberwał od kaprała Pustego w tył głowy i runął z plaśnięciem na ziemię. Husarzy rozpierzchli się, pognali w różnych kierunkach, po chwili część z nich zawróciła i uciekła na południe, część przepadła w ciemnościach.

Ignacy ze zdumieniem stwierdził, że jest cały i w zasadzie zdrowy, jeśli nie liczyć zmęczenia i bolącego od machania szablą ramienia. Wjechał na podwórko przed burdelem, gdzie sanitariusze, przestraszeni hałasem, wyleźli

z wozów, na których spali pod plandekami. Pomachał im tylko uspokajająco, po czym zostawił konia i juki ze zrabowanymi guldenami pod komendą Pustego. Sam wszedł do środka, by szukać swoich dziewcząt, ale natknął się na Stasię, która zastąpiła mu drogę i kazała się ulokować w kuchni. Usiadł przy stole i z westchnieniem wyciągnął fajeczkę. Stasia postawiła przed nim dzbanek i kubek.

– Szuka waść podopiecznych, jak mniemam...

– Córek – odparł i skrzesał iskry krzesiwem, pykając fajkę. – To moje córki.

– Teraz są zajęte. Właściwie to odpoczywają po ciężkim dniu – powiedziała i napełniła mu naczynie winem. – Zobaczysz je waszmość dopiero rankiem. Nie wiedziałam, że są waszymi córkami!

Ignacy spojrział na nią jednym okiem, drugie musiał zmrużyć, bo leciała mu w nie smuga dymu z cybucha.

– Ja też tego nie wiedziałem – odparł. – Aż do dzisiaj.

Spis treści

[Rozdział 1. LATO 1800 ROKU](#)

[Rozdział 2. JESIEŃ 1800 ROKU](#)

[Rozdział 3. LUTY 1801 ROKU](#)

[Rozdział 4. KWIECIEŃ 1802 ROKU](#)

[Rozdział 5. MAJ 1803 ROKU](#)

[Rozdział 6. CZERWIEC 1805 ROKU](#)

[Rozdział 7. PAŹDZIERNIK 1806 ROKU](#)

[Rozdział 8. STYCZEŃ 1807 ROKU](#)

[Rozdział 9. KWIECIEŃ 1809 ROKU](#)